

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

ŚLĄSK



Nr 7/45/ ROK V • LIPIEC 1999

CENA 4 zł

WIESŁAW KOSTERSKI: Papieskie Zagłębie

JANINA SZCZEPAŃSKA: Czas odkłamać Śląsk

HENRYK WANIEK: Finis Silesiae

JERZY SWATOŃ: Wrażliwość ekologiczna

ZBIGNIEW KADŁUBEK:

Święta kraina milczenia

MARIA LIPOK-BIERWIACZONEK

Wieś pod złotym Groniem

KAZIMIERZ BĄK: Odkrywanie Jury





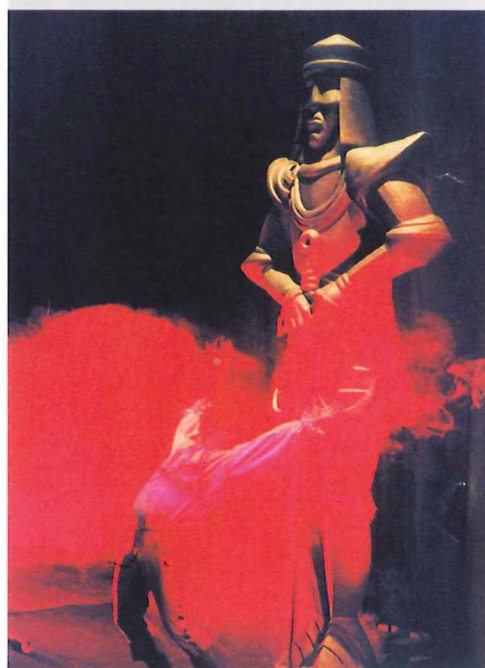
„Don Giovanni” W.A. Mozarta to najnowsza premiera Opery Śląskiej w Bytomiu. Odbyła się 29 maja. Na zdjęciu obok twórcy spektaklu: Jerzy Duda Gracz — autor scenografii, Wiesław Ochman — reżyser, Jarosław Światała — choreograf i Tadeusz Serfin — kierownictwo muzyczne.

(Recenzja ze spektaklu ukaże się w sierpniowym numerze „Śląska”)



Henryk Waniek „Góra św. Anny” 1997. (Wewnątrz numeru esej H. Wańka pt.: „Finis Silesiae” i rozmowa Macieja M. Szczawińskiego z Artystą.

Finalowa scena II aktu: Komandor pojawia się w komnacie Don Giovanniego. W roli Don Giovanniego Bogusław Zalasinski



SPONSOR „ŚLĄSKA”

ŚLĄSK

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

Nr 7 (45). Rok V. LIPIEC 1999

WYDAWCA: GÓRNOŚLĄSKIE
TOWARZYSTWO LITERACKIE
W KATOWICACH

Redaguje zespół:

TADEUSZ KIJONKA
redaktor naczelny

FELIKS NETZ

zastępca redaktora naczelnego

WIESŁAWA KONOPELSKA
sekretarz redakcjiKRZYSZTOF KARWAT
dział kulturalnyMARIAN KISIEL
dział literaturySTEFAN SZYMUTKO
dział krytyki i esejówJAN F. LEWANDOWSKI
dział społeczno-historycznyWOJCIECH ŁUKA
dział graficznyMIROSLAW KORBEL
nadzór techniczny i poligraficznyANNA STRUMIŁOWSKA
ANDRZEJ ROGIER
korekta

ADRES REDAKCJI:

40-096 Katowice, ul. 3 Maja 7, tel./fax 206-82-71

Czasopismo wspierane finansowo przez:

MINISTERSTWO KULTURY I SZTUKI,
ZARZĄD WOJEWÓDZTWA
ŚLĄSKIEGO.Skład i montaż elektroniczny: Studio Typografii
Profesjonalnej „KorGraf” s.c., 40-084 Katowice,
ul. Opolska 22, tel. 597-271 w. 107
Druk: MARQUARD PRESS S.A.

40-084 Katowice, ul. Opolska 22, zam. 441/98

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, po-
prawek i zmian tytułów w tekstach przyjętych
do druku oraz skracania korespondencji.Warunki prenumeraty: - poprzez Oddziały i De-
legatury „RUCHU” - na terenie całego kraju. Bez-
pośrednio - w sekretariacie Redakcji oraz w urzę-
dach pocztowych. Wpłaty należy dokonywać na kon-
to: GTL - redakcja miesięcznika „Śląsk”, PKO II
Oddz. Katowice 10202326-746272-270-1-111.
Prenumerata roczna - 48 zł., półroczna - 24 zł.
Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wska-
zany adres bez dodatkowych opłat.

Cena egzemplarza — 4 zł

ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Numer zamknięto 15.06.1999 r.

W NUMERZE:

Paweł Grabarczyk POWRÓT ORŁA BIELIKA	4
Tadeusz Kijonka W WADOWICACH	5
Rozmowa z Jerzym Swatoniem, prezesem Zarządu Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach	
WRAŻLIWOŚĆ EKOLOGICZNA	7
Ryszard Skrzypiec OD DEKLARACJI DO CODZIENNOŚCI	8
Wiesław Koterski PAPIESKIE ZAGŁĘBIE	10
Rozmowa z dr Janiną Szczepańską CZAS ODKŁAMAĆ ŚLĄSK	12
Barbara Gruszka-Zych WIERSZE	16
Rafał Witek WIERSZE	17
Henryk Waniek FINIS SILESIAE	18
Rozmowa z Henrykiem Wanikiem JA TUTAJ PRZYJEŹDŹAM PO SKARBY	22
Grażyna Barbara Szewczyk ERNSTA LASŁOWSKIEGO WIZJA GÓRNEGO ŚLĄSKA	26
Ernst Lasłowski MIT KRAJOBRAZU	28
Katarzyna Widera ZIELONE, ŚLĄSKIE LASY	29
Anna Fabiańczyk PARKI Z PRZESZŁOŚCI	32
Tadeusz Kijonka UŚMIECH, KTÓRY STAŁ SIĘ PAMIĘCIĄ	35
Zbigniew Kądłubek ŚWIĘTA KRAJINA MILCZENIA: HOŁDY, ŻABIOKI I DUKLE	36
Jerzy Gizella WIERSZE	40
Norbert Niestolik STUDZIENKA - MIEJSCE MISTYCZNE	42
Maria Lipok-Bierwaczonok WIEŚ POD ŻŁOTYM GRONEM	46
Bogdan Prejs WIERSZE	50
Kazimierz Bąk REZERWATY JURAJSKIE	52
Edward Szopa CHIŃSKA RÓŻA	54
Zygmunt Dmochowski WIERSZE	57
Karolina Drwał ŚLĄSKI EDEN	58
Jerzy Gorzelik KNIPPEL I INNI	64
Piotr Zaczekowski AKWARELA JAKO NOSTALGIA	65
ROZMOWY Z KS. JÓZEFEM TISCHNEREM. Cz.VII.	66
Edward Szopa OGNIEM NA WIETRZE	80
Wiesława Konopelska NOWOCZESNOŚĆ W STAROŚWIECKIM OPAKOWANIU	81



Numer
dofinansowany przez
WOJEWÓDZKI
FUNDUSZ OCHRONY
ŚRODOWISKA
I GOSPODARKI WODNEJ
w Katowicach.

W kolorze:

E.W. Knippel - litogra-
fie barwne z Muzeum
w Gliwicach (str.A) ●
Sonia i Ireneusz Botoro-
wie „Ślady” - wystawa
malarstwa i rysunku
w Muzeum Śląskim
w Katowicach (str.B) ●
Edward Ingnot - obrazy
i rysunki III - wystawa
w galerii „Inny Śląsk”
w Tarnowskich Górach
(str.C) ● Znaki i twarze
miasta Katowic - Willa
Luisa Dame'a - siedziba
Funduszu Górnośląskie-
go S.A. (str.D).

Na okładce:

Krajobraz Jury
Krakowsko-
Częstochowskiej

Fotografia:
Roman Kucia

LISTY	2
REPLIKI I KOMENTARZE	
Tadeusz Kijonka WYROK CZY SZANSA	3
OBSERWATOR SAMORZĄDOWY	6
ŚCIEŻKI I ROZDROŻA	
Krzysztof Karwat WYKUCI W BRĄZIE	24
PEJZAŻ MITOLOGICZNY	
Antoni Halor	
PAŁAC DZIWNIE ZAPOMNIANY (2)	25
WĘDRÓWKI PO KINIE	
Jan F. Lewandowski ZMIENNE NAZWY	39
Marek Baster BLOC-NOTES	45
POWROTY	
Marian Kisiel NIEOBECNOŚĆ EMIGRACJI	51
EKOLOGIA	
Jan Rzymelka ZANIKAJĄCA TRADYCJA	62
GWARA	
Jolanta Tambor ŚLĄSKA SAMOŚWIADOMOŚĆ	63
TEATR	
Henryka Wach-Malicka TAK TRZYMAĆ!	68
Krzysztof Karwat NA KOTURNACH	70
JAZZ	
Wiesława Konopelska JAK FENIKS Z POPIOŁÓW ...	71
KSIAŻKI	
Marian Kisiel POWIEŚĆ FASCYNUJĄCA	72
Krzysztof Karwat JAK ZABIĆ GOMUŁKĘ?	73
Andrzej Gwóźdź FILMOWE SILESIA	74
Anna Opacka HERMENEUTYKA I „GODZINY POLSKIEGO”	75
Bożena Szalasta-Rogowska STAFF I RÓŻEWICZ: POETYCKIE FASCYNACJE	76
Henryk Kocój BITWA POD SKOCZOWEM	77
Wiesława Konopelska BY NIE POWRÓCIŁ	78
Andrzej Jasiński DŹWIĘKI OPISAĆ SŁOWAMI	78
Wojciech Janota GLOSSY GÓRNOŚLĄSKIE	79
Marta Fox LISTY SPOD KAPEŁUSZA	80
NOTATNIKI KULTURALNE	
Wiesława Konopelska KATOWICE	82
Jan Picheta BIELSKO	84
Janusz Polakowski CZĘSTOCHOWA	85
Marek Świercz OPOLE	86
Jacek Sikora ZAOLZIE	87

Adres internetowy: www.miesiecznik.silesia.top.plE-Mail alfa@alfa.com.pl

Roczna prenumerata Zagraniczna: 72,25 DM; 25 GBP; 240 FRF; 308 NOK;
60 CHF; 1300 KC. Poczta lotniczą do USA 58 USD.

Jako rodowity, z dziada-pradziada Ślązak, sam urodzony w Katowicach, z przyjemnością zapoznałem się z rocznikiem „Śląska”, jaki otrzymałem, na miesięcznej zbiorce, członkowie kręgu — seniorów chorągwi Śląskiej ZHP. Przeczytałem z przyjemnością rocznik i zapoznałem z nim wielu humanistów Lublińca. Kilka numerów, zgodnie z zainteresowaniami, poszło w obieg czytelnicy. Przeprowadzane przeze mnie rozmowy z kioskarami „Ruchu” wykazały, że czasopismo nie dociera do Lublińca. To jeszcze jedna metoda byłych władz wojewódzkich w Częstochowie. W ciągu 24 lat podporządkowania Częstochowie ograniczane były połączenia kolejowe z Katowicami. Raz po raz wykresłano jakieś połączenie. Ograniczono połączenia autobusowe PKS.

Takie zachowania władz wojewódzkich w Częstochowie doprowadziły do tego, że już w czasie plebiscytu w 1981 r., jaki przeprowadzono na terenach zachodnich województwa, ludność opowiedziała się za powrotem do Śląska. Dobrodzień i Olesno za przyłączeniem do Opola, a Ziemia Lublińska za powrotem do Katowic. W 1998 r. przeprowadzone głosowania w poszczególnych radach wykazały, że 10 z nich chce należeć do Śląska, czyli tam gdzie sięgają ich korzenie. Podobnie zresztą opowiedziała się i Rada w Myszkowie, mieście silnie powiązanym z Zawierciem. A potem ta seria obraźliwych notatek prasowych w gazetach w Częstochowie, twierdzących, że Częstochowa nie ma nic wspólnego ze Śląskiem. A jeszcze później już w Sejmie, co było transmitowane przez telewizję, ta awanturzysta postawa byłego prezydenta Częstochowy p. Wróny, który domagał się utrzymania województwa częstochowskiego, żywiącego miasto wojewódzkie. Pytający otrzymał od posła prowadzącego dobrą odpowiedź: Widocznie dość nadeptaliście innym na palce, że wam teraz nadszali.

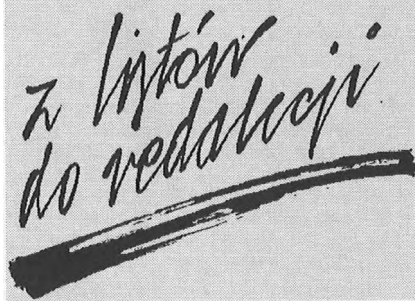
Ja osobiście miałem satysfakcję na posiedzeniu Rady Krajowej Regionalnych Towarzystw Kultury w Kutnie, której od 17 lat jestem członkiem, gdzie prof. Kulesza, w marcu 1998 r. zapewnił mnie, że będzie powiat lubliński o który upominałem się od wielu lat. Gdy byłem prezesem Towarzystwa Miłośników Ziemi Lublińskiej przedstawiciele Częstochowy zażądali w 1975 roku zmiany nazwy na Towarzystwo Miłośników Lublińca, twierdząc, że nie ma Ziemi Lublińskiej (w średniowieczu ukształtowanej), a jest tylko Ziemia Częstochowska. Zlikwidowano Muzeum w Lublińcu. I do dziś nie ma tej placówki (...)

A teraz przechodzę do innego tematu. Moja rodzina została wypędzona z Katowic we wrześniu 1939 r., za działalność Ojca w służbie Polsce. Cieszyła się więc niedługo willą wybudowaną przez Ojca w 1938 r. Willa znajdowała się w pobliżu gestapo. Została zabrana na rzecz komendanta tej placówki w Katowicach. I tutaj ciekawa historia. Szef gestapo wybudował w środku ogródka pielęgnowanego przez moją Mamę bardzo silny bunker (po wojnie Ojcu udało się zlikwidować tylko powierzchnię bunkra). Pewnego razu gestapowcy odbywali w willi libacje i nie zwracali uwagi na to co dzieje się wokoło. Wtedy ktoś podniósł zasłony z okien, co było planowane przez partyzantów i naprowadziło samolot, który zbombardował willę. Szef Gestapo w jakiś sposób uszedł. Warto by ten fragment historii miasta został bliżej zbadany. Po wojnie Ojcu udało się wynająć willę firmie, która ją odbudowała (tylko częściowo). Później zajęła ją bezpieka na centralę telefoniczną, a my znaleźliśmy się ponownie na ulicy.

Z poważaniem
Michał W. Sznajka
Lublińca

SPROSTOWANIE

W nocie „Szymik po hiszpańsku” (nr 5 „Śląska”) zostało podane mylnie nazwisko tłumacza wierszy księdza Jerzego Szymika, którym jest Witold Paweł Wolny. Za błąd ten autora wierszy oraz ich tłumacza na język hiszpański przepraszamy.



Na łamach „Śląska” pojawiło się kilka publikacji, szczególnie Jolanty Tambor, dotyczących edukacji śląskiej. Pierwszą z nich pracownica naukowa Uniwersytetu Śląskiego zaczynała słowami: „Jest początek września. Rozpoczyna się rok szkolny.” Dziś sytuacja jest inna, chyba lepsza niż rok temu, programy dla podstawówek i gimnazjów przewidują bowiem ścieżki edukacyjne, obejmujące dziedzictwo kulturowe regionu, a więc i gwary. Trzeba tylko z tej możliwości skorzystać.

Sądzić można, że jest z tym trochę tak, jak z reformą oświaty w ogóle: czeka się na modelowe rozwiązania, które od dnia określonego w rozporządzeniu ministra zacznie samo skutecznie funkcjonować. Tak się przecież nie stanie i czekanie będzie tylko stratą czasu, a jednostką czasu jest w tym przypadku rok. Trzeba zaczynać ryzykując błędy, bo innego wyjścia nie ma.

Obawy i dezorientację mogą wywoływać w tej kwestii reakcje świadczące, że do problematyki regionalizmu odnosi się prawo wadliwa. Nieliczne głosy wyrażają albo zasadnicze „nie”, albo bezkrytyczne „tak”. Stanowisko pierwsze jest, myślę, nie do przyjęcia. Bez świadomości regionalnego dziedzictwa kulturowego, z językiem włącznie, ma się ułomną tożsamość, takąż wiedzę i umiejętnościę postrzegania, jest się mniej tolerancyjnym - eufemistycznie to określać. Powtarzam to za Jolantą Tambor jako prawdy oczywiste. Lecz myślę także, że po części owo „nie” jest reakcją na hurraentuzjastyczne „tak”. Bo prawdą jest i to, że „po naszymu” nie zawsze znaczy, że mówimy gwara; bywa, że jest to ubogi żargon. Trzydzieści lat temu prof. Henryk Wróbel powiedział, że „rusza go”, gdy w Zabrzu słyszy właśnie taką „gwarę”, a od tego czasu niechlujstwo i ubóstwo językowe poczyniło znaczący postęp. Jeżeli zatem na lekcji polskiego ktoś oświadcza, że będzie mówił tylko tak, jak mówi się u niego w domu, będzie to dla polonisty równie nie do przyjęcia, jak dla fizyka byłaby nie do przyjęcia deklaracja, że ktoś wyznaje pogląd, iż większe tarcie wpływa pozytywnie na prędkość jazdy, bo tak twierdzi jego starka. Naturalnie, przy optymistycznym założeniu, że ktoś zna jeszcze słowo „starka”, bo na ogół słyszy się tylko o „omie”. Gwara nie może więc być nikim, zachwaszczonym językiem, choć z drugiej strony nie można zbyt rygorystycznie wymagać od niej postaci czystego historycznie dialektu, bo już na to za późno. A może nie? Nie wiem. Mam tylko świadomość, że język to żywy twór.

Nie może też gwara zastępować znajomości dialektu ogólnonarodowego. Z wielu powodów i wszędzie. U nas na Śląsku jednak szczególnie, by nie odezwał się pośmiertny (a może i żywy) chichot tych, co Ślązacom przeznaczali społeczną rolę roboty. Triumfalny chichot. Nieznajomość literackiej polszczyzny może okazać się przeszkodą w podjęciu zatrudnienia na wielu stanowiskach pracy, a nikt nie potrafi dziś przewidzieć, czego będzie się imal w życiu i gdzie mu wypadnie to czynić. Idzie mi, zwyczajnie, o równość szans. „Po naszymu” zawsze może sobie porozmawiać Kazimierz Kutz z prof. Dorotą Simonides i bp. Alfonsiem Nossolem, ale oni potrafią też mówić i pisać po polsku, a nadto - są, kim są. Tak, to ważne. Ostatecznie, mając pewne dokonania można (ale nie trzeba) mówić, jak się chce, jest to już zmartwienie słuchaczy. Ale nie każdy będzie Kazimierzem Kutzem, jak nie

każdy obejmie stanowisko państwowe czy samorządowe z partyjnego wyboru, mimo że akurat tych stanowisk przybywa. Tym, którym się uda, nieznanym języka literackiego nie zaszkodzi, ale pozostałym - owszem. Znajomość gwary jest znajomością jeszcze jednego języka. Wtedy ma sens, wtedy jest przydatna. Egzemplifikują tę prawdę znakomite gorolskie hantysy: red. red. Maciej Bakes i Aleksander Trzaska vel Maszalski.

Co z powyższych rozważań wynika? Że pilnie trzeba wprowadzać do szkół edukację regionalną z gwara w jednej z głównych ról. Tylko takie postępowanie zlikwiduje uprzedzenia, nieporozumienia i wątpliwości. Ścieżka edukacji regionalnej w szkołach doskonale zabezpieczy również przed zjechaniem na ślepy tor nieformalnej edukacji prowincjonalnej, prowadzącej do szowinizmu. Od języka do szowinizmu lokalnych, narodowych czy religijnych nie tak daleko, jak się zdaje, a geograficznie całkiem blisko szowinizmu wypełniają pustkę po upadłych totalitaryzmach.

Jak uczyć? Gwary czy o gwarach? Może od nauki o gwarach zacząć i do samej gwary dochodzić. Może pozostawić gwara pozaszkolnym formom kształcenia? Gwara odżyła przecież w konkursach i amatorskich przeglądach twórczości artystycznej, przeto powinna się czuć dobrze na zajęciach pozalekcyjnych, w ośrodkach kultury.

Dobrze byłoby zdążyć w szkołach i zaplanować ścieżkę regionalną już na najbliższy rok szkolny. Bo szkoda roku. Naprawdę. Optymalnych rozwiązań i tak trzeba będzie szukać i wymieniać doświadczenia. A „Śląsk”, innaż, jest powołany, by udostępnić praktykującym swe łamy. Bo niby kto ma to zrobić?

Mateusz Babak
Zabrze

Szanowny Panie Redaktorze!

Z wielką radością dostałam dzisiaj Pana list z dwoma egzemplarzami „Śląska”. Szedł przeszło dwa miesiące i dlatego dopiero dziś piszę.

Jestem bardzo wdzięczna za umieszczenie moich wspomnień o Wojciechu Korfantom. Zależy mi bardzo, aby były upamiętnione prawdziwe wiadomości o ostatnich latach życia Wojciecha Korfanta. Przecież byłam żywym ich świadkiem i można liczyć na wiarygodność tych faktów. Często spotykałam się z nieścisłościami z tego okresu. Nie zabieram głosu w sprawach politycznych, jedynie rodzinnych. Na przykład natrafiłam na jakąś fotografię w gazecie, na której był jakoby wnuk Korfanta. Dla wiadomości podaję, że Wojciech Korfanta miał czworo dzieci, które były: Halżka, Zbigniew, Maria i Witold. Wnuków miał pięcioro: Teresa i Maria Rupp córki Halżki, Wojciech i Feliks Korfanta synowie Zbigniewa i Wojciecha Ullmann syn Marii. Żyjący obecnie są: Teresa Morris, Maria Rupp i Feliks Korfanta. Również przyczynę śmierci Korfanta są często nieprawdziwe.

Jestem bardzo szczęśliwa, że doszedł do skutku projekt postawienia pomnika Wojciecha Korfanta na placu Województwa Śląskiego w Katowicach, którego otwarcie będzie 19 czerwca tego roku. Niestety z wielkim żalem nie będę mogła brać udziału w tej uroczystości. Już brakuje sił na taką wyprawę. Natomiast wybierze się na tę uroczystość mój syn ze swoim wnukiem (praprawnikiem Wojciecha Korfanta) oraz Maria Rupp, córka Halżki z wnukiem Teresy, również córki Halżki.

Nie spodziewam się żadnego honorarium, ale gdy taki jest zwyyczaj, to może można przekazać na koszt postawienia pomnika. Chciałam również przy okazji złożyć gratulacje dla całego zespołu Redakcyjnego „Śląska” za pięknie redagowany miesięcznik na wysokim poziomie.

Przesyłam bardzo serdeczne pozdrowienia dla wszystkich współpracowników „Śląska” oraz życzenia dalszej owocnej pracy

Eugenia Korfanta

Zmienia się krajobraz Śląska, przede wszystkim jego przemysłowych rejonów, zmienia w tempie gwałtownym. Podobnie jak pejzaż społeczny, który podlega tym samym prawom. Każdy doświadcza na sobie jak bardzo różni się sceneria otoczenia naszego życia od tej sprzed wielu jeszcze lat, a która odbija ekspansję rzeczywistości materialnej i duchowej lat ustrojowego przełomu. Wiele obiektów zmieniło swoje przeznaczenie, często po zmianie właścicieli nie zawsze w ilościach zgodnych z prawem. Wyrósł nowe reprezentacyjne gmachy i nowoczesne hale wszelakiego przeznaczenia, z nazwami zagranicznych firm. Jednocześnie zszarżało i postarzało się to wszystko co uległo materialnej degradacji: robotnicze osiedla i stare zakłady pracy, które popadły w regres, wegetując na granicy życia i agonii.

Pewnych miejsc już nie ma, które wpisane były w krajobraz, zdawało się, że na zawsze. Tylko gruz i złom ostał się po stalowni i baterii pieców martenowskich Huty „Kościuszko” w samym centrum Chorzowa. To zawsze fascynowało a już szczególnie nocą: widok z okna tramwaju na wulkaniczny spektakl kolejnego spustu stali. Także po kopalni „Barbara - Wyzwolenie” trwa już tylko pamięć w nazwie przystanku tramwajowego w drodze do Bytomia.

Odchodzi zwolna stary Śląsk — spracowany, zbędny, zużyty. Coraz więcej takich nostalgicznych miejsc i spotkań. Raz po raz odkrywamy też katastrofę do niedawna świetnie prosperujących starych, sławnych firm, zepchniętych w stan upadku. Ten los jest także udziałem rybnickiej Huty „Silesia”, która broni się na resztkach ogromnego nie tak dawno przedsiębiorstwa, przed zepchnięciem w ostateczną upadłość. Jeśli nawet przetrwa, to już w stanie szczątkowym w wyniku kolejnego etapu restrukturyzacji.

To jeden z najczęściej używanych dziś terminów: słowo-hasło, pojęcie, które wciąż poszerza swój charakter znaczeniowy obejmując także fakty i zjawiska przeciwnostawne. W znaczeniu właściwym sens tego słowa jest niewątpliwie pozytywny, związany z korzystną zmianą istniejących struktur i funkcji w procesie niezbędnych reform. Czytamy więc raz po raz o restrukturyzacji gospodarki śląskiej zdominowanej przez uciążliwy przemysł ciężki, która zmienia swój wyeksploatowany model i przedstawia dotychczasowe kierunki produkcji na nowoczesne, inicjowane z myślą o przyszłości. W tym rozumieniu restrukturyzacja oznacza przeobrażenia wszystkich dziedzin życia, by Śląsk przestał być obszarem monokultury gospodarczej i wchłaniał nowe technologie, systemy pracy i informacji, które wymuszają przebudowę istniejących struktur produkcyjnych i społecznych, zdominowanych przez pracę zbiorową robotników o niskich

Wyrok czy szansa

kwalifikacjach, jak ich ojcowie i pradziadkowie.

Nie zawsze jednak przez restrukturyzację rozumie się odnowienie, przeobrażenie, wyższą jakość oraz bardziej humanitarne relacje w organizacji życia zbiorowego. Kiedy bowiem dochodzi do konkretnych, wcale często okazuje się, że słowo to ma zastosowanie zastępcze: bywa otóż używane jako przewrotny eufemizm na oznaczenie faktów drażliwych, bulwersujących, często wywołujących dramatyczne napięcia i społeczny sprzeciw. Cóż bowiem w szerokim odbiorze oznacza restrukturyzacja górnictwa — głównie likwidację licznych kopalń, ale i odcięcie od górnictwa rozbudowanej dotąd infrastruktury społecznej: zaplecza socjalnego, resortowej służby zdrowia, obiektów kulturalnych i sportowych, szkolnictwa zawodowego a także tradycyjnych przywilejów górniczego stanu. Teraz to wszystko obumiera skazane na likwidację, by odciążyć koszty wydobywania węgla — za cenę bezrobocia i degradacji rozległej infrastruktury społecznej zrosniętej od lat z każdą kopalnią.

Górnicy są jednak na tyle potężną grupą zawodową, że stać ich na skuteczny opór. Bronią się twardo gotowi do ostrych konfrontacji, które zmuszają do ustępstwa kolejne rządy.

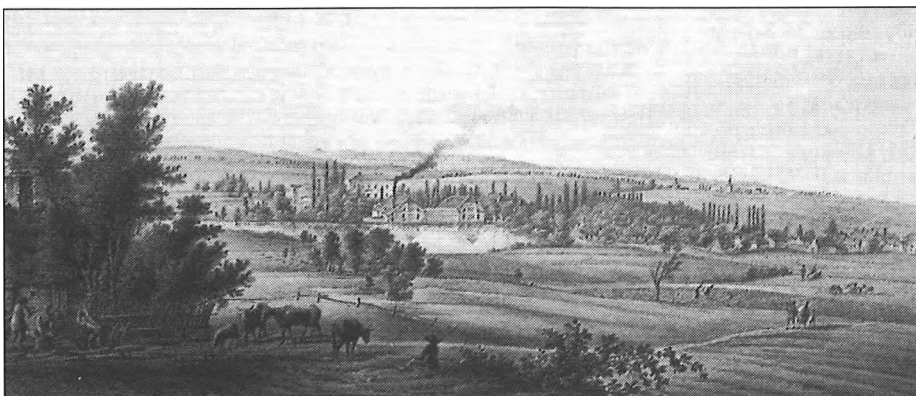
Naczej jednak wygląda sytuacja pojedynczego zakładu pracy, z reguły państwowego, który w wyniku nowych mechanizmów gospodarczych, wprowadzonych przez to samo państwo, znalazł się naraz w położeniu krytycznym. W tej sytuacji restrukturyzacja sprowadza się ostatecznie do aktu likwidacji, po przewlekłej, wycieńczającej walce o przetrwanie. Tak właśnie przedstawia się los zasłużonej Huty „Silesia” w Rybniku-Paruszwcu, jeszcze w latach 80. zakładu o wysokiej rentowności, którego produkcja gwarantowanej jakości mogła zawsze liczyć na zbytni. Długo w wysokiej cenie były świetne, a z reguły niezawodne lodówki „Silesia” (moja z roku 1968 jest nadal sprawna — bez jednej naprawy!). Przede wszystkim jednak liczyły się za-

wsze wysokiej jakości naczynia emaliowane, które miały powodzenie także na rynkach zachodnioeuropejskich a nawet amerykańskich. Przez długi czas Huta „Silesia” wytwarzała również wyroby stalowe, chociaż ich udział stale malał. Była także głównym dostawcą naczyń ocynkowanych, w tym konwi mlecarskich. Rozbudowywana przez kolejne lata powojenne, w szczytowym okresie zatrudniała ponad 5000 pracowników zapoatrząc w 40 procentach rynek krajowy w naczynia emaliowane, zaś zysk z samego eksportu sięgał 70 mln złotych dewizowych (kto jeszcze pamięta co oznaczało to pojęcie!). Konjunktura wydawała się być trwała, skoro zapotrzebowanie na wyroby „Silesii” przekraczało możliwości zaspokojenia. I oto po niewiele latach ten wielki zakład rozpościerający się na obszarze 80 hektarów stopniał do 7. części dawnej powierzchni, zatrudnia już tylko kilkuset pracowników a obłożony zadłużeniem wiegetuje na granicy upadłości, podejmując działania ratunkowe poprzez kolejne próby „restrukturyzacji”.

To stara firma. Jej początki sięgają 1753 roku. Wtedy to w kotlinie rzeki Rudy, nad którą wyrosła niejedna kuźnica wykorzystująca spiętrzone wody do napędu urządzeń i poruszania młotów kuźniczych, powstała przyszła Huta „Silesia”, kilkakrotnie zmieniająca właścicieli i nazwę. Musiała ta stara kuźnica i odlewnia mieć niemałe wzięcie, skoro uwieczniła ją na litografii barwnej w 1850 roku E. W. Knippel. Cóż za sielski obraz w malowniczym krajobrazie łąk i pól. Na pierwszym planie widać pasące się krowy i siedzącego tyłem pastuszek zapatrzonego w dal. W głębi, nad rozlewnym stawem, wznoszą się zabudowania fabryczne huty w Paruszwcu, których kryte czerwona dachówką dachy odbijają się w wodzie. Tam patrzy, gdzie przyszłość, bo właśnie praca w tej hucie głównie żywić będzie.

Ta stara huta wrosła potem także w dzieje mojej rodziny. Był z nią związany przez dziesiątki lat mój dziadek Józef Kojzar. Właśnie w Paruszwcu zamieszkał w pierwszych latach po ślubie z Matyldą Sobik, nim na jej dziedzicznym gruncie postawił dom w Rowniu pod Żorami, w którym wychowało się 11. dzieci. Pracowity niestrudzenie godził pracę na roli z pracą w paruszwickiej hucie. Nadzwyczaj gospodarny, wciąż dokupywał pola, aż stał się gospodarzem zamożnym i w Rowniu postacią ważną, jako pierwszy polski naczelnik gminy. Działacz plebiscytowy, w III powstaniu został komendantem cywilnym

rozległego rejonu sięgającego od Żor po Rybnik. Miał nadzór także i nad tym obszarem, po zdobyciu Paruszwca w ostrej walce przez baon pod dowództwem jego szwagra Nikodema Sobika. Stanowczy i zapobiegliwy sformułował na miejscu oddział do tych zadań, by zapew-



Huta w Paruszwcu w roku 1850 — litografia barwna E. W. Knippela

nić bezpieczeństwo i respektowanie prawa. Znał teren i ludzi toteż nie zawiodła go przezorność. Zmarł w roku 1966 w wieku lat dziewięćdziesięciu, obdarzony do końca świetną pamięcią. Szczycił się, że nie opuścił nigdy dniówki, choć czas pracy wynosił długo 12 godzin.

Obecność tej huty miała żywotny wpływ na byt nie tylko mieszkańców Paruszwca. Z wielu okolicznych wsi w szerokim promieniu co dnia podążali ludzie do pracy. Zapamiętany został niejaki Piontek, który spod Żor, przez Rowień, Gotartowice i Ligotę szedł co dnia pieszo do Paruszwca bez względu na porę roku. Wychodził przed świtem i wracał o zmroku a stukot jego drewnianych chodaków po kocich łbach budził ludzi: Piontek idzie, czas wstawać!...

Wiązała huta liczne rodziny przez pokolenia. Także ciocia Krystyna, młodsza siostra mojej matki, dotrwała tu do emerytury, lecz nie korzystała z niej już długo strawiona w mękach okrutnych przez rak. Podobny los spotkał jej córkę, także pracownicę „Silesii”. Ich śmierć przedwczesna to zapewne skutek pracy w emalierni i stapialni szkliwa emalierskiego, która emitowała fluor w szerokim promieniu. Z inwestycji tej okrojono, jak to wówczas, urządzenia ograniczające emisję fluoru. Skutki ujawniły się wkrótce: wysychały w okolicznych sadach drzewa i ozdobne krzewy, bo osadzający się na liściach biały nalot tworzył wyniszczającą emalię. Jako poseł z inicjatywy środowiska ekologów skupionych wokół pralata Klona, proboszcza parafii św. Antoniego w Rybniku, podjąłem, będąc w 1987 roku, wcale skuteczne działania interwencyjne, wsparte niezależnymi wynikami badań, w tym zabrzańskiej placówki PAN.

Myślę o tym wszystkim, bo wiele wątków życia i wspomnień łączy mnie z tym miejscem. Także z malowniczym stawem — tym z litografii Knippla, obleganym co dnia przez wędkarzy, pośród których i ja bywałem. A duży dom kultury pełen dziwnych sztyldów — co z nim?...

Lecz dziś gdy wędruję wzdłuż peronu dworca w Paruszwcu usytuowanego na wysokim nasypie zastanawia mnie pustka. Po pierwszej zmianie zawsze dobiegali tu ludzie dojeżdżający do huty. Jeszcze nie wiem, że Huta „Silesia” weszła w stan kolejnego kryzysu i zdarzają się okresy zawieszenia produkcji. Stąd taki smutek wokół i atmosfera apatii.

Zakład, który jeszcze w pierwszych latach 90. dysponował znacznym mieniem, nie tylko popadł w zadłużenie, ale w wyniku wyprzedaży udziałów wnoszonych aportem, utracił większą część majątku na rzecz licznych, usadowionych tu spółek. Te prosperują dobrze, za to zakład-matkę nęka zaciekle komornik.

Trwa oblęd wznawiania i zawieszania produkcji i gra na przetrwanie po desperackiej ucieczce w formę jednoosobowej spółki skarbu państwa, która nie okazała się ratunkiem. Co zrobić, żeby uratować hutę. I jak to zrobić. Stary Paruszwiec czeka zalekniiony — to się widzi i czuje. Co dalej po 246 latach — i co naprawdę oznacza kolejna „restrukturyzacja”: ratunek — czy likwidację, szansę — czy wyrok?

Podobnie jak w Paruszwcu czują się ludzie wokół niejednej fabryki, huty czy kopalni. I te same zadają pytania.

TADEUSZ KIJONKA

Przez dziesiątki ostatnich lat przyroda była skazana niemal zawsze na ustępstwa w konfrontacji z interesami przemysłu występującego z pozycji siły. Bezwzględny prymat miały z reguły programy inwestycyjne i plany produkcyjne, zaś fatalne następstwa tego stanu dla środowiska naturalnego były nie tylko lekceważone, ale przez długi czas wręcz zatajane, by nie wywołać sprzeciwu opinii publicznej, długo zresztą biernej.

W kraju takim jak Polska, wyniszczonym wojną i zacofanym, z przewagą ludności o rodowodzie wiejskim, dla której samo przeniesienie się do miasta było życiowym awansem, liczyła się głównie produkcja bez względu na jej koszty społeczne. Budować i produkować — tylko to zyskiwało przez długi czas poparcie w oficjalnej gospodarce planowej nastawionej na ilość. Wyrazem takiego stanowiska była propagandowa akceptacja wizji dymiących kominów i huku maszyn: Dymią kminy Śląska, wali stalowy młot!... śpiewano z patosem, bo też każdy dymiący nowy

komin stanowił naoczne potwierdzenie gospodarczego rozwoju i powstania nowych miejsc pracy.

Obszarem szczególnie eksploatowanym i degradowanym aż do granic zablokowania procesów życiowych, był oczywiście Śląsk, gdzie rabunkowa gospodarka stała się normą. Tylko w niewielkim stopniu respektowano zobowiązania wynikające z potrzeb ochrony środowiska. Na zaplanowane inwestycje i zabezpieczenia w tej sferze z reguły brakowało środków. Toteż kasowano je w programach — niby na okres przejściowy — i tak już potem pozostawało. A straty narastały i sumowały się w stopniu groźącym stanem katastrofy ekologicznej, do której też doszło.

W oficjalnym dokumencie opracowanym przez Wojewódzki Urząd Statystyczny w roku 1990 stwierdzono, że pod względem stanu środowiska naturalnego województwo katowickie „to nie tylko najgorsze miejsce w kraju, ale też najczarniejsza plama ekologiczna na mapie Europy”. Na tę niewielką przestrzeń stanowiącą 2,1% powierzchni kraju przypadało wówczas 20% pyłów (w tym 36% pyłów metalurgicznych) oraz ponad 25% gazów. W stosunku do średniej krajowej emisja pyłów była wyższa 9-krotnie, gazów aż 12-krotnie. Ta statystyka grozy dotyczyła w równym stopniu wód i gruntów (20% ścieków krajowych, 60% odpadów poprzemysłowych, ułożonych na obszarze 4 tys. ha; co roku kolejne 350 hektarów ziemi pożeranej przez hałdy i usypiska!). W tym stanie rzeczy w roku 1989 nakłady inwestycyjne na ochronę środowiska stanowiły tu niespełna 20 proc. nakładów na te cele w kraju.

Ta statystyka w znacznym stopniu jest już nieaktualna. Wiele korzystnych zmian osiągnięto dzięki realizacji „Wieloletniego programu ochrony i kształtowania środowiska w województwie ka-

towickim na lata 1986-1995”, który był 2-krotnie korygowany. Jak to potwierdza najnowsza publikacja poświęcona ochronie środowiska w województwie katowickim, obejmująca lata 1996-1997 (jej wydawcami są: Wojewoda Katowicki, Urząd Statystyczny Katowice oraz Ośrodek Badań i Kontroli Środowiska P.P. Katowice — publikację sfinansował Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach) — sytuacja uległa dalszej poprawie, większej niż zakładano, głównie „w wyniku racjonalnych decyzji o zamknięciu najbardziej uciążliwych dla środowiska, przestarzałych i wyeksploatowanych zakładów, wydziałów produkcji (...) wprowadzanie nowych, przyjaznych dla środowiska technologii oraz nowoczesnych urządzeń ochrony środowiska”. Liczne tabele i zestawienia statystyczne potwierdzają to co każdy bezpośrednio odczuwa, choć daleko jeszcze do stanu, który można będzie uznać za zgodny z europejskimi standardami. Niewątpliwie doszło jednak do znacznego „zahamowa-

Powrót orła bielika

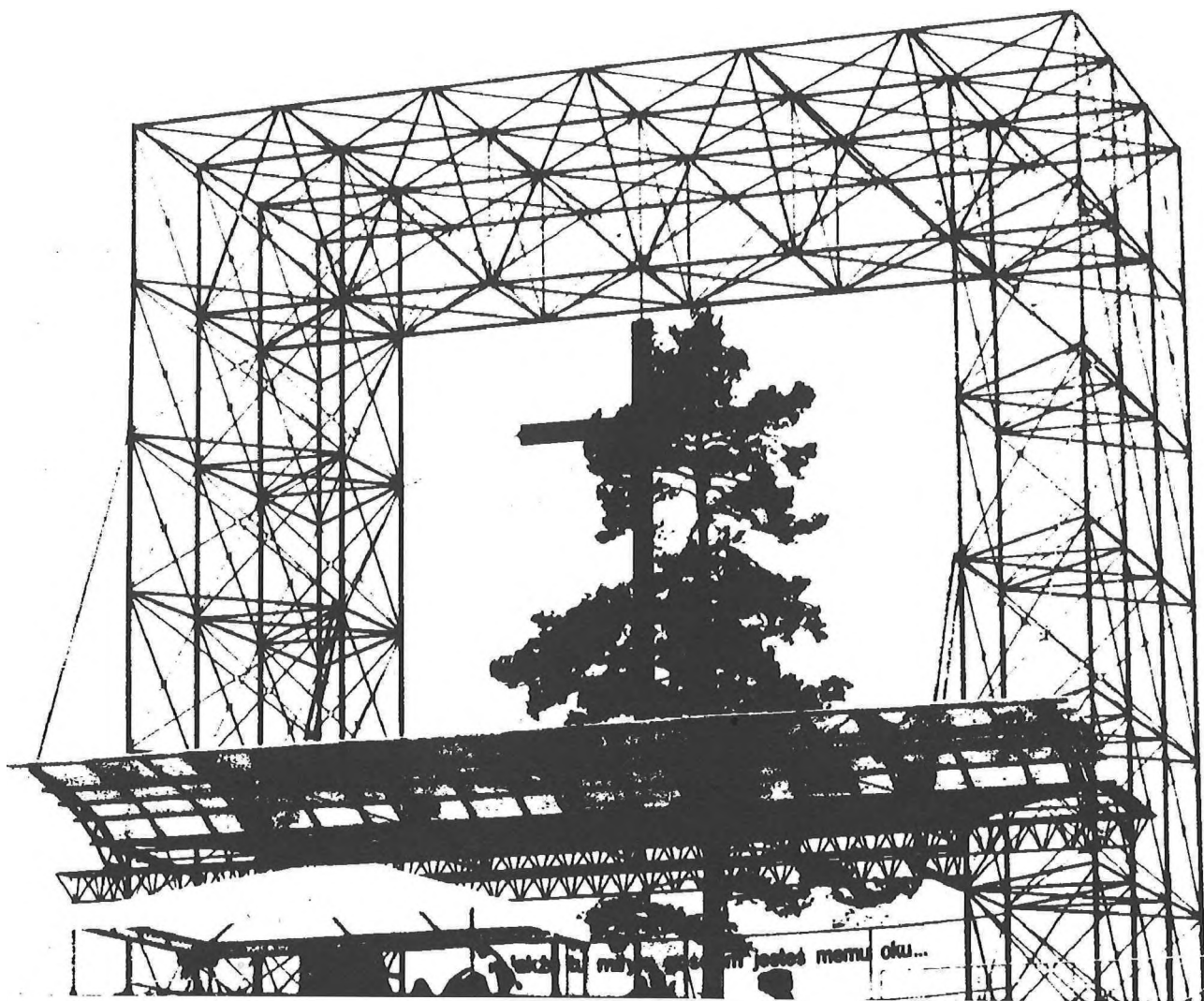
nia wzrostu ilości ścieków i odpadów przemysłowych, a przede wszystkim zmniejszenia emisji pyłów i gazów do atmosfery.” ...także „do znacznej poprawy warunków zdrowotnych życia mieszkańców, w porównaniu ze stanem w latach osiemdziesiątych”.

Rezultaty te i systematyczna poprawa sytuacji to również wynik społecznej opinii publicznej mobilizowanej od lat przez najbardziej czule na te kwestie środowiska i grupy zawodowe. Wielką rolę w konsolidacji ruchów ekologicznych odegrała w swoim czasie prasa, głównie wpływowe czasopisma, które stworzyły wspólny front w latach 70., sygnowany znakiem klonowego liścia. To przyspieszyło wprowadzenie korzystnych zmian w sytuacji prawnej. Momentem zwrotnym okazało się uchwalenie ustawy o ochronie i kształtowaniu środowiska (z dnia 31 stycznia 1980 roku) oraz następnych ustaw (m.in. o ochronie przyrody, o lasach, ochronie gruntów rolnych i leśnych), które pojawiły się, względnie zostały znowelizowane już w latach 90.

Właśnie kwestia zmiany świadomości okazała się decydująca dla uformowania nowych postaw i wrażliwości na te sprawy. Dziś, gdy edukacja ekologiczna weszła do programów szkolnych a coraz bardziej zdecydowane egzekwowanie prawa odstrasza od nadużyć, poszerza się świadomość, że problem ekologii to także kwestia sumienia i etyki kodeksu naszych czasów. Dlatego zmiany są nie tylko widoczne, ale okazały się możliwe.

Stąd i tak radosne informacje — zawarte już w tytułach na pierwszych stronach gazet: Bobry pod Kobiórem!... Orzeł bielik w lasach lublinieckich! To właśnie ten wielki, majestatyczny w locie ptak, widnieje w tarczy naszego godła.

PAWEŁ GRABARCZYK



W WADOWICACH

TADEUSZ
KIJONKA

Bóg nie jest niewidzialny — dlatego tak trudno
Dostrzec kiedy się rodzi, gdy wyciąga ręce
Do matki, co podbiega na każde wezwanie.
Ach, ta boska bezradność nim wreszcie sylaba
Złoży się w słowo: mama... i boska bezbronność
Gdy trzeba ruszyć w życie — pierwszy krok i szloch
Po upadku naoczny jak zdarte kolana.
Dlatego są tak ważne najprostsze dowody
Nie dostrzeżone nigdy we właściwym czasie
Jak w tym miejscu — choć zegar słoneczny co dnia
Znaczył miary wieczności a w oknie na wprost
Dziecięcego łóżeczka lśnił witraż kościoła.
Jak zawsze, już po czasie nie ma wątpliwości,
Że właśnie tam urodził się i wzrastał Bóg
Zrazu w postaci chłopca, lecz ten się nie różnił
Od zwykłych rówieśników, więc nikt nie dochodził
Kto w nim stale przebywa, gdy co dnia z mozołem
Też znaki na kamiennej tabliczce rysikiem
Kreślił jak inne dzieci; może tylko dłużej
Ważył w sobie pytania sam na sam i rzadziej

Przecinał drogę mrówce, chyba, że w pościgu
Za piłką, lecz poza tym — co rusz, wszystko
w normie.

Teraz widzę jak proste rzeczy świadczą o tym:
Stara laska góralska z mosiężnym okuciem,
Plecak z szarego płótna i spierzchnięta wiatrówka
Z kapturem, wierna lina i tania latarka,
Którą oświetlał drogę schodząc nocą z gór.
Więc Bóg nosił tę bluzę, pił z tamtego kubka,
Zjeżdżał na zwykłych deskach marki „Hickory”,
Używał tej manierki i nie zmieniał teczki
Z czarnej skóry znoszonej jak buty tulacza.
To wiosło trzymał w rękach z prądem i pod prąd,
Zapisywał zwyczajnym zielonym ołówkiem
Boskie prawdy i co dnia czarne pióro wieczne
Napępiał atramentem jak zwykły urzędnik.

Co przedmiot to sterany, jak codzienność szary:
Na dowód, że nie rzeczy są świadectwem miary.

Wiersz zapisany 8 września 1988 roku podczas pierwszego pobytu w Wadowicach w Muzeum Jana Pawła II

Samorządowcy łączcie się!

11 czerwca br. w Urzędzie Marszałkowskim odbyło się pierwsze spotkanie wójtów, burmistrzów, prezydentów i starostów województwa śląskiego. W spotkaniu uczestniczyło ponad 200 samorządowców.

Marszałek Województwa Jan Olbrycht wysunął propozycję, aby władze wykonawcze samorządów przedstawiły tezy do programu rozwoju województwa śląskiego. Zbudowanie strategii należy bowiem do głównych zadań samorządowych władz wojewódzkich.

Jedną z ważniejszych kwestii, poruszanych w trakcie spotkania, dotyczyła sposobów wykorzystania funduszy pomocowych z Unii Europejskiej, z których Polska może zacząć korzystać już od 2000 roku. W pierwszym roku, pieniądze za pośrednictwem rządu, będą trafiały do województw, natomiast od roku 2001 obowiązywać będą tzw. kontrakty wojewódzkie. Marszałek poinformował, że w celu ułatwienia gminom korzystania ze środków europejskich, w Urzędzie Marszałkowskim stworzono Biuro ds. informacji i obsługi inwestora.

Przedstawione informacje na temat wsparcia finansowego nie wszystkim przypadły do gustu, m.in. Krzysztofowi Bugli, staroście powiatu raciborskiego: — *Te wszystkie dywagacje finansowe dotyczyły jednak roku 2000. Tymczasem jeszcze w tym roku będziemy się borykać z bardzo poważnymi problemami finansowymi.*

W kuliarach wszyscy żalili się na problemy finansowe powołanych samorządów i brak perspektyw na poprawę sytuacji.

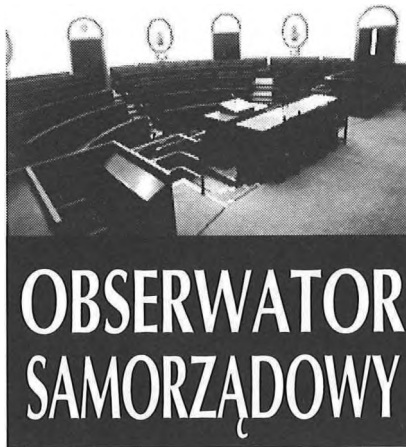
Choć nie do końca zostały spełnione oczekiwania samorządowców, podkreślano jednak konieczność wymiany poglądów, gdyż na każdym szczeblu władzy wykonawczej występują podobne problemy.

Marszałek Jan Olbrycht oczekuje w najbliższym czasie rezultatów spotkania: — *Celem narady było poinformowanie wszystkich przedstawicieli władz wykonawczych o planach i zamierzeniach samorządu województwa śląskiego. Mam nadzieję, że w ślad za tym spotkaniem pójdą następne i o szczegółach, w cyklu kolejnych posiedzeń, mówić będą skarbnicy i naczelnicy wydziałów gmin, powiatów i Urzędu Marszałkowskiego.*

Granica nie jest przeszkodą

Przedstawiciele samorządu województwa śląskiego postanowili rozwijać partnerską współpracę z gminami słowackimi. W tym celu udali się do Słowacji. W rozmowach, oprócz słowackich polityków i działaczy samorządowych, wzięli udział reprezentanci gmin woj. śląskiego, które współpracują już ze Słowakami oraz takich, które współpracę chcą nawiązać. Dyskutowano m.in. o możliwościach uruchomienia z Pyrzowic połączenia lotniczego ze Słowacją oraz planach budowy drogi, biegnącej przez Żywiec — Zwardoń — Skalité aż do granicy z naszym południowym sąsiadem.

Jask podkreśliła Izabela Kloc, wiceprzewodnicząca sejmikowej Komisji Edukacji,



OBSERWATOR SAMORZĄDOWY

Nauki i Kultury: — *Biorąc pod uwagę wspólne dziedzictwo historyczne i kulturowe Śląska oraz niektórych regionów słowackich, należy dążyć do poszerzenia współpracy kulturalnej, samorządowej, turystycznej i gospodarczej.*

Niewykluczone jest, że jeszcze w tym roku dojdzie do spotkania przedstawicieli wszystkich współpracujących ze sobą gmin słowackich i śląskich. Okazją do zorganizowania imprezy będą obchody milenijne, przebiegające pod hasłem wspólnego dziedzictwa św. Wojciecha.

Dotychczas udało się polskim i słowackim gminom nawiązać 13 partnerskich układów.

Oświata i zdrowie

Pod hasłem zdrowia i oświaty przebiegała 26 kwietnia sesja Sejmiku Województwa Śląskiego. Radni opowiedzieli się za utworzeniem Regionalnego Centrum Onkologii w Gliwicach, które wykorzystywałoby majątek oraz doświadczenie dwóch dotychczas istniejących jednostek — Górnośląskiego Szpitala Onkologicznego i Centrum Onkologii im. Marii Skłodowskiej-Curie.

Radni podjęli również decyzję o podziale Wojewódzkich Kolumn Transportu Sanitarnego w Katowicach, Bielsku i Częstochowie na 12 samodzielnych jednostek, posiadających osobowość prawną.

Zdecydowano także o powołaniu publicznych gimnazjów specjalnych o charakterze regionalnym, prowadzonych przez samorząd województwa. Radni — członkowie Komisji Edukacji, Nauki i Kultury skarżyli się, że nie zostali powołani do skład jury, które miało zdecydować o wyborze nowego kuratora województwa śląskiego. Regulamin konkursu mówił bowiem, że w skład komisji wchodzi przedstawiciele sejmików samorządowych, a te, wraz z wejściem w życie reformy administracyjnej przestały istnieć.

Radni dokonali jednej poprawki w budżecie; przeznaczili dotację w wysokości 215 tys. zł dla Wojewódzkiego Biura Planowania Przestrzennego w Bielsku-Białej.

Wspomagając komunikację

Urząd Marszałkowski Województwa Śląskiego podpisał z Komunikacyjnym Związkiem Komunalnym GOP umowę na wykup usług w postaci przewozów

ponadlokalnych. Kontrakt opiewa na kwotę 8 mln zł.

Jak twierdzi Jan Rzymelka, wicemarszałek województwa śląskiego, władze regionalne po raz ostatni dofinansowały autobusy, które kursują pomiędzy miastami naszej aglomeracji. — *To jest cały czas sytuacja patologiczna. Co roku mamy ten sam problem z autobusami. Mam nadzieję, że w przyszłym roku uda się wreszcie wprowadzić jakieś rozwiązanie systemowe i raz na zawsze załatwić sprawę komunikacji ponadlokalnej w województwie śląskim.*

Nasze województwo

Marszałkowie Jan Olbrycht i Jan Rzymelka uczestniczyli w ostatnim spotkaniu „Forum Dialogu”, zorganizowanym przez „Dziennik Zachodni” i Śląską Lożę Business Centre Club.

Dyskusja toczyła się m.in. wokół finansów samorządowych. Jak podkreślił Jan Olbrycht, od momentu wejścia w życie reformy administracyjnej, samorządowcy zwracali uwagę na zbyt niskie budżety. Przede wszystkim niepokoił ich fakt przekazywania coraz więcej zadań zleconych, jednakże bez dodatkowych środków finansowych, mających zapewnić ich realizację.

— *Na razie skoncentrowano się na ustalaniu, jaką część podatku samorządy mogą w ogóle dysponować — podkreślił marszałek Olbrycht. — Jeszcze w 2000 roku obowiązywać ma zasada, że dostaniemy nie więcej niż 1,5 proc. podatku płaconego przez osoby fizyczne i 0,5 proc. podatku od osób prawnych. Na razie wiemy, że jest to mało, ale ciągle nie potrafimy dać odpowiedzi na pytanie, ile byłoby właściwe. Musimy wyliczyć przeciętne koszty każdego stanowiska i instytucji, gdzie trudno o precyzyjne cyfry.*

Pomimo starań samorządu województwa, już teraz widać, że są dziedziny gdzie braki są ogromne. Przede wszystkim kultura, która w tym roku miała dostać 22 mln zł. Po interwencji śląskich samorządowców Ministerstwo Finansów obiecało przeznaczyć na śląską kulturę dodatkowe 15 mln zł, jednakże do dnia dzisiejszego decyzji ostatecznej nie podjęto.

Zdaniem posłanki Barbary Blidy, niewykorzystanie szansy na dodatkowe środki, które miały być przeznaczone na budowę Drogowej Trasy Średnicowej oraz na dotację na zbiornik „Racibórz”, jest spowodowane brakiem porozumienia pomiędzy śląskimi parlamentarzystami. Konsekwencje braku kompromisu ponoszą, niestety, mieszkańcy oraz lokalne firmy.

Jak podkreślił profesor Jacek Wódcz z Uniwersytetu Śląskiego: — *Naszą szansą jest przede wszystkim wspólne działanie w ramach województwa. Oznacza to ściślejszą współpracę z Częstochową i Bielskiem. Urzędnik w Warszawie musi zobaczyć nasz cel. Nie da się go jednak wyznaczyć bez opracowania zasad polityki regionalnej.*

Marszałek Jan Olbrycht zapewniał, że Zarząd Województwa postara się we wrześniu br. przedstawić założenia do strategii rozwoju województwa.

— Jest pan prezesem Zarządu Funduszu już drugą kadencję. Jak doszło do jego powstania, czyja to była inicjatywa i jakie są główne cele tego przedsięwzięcia?

— O drugiej kadencji można mówić tylko w kontekście reformy ustrojowej — zmiana granic województwa, zmieniła także system wyłaniania władz Funduszu. Prezesem jestem od 1993 roku, czyli od momentu uzyskania przez Fundusz osobowości prawnej. Wojewódzki Fundusz powstał pięć lat temu na mocy ustawy. Parlament, powołując wojewódzkie fundusze, uczynił je samodzielnymi jednostkami. Niezależność ta nie oznacza, oczywiście, niezależności od oczekiwań samorządów i władz państwowych. Samodzielność oznacza jeszcze coś niezwykle ważnego — uniemożliwia jakiegokolwiek inne, nie związane z ochroną środowiska, przeznaczenie środków finansowych. A złamanie ustawy, to przestępstwo! Samodzielność — co również należy dodać — pozwala na odtwarzanie i pomnażanie środków, które na-



**Rozmowa
z JERZYM SWATONIEM**
- prezesem Zarządu
Wojewódzkiego Funduszu
Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej
w Katowicach

kami są władze przedsiębiorstw i spółek (ich własne środki wynoszą co najmniej 50 proc. kosztów inwestycji). Branżami, które wyróżniły się w tych przedsięwzięciach, to przede wszystkim energetyka i hutnictwo...

— A co z górnictwem?

— Tu trudniej, choć nie można nie dostrzec — mimo ekonomicznej zaopasności górnictwa — wysiłków podejmowanych przez tę branżę. Sojusznikami naszego Funduszu są oczywiście również samorządy i ruchy ekologiczne.

— Czy stan prawny jest dostosowany do potrzeb i reguluje najważniejsze działania?

— Z jednej strony zagranica takiego prawa szczerze nam zazdrości, z drugiej — zdarzają się normy prawne niespójne. Ponadto systemowi prawa ekologicznego można zarzucić — na co już się chyba skarżyłem — małą skuteczność egzekucyjną.

— Podobne fundusze istnieją zapewne w Europie. Czy te wzory można przenieść do Polski?

Wrażliwość ekologiczna

stępnie muszą być wykorzystane na cele ekologiczne... Fundusz ma ponadto wspomagać działania proekologiczne gmin, podmiotów gospodarczych i organizacji ekologicznych.

— Wiadomo, że możliwości wynikają z wielkości środków. Skąd są pozyskiwane fundusze, i o jakich tu sumach można mówić?

— W dużej mierze z opłat za gospodarcze wykorzystanie środowiska, w minimalnym stopniu — bo szwankuje egzekucja — z kar za przekraczanie norm środowiska. Niemal połowa naszego budżetu, to środki przez nas wypracowane (odsetki od pożyczek, działalność finansowa, działalność kapitałowa). Tegoroczny budżet wynosi 250 milionów złotych...

— To chyba nie za wiele?

— Ale też i niemało. Na pewno nie wystarcza na wszystkie potrzeby, a tych na Śląsku jest cały ogrom, ale jednocześnie stanowi największą pulę wojewódzką w kraju. I jest prawie równorzędna z budżetem województwa, który operuje gdzieś 300 milionami. Gospodarowanie taką skalą środków wymaga też od nas ogromnej odpowiedzialności. I zapobiegliwości, bo musimy precyzyjnie zgry-

wać kierunki naszych działań z oczekiwaniami samorządów.

— Śląsk jest regionem ekologicznie zdewastowanym w stopniu wyjątkowym...

— Rzeczywiście, szczególnie ostro to widać, gdy się naszą sytuację porówna z innymi regionami Polski. Nie można jednak nie zauważyć także, iż wiele w tym dziele już zrobiono — zahamowanie degradacji środowiska stało się faktem. Mało tego, w niektórych komponentach środowiska nastąpiły — co potwierdzają badania niezależnych instytucji — redukcje zanieczyszczeń. Największy postęp dokonał się w powietrzu atmosferycznym...

— Czyli lasy odetchnęły...

— A jakże, ale przede wszystkim odetchnęli ludzie. A przynajmniej oddychają lepiej.

— Główne kierunki natarcia. I sojusznicy?

— Kierunki natarcia wyznacza sytuacja ekologiczna. Nic dziwnego zatem, że główny wysiłek skupia się na inwestycjach związanych z ochroną powietrza. Coraz też większym problemem staje się właściwe składowanie i zagospodarowanie odpadów. Nie mniej ważnym zadaniem jest także ochrona wód... Najwydatniejszymi sojuszni-

— Tak się składa, że podobny do naszego model funduszu, nie istnieje w innych krajach europejskich. Ba, to my jesteśmy autorami systemu finansowego wspomagania ochrony środowiska.

— A więc rewelacja?!

— Zapewne niemała to rzecz, skoro OECD zalecił zastosowanie takich rozwiązań w krajach Europy Środkowej. Zaczynają stosować je już Czechy. „Podpowiadamy” również Macedonii, a także Rosji i Ukrainie. Tu dodam, że jest to instrument ekonomiczny, który sprawdza się w aktualnym etapie społeczno-gospodarczym. W Europie Zachodniej istnieją, ma się rozumieć, podobne fundusze, ale pochodzą z innych źródeł i działają też na innych zasadach.

— Skoro mowa o zagranicy. Często odbywa pan służbowe podróże. Jaki jest plon tych kontaktów?

— Moje wyjazdy nie są aż tak liczne. Natomiast częstsze są wizyty gości zagranicznych, tak ze Wschodu, jak i Zachodu. Zagraniczne rozwiązania, a także sukcesy i porażki, nie są mi obce. W każdym razie, nie ma powodów do jakichkolwiek kompleksów. Inna rzecz, czy dostatecznie często siebie samych doce-

niamy... O uczestnictwie w międzynarodowych projektach ekologicznych można by mówić wiele, dodam jedynie, że aktualnie wchodzący w programy oczyszczania gleb i terenów poprzemysłowych.

— Ostatnio daje się zauważyć poprawę sytuacji ekologicznej na Śląsku — to czynnik ograniczenia wydobycia węgla, produkcji stali, także i zastoju inwestycji na cele ekonomiczne?

— Zaczęć może od końca — zastój nie ma na pewno w inwestycjach ekologicznych. Natomiast poprawa sytuacji ekologicznej, spowodowana wymienionymi przez pana przyczynami, sięga 40 proc. Reszta, w tym przypadku większość, to efekt zabiegów proekologicznych, w czym mieści się także i część naszego udziału. W niektórych wskaźnikach owa poprawa wynosi nawet 100 proc. Takie wyniki osiągamy m.in. we wspomnianej już ochronie powietrza...

— Co dziś nie jest możliwe, a dawniej stanowiło normę bezprawia?

— Dziś jest już niemożliwe ignorowanie wymogów ekologicznych, gdyż naganne postępowanie wcześniej czy później spotkałoby się ze skuteczną reakcją władz. Skończyła się również — co jest tu bardzo ważne — obojętność społeczna wobec tych spraw. Można już nawet mówić o znacznym rozbudzeniu tego rodzaju wrażliwości. A to stanowi najpomyślniejsze przesłanie dla dalszego postępu ekologicznego.

— Ruch ekologiczny w Polsce, to historia mimo wszystko nie dłuższa niż niewiele ponad 30 lat. W jakim stopniu problemy te były i stanowią pańską misję życiową?

— Misja życiowa... To określenie chyba za daleko idzie. Ja po prostu od wielu już lat profesjonalnie działam na rzecz ochrony środowiska. Chciałbym jedynie dodać, że jest to dla mnie bardzo wdzięczny obszar aktywności zawodowej. I do postępu ekologicznego, jaki się dokonuje w naszym regionie, przyczyniła się pewnie i moja ciężka — czego nie ukrywam — praca. Przysparza też mi ona wiele radości. W sferze ochrony środowiska obok własnych emocji, liczą się jednak przede wszystkim prawa ekonomiczne, technika i technologia. I podobnie jak w każdej innej dziedzinie, powodzenie zamierzeń zawdzięczamy współdziałaniu z innymi, a więc i osobiste sukcesy, są zarazem sukcesami moich sprzymierzeńców...

Rozmawiał:
EDWARD SZOPA

RYSZARD
SKRZYPIEC

Od deklaracji do codzienności

Terminem ekologia, niczym wytrychem, posługujemy się w wielu, często „nieekologicznych” sytuacjach. Jedną z nich, najbardziej chyba rzucającą się w oczy, jest reklama. Stan podwyższonej konkurencji sprawia, że obecnie prawie każdy produkt, choć odrobinę mniej uciążliwy dla środowiska, zostaje opatrzony etykietką „produkt ekologiczny”. Trudno jednakże oprzeć się wrażeniu, że być może, jest to właściwa droga.

Jedną z czterech, obok aktywności organizacji ekologicznych, długofalowych strategii opracowywanych przez rząd (rządy) i międzynarodowe agendy oraz konkretnych rozwiązań wdrażanych przez przedsiębiorstwa głównych płaszczyzn, na których rozgrywa się batalia o stan środowiska naturalnego w bliższej i dalszej przyszłości, jest „kuchnia pani Kowalskiej”. Miejsce stanowiące kwintesencję wszystkich wyborów jakich prawie każdego dnia dokonujemy - my konsumenci dóbr wszelkiego rodzaju. To właśnie w domu, w życiu codziennym kształtuje się nasza świadomość ekologiczna.

Jak wynika z badań naukowych, ochronę środowiska lub troskę o jego stan stawiamy wysoko na skali wartości. Zaś jego skażenie postrzegamy jako jeden z ważniejszych problemów współczesnego świata.

W tym miejscu nieuchronnie pojawia się pytanie o to, jak odległe od rzeczywistości są nasze deklaracje składane na użytek ankiety? Czy być może nie jest tak, że problem ekologiczny zaczynamy dostrzegać dopiero wtedy, gdy zagraża nam bezpośrednio, gdy coś dzieje się w naszym najbliższym otoczeniu, prawie na naszym podwórku, gdy prawie na pewno odczuwamy jego skutki? Wtedy gotowi jesteśmy podjąć wszelkie kroki, by nie doszło do realizacji szkodliwego przedsięwzięcia, uciec się nawet do blokady i protestów. Wcześniej jednak nie wnikamy głębiej w istotę problemu, nie rozważamy czy faktycznie samochód, nawet wyposażony w katalizator, może być „ekologiczny”.

O tym, że takie rzeczy zdarzają się naprawdę przekonuje sytuacja, która miała miejsce w Bielsku-Białej przy okazji batalii w sprawie budowy instalacji mającej służyć raz to do spalania opon, raz to do spalania odpadów szpitalnych. Ta pierwsza miała stanąć w ścisłym centrum miasta, ta druga w dzielnicy Mikuszowice. Ta pierwsza znalazła swego zagorzałego obrońcę w osobie inwestora, ta druga, w kilka lat później, znalazła swojego zagorzałego przeciwnika w osobie mieszkańca dzielnicy. Tak się jakoś złożyło, że była to ta sama osoba.

To nie jedyny taki przypadek. I nie jedyna kuriozalna sytuacja związana z problemami ekologicznymi. Przeglądając codzienną prasę natknąłem się na informację o proteście mieszkańców pewnej wsi przeciwko instalacji masztu przekątnikowego telefonii komórkowej, który to maszt miał zostać zamontowany w najbliższym sąsiedztwie ich domostw. Motywem podjęcia tego kroku była troska o własne zdrowie, na które w odczuciu protestujących, negatywny wpływ będzie miało promieniowanie emitowane przez to urządzenie (w tym miejscu pomijam rozważania na temat stanu faktycznego). Pomimo artykułowanych zastrzeżeń, ostrze protestu tej grupy mieszkańców zostało wymierzone wyłącznie w ten konkretny obiekt, a nie, jak należałoby sądzić, w szkodliwość, w odczuciu społecznym, instytucję telefonii komórkowej. Mieszkańcy nie zaprotestowali przeciwko jej rozwojowi w ogóle.

Jak bowiem wynika z obserwacji, większość protestów tego typu rzadko bywa kierowana przeciwko głównej przyczynie, ograniczając się do powiedzenia *non possumus* konkretnej inwestycji naruszającej czyjeś dobro prywatne. Zasadę organizującą te działania daje się zatem opisać następująco: *uczyni drugiemu, co tobie niemiłe*. A zatem, budujcie gdzie chcecie, byle nie pod moimi oknami!

Wynikiem stosowania na szeroką skalę w życiu codziennym podwójnych standardów są, na przykład, niezliczone ilości worów śmieci, które lądują w lasach wzdłuż głównych szlaków komunikacyjnych. Wystarczy lekko przyhamować... i już po kłopotach.

Znajdowanie alternatywnych rozwiązań budzącego kontrowersje problemu, które usatysfakcjonują każdą ze stron, jest wielką sztuką. Jeszcze trudniej praktycznie przyczynić się do likwidacji tych zagrożeń, np. świadomie rezygnując z nadużywania pewnych dobrodziejstw cywilizacji.

Moim prywatnym marzeniem jest, aby ograniczyć dosyć uciążliwy tranzyt drogowy (w szczególności ciężarowy) przez Kobiór (trasa Pszczyna-Mikołów), usunąć te tysiące pojazdów ciągnące od rana do wieczora środkami

ws. Jednakże, gdy nie potrafię znaleźć, przynajmniej dziś, odpowiedzi na pytanie gdzie ten ruch skierować, podejmowanie jakiegokolwiek próby protestu poprzez np. zablokowanie drogi w celu wzmocnienia własnych racji, należałoby uznać za działanie nieodpowiedzialne.

Niezwykle istotną kwestią, nierozdzielnie związaną z tym problemem jest odpowiedź na pytanie o udział w tym niekorzystnym zjawisku tzw. ruchu lokalnego, czyli niekoniecznych przejazdów z miejsca w miejsce w obrębie wsi. A zatem pytanie o współudział w potęgowaniu zjawiska. Pytanie to jest pytaniem o generalia. Z tym aspektem sprawy najczęściej wiąże się tzw. zasada *mnieszego zła*, którą szczególnie chętnie posługują się decydenci dla uzasadnienia własnych (czasem zupełnie nieprzemyślanych) decyzji. Na ten to właśnie argument powołuje się J. Rzymelka w artykule „Ekologiczna obwodnica” (Śląsk 10/98): „w sprawozdaniu z tej uroczystości (oddania do ruchu obwodnicy Ustronia) zobaczyłem grupkę protestujących na jednym końcu obwodnicy mieszkańców przysiółka Ustronia, którzy będą mieli utrudniony czasowo dostęp do miasta. Bez komentarza, bez porównania kto zyskuje, a kto czasowo traci, ilu potencjalnych zadowolonych a ilu protestujących?”

Czy rzeczywiście zawsze chodzi o potencjalnie zadowolonych? W wyniku uporczywego trzymania się tej zasady, rozwiązując jeden pałacy problem często wywołujemy kilka innych, nie mniej uciążliwych. Co gorsze, takich które dotyczą względnie upośledzone grupy obywateli, pozbawione możliwości i środków nacisku.

W tym miejscu pojawia się jeszcze jedna wątpliwość. Wydaje się, że oto być może znaleźliśmy się w sytuacji, gdy niemożliwe jest rozwiązywanie przynajmniej niektórych problemów jedynie przy pomocy przesuwania przebiegu tras komunikacyjnych w te lub we wte. Szczególnie, gdy odbywa się to na zasadzie decyzji administracyjnej, bez podjęcia próby porozumienia się ze wszystkimi zainteresowanymi oraz uwzględnienia wymogów stawianych przez środowisko naturalne. Dotyczy to zarówno lokalizacji przebiegu autostrady A4 przez Górę Świętej Anny, jak rozszerzenia otuliny Babiogórskiego PN, czy organizacji Igrzysk Olimpijskich w Zakopanem. Brak szerokich konsultacji społecznych w sprawie przebiegu autostrady, zastąpiony przez zdanie urzędników, doprowadził do najpoważniejszego w ciągu kilku ostatnich lat konfliktu na tle ekologicznym. Podobnie może zakończyć się próba pominięcia głosu części (być może znaczącej części) opinii publicznej przy forsowaniu idei organizacji Olimpiady w polskich Tatrach. Pomimo tego, że to właśnie lokalna społeczność powiedziała „tak” w poświęconym tej sprawie referendum.

Zgłoszenie takiej liczby zastrzeżeń nie oznacza oczywiście, że protesty ekologiczne nie mają sensu lub są prowa-

dzone wyłącznie dla realizacji prywatnego dobra. Temu przeczy choćby postawa wielu młodych ludzi, którzy przez ponad miesiąc w imię ochrony dobra wspólnego bronili Parku Krajobrazowego „Góra Świętej Anny” przed dewastacją, blokując budowę autostrady. A także wiele innych wydarzeń, które trudno tu relacjonować.

Sama akcja pod Górą Świętej Anny była w równej mierze wyrazem troski o stan środowiska naturalnego, co niezgodą na niektóre praktyki zonglowania i łamania prawa przez urzędników administracji różnego szczebla. To pierwsze zostało podkreślone przez znamienite grono sygnatariuszy (pod listem podpisało się wielu wybitnych przedstawicieli nauki, polityki i sztuki) „Listu otwartego w sprawie Góry Świętej Anny”, w którym napisali m. in.: „*Ich dramatyczna blokada budowy na granicy rezerwatu była wyrazem odruchu serca bardziej niż jakiegokolwiek rachuby korzyści czy strat z tego płynących. Ci ludzie, mimo młodego wieku, stali się wyrzutem sumienia dla wielu z nas, zajętych swoimi sprawami i nie zauważających jak w wielu miejscach ginie i degraduje się polska przyroda, krajobraz i wartości kulturowe*”. Potwierdzenie tego drugiego odnajdujemy w licznie zgłaszanych przez niezależnych specjalistów i ekspertów zastrzeżeniach wobec podstaw zmiany statusu prawnego terenu parku krajobrazowego dokonanej przez wojewodę opolskiego.

Akcja pod Górą Świętej Anny wpisała się także w schemat obywatelskiego nieposłuszeństwa, choć nie było to głównym zamierzeniem organizatorów, a jej uczestnicy unikali łamania prawa. Jeżeli w efekcie prowadzenia działań dopuścili się tego, deklarowali (przynajmniej część z nich) gotowość poniesienia przewidzianej prawem kary. Właśnie gotowość poniesienia kary (nawet wtedy, gdy kwestionuje się niesprawiedliwe przepisy prawne) jest tym ele-

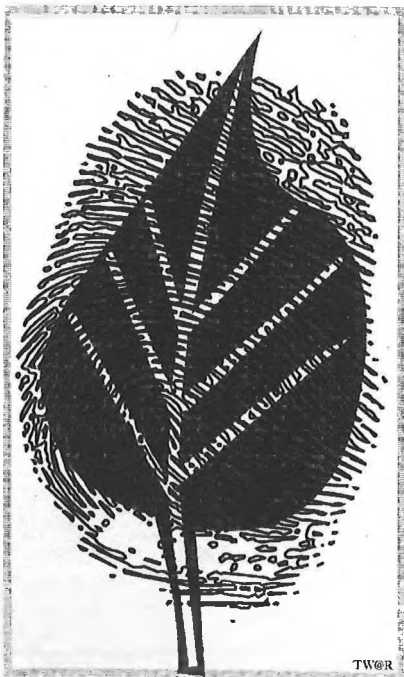
mentem, który odróżnia obywatelskie nieposłuszeństwo od pospolitej działalności przestępczej. Wyznacza również pewnego rodzaju granicę pomiędzy autentycznymi protestami w imię dobra wspólnego, a tymi odbywającymi się dla partykularnej korzyści.

W procesie rozwiązywania problemów społecznych, w tym także ekologicznych, ogromną rolę odgrywa umiejętność uwzględnienia racji wszystkich zainteresowanych i pozyskania sojuszników. To nie tylko przykry obowiązek czy oczekiwanie na przykładzie trafnej decyzji, to zrozumienie i przełożenie na język praktyki idei partycypacji społecznej w złożonych procesach decyzyjnych dotyczących wielu grup społecznych.

W świetle tego, poważne wątpliwości budzi polska praktyka pomijania strony społecznej w procesie konsultacji czy też wszelkie próby ucieczki do przodu, polegające na ograniczeniu się do korzystania z opinii wydawanych przez rekomendowane (czytaj spolegliwe) organizacje ekologiczne. Nie jest to standardem międzynarodowych ciał, takich jak np. Komisja Oceniająca MKOL, która jesienią ubiegłego roku weryfikując kandydaturę Zakopanego do organizacji Igrzysk Olimpijskich w 2006 roku zaprosiła do wyrażenia swojej opinii (i co ważniejsze wysłuchała) autentycznych przedstawicieli polskiego ruchu ekologicznego.

W istocie, taki stosunek przedstawicieli administracji do organizacji społecznych oznacza niechęć do podejmowania rzeczowych dyskusji nad sposobami rozwiązywania pałaczych problemów. Podobnie, jak nagminne przypadki manipulowania opinią publiczną czy używania nieprzyjemnych określeń, np. *oszołom*, pod ich adresem, czego niejednokrotnie świadkami (a nawet ofiarami) byli protestujący ekolodzy.

Celem prowadzenia akcji bezpośrednich, czy organizacji wszelkiego rodzaju protestów, nie zawsze jest osiągnięcie natychmiastowego i ściśle określonego efektu - zaniechanie konkretnego działania lub zmiana niesłusznego przepisu prawnego. Tak, jak chociażby w przypadku kampanii bielskich ekolodów zmierzającej do odwołania decyzji lokalizacyjnej instalacji do spalania opon w centrum Bielska-Białej. Dla wzmocnienia jej przesłania posłużono się brawurową akcją bezpośrednią pod budynkiem Urzędu Miejskiego. W wyniku szeroko zakrojonych działań i pozyskania przychylności opinii społecznej, ostatecznie decyzja lokalizacyjna została cofnięta. Okazało się zatem, że postanowienia urzędników nie są opatrzone klauzulą „nieodwoływalne”. Co więcej, to w efekcie tej akcji, ekolodzy uzyskali prawo wstępu na salony samorządowej władzy, bowiem to nie władza, ani administracja uwiarygadniają społeczeństwo, ale społeczeństwo uwiarygadnia zarówno władzę, jak i administrację oraz podejmowane przez nie decyzje.



Rys. Ryszard Twardoch

TWARD

Ojciec Święty Jan Paweł II w Sosnowcu

Papieskie Zagłębie

WIESŁAW
KOSTERSKI

Kiedy papamobile przejeżdżało wśród rozmodlonego i wiwatującego tłumu zgromadzonego na placu w osiedlu przy ul. Gwiezdnej w Sosnowcu, chór śpiewał na powitanie przejmującą kantatę „Tu es Petrus”. Ten wjazd był najbardziej emocjonującym momentem uroczystości. Papieski orszak tonął wśród tysięcy niebiesko-żółto-czerwonych chust, flag i chorągiewek. Chwilę później Ojciec Święty Jan Paweł II wjechał windą do ołtarza. Nikt nie siedział. Ogłuszające: — Szczęść Boże! — popłynęło jeszcze mocniej.



Foto: Arkadiusz Gola

— Stoisz na ziemi stolicy Świętego Kościoła Sosnowieckiego, stolicy Czerwonego Zagłębia, czerwonego, i to podkreślam z całym naciskiem, nie od nienawiści i negacji wartości religijnych i narodowych, ale czerwonego z miłości Boga i Ojczyzny — witał Papieża biskup sosnowiecki Adam Śmigielski. Te słowa, mające swoje odniesienie do przeszłości, i to całkiem nieodległej, już w chwili ich wygłaszania, nabierały historycznego znaczenia.

— Na tej ziemi, która miała być bez Boga, bez Chrystusa, Krzyża i Ewangelii, bardzo mocno jest wbity krzyż, na którym jest Chrystus — mówił dalej biskup Śmigielski. — W latach 1980-1998 powstało na terenie obecnej diecezji sosnowieckiej 58 parafii. W tych parafiach wybudowano 40 kościołów, obecnie zaś buduje się 14, co jest dowodem, że ta ziemia jest czerwona, ale od miłości Boga i naszej matki — Ojczyzny.

Dla nikogo na tym placu, ale i chyba poza nim, nie ulegało wątpliwości, że przyjazd Papieża przejdzie do kronik Zagłębia jako największe, historyczne wydarzenie. Ale Jana Pawła II mogło tutaj przecież nie być — Sosnowiec został włączony do programu papieskiej wizyty w ostatniej chwili. Na osobiste życzenie Ojca Świętego. Być może zdecydowały o tym wspomnienia sprzed 32 lat.

Wówczas, jeszcze jako kardynał krakowski, Karol Wojtyła był w Sosnowcu na uroczystości milenium chrztu Polski. W 1967 roku było to inne, tamto Zagłębie — czerwone, komunistyczne, proletariackie, nieprzychylnie Kościołowi. On i prymas Polski Stefan kardynał Wyszyński byli świadkami haniebnego spektaklu — widzieli bojówkarzy utrudniających wiernym dojście do kościoła Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny — dzisiejszej katedry, widzieli groźne spojrzenia, słyszeli wrogie okrzyki. Teraz tłum wołał: Kochamy Cię Ojciec Święty!

Co więc powie Papież? Czy przypomni tamte wydarzenia? Jak umieści je na skali historycznych ocen wartościujących?

Tekst homilii papieskiej (z nadrukiem: „EMBARGO do czasu wygłoszenia”) otrzymuję na ponad godzinę przed przybyciem Ojca Świętego do Sosnowca od specjalnego kuriera Katolickiej Agencji Informacyjnej, dominikanina z Krakowa, o. Pawła Klimczaka, który obsługiwał dotąd dziennikarzy w Sopotcie, Elblągu, Elku, Siedlcach i Zamościu. Omiatam wzrokiem kartki papieru — drugi akapit, a więc sam początek, poświęcony jest uroczystości milenijnej w 1967 roku.

— Dziękuję Bożej Opatrzności, że na szlaku mojego pielgrzymowania po ojczyściej ziemi znalazła się młoda diecezja sosnowiecka — rozpoczął Ojciec Święty. — Pragnąłem nawiedzić tę ziemię. Tak bardzo chciałem się spotkać z Ludem Bożym Zagłębia, a dzisiaj spełnia się to pragnienie...

„Pragnąłem nawiedzić tę ziemię...”

— Niech żyje Papież! Kochamy Cię! Bóg jest z Tobą! — owacja przerwała przemówienie.

Teraz Ojciec Święty miał przypomnieć uroczystości milenijne z 1967 roku. Tymczasem wypowiada: — „Boga naszego chwalcie wszystkie ziemie, daj Mu cześć winną...”. To psalm. Spoglądam do tekstu — cały drugi akapit został pominięty, co do słowa.

Dlaczego? Dlaczego Jan Paweł II zrezygnował z odniesienia się do historycznych już wydarzeń, skoro przez dziewięć dotychczasowych dni pielgrzymki wielokrotnie odwoływał się do historii Polski i Kościoła, skoro wielokrotnie wyrażał swój niepokój o naszą zbiorową pamięć i stan historycznej świadomości, skoro w homiliach i przemówieniach mówił z głęboką troską o korzeniach naszej narodowej tożsamości? Chrześcijańskich korzeniach.

Po uroczystości, w Centrum Prasowym, które ulokowało się nie opodal placu celebry w Szkole Podstawowej nr 46 przy ul. Gwiazdnej, usłyszę: — Nie wiemy, dlaczego tak się stało. Może Ojciec Święty się spieszył. Nie po raz pierwszy podczas tej pielgrzymki zdarzyło się, że pomijał wiele zdań z homilii.

Zacytujmy ów akapit: „Dzisiejsze spotkanie wywołuje w mej pamięci wspomnienie tych uroczystości, które przeżywaliśmy tu, w Sosnowcu, w maju 1967 roku. W kościele Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny — dzisiejszej katedrze — przy udziale Prymasa Tysiąclecia oraz innych biskupów polskich celebrowaliśmy wówczas obchody milenijne. To były trudne czasy. Były trudne szczególnie dla tych, którzy chcieli otwarcie wyznawać swoją wiarę i przynależność do Kościoła. Pamiętam, jak wielkie znaczenie miało wtedy nauczanie Soboru Watykańskiego II, który dopiero co się skończył. Pamiętam, ile nadziei i ile mocy niosło zwłaszcza soborowe nauczanie o godności osoby ludzkiej i o jej niezbywalnych prawach. Wówczas zapadało ono głęboko w dusze przygotowane do milenium przed wielką nowenną. Dziś czasy się zmieniły. Jest to wielki dar Opatrzności Bożej. Bogu należy się nasza wdzięczność za to wszystko, co dokonało się w naszej Ojczyźnie. Niech nigdy jej nie zabraknie w sercach ludzi wierzących w Polskę!

Jeszcze przed pielgrzymką biskup Śmigiełski mówił Katolickiej Agencji Informacyjnej: — Moim pragnieniem jest, aby zmniejszyły się animozje ludzi stojących z dala od Kościoła do jego hierarchii, do nauczania Ojca Świętego, do duchowieństwa. Oczekuję, że papieska pielgrzymka przełamie wiele barier...

Papieski tron ma odcień czerwieni. Kontrastuje z żółtą barwą szat liturgicznych Ojca Świętego. Nad tronem szklany dach, który ma symbolizować dom rodzinny. W głębi symbol przyrody Zagłębia — sosna, prawie 18-metrowej

wysokości, ilustrująca początki Sosnowca, przywieziona tutaj z dzielnicy Maczki, a przed nią równie duży drewniany krzyż.

Altarz zwieńcza lekka brama ze stalowych rur, symbolizująca przemysł regionu. Z obu stron w tzw. kieszeniach zasiedli kardynałowie i biskupi. Na specjalnym ekranie napis: „...Jakże tu miłym gościem jesteś memu oku...”. To fragment wiersza Jana Pawła II „Do sosny polskiej”.

Pod ołtarzem przygotowano salon dla Papieża z łazienką oraz pomieszczenia dla świty papieskiej i Biura Ochrony Rządu. Była też zakrystia dla celebriansów wraz z punktem medycznym i sanitariatami. W tle, od strony ul. Marszałka Rydza Śmigłego, ustawiono w szeregu 15 herbów miast i gmin diecezji sosnowieckiej oraz herb Mysłowic. Ołtarz otula zieleni utkana z trawy i ponad dwóch tysięcy krzewów.

Tymczasem Ojciec Święty powiada:

— Kiedy zbliżamy się do roku dwutysięcznego, pragniemy spojrzeć wstecz na wszystkie szlaki tej wędrówki, którymi szli przez wieki nasi przodkowie. (...) Podejmując wezwanie wieków, nie możemy zapomnieć o tej Bożej perspektywie współtworzenia, która nadaje wszystkim ludzkim wysiłkom właściwy sens i właściwą godność. Bez niej praca łatwo może być pozbawiona swego wymiaru podmiotowego. Wówczas przestaje być ważny człowiek, który ją wykonuje, a liczy się jedynie jej wartość materialna. Człowiek nie jest już traktowany jako sprawca i twórca, ale jako narzędzie produkcji.

Papież nie byłby sobą więc, gdyby nie wspominał o polskich przemianach. Jednak sosnowiecka homilia, tak jak pozostałe przemówienia wygłoszone podczas tej pielgrzymki, pozostając w duchu społecznej myśli Kościoła posoborowego w żaden sposób nie „uświęciła” jakiegokolwiek odmiany kapitalizmu w polskim wydaniu i formy społeczeństwa rynkowego. Nie stała się podporą programową dla żadnej partii politycznej, lecz wezwaniem Kościoła, „aby nie składać na ołtarzu dobrobytu własnego człowieczeństwa i szczęścia innych”.

— Wydaje się, że w okresie koniecznych przemian gospodarczych w naszym kraju, można dostrzec symptomy takiego zagrożenia — kontynuował Ojciec Święty. — Mówiłem o tym przed dwoma laty w Legnicy. Pojawiają się one wszędzie tam, gdzie w imię praw rynku zapomina się o prawach człowieka. Jest tak na przykład, gdy rachunek ekonomiczny usprawiedliwia pozabawienie pracy kogoś, kto wraz z nią traci wszelkie perspektywy na utrzymanie siebie i rodziny.

W Zagłębiu — regionie likwidowanych kopalń i silnego bezrobocia, ale także szacunku dla ludzkiej pracy i stabilizacji jaką ona niesie — słowa Papieża zabrzmiały z podwójną mocą. Fala braw popłynęła nad placem celebrzy.

Papież mówił wolno, z trudem. Niektóre zdania były ledwie słyszalne. Wi-

dać było, że jest zmęczony. Wtedy — 14 czerwca w godzinach popołudniowych — jeszcze nie wiedzieliśmy, że źle się czuje. Następnego dnia podano oficjalnie, że jest chory, że ma gorączkę. Tu w Sosnowcu, już go zapewne dopadła.

— Proszę Boga, aby rozwój ekonomiczny naszego kraju i innych państw na świecie szedł w tym kierunku, by wszyscy ludzie — jak mówił Święty Piotr — „pracując ze spokojem, własny chleb jedli”. Głośno o tym mówię, bo chcę, abyście poznali — aby wszyscy pracujący w tym kraju poznali — że wasze sprawy są bliskie Papieżowi i są bliskie Kościołowi.

— Dziękujemy! Sto lat! — odpowiedzieli pielgrzymi. Po okrzykach: — Kochamy Ciebie... Papież zapytał: — A jak to czynicie?

Procesja z darami. Przed Ojcem Świętym składana jest między innymi monstrancja od przedstawicieli duchowieństwa, rzeźba w szkło od władz Sosnowca oraz ornaty i szaty liturgiczne. Podniosła chwila — koronacja obrazu Najświętszej Maryi Panny Nieustającej Pomocy z Osiedla Stałego w Jaworznie. Przez 28 lat mieszkańcy tego osiedla starali się o budowę kościoła. Po uzyskaniu pozwolenia, 26 kwietnia 1978 roku, do Jaworzna przybył z pielgrzymką kardynał Karol Wojtyła...

Papież pobłogosławił wiernych i złożone przedmioty — między innymi kamienie węgielne pod budowę nowych świątyni, w tym pod budowę pomnika kardynała Augusta Hlonda w Mysłowicach, Centrum Młodzieżowego oraz tablicę z nadaniem imienia Jana Pawła II Centrum Pediatrii w Sosnowcu.

— Bog zapłać za wszystkie dary — powie na zakończenie spotkania. — Widać, że Zagłębie jest szczodre. Bóg zapłać za waszą gościnność... Pozdrawiam młodzież. (— Młodzież kocha Papieża!... Niech żyje Papież!...) Proszę też nie zapominać o mnie w waszych modlitwach (— Pamiętamy!... Dziękujemy!...) I ja też dziękuję, i wszystkim mówię: Szczęść Boże!

Głos Papieża utonął wśród śpiewów, wiwatów i okrzyków.

Polska religijność, tak jak polska rzeczywistość, nie jest jednowymiarowa. Spotkanie w Zagłębiu, z misternie przygotowaną liturgią, miało dramaturgię lustrzanie podobną do pozostałych nabożeństw papieskich — było czasem gorącej modlitwy i entuzjazmu, ale także niosło nastrojów ludowego festynu i niekiedy obowiązku towarzyskiego. W pamięci pozostanie, bardziej niż wskazówki Jana Pawła II, klimat zbiorowego uniesienia i emocji. Refleksja i owoce papieskich wizyt przychodzą później...

Kiedy tłum skandował: — Bóg jest z Tobą!... Jesteś naszą nadzieją!... pap-mobility opuszczało plac przy ul. Gwiazdnej, udając się w stronę Ładowiska. Po godzinie 20.00 papieski śmigłowiec odleciał z Sosnowca w kierunku Krakowa...

Czas odkłamać Śląsk

- Chcąc mówić o kształtowaniu krajobrazu, trzeba chyba najpierw określić, co kryje się pod tym pojęciem?

- Przede wszystkim trzeba zacząć od dość trudnego zdefiniowania pojęcia krajobraz. Trudnego, dlatego, iż termin ten funkcjonuje w różnych dyscyplinach nauki, jak również w języku potocznym i nie zawsze jest jednoznacznie rozumiany. Nie wnikając w różnice definicyjne można przyjąć, że zawsze krajobraz odnosi się do przestrzennego i materialnego wymiaru rzeczywistości, którą tworzy środowisko przyrodnicze i człowiek poprzez wytworzone w procesie rozwoju środowisko antropogeniczne. Można powiedzieć, że krajobraz jest odzwierciedleniem całego procesu rozwoju społecznego i gospodarczego oraz relacji tego rozwoju do środowiska przyrodniczego na określonej przestrzeni. Relacje te były i są bardzo zróżnicowane, stąd też nieobce są w języku potocznym pojęcia krajobraz „brzydki”, „zniszczony” lub krajobraz „piękny”, „harmonijny”, czyli taki, w którym nie ma chaosu funkcjonalnego i wizualnego. Warunkiem kształtowania właśnie takiego krajobrazu jest przyjęcie zasady zrównoważonego rozwoju. Pojęcie to przeżywa dziś swój renesans, ponieważ narodziło się ono na przełomie lat siedemdziesiątych, jako reminiscencja prac Klubu Rzymskiego lecz nie znalazło takiego entuzjazmu jak w chwili obecnej. Interpretacji pojęć zrównoważonego rozwoju jest wiele, w zależności od posługującej się nim dyscypliny. Dla mnie najodpowiedniejszą jest definicja jaką daje ustawa o ochronie i kształtowaniu środowiska wraz z jej nowelizacją z 1997 r., która mówi, że rozwój zrównoważony to taki rozwój, w którym następuje proces integrowania działań politycznych, społecznych i gospodarczych z zachowaniem równowagi przyrodniczej i trwałości podstawowych

Rozmowa
z dr JANINĄ
SZCZEPAŃSKĄ,
adiunktem w Katedrze
Planowania Przestrzennego
i Urbanistyki Wydziału
Architektury
Politechniki Śląskiej



Foto: Jerzy Wróbel

wych procesów przyrodniczych. Oznacza to inaczej, że każda działalność jest możliwa, ale pod warunkiem, że nie spowoduje w przyrodzie nieodwracalnych zmian. Do takiego kształtowania przestrzeni zobowiązuje nas urbanistów ustawa o zagospodarowaniu przestrzennym, która rozwój zrównoważony przyjmuje jako podstawę przeznaczenia terenu na określone cele i ustalenia zasad ich zagospodarowania. Przyjęcie takiej wykładni zrównoważonego rozwoju w zagospodarowaniu przestrzennym oznacza, iż nie można przedkładać bezwzględne go prymatu przyrody nad człowiekiem nie widząc jego potrzeb gospodarczych, społecznych, kulturowych. Należy bowiem pamiętać, że „istoty ludzkie są w centrum zainteresowania w procesie zrównoważonego rozwoju i mają prawo do zdrowego i twórczego życia w harmonii z przyrodą”.

Tak głosi zasada 1 Deklaracji z Konferencji ONZ „Środowisko i Rozwój”, która odbyła się w Rio de Janeiro w 1992 r.

- Jednak jeśli chcemy mówić o zrównoważonym rozwoju, musimy wziąć pod uwagę jakiś punkt wyjścia. Śląsk jest regionem specyficznym, tak w Polsce jak i w Europie. Tu przez dziesiątki lat nie było mowy o zrównoważonym rozwoju. Jak w tej chwili program zrównoważonego rozwoju ma się do śląskiej rzeczywistości - regionu określanego najczęściej przymiotnikami zdegradowany i zanieczyszczony.

- Śląsk trzeba odkłamać. To jest dewiza, którą w ramach moich skromnych możliwości, lansuję od wielu lat. Na Śląsk nie można wyłącznie patrzeć pod kątem zagrożeń i degradacji środowiska, bo otrzymamy nieprawdziwy obraz. Śląsk jest niezwykle bogaty: nie mówię o tzw. Śląsku zielonym, ale o dawnym GOP-ie. Mamy niebywale dużo, jakby wbrew wszelkim zanieczyszczeniom, bardzo cennych zasobów przyrodniczych. Postrzeganie Śląska jako czarnej dziury, w której dawno już nie powinno być żadnego życia, powoduje konkretne przełożenia na ekonomię i rozwój gospodarczy tego regionu. Na świecie istnieje tendencja, że kapitał nie wchodzi na tereny, które są zdegradowane, bez szans rozwoju. W dzisiejszych czasach wytwórczość opiera się na precyzji wymagającej czystego środowiska. Nie możemy zatrzymywać się na wytwórczości XIX-wiecznej, kiedy to przemysł i gospodarka wymagały rąk do pracy i surowców. Dzisiejsi wytwórcy muszą mieć miejsce do pracy o określonym standardzie środowiskowym oraz szukają tzw. korzystnego otoczenia biznesu, a więc pięknego środowiska, urządzonych terenów rekreacyjnych. Zmiana sposobu gospodarki stawia inne wymagania. Mówiąc wprost: szukają ładnych miejsc. W związku z tym, jeśli

my, na Śląsku, ciągle będziemy przyjmować postawę negatywną wobec naszego środowiska, to do przemysłu albo nie ściągniemy nikogo, albo takie gałęzie, na których nam wcale nie zależy.

- Czy to czasem nie jest trochę tak, że mieszkańcy Śląska przyzwyczaili się do punktu widzenia jakiegoś przyrodnika, który postrzegając ten region właśnie wyłącznie w kontekście degradacji i zniszczenia? Bardzo powoli następują zmiany w świadomości, że na Śląsku, jak Pani powiedziała, jest ładnie.

- Pierwsze próby przełamywania stereotypów już są. W przeszłości rzeczywiście było dramatycznie źle. Ponadto w latach siedemdziesiątych potwierdzaliśmy ten obraz z tego względu, że łatwiej było otrzymać różne środki pomocowe.

Od tego czasu upłynęło jednak ponad dwadzieścia lat i trzeba obiektywnie stwierdzić, że zmniejszają się zagrożenia i stan środowiska się poprawia. Widać to nie tylko na wykresach i w statystyce, ale również w funkcjonowaniu przyrody, czego najlepszym dowodem jest wzrost zdrowotności lasów. Nie oznacza to, że na Śląsku nie ma już zagrożeń. Ciągłe jesteśmy w krajowej czołówce w emisji zanieczyszczeń do powietrza, wód i ziemi.

W dalszym ciągu bardzo wysoki jest jeszcze wskaźnik obszarowego zanieczyszczenia powietrza. Mamy również pewną poprawę jakości wód, ale do zadowalającego poziomu jest jeszcze bardzo daleka droga. Zwiększyła się wprawdzie ilość oczyszczalni, ale to jeszcze za mało.

Na pewno ciągle nierozwiązanym problemem na Śląsku są odpady komunalne i przemysłowe; tych ostatnich zalega na składowiskach miliard ton. Oczywiście podejmuje się różne działania, rozbieranie hałd i przetwarzanie odpadów na surowce wtórne. Niemniej jednak problem jest poważny, ponieważ nie wszystkie składowiska są ekologiczne, a ponadto mamy dużo dzikich wysypisk.

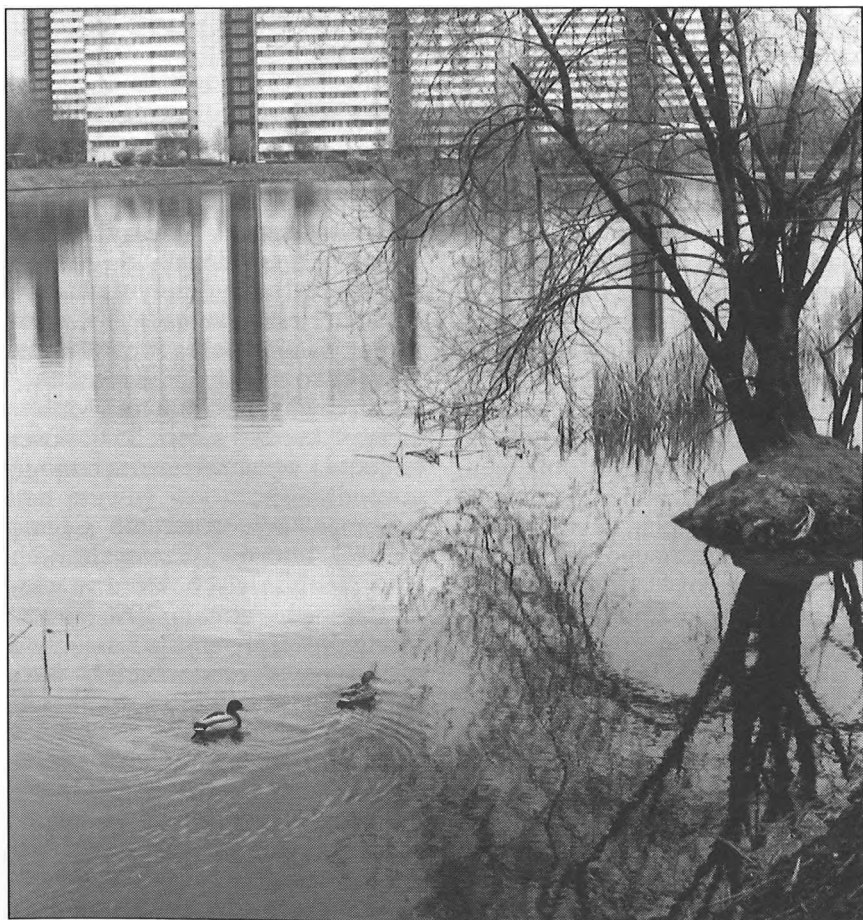
Jednocześnie jednak jest już pora aby „wielkim głosem” mówić o wartościach przyrody i krajobrazu na Śląsku. Podkreślam raz jeszcze, postrzeganie środowiska przyrodniczego Śląska tylko po-

przez zagrożenia jest obrazem nieprawidłowym.

Naszym nieszczęściem jest, że mówiąc o ekologii - zresztą jest to słowo już mocno nadwerżone i nadużywane, ale trudno je zastąpić innym odpowiednikiem - w pierwszej kolejności każdy myśli o zagrożeniach. Dramatyczne jest, że w świadomości ludzi, począwszy od przedszkola, ekologia kojarzona jest ze zbieraniem śmieci, chociaż nie mam nic przeciwko temu. Przyrodę trzeba pokazywać w pełnym wymiarze, wskazywać na jej wartości, a nie wyłącznie zagrożenia. Dlaczego nie mówimy: mamy wartości, które są zagrożone. Podam przykład: kiedy mówimy o Ojcowskim Parku Narodowym, to nie rozpoczynamy od tego, że rzeki są ponad normatywnie zanieczyszczone, że stan czystości powietrza jest taki jak w GOP-ie, że również tu obumierają drzewa. Mówimy o pięknym krajobrazie i przyrodzie, czyli zwracamy uwagę przede wszystkim na jego wartości, a potem powiemy o zagrożeniach. Kiedy w Krakowie maszkaronom pod wpływem za-

nieczyszczeń skruszyły się nosy, to rozległ się szum na całą Polskę (zwrócono się także po pomoc do Stanów Zjednoczonych) i rozgłoszono fakt niszczenia owych maszkaronów. Najpierw mówiono o wartości, którą trzeba chronić, a dopiero w drugiej kolejności o powodach takiej sytuacji. Tak więc mamy przede wszystkim wartości, ale mamy także i problemy. W naszym regionie mówimy odwrotnie. Skoro więc mamy zagrożenia, a nie mamy wartości, to nie ma czego ratować...

W tym kierunku idzie nasze ustawodawstwo, które wprowadza - począwszy od 1991 roku - obowiązek identyfikacji wartości. Równolegle muszą być prowadzone działania zmniejszające zagrożenia z przemysłu, gospodarki komunalnej i innych gałęzi. W latach 90-tych w naszym województwie rozpoczął się pewien bardzo korzystny boom na prace waloryzacyjne, dotyczące środowiska przyrodniczego. Wyniki tych prac są wykorzystywane przy tworzeniu planów zagospodarowania przestrzennego, jako jeden z warunków kształtowania



Śląskie stawy stały się ostoją dla różnorodnych gatunków roślinności i ptactwa.

Foto. Stanisław Gadomski

przestrzeni wg zasad rozwoju zrównoważonego.

- Od kilku lat zmienia się sposób myślenia o regionie śląskim. Zaczynamy dostrzegać wartości na poziomie podstawowym. Włączenie się gmin w proces kształtowania przestrzeni, współodpowiedzialność za stan i wygląd najbliższego środowiska powoduje, że zaczynamy mówić o Śląsku jako regionie turystycznym, przyjaznym człowiekowi. Przykładem może być chociażby Chorzów, który chce być miastem turystycznym, a więc otwartym dla przybyszów nie tylko z innych regionów Polski. Mikołów zabiega o utworzenie w jego rejonie ogrodu botanicznego. Katowice w swoich planach zagospodarowania przestrzennego przewidziały tworzenie nowych terenów rekreacyjnych, podobnie Sosnowiec i inne miasta GOP-u.

- Jest faktem, iż Śląsk przechodzi okres przekształceń gospodarczych i społecznych. Krystalizuje się przestrzeń Katowickiego Zespołu Metropolitalnego obejmującego serce dawnego Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego. Zmieniają się uwarunkowania gospodarcze, dokonuje się likwidacja kopalń i hut. Wobec tego trzeba poszukiwać nowych funkcji gospodarczych dla tego regionu. Taką funkcją, która może spowodować stworzenie wielu nowych miejsc pracy jest na pewno szeroko rozumiana turystyka. Aby jednak mogła się ona rozwijać, przestrzeń musi być kształtowana harmonijnie, to znaczy musi być oparta o funkcjonującą przyrodę. Ustawa o zagospodarowaniu przestrzennym precyzuje fakt odpowiedzialności za przestrzeń. Jedynym gospodarzem przestrzeni jest gmina, a jedynym dokumentem, który dysponuje przestrzenią jest miejscowy plan zagospodarowania przestrzennego. Na podstawie mojego doświadczenia widzę, jak pozytywnie zmienia się świadomość zarządów gmin w naszym regionie. Gminy dążą do zmiany swojego wizerunku na przyjazny człowiekowi i otwarty dla biznesu, w tym szczególnie na rozwój usług turystycznych. Znajduje to wyraz w celach rozwoju określanych w strategiach gospodarczo-przestrzennego rozwoju gminy. Prawie w każdym mieście znajduje się wydziały promocji i rozwo-

ju, co zwiększa szanse skuteczności realizacji założonych przekształceń w naszym regionie.

- W takim razie jak pogodzić różne skądinąd interesy gminy o ładną gminę, przyjazną, zieloną z oddawaniem terenów pod wielkie inwestycje, np. budowę hipermarketów, autostrady i inne inwestycje?

- Autostrady zostały wyłączone z kompetencji gminy. Jeśli chodzi o lokalizację hipermarketów, czy do niedawna stacji benzynowych, to przy konstruowaniu planów, zwanych dzisiaj studiami uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego, wyznacza się obszary, które mogą być przeznaczone pod usługi komercyjne. Dobra szkoła urbanistyczna mówi, że wszelka zabudowa powinna koncentrować się na terenach zdegradowanych, już przekształconych. Nie powinna rozchodzić się na tereny nie zainwestowane. Powinniśmy dążyć do wykształcenia zdecydowanej koncentracji obszarów zabudowy wielofunkcyjnej, wykorzystując tereny już przekształcone. Tereny zabudowane powinny przenikać tereny przyrodnicze: skwery, parki tworząc tzw. systemy zieleni w mieście. Marzeniem urbanistów jest, aby również tereny wytwórczości, tereny przemysłowe, komercyjne, były tzw. parkami. Zagłębie Ruhry restrukturyzowano właśnie pod hasłami: mieszkamy w parku, pracujemy w parku i odpoczywamy w parku.

To są jednak ideały, które w praktyce codziennej nie zawsze się sprawdzają. Napływ dużego kapitału jest przemożny. Często ustępuje się pola inwestorom. Wynika to również z niedoskonałości prawnych. Gminy są właścicielami bardzo niewielkiej ilości terenów i wyłącznie na nich mogą gospodarować.

Kompetencje gmin nie sięgają niestety terenów przemysłowych i poprzemysłowych, które w wielu miastach zajmują 20% obszarów zainwestowanych i stanowią często przestrzenne bariery rozwoju np. prawidłowego układu komunikacyjnego. W przypadku likwidacji zakładu syndyk sprzedaje tereny często bez wiedzy gminy, co petryfikuje tę niekorzystną sytuację na wiele lat. Gmina niestety dla likwidowanych zakładów nie dysponuje wystarczającymi kwotami na wykup

terenów dla funkcji publicznych. Jest to wielki problem restrukturyzacji.

Szeroko rozumiana restrukturyzacja naszego regionu jest również przedmiotem programu ONZ pod nazwą HABITAT, który podejmuje problem rekultywacji terenów poprzemysłowych. Zainteresowanie gmin tym programem jest duże.

- Skoro podejmowane są prace zmierzające do zmiany wizerunku regionu śląskiego, do zmiany jego oblicza, to do jakiego momentu można akceptować przeobrażanie krajobrazu, aby region nie zatracił swojej tożsamości, był w dalszym ciągu identyfikowany jako Śląsk, by nie stał się krainą „jedną z...”? Skądinąd wiemy, że właśnie hałdy, szyby kopalniane, zabudowa robotniczymi osiedlami, stały się cechą charakterystyczną krajobrazu Śląska, cechą swojego piękną. Przecież na co dzień stykamy się z wkraczaniem ujednoliconej architektury, o jaką nietrudno w każdym zakątku Polski i nie tylko.

- Jest to pytanie o wyznaczniki tożsamości, czyli o środowisko przyrodnicze i kulturowe. Byłoby bardzo niedobrze, gdyby unifikacja, której jesteśmy świadkami i w której uczestniczymy, zrównała Śląsk z innymi regionami. Powiem może rzecz nieco bulwersującą, ale uważam, że czasem zacofanie jest korzystne. Trochę spóźnił się na europejski pociąg, w związku z tym mamy jeszcze wiele rzeczy, których w Europie już nie ma, a u nas są użytkowane i żyją. Element zacofania może paradoksalnie być naszą szansą.

- Nikt chyba nie chce, aby Śląsk był skansenem Europy, bo takie określenie już do tego regionu przylgnęło w przeszłości. Chyba chodzi o inny rodzaj zacofania.

- Skanseny będą, bo są potrzebne. Gromadzimy w nich wytwory kultury materialnej i przemysłowej, które wyszły z użycia. Uważam jednak, że zacofanie i bieda, której ciągle jesteśmy uczestnikami powoduje, że u nas zachowała się pewna różnorodność. Różnorodność przyrodnicza jest naszym atutem. To co na Zachodzie oglądane jest w parkach zoologicznych, u nas mamy w naturalnych eko-

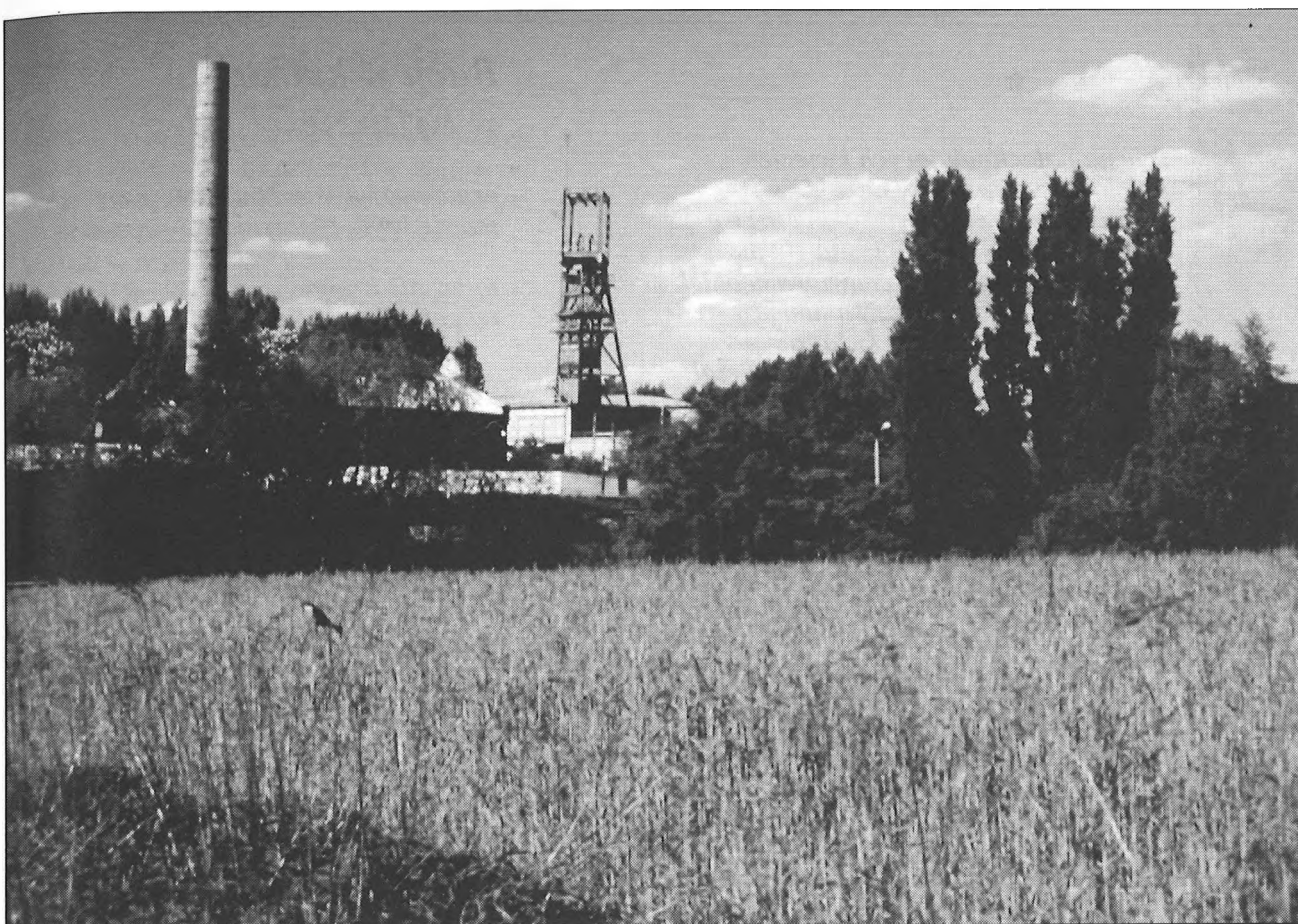


Foto. Roman Kucia

Śląsk to nie tylko szyby kopalni i kominy hut...

systemach. W tym względzie bijemy na głowę Europę. W Polsce mamy jedyną w Europie dużą, dziką rzekę - Wisłę. Technokraci mówią o niej jako o obrazie zacyfrowania cywilizacyjnego, bo wszystkie europejskie rzeki są skanalizowane. My z kolei mówimy jako o bogactwie leżącym właśnie w jej dzikości. Mówimy o wartości przestrzeni, która być może stanie się naszą szansą. W naszym regionie mamy dominację drobnopowierzchniowych pól, które są wartością samą w sobie. W obszarach, które predysponujemy do funkcji turystycznej postulujemy utrzymanie struktury przestrzeni rolniczej, która jednocześnie może być produkcyjna. Na tych terenach może rozwijać się produkcja szkółkarska czy sadownicza. Są one również miejscem utrzymania różnorodności biologicznej: tu mają swoje ostoje żaby, boćiany, gady czy płazy, których na Zachodzie w takich ilościach już nie ma. Drugą sprawą są wyznaczniki tożsamości kulturowej. We wszystkich opracowaniach identyfikuje się wartości przestrzeni kulturowej. Nie tylko

zabytki, ale również układy urbanistyczne, ruralistyczne.

Liczymy na to, że turyści z innych krajów będą podziwiać folwarki, układ leśniczówek i gajówek, jakie zachowały się na naszym terenie, a w dawnych czasach były obrazem najwyższej organizacji pracy - to była perfekcyjna logistyka. Układy tego typu zachowały się np. w Pszczyńskim, Tarnogórskim. Podobną rolę mogą spełniać zachowane układy urbanistyczne naszych miast. Niestety część z nich ulega zatraceniu, ponieważ rozsypują się po prostu budynki, których stan prawny jest nieuregulowany i trudny do ustalenia.

Gminy przystępując do opracowania planów zagospodarowania są świadome, że muszą znaleźć jak najwięcej atutów swojej gminy. Zwłaszcza tych, które odróżniają daną gminę od innej - czyli są wyznacznikiem tożsamości gminy, choć niekoniecznie o długim rodowodzie. Przykładem mogą być Tychy, których atutem jest to, iż są jedynym miastem zbudowanym współcześnie od początku w naszym regionie. Trzeba również wiedzieć, że

w Europie powstają specjalistyczne europejskie szlaki turystyczne: np. szlak cystersów, szlak wielkich rzek, szlak starego przemysłu, do których nasz region może się przyłączyć. Na świecie widzi się również odwrót od tzw. turystyki hotelowej na rzecz przebywania bliżej natury, dlatego też zachowanie wszelkich osobliwości może być dużą szansą dla regionu. Jednakże największą barierą w wykorzystaniu turystycznym jest bariera mentalna. Szczególnie na wsiach ludzie nie potrafią się jeszcze przekonać do pomysłu, że na turystyce można zarobić. Gminy, których jedynym atutem jest krajobraz nie potrafią tego wykorzystać lub wykorzystują te walory niewystarczająco, czego przykładem mogą być gminy Jury Krakowsko-Częstochowskiej. Tej ważnej bariery socjologicznej nie można pominąć biorąc pod uwagę proces zmian. Nawet najlepszy plan bez akceptacji społecznej nie ma najmniejszych szans realizacji.

Rozmawiała:

WIESŁAWA KONOPELSKA

★ ★ ★

dzisiaj na polach udających kwiecień
z zieloną rysą oziminy na szkło szronu
trafiliśmy na świeżo wykopaną dziurę
z jej otwartego pieca unosiła się para
stygnaące kłacza perzu embriony cebulek
bielały pod czarną wstążką humusu
przez glinę przeciekało światło
z żółtego słońca piasku do palenia ciał
wśród zamrożonych liści i krowich łajen
wąski przesmyk do nieskończoności

ekspozycja

w kolanach wypaliło się ciepło pod stygnącym
blatem stolika
herbata już wypita pocałunki złożone na łyżeczkach
ogłuszone cmy serwetek leżą na boku ze sztywnymi
skrzydłami
przysypanymi kosmicznym pyłem kryształów cukru
i soli
ktoś wychodzi ktoś wchodzi zdmuchując przeciągami
spojrzenia
w przestłoniętym zaćmą szronu oknie jej plecy
i głowa jak ryba
w galarecie wystawiona w gablocie zimna
przekąska dla przechodniów

żywa natura

bażanty jak na obrazkach niderlandzkich mistrzów
w dostojnej szarości na wysokich łapkach
pod królewskim
ugięciem pędzla na zagruntowanym śniegim płótnie
podchodzą pod dom żeby wydziobać z dołu na
odpadki
krwiste nasiona pomidorów roztrzaskany miąższ dyni
wysypany z wiaderka na czarną tacę świeżo odkrytej
ziemi
naturalne światło słońca wyostrza drapieżne dziobki
na oślepy wbijające gwoździe w deskę krajobrazu
aż czarna rysa dosięga moich oczu pękają ramy
powiek
o ile wygodniej w galerii martwych natur gdzie
zwierzęta bez serc
przedmioty bez ciepła owoce bez pestek nawet man-
dolina
nie czesze czterech rozciągniętych nóg przepaścią
ciszy strun

Bach w katedrze w Erfurcie

organista wąskimi palcami
trzęsie bryłą świętyni

to już nie drobne
rzucane Bogu

Błażejowi

mleko
ucieкло mu na podłogę
język kota
odbija w nim ślad muszli

★ ★ ★

pies rwie się z łańcucha
aż przechyła się dom
w zawiasach skomli
szczenie wczorajszego dnia



Rys: Wojtek Łuka

Ze spacerów pod górke

wiewiórka w parku ucieka przed moim
niezdarnym zachwytem. zygzak na śniegu
jak litera, ostatni przystanek w alfabecie,
przed ciszą. i szyszka porzucona w biegu.
wchodzę za nią w ten zakręt, wygibas,
za ostry, więc go nie wyrobię.
ląduję z poślizgiem na tyłku. czarne oczka
patrzą: przewrócił się duży człowiek.

myśl zagląda tam, gdzie nie trzeba.
co raz odeszło, znowu odchodzi.
wiatru w polu szuka wiatr.
dreszcz po schodach żeber schodzi.
dłoń rozciera zmarzniętą dłoń.
czułość między nami jakaś nijaka.
blednący księżyc zza chmury
wystaje jak pół dupy zza krzaka.

w południe życia wypełniam formularze
suchych liści, pokasłuję od paru lat.
czas to przebranie wieczności. parowanie dusz,
zanim wyschną. linie dłoni jak buta ślad.
gram w kółko i krzyżyk z chłopcem zwanym
Jezus. w południe życia zawiązuję szalik.
już wiem, że jestem jak mój ojciec. wierzbą
w miejscu, gdzie byliśmy gruszę sadzić.
znak zapytania nad głową jak strzyżek
albo skrzydło — zależy, kto pyta.
wyciągam jabłko, jestem jabłkowym chłopcem.
zakazanych owoców nażartem się do syta.
od bieli styczniowej lekko mi na duszy
jakby śnieżynki dostały się w krwiobiegu.
lepię bałwana gołymi rękoma;
nos będzie z marchwi, imię dam mu po sobie.
ta wiewiórka, od dawna nie mogę jej złapać.
obejmując ciebie zerkam za nią,
która wciąż wybiega poza A i Z,
jak rudy promień słońca muska gałąź.
w nocy, w drgającej poświacie, przysiadła
na twoim ramieniu. leżę obok jak pułko,
z którego wyjęto skrzypce. potem
gasną rzędy latarni i zaczyna się jutro.

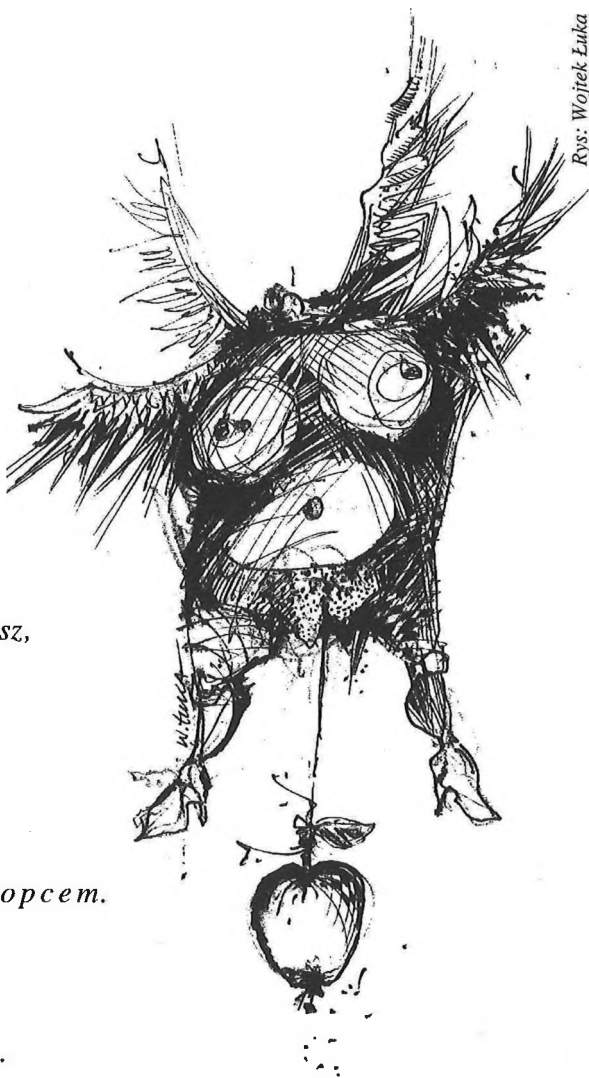
List

do M.N.

piszesz w liście, że katar. zarzuciłaś flet
i niepokoi cię brak własnego ja.
tutaj nie lepiej, co się tyczy pogody.
ciągle chłodno. zaparzam w kuchni cza j.
ja to dziwna sprawa. figa z makiem.
łatwiej w przyjaźni znaleźć swoje ty.
albo ona w dziewczynie, wy w tłumie.
swoje nic zrozumieć, gdy rozpada się my.

Do wiernej

ach, zdjąłbym z ciebie tę religię,
która opina cię ciaśniej niż suknia!
przeciął jej materię zaciśniętą mocno
na twym kroczu, na szyi i ustach.
bo zbrzydło mi smakować twoją słodycz
przez zaparowaną szybę wyobraźni
i przeciskać się tunelem twoich zasad
po jeden gest, jeden znak niewyraźny.
zostawiłbym twe obawy na pastwę
lichwiarzy żyjących z przemijania
i nauczył, że u początku i u końca
jesteśmy wszyscy tego samego wyznania.



Rys: Wojtek Łuka

RAFAŁ WITEK



...ominęli Polanicę Zdrój (wtedy Bad Altheide)...

HENRYK WANIEK

Finis Silesiae

Jedno z dwu zdjęć, od których zaczyna się ta historia. O drugim będzie później, choć nie wiadomo które — to czy tamto? — zrobił wcześniej. Oba są z tego samego tygodnia, a dokładniej, sześciu dni, jakie spędzili w górach. Ojciec Brigitte pożyczył im samochód. *Mam do pana zaufanie*. Tyle powiedział, gdy wyruszyli w czworo. Ona. On. Emil, jej kuzyn. Beno, kolega Emila ze studiów, doświadczony kierowca. Wyjechali wcześniej rano, w niedzielę 20 czerwca (*Brachmonat*). Paul robił już zdjęcia od jakiegoś czasu, ale w roku 1937 traktował to jeszcze jak rozrywkę. Ważniejsze było pisanie powieści. Wiele o tym mówił. Za wiele. *A dlaczego robi zdjęcia? A dlatego, że wszystko pędzi do przodu. Chwila i już nie ma tego, co powinno trwać bez końca*. Jak

ten — na przykład — skłon głowy Brigitte, zdradzający ukradkowe spojrzenie. Około południa, po godzinach jazdy, zatrzymali się na skraju pola. Piękna pogoda odsłoniła bogactwo grzbietów górskich i dalekich planów. Siedzieli w trawie jedząc kanapki. Częstowali się żartami. Wobec radosnego nastroju, słonecznego nieba i górskich łańcuchów, Paul wziął z samochodu aparat. Ustawienie statywu zajęło trochę czasu. A już mieli ruszać. *Jeszcze chwila*. Zrobili mu tę przyjemność. Spieszył się. Nie wyszło. *Jeszcze raz*. Wreszcie wskoczyli do auta i pojechali. Chwila została uwieczniona w negatywie. Szczypta bromku srebra mogła ją na powrót uczynić widzialną i nieśmiertelną. Ominęli Polanicę Zdrój (wtedy Bad Altheide), będącą tłem fotograficznej scenki. Najbardziej

liczyło się w niej spojrzenie Brigitte. *Po co robisz tyle zdjęć? Takie mu pytanie postawiła; wtedy lub później? Pomagają mi cię zdobyć*. Uśmiechnęła się. Gdy pan Koslik, niecały rok potem, poprosił go o zdjęcia, gdzie byłoby sedno śląskości, od razu pomyślał o tym. Ścisłe biorąc, nie był to Śląsk. Okolice Kłodzka — mówiło się *Graftschaft* — przyszyto do Śląska dopiero za Fryderyka. O wyborze przesądziło jej spojrzenie. Zdjęcie zostało zrobione na skraju wioski, która nazywała się Ober-Schwedeldorf.

Pół wieku później, w 1998 roku, odnalazłem miejsce, gdzie Paul, pod wybujałym klonem, nacisnął migawkę. Nazwa wioski brzmiała obecnie Szalejów Górny, a po klonie nie było śladu. Ale cała reszta widoczna na zdjęciu wydaje się ta

sama. Może tylko w drobiazgach znalazłbym jakieś różnice. A fotografował przecież to, czego zaraz miało już nie być. Ale jest. Wszystko na swoim miejscu. Z wyjątkiem tamtej niedzieli słonecznej; tamtych lat i tamtych uśmiechniętych twarzy, których nie znajdę nawet ze świecą. Co do reszty, jest niezniszczalna. Zdjęcie jest tego absolutnym dowodem.

* * *

Fotografia mówi więcej niż najlepsze pióro dziennikarskie. Tak powiedział *Chef-redacteur* Koslik, który nieźle władał piórem, ale nigdy nie miał w ręku kamery. I — kto wie? — może w ogóle nie wierzył w to co mówi. Ale jego zwierzchnicy (Kirsch & Müller) życzyli sobie by *Ost-deutsche Morgenpost* (do 1921 roku *Beuthener Zeitung*) wzbogacił się o atrakcyjne zdjęcia. Ze znalezieniem zdolnych i chętnych fotografów nie było problemów, ale traf wskazał właśnie na Paula. Trudno dziś ustalić jak do tego doszło. Sam sobie go upatrzył, czy skorzystał z porady? Bardzo możliwe, że pomysł podsunęła mu sekretarka, pani Margharete Georgi. Dawniej pracowała w firmie *Fotohaus GERMANIA* przy Bahnhofstraße 32 (1. Etage) w Bytomiu. Z każdym poważniejszym problemem Paul Klose przyjeżdżał do nich specjalnie z Gliwic, choć i tam nie brakowało fachowców. Możliwe, że robił to dla Brigitte Kopitz, z którą późniejomal się nie ożenił. Pani Georgi była dla niej czymś w rodzaju ciotki. Jednym słowem; krąg znajomych, powinowatych i krewnych. Ktoś patrzący z boku mógł pomyśleć, że w tym przypadku, jak zawsze i wszędzie, wszystkim rządzi klika, sitwa oraz znajomości. Gdyby ktoś utalentowany, ale postronny, chciał tam dostać pracę, to figa z makiem. Ale skończyło się tak jak skończyło i wiadomo, że w tej sprawie myliłoby się postronne, nieżyczliwe oko.

Na pierwszym spotkaniu Paula z redaktorem okazało się, że mają wiele wspólnego; ulubione potrawy, miejsca które lubią odwiedzać, jacyś ludzie. Łączył ich entuzjazm do dyskobola Schrödera, który w 1935 roku ustanowił rekord świata (53,10 m), niezagrożony od trzech lat. O polityce ani słowa. Co prawda, na pożegnanie Koslik wymamrotał *Heil Hitler*, ale Paul wyczuł, że zrobił to dla świętego spokoju. A może nawet dla żartu? Redaktor obejrzał próbki zdjęć. Wy-

brał te, jakie jego zdaniem nadawały się do gazety. Również to ze spojrzeniem Brigitte. Koslik uznał je za dobre, nawet bardzo dobre, ale decyzja należała do szefów spółki. Obiecał, że zajmie stanowisko przychylne dla Paula. Gazeta (jej slogan reklamowy głosił: *die führende Zeitung Oberschlesien*) była adresowana do Niemców po obu stronach granicy. Prócz oddziałów w Gliwicach, Zabrze i Raciborzu, miała też polską filię w Katowicach przy Dyrekcyjnej 9. Mimo podobieństwa nazw, *Ost-deutsche Morgenpost* różnił się od *Deutsche Ostfront*, swej konkurentki. W każdym razie nie przesadzał z narodowo-socjalistycznymi i antypolskimi akcentami. Gdy w tamtej stawiano ostre pytania („*Ist Beuthen eine Deutsche oder eine polnische Stadt?*”) i udzielano agresywnych odpowiedzi, *Morgenpost* był pojednawczy na ile to było możliwe. Koslik musiał uważać. Nie chciał by kojarzono go z Karlem Koźlikiem, kuzynem, obnoszącym się ze swoją polskością. Ograniczył stosunki z tymi, którzy nie chcieli zrozumieć, że żyją po tej stronie granicy. Czasy zrobiły się nieprzyjemne i Koslik chciał je przeczekać nie sprzedając skóry.

Tytułem próby zamówił u Paula kilka fotografii; coś, co było specyficznie śląskie. *Niech będzie na nich Śląsk, Ślązacy i śląskość. Tu jest kartka do kasy, gdzie wypłacić panu zaliczkę, a o zdjęcia proszę jak najszybciej.* Paul dyskretnie spojrzał na kartkę. Nieźle. Sporo jak na pierwszą w życiu zaliczkę. Tylko co znaczy owo *Schlesiertum?* Czy na zdjęciach muszą być konieczne flagi ze swastyką i tak dalej? *Chef-redakteur* nie lubił takich pytań. Przypomniawsobie o ważnym spotkaniu i szybko pożegnał Paula. *Proszę sobie sфотографować, co tylko pan lubi, z flagami lub bez. Heil Hitler.*

Jak to rozumieć?

Bez. Oczywiście, że bez żadnych chorągwi. Pan robi piękne zdjęcia. Salomonowo rozstrzygnęła pani Georgi. Za pół roku straci pracę, mieszkanie i znajomości. Koslik też będzie miał kłopoty za zatrudnianie Żydówki. Nie wiedział? Powinien wiedzieć. *Żeby to tylko było po raz ostatni;* wielkodusznie ostrzegło go gestapo. Ale to dopiero za pół roku. Na razie Paul siedział z Brigitte na Schneiderstrasse w cukierni Ernst Odersky (za dziesięć lat będzie to kawiarnia *Obywatelska*) i podniecony zaliczką ustalał trasę ich wspólnej wycieczki: ona, on i jego aparat. Najpierw

zawiozą jej rzeczy do Leobschütz (to Głubczyce, gdzie latem ma podjąć pracę jako sanatoryjna pielęgniarka), a zdjęcia będą robić w drodze powrotnej: Ratibor, Cosel, Tost. Mówiąc inaczej: Racibórz, Koźle, Toszek. Meta w Gliwicach albo w Bytomiu, zależnie od okoliczności. Nawet nie przypuszczał, że ten niespodziewany plan sprawi Brigitte tyle radości. Ostatnio rzadko była wesoła.

Pomijając kilka zdjęć z Leobschütz, pierwszą udaną fotografię z tej wycieczki zrobił w Ratibor. W porze obiadowej na rynku zrobiło się puściej. Sfotografował barokowe Wniebowzięcie Marii. Kamienna Matka wśród kamiennych obłoków z żywą dziewczyną (w żadnym wypadku dziewczą) na dalszym planie. Na negatywie widać wydrapaną datę: 25 April 1938. Dokładnie w tydzień po wielkanocnym poniedziałku. W pliku zdjęć znalazły się dwa podpisane *wtorek, 26 April, Gross Raudenz*. To dowód, że w zaplanowanej trasie były zmiany. Rudy Raciborskie. Niebo nad parkiem klasztornym jest pogodne, ale Brigitte ma na sobie ciepły sweter. Chłodne, kwietniowe popołudnie. Następne zdjęcia to: Koźle (27), Ujazd (27) i Toszek (28 kwiecień). Ojciec był chory i Brigitte niepokoiła się trochę, więc Paul nie nalegał by pojechali do Gliwic, gdzie swobodnie dysponował mieszkaniem przyjaciela. Odprowadził ją do Bytomia i pojechał szybko do siebie, by wywołać zdjęcia. Nie był pewny czy wszystko wyszło tak, by zadowolić szefa *Ostdeutsche Morgenpost*. A przynajmniej siebie; nie mówiąc o niej; tej najważniejszej.

Spotkanie z redaktorem mogło się odbyć zaraz z początkiem maja, bo pierwsze zdjęcie ukazało się w piątkowym numerze gazety (6.5.1938). Za tydzień, również w piątkowym, następne. Jeszcze jedno później. I to wszystko. Trzy zdjęcia z serii liczącej 12 sztuk. Honorarium otrzymał raczej skromne w porównaniu z zaliczką, po której nie było już śladu. Wyobraźmy sobie, że tak jak poprzednio, Koslik nie krył zachwyty. Ale wolał nie decydować pochopnie i pokazał zdjęcia wydawcom, którzy nie kryli zawodu. *To nie jest żadna śląskość. Nikt nie uwierzy, że Śląsk to tylko chmury, łąki, drzewa i dwa podupadłe pałace. Zdjęcia ładne, owszem, ale nie dla nas. No, trudno. Trzeba się rozejrzeć za kimś, kto ma lepszą kamerę i głowę na karku.*



Mały Szczeliniec w dolinie Pasterki

Koslik spieszył się na umówione spotkanie. *Bardzo żałuję. Przecież mówiłem, że ma być śląskość. Więcej flag. Więcej dumy i siły. No cóż, wybierzemy coś z tego, ale na razie, stałe zatrudnienie nie wchodzi w rachubę. Heil Hitler!* W to ostatnie — Paul był pewny — Koslik włożył tyle złości, że w odległym Berlinie musiał Führera w tej samej sekundzie szarpnąć niezaleczony artretyzm. Nie powiedział niczego Brigitte. Miała dość swoich trosk; choroba ojca, egzaminy, wyjazd. Za parę dni udawała się do pracy — przeszło sto kilometrów

— i może już przeczuwała pogrzeb, który ją czeka we wrześniu. Pokazał jej tylko te zdjęcia, na których gościła. Spojrzała nieuwważnie. Tak, to ona. Pod starą jodłą w rudzikim parku. Klęcząca w trawie na tle kościoła. w Koźlu? A tu, rynek w Raciborzu. Domy, po których sześć lat później nie będzie śladu. Tam, w podcieniach, ledwo widoczna postać. To też ona? Na fotografiach wyglądamy zupełnie inaczej. Tak bardzo różnimy się od tego, co wiemy o sobie, że czasem doprawdy trudno rozpoznać. *A co ci powiedział Koslik?* Paul zawahał

się. Co powiedział? Zbliżył się do ucha Brigitte i szepnął jak sekret: *Powiedział Heil Hitler.*

Roześmieli się oboje. Szczerze i radośnie. Ona chyba po raz pierwszy od tygodnia. Goście *Konditorei Ernst Odersky* spojrzeli od stolików. Czy słyszeli szept Paula? Nie. Chyba tylko śmiech. Zresztą sami się uśmiechali. W porządku. Brigitte spoważniała. Pora do domu. Do ojca i jego astmy. Paul do Gliwic i przechodniej izby w mieszkaniu rodziców. Powinien już dawno się wyprowadzić, ale matka by mu tego nie wybaczyła. Co z tego, że ma

dwadzieścia siedem lat? (*Dwadzieścia osiem, matko!*) Jak sobie znajdzie żonę, to się do niej wyprowadzi. A na razie jego miejsce jest tutaj: Kreidelstraße Nr. 14, tuż naprzeciwko magazynów firmy BA-GRO. W tramwaju przejrzał fotografie zwrócone przez Koslika. Ktoś zajrzał mu przez ramię. *Piękne zdjęcie*. Paul podsunął ją patrzącemu. Czy poznaje, co jest na fotografii? *Pewnie, że poznaje. Racibórz. Ratusz w Raciborzu*. Za siedem lat będzie to tylko kupa cegieł i spalonego drewna. Paul podsuwa fotografię jeszcze bliżej oczu tamtego. *A czy to jest śląskie? Czy w tym widać jakąś śląskość?* Zapytany może nie rozumie takiego ujęcia sprawy. Milczy. Coś rozważa. Kręci głową. *To zrozumiałe. Na pewno. Przecież to jest Śląsk. Górny Śląsk. Racibórz*.

Za Bobrkiem tramwaj zostaje zapieczętowany. Aż do Borsigwerk, z podstarzałym Schupo na stopniach, będzie eksterytorialnym kawałkiem Trzeciej Rzeszy, przycinającym kawałek Polski. W oddali widać światła Ruda-Hammer, kominy koksowni i ciemne sylwety hałd. Po czterech-pięciu minutach jazdy po polskich torach, Schupo zrywa plombę i zeskakuje ze stopni. Coś tam woła do grupki Grenzschutzwów, ale tramwaj jedzie dalej, wszystko zostawiając za sobą.

W domu, poza matką, która jeszcze nie spała i ojcem podrzemującym przy radiu, czekał na niego list. Pieczętka na kopercie mówiła *Landesfremdenverkehrsverband Breslau*. Otworzył kopertę ostrożnie, jakby to była puszką Pandory. *Drogi Panie Klose; miło nam donieść, że jego fotografie zostały zaakceptowane do broszury przedstawiającej najpiękniejsze miejsca na Śląsku*. Paul przerwał czytanie listu. Matka patrzyła niespokojnie. Zapewnił ją, że to dobre wiadomości. *Jak na dzisiaj, zdumiewająco dobre*. Umył się. Zapalił lampkę nocną. Wziął teczkę ze zdjęciami i położył się do łóżka. Przeglądał fotografie, które dwa miesiące temu wysłał do Wrocławia. Sięgnął ponownie po list. *Będą tam zdjęcia najlepszych fotografów śląskich, między innymi Klette, Bauch i Schumm. Szczerze gratulujemy i załączamy czek. Liczymy na dalszą współpracę. Heil Hitler*. I podpis: *Dr. Hugo Reiber, wydawca*.

Powrócił doteczki ze zdjęciami z ubiegłego lata. Najpierw te z czerwca. Znał Brigitte już od pół roku. Podróżowali we czworo samochodem jej ojca choć marzył, by być tylko z nią. We wrześniu roz-

począła ostatni rok nauki w Wyższej Szkole Pielęgniarstwa. Z początkiem sierpnia zaproponował jej następną wycieczkę w góry. Pociągiem i pieszo. Poza pragnieniem jej ciała, wziął na drogę pudełko klisz o niskiej czułości i trochę niewygodny statyw. Pociąg wyruszał z Bytomia dokładnie o północy. *Jak na spotkanie duchów*. Tak powiedziała Brigitte i nad ranem przesiadali się w Głatz do pociągu, jadącego w kierunku Waldenburg. Znowu przesiadka w Mittel-Steine, aż dojechali na sam koniec świata. Dalej nie było po co. *Wünschelburg, aussteigen!* Kłodzko. Wałbrzych. Ścinawka Średnia. Radków. Tak będą się nazywać te stacje niecałych osiem lat później. Tymczasem było słoneczne, sierpniowe przedpołudnie; rześkie, górskie powietrze i piękna jedynaczka, którą sobie wypatrzył w Bytomiu. To wtedy zaczął się ich romans. Dlaczego nie została jego żoną? Dzisiaj, po pięćdziesięciu latach, kto znajdzie odpowiedź na tak proste pytanie?

Przejrzał jeszcze kilka zdjęć. Te z nią i bez niej. Kleiły mu się oczy. Odłożył teczkę i zgasił lampę. W szparze światła pod drzwiami mignął kilkakrotnie cień ojca. Skończył drzemkę i wyłączył radio zaraz po tym, jak ktoś tam powiedział *Heil Hitler*. Zrobiło się ciemno, cicho i spokojnie. Ale w zakamarkach nocy czaiły się nieprzyjemne sny.

* * *

Fotografia: *Die Kleina Hausscheuer van der Passendorfer aus*.

Odwrotnie niż z tamtym zdjęciem, pamiętał kiedy i jak powstało. Sobota, 25 maja, popołudnie. Za jakąś godzinę — nie później — wsiądą do samochodu. Około dziesiątej będą w Bytomiu. Pan Kopitz okaże zadowolenie z nienaruszonej kondycji wędrowców, a szczególnie samochodu. Ale to będzie później. Na razie jest godzina czwarta, słońce dawno przekroczyło zenit. Także ich dobre nastroje są poza zenitem. Emil i Beno siedzą przed gospodą z kufelkami. Paul z Brigitte i swym poręcznym aparatem wykorzystuje ostatnią chwilę. Idą przez łąkę spadającą ku radkowskim uriwskom. Na białym pomalowanej strzałce: Nach Posna Wasserfälle. Na innej: Nach Nausenei. *Byłam przez te dni bardzo szczęśliwa*. A właściwie nic wielkiego się nie stało. Dużą część nocy świętojańskiej spędzili na pobliskiej górze. Paul znał jej zakamarki. Zapro-

wadził ich tam, gdzie właściwie nikt nie chodził. Byłoby jak u pana Boga za piecem, gdyby nie sąsiednia góra — ulubione miejsce krzykliwych piwoszy — oraz odgłosy zabaw w dolinie Pasterki, wówczas Passendorf. Mały Szczeliniec. Kleine Hausscheuer. Mieli coś na przekąskę i butelkę mozelskiego wina. Może w mroku odciągnąć ją od ogniska, przy którym siedzieli we czwórce. Łatwo mogli ich zgubić w skalnym labiryncie. Tak przynajmniej sądził w świetle dnia. W nocy całe otoczenie zrobiło się groźne i podstępne. Wziął jej dłoń i milcząco zachęcił by poszła za nim. Przez jakąś chwilę nie reagowała. Potem odwróciła się ku niemu tak, że zobaczył światło ognia na jej policzku i włosach. Tego by się nie dało sfotografować. Szkoda. Powiedziała ściszym głosem, że lepiej zrobią zostając tutaj. Mimo, iż tamci, zajęci rozmową, nie spostrzegliby niczego. Ufał jej, że wie co mówi, więc nie nalegał. Chyba z tego powodu nazajutrz Brigitte wypełniło poczucie winy. Niepotrzebnie. *Stań tutaj. Chcę cię sfotografować na tle tej góry*. Poprawił przysłonę. Nastawił czas. Ustawił kadr. Jeszcze ostrość. W obiektywie było wszystko. Łąka. Jakieś zioła. W głębi droga. Las na zboczu. Skały koronujące szczyt, wystające nad wierzchołki drzew. Stała dziesięć metrów dalej. Nieruchomo. W tej samej sukience, w której jest na zdjęciu z okolic Polanicy. Cekał cierpliwie aż odwróci twarz i spojrzy tam, w kierunku tej najbardziej smutnej góry jaką znał. Nieraz chodził tam samotnie. A teraz czuł, wiedział i był pewny, że któregoś dnia muszą tam pójść razem. Tylko on i ona. Zdejmą z tej góry smutny czar i pokaże jej taką przestrzeń, jakiej nie widziała nawet we śnie. Taką, jakiej w ogóle nie da się sfotografować. Jak sen, który jest niedostępny dla obiektywu. Pstryknął. Usłyszała trzask migawki, odczekała chwilę i odwróciła ku niemu uśmiechnięta. Podeszła z prośbą, by kiedyś jeszcze zabrał ją tutaj. *Tylko ty i ja. Przyszekasz?*

Zawołał ich Emil. Właśnie opróżnili kufle. Właśnie kończyło się popołudnie. Właśnie do gospody zwała się grupa hałaśliwych Hitlerjugend. Pora ruszać. Z zapartym tchem jechali serpentyną do Wünschelburga. Tam nabrali benzyny i już z pośpiechem ruszyli w długi, kilkugodzinny powrót.

Ja tutaj przyjeżdżam po skarby

— Witam cię Henryku w Katowicach. W mieście, które nosisz w sobie cały czas i do którego przyjeżdżasz bardzo często. Chciałbym porozmawiać z tobą chwilę o pejzażu tego miejsca — jaki widzisz, jaki pamiętasz, jakiego się domyślasz.

— Pejzaż Katowic jest bardzo ciekawy, jest arcyciekawym. To, co ja wożę, to świat upiększony przez wielką ilość wspomnień, sentymentów, trochę przekształcony przez kolejne fale różnych architektonicznych nowości. Ostatnio mniej, ale był taki okres, kiedy przyjeżdżałem do Katowic po uczucie niezbyt budujące. Że odwiedzam miasto, w którym jest najwięcej miejsc po ludziach i sprawach przebrzmiałych. Mówię o tym, bo to sprawia rodzaj perspektywy sentymentalnej, z niej patrzy się na pejzaż inaczej niż z perspektyw klasycznych, czyli „żabiej” albo „lotniczej”, albo tej najbardziej trywialnej, z której bezwiednie patrzymy najczęściej na to, co nas otacza.

— Kiedy mówisz o „pejzażu sentymentalnym” — masz na myśli zdarczenia z własnej biografii czy także miejsca i sprawy, kiedy nie było jeszcze Henryka Wańka? Czy interesują cię np. stare fotografie tego miasta?

— To jest temat wielopiętrowy i najłatwiej zacząć go od stwierdzenia, że do szkoły podstawowej musiałem przebiegać przez sporą część śródmieścia, że do Liceum Ogólnokształcącego przebiegałem również sporą jego część, później w okresie studiów także sporą część — a wszystkie kierunki prowadziły mnie w inne strony świata.

— Wiem, że mieszkałeś w centrum.

— Dokładnie w samym środku Katowic, ul. Młyńska. To ten dom, który ocalał po wyburzeniach w latach 60., kiedy budowano obelisk dworzec PKP. Pamiętam oczywiście obie pierzeje tej ulicy i wszystkie jej szczególności. Ale pada w naszej rozmowie cały czas słowo „miasto”.



Z HENRYKIEM WAŃKIEM
rozmawia MACIEJ M. SZCZAWIŃSKI

Tymczasem ja bym do Katowic tego słowa właściwie nie odnosił, ponieważ w czasach dzieciństwa, młodości, w czasie studiów to Katowice, jak się dobrze rozpędzić, można było obieć w kwadrans lub niewiele więcej. Czyli zaraz za ulicą — wówczas Armii Czerwonej, zaraz za rondem były pola, jakieś budynki gospodarskie...

— Dwór Marii...

— Dwór Marii to była wtedy siedziba — o ile pamiętam — Zakładu Oczyszczania Miasta, ale ślady zabudowy folwarcznej, bardzo wybudanej zresztą, no siła wyrażne. To samo, gdy się przekraczało np. ulicę Bogucicką. Zaraz za nią zaczynała się wiocha, dokładnie to samo na południu, Katowice urywały się na Parku Kościuszki.

— Zatem mówimy z jednej strony o czymś, co miastem było tylko do pewnego stopnia, a z drugiej strony przeciw Katowice — miasto wojewódzkie. Centrum lokalnej administracji.

— Ja pamiętam, że nawet w samym śródmieściu, w podwórkach, w ofic-

nach widywało się jeszcze takie domki, które dzisiaj z odrobiną szczęścia można jeszcze zobaczyć na Opolszczyźnie albo na Dolnym Śląsku. Jeśli ocalały. Takie domki mieszkalne dla ni to robotników, ni to rolników, z chlewikami, gdzie można było kozę, parę królików czy kur hodować. I to wszystko znajdowało się dokładnie w centrum miasta. Np. ulica Wawelska, ul. 3 Maja, Stawowa... Ale nawet dzisiaj jeszcze można — mając wprawne oko — zaobserwować, że ta rustykalna przeszłość, przeszłość jawnie wieśniacza nie jest wcale tak bardzo odległa. Myślę nawet, że w pewnym sensie — i na szczęście — mentalność wielu mieszkańców centrum zachowuje jeszcze ślady pogranicza między miejskością a wiejskością.

— Czy masz w Katowicach jakieś szczególnie ważne, ulubione miejsce, które częściej niż inne odwiedzasz? A jeśli tak, to dlaczego?

— Mam, od lat. Nazwa „miejsce” jest w tym wypadku wyjątkowo odpowiednia, bo po całej dekoracji, w jaką kiedyś było spowite, nie zostało ani śladu. To okolica obecnego pomnika Powstańców Śląskich. Ci, którzy pamiętają jak tam było wcześniej — wiedzą, że dokładnie na rogu ówczesnej Armii Czerwonej i Roździeńskiego znajdował się niewielki cmentarz żołnierzy radzieckich. Ich życie zakończyło się tu, w Katowicach, gdzie zresztą nie było żadnych wielkich działań wojennych, zatem spoczywały tam ofiary zapewne jakichś innych przypadków, zdrowotnych czy życiowych. I co mnie zawsze zdumiewało, to pewna łatwość, z jaką ten cmentarz — a ja byłem świadkiem tego zabiegu — przy pomocy kilku spychaczy i wywrotki wywieziono w inny rejon miasta. Tak się czasem zastanawiam... Czasy I sekretarza KW Edwarda Gierka — to wydarzenie, które na mnie zrobiło wtedy wrażenie jakiegoś wielkiego sabotażu politycznego. Tak wziąć i koparkami te „re-

likwie” politycznych bohaterów przetrzucić w inną stronę, żeby zainstalować pomnik Powstańców Śląskich... Wagę tego wydarzenia chyba dopiero teraz sobie uświadamiam.

— **Urzeczony jesteś tym miejscem właśnie z tego powodu?**

— Oczywiście nie, bo jest interesujące zwłaszcza z wcielenia, jakie miało jeszcze zanim ten cmentarz się tam pojawił 1947 roku. Otóż wcześniej był tam park przypałacowy. Po pałacu nie ma już śladu, na jego miejscu stoi chyba dokładnie Hotel „Katowice”. Był skromny, bez szczególnych walorów architektonicznych, taka sobie rezydencja w stylu połowy XIX wieku, trochę potem zapuszczony, ale też ocalałym w dużych fragmentach parkiem.

— **I właśnie to miejsce w Katowicach lubisz szczególnie.**

— Tak, bo wydaje mi się — nie wiem skąd takie moje przecucie czy czysta intuicja — że jest to chyba w Katowicach punkt węzłowy. Że pewne lokalizacyjne procesy osiedleńcze czy też plan urbanistyczny miasta — gdzieś tam musiały się zaczynać. Z urzeczenia tym miejscem, z przeświadczenia, że tam jest właśnie ten węzeł, ten początek — nasunęło mi się kiedyś pytanie: w oparciu o jakie ważne względy wyznaczono u nas miejsca pochówku bohaterów Armii Czerwonej? Bo i w Warszawie, i we Wrocławiu jest problem podobny. Te cmentarze są wyznaczone w miejscach nieobojętnych dla planu miasta. Co prawda nie wkraczają za bardzo w centrum, ale jednocześnie akcentują coś, co w pejzażu ma jakieś szczególne znaczenie. Nie da się tego znaczenia jakoś precyzyjnie zwerbalizować, natomiast wiadać to gołym okiem.

— **Czy są jeszcze jakieś inne powody twojej fascynacji?**

— Urzeczenie tym miejscem ma też wyjaśnienie w pewnym rozkładzie hydrologiczno-komunikacyjnym, sprawdziłem to kiedyś na starych planach Katowic. Otóż był to ongiś teren wielkiego rozlewiska, bo Rawa była kiedyś wielce rozlewistą rzeką i otaczała ją w tych rejonach kilka samodzielnych stawów. Również po nich nie ma dziś śladu. Więc było to pierwsze suche i dające się jako tako zagospodarować miejsce na obszarze otaczającym centrum Katowic na brzegu rzeki.

Ale dozorca kamienicy, w której spędziłem dzieciństwo, osoba bardzo sędziwa, był górnikiem jeszcze w latach poprzedzających I wojnę światową — mieszkał w Załężu i chodził na szczytę do kopalni „Ferdynand”, obecnej „Katowice”. I on mi opowiadał, jak to z Załęża do kopalni „Ferdynand” szedł przez brzozy lasek, ścieżką, a w okolicach mniej więcej dzisiejszego rynku był... prom, którym się przeprawiano na północny brzeg Rawy. I stamtąd już miał parę kroków do kopalni.

Dzisiaj kiedy idzie się przez Katowice, to ta prawda o niedawnej przeszłości miasta — bo to w końcu przeszłość, która nie liczy więcej niż 150 lat — jest też widoczna. Stare, dawne, niegdysiejsze

Katowice gdzieś tu są, zapisane w mniejszych i większych szczegółach. Czasami w nazwach ulic. Nazwa ulicy Stawowa wskazuje wyraźnie, że były tam jakieś stawy. A jeśli dzisiejsi mieszkańcy tej okolicy w okresie letnim muszą zamykać nocą okna nie tylko z powodu bliskości kolejowego dworca, ale także wielkiej plagi komarów, jaka tam ma miejsce — to widać, że te komary jeszcze te stawy muszą pamiętać i kto wie, może nawet do nich tęsknią?

— **Napomknąłem o starych fotografiach miasta. Nie mam wątpliwości, że lubisz te stare zdjęcia, ich klimat, ale też ich konkretną i detaliczną wiarygodność.**

— Mam wiele w pamięci, ale to co na papierze liczy się jednak bardziej, przede wszystkim jest kolektywne. Nad tym można się zatrzymać i rozmawiać. W latach 70. ilekroć byłem w Niemczech, szukałem po księgarniach wydawnictw typu: „Kattowitz gestern”, „Kattowitz Oberschlesien” itp. I co ważniejsze znajdowałem te albumy bez większego trudu, albumy z kompletem starych, ale wyraźnych fotografii. I było niezwykle porywające zobaczyć nagle jak to co znam wyglądało wcześniej. Dzisiaj już bez przeszkód ukazują się liczne dokumenty, również fotograficzne, portretujące miasto. Tu koniecznie trzeba wspomnieć z wielkim podziwem i uznaniem p. dra Lecha Szarańca, który wydaje książki i komponuje arcyciekawe wystawy dokumentujące Katowice dawne i obecne. To wszystko się bardzo liczy. Utrwalenie malarskie czy fotograficzne pejzażu ma znaczenie ogromne. I niekoniecznie jest to od razu znaczenie artystyczne. Powiedziałbym nawet, że im mniej jest tych względów artystycznych, tym lepiej. Sztuka ma swoją prawdę, tzn. artystyczną prawdę. Ale ja jestem przekonany, że słowo prawda może się doskonale obejść bez przymiotników. Ja do prawdy artystycznej mam mniej więcej taki sam stosunek jak do kłamstwa, natomiast do prawdy dokumentu już takiego stosunku mieć nie mogę. Bo prawda dokumentu pozwala na bezkarne podróże w czasie.

— **Bezkarne?**

— Tak, bo wyobraźmy sobie jednak, że nad naszym cofaniem się w mniej lub bardziej odległą przeszłość czy wybieganiem w przyszłość ciąży zawsze jakaś sankcja pomyłki, błędu, nadużycia.

— **Zatem bezkarne, bo bez naszej aktywności.**

— Właśnie, nie nasza zasługa. Ktoś to zrobił i naszym miłym zadaniem jest zamieszkać na chwilę w jakiejś fotografii, podsłuchać jakąś rozmowę, która toczy się między jakąś kobietą i mężczyzną — np. przed starym katowickim dworcem lat temu 60, 80? I zawsze, kiedy mam do czynienia z takim dokumentem, pociąga mnie próba reanimacji tego minionego świata. Reanimacja prawdy niekoniecznie artystycznej, prawdy o czasie, o miejscu, którego to dotyczy, ludzi, których pokazuje.

— **Mieszkasz od lat w Warszawie. Dużo podróżujesz, właściwie odkąd**

cię znam, wracasz, albo wyruszasz w mniej lub bardziej daleką drogę. Także twoje książki są wyprawami w światy raczej odległe od lokalnego kolorytu, o jakim tu z takim zjawstwem i rozsmakowaniem rozprawiasz...

— No wiesz, przemieszkałem tu, w Katowicach, 25 lat, jak by nie było ćwierć wieku, „naszym ojcem jest dzieciństwo” (Baudelaire)... Ale nie chciałbym szukać tego typu bardzo pięknych zresztą i myślowo żyznych odniesień na temat „ile dzieciństwu zawdzięcza dorosłość”. Bo poza moimi prywatnymi sentymentami — Śląsk jest miejscem bardzo szczególnym. Nie można powiedzieć, że bardzo pięknym, ale w sensie merytorycznym Śląsk okazuje się zawsze zagłębiem bardzo wielu kulturowych problemów. Nie ma tu Luwru, nie ma Bazyliki św. Piotra, ale są — być może zrazu niewidzialne — poważne złoża prawdy o losach Europy. Przynajmniej w tym ostatnim wycinku historycznego czasu, czyli wiek XVIII, XIX, XX. Zatem moje uczucia nie są jak widzisz do końca bezinteresowne. Ja tutaj przyjeżdżam po skarby.

— **Czy nie zauważasz jednak postępującej erozji tego świata? Mam na myśli zarówno materialne zmiany i przekształcenia jak i powolne ciemnienie czy wręcz zanikanie klasycznie śląskich rudementów.**

— Tak było zawsze. Także wtedy, kiedy mocą wszelkich politycznych sił sprawczych, usiłowano upodobnić Katowice do powiedzmy — Donbasu. Nawet nazwa Stalinogród była elementem tego procesu. Także — nazwijmy to tak — działania etniczne, czyli sprowadzanie ogromnych mas ludzkich do czarnej pracy w zakładach strategicznie ważnych. Ale tak jak się „zsilesianowali” przybysze z kresów wschodnich, w Gliwicach czy Bytomiu, gdzie zaśpiew kresowy nakłada się np. na repertuar śląskich przekleństw — „ta, pierunie!” tak też moc tego miejsca ma swoją odporność... Świat się zmienia, czas mija. Dokonują się bezustannie jakieś procesy obumierania i pojawiania jakichś nowych rzeczy, nie ma na to rady. Problem odwieczny, taki heraklityjski melancholijny problem. Ale na prywatny swój użytek myślę sobie, że w pejzażu to zmieniają się śmieci. To drugorzędne i nieważne. Piana na powierzchni procesów historycznych szumi, syczy, bąbelki pękają, ustępują miejsca innej pianie, jedne śmieci wycofują się przed drugimi, ale poza tym wszystkim jest coś, o czym wiedział niedościgniony autor Sherlocka Holmesa. Po niedopałku cygara jego bohater potrafił np. odgadnąć wzrost osoby, która je paliła, jej maniery, klasę itd. Otóż jak się patrzy na pejzaż i widzimy niedopałki, to przy odrobinie wysiłku może da się określić pierwotny wzrost tego pejzażu?

— **I pierwotne maniery tej okolicy.**

— Wierzę głęboko, że jest to możliwe. Księga naturalnie pisana jest sztyrem, ale jest on do odczytania.

Mam nadzieję, że w chwili, gdy słowa te trafią do czytelnika, pomnik Wojciecha Korfanteo nareszcie stać już będzie na katowickim Placu Sejmu Śląskiego, a więc niedaleko monumentu Józefa Piłsudskiego. Tym samym skrzyżują się spojrzenia dwóch wielkich polityków i dwóch wielkich antagonistów. Gdyby ktoś im powiedział, że po wielu latach przyjdzie im zastąpić w spżu tak blisko siebie, na pewno by w to nie uwierzyli.

Nie ulega wątpliwości, że dla nas ówczesne spory polityczne nie mają już takiego znaczenia i nie dostrzegamy niczego niestosownego w takim sąsiedztwie i w kojarzeniu obu tych postaci z procesem dochodzenia do Polski niepodległej. Jest to usprawiedliwione, bo 11 listopada 1918 roku na Górnym Śląsku oznaczał tyle, co w całej Europie: była to data zakończenia I wojny światowej. Ale bynajmniej nie była ona równoznaczna z niepodległością. Jeśli jednak przyniosła radość, to choćby tylko dlatego, że wielu udrczonych wieloletnią wojną żołnierzy-Ślązaków mogło powrócić do rodzinnych domów.

Zresztą nawet w odniesieniu do innych obszarów II Rzeczypospolitej datę tę trzeba traktować jako umowną, symboliczną, bo ona w wielu częściach kraju wyprzedziła późniejsze wydarzenia i ostateczne rozstrzygnięcia graniczne. W innych razach — była tylko potwierdzeniem faktów już wcześniej urzeczywistnionych. To przypadek choćby Księstwa Śląska Cieszyńskiego, które już 28 października proklamowało swą niepodległość i ogłosiło chęć przyłączenia się do nie istniejącej jeszcze na mapie politycznej Rzeczypospolitej Polskiej. Tego samego dnia wolność ogłosił Kraków.

Na ziemiach zaboru austriackiego „jutrzienka swobody” rozbłysła więc nieco wcześniej. Wiązało się to z ogromnym rozprężeniem, jakie nastąpiło w wielonarodowej armii cesarskiej. W pewnym momencie żołnierze, pozbawieni sprawnego dowództwa i rozkazów, masowo opuszczali koszary i udawali się do domów; każda nacja w swoim kierunku. Niepodległość niejako więc spadła na część dawnych terytoriów polskich. Niektórzy historycy skłonni są nawet twierdzić, że cały wysiłek bojowy Polaków walczących na wszystkich frontach tej wojny, nierzadko zresztą po przeciwnych stronach, nie miał na ówczesne rozstrzygnięcia większego wpływu. Decydujący był rozpad wewnętrzny imperiów, które dotąd dzieliły między siebie etnicznie polskie ziemie. Nawet jeśli się z tym zgodzić, to jednak listopadowe i późniejsze tygodnie w dużej już mierze zależały od Polaków i ich politycznych, zresztą różnorodnych i niekiedy wzajemnie się zwalczających, reprezentacji. Polityczna obecność, także ta militarna, była niewątpliwie wtedy bardzo ważna, bo mogliśmy Europie, ciągle niepewnej losu Polski, pokazać wolę

ścierki i rozdroża

Wykuci w brązie

zbudowania odrębnego państwa i gotowość obrony jego rubieży.

Tak było zresztą na wspomnianym już Śląsku Cieszyńskim. Czesi, roszczeni pretensje do tego regionu i sięgający swymi ambicjami nie tylko po Cieszyn, ale i Bielsko, Skoczów czy nawet Racibórz, w styczniu 1919 roku zajęli cały Cieszyn. Dopiero półtora roku później zadziałał na tym obszarze arbitraż państw sprzymierzonych i utrwalono granicę międzypaństwową. Zresztą taką samą, jaka dzisiaj w tym miejscu obowiązuje.

Pruska część Górnego Śląska jeszcze dłużej musiała czekać na rozstrzygnięcia. W roku 1918 Niemcy nawet słyszeć nie chcieli o podziale tego regionu, tym bardziej że właśnie tracili na rzecz Francji Alzację i Lotaryngię i bez kopalń oraz hut śląskich stałoby się państwem ekonomicznie ubogim, zwłaszcza że koszty wojny i późniejszych reparacji boleśnie odbiły się na życiu społeczeństwa niemieckiego. W listopadzie roku 1918 polskojęzyczni Ślązacy mogli tylko marzyć o przyłączeniu ich do Polski. Perspektywa wydawała się wtedy bardzo odległa, wręcz nierealna. Dopiero następne miesiące i lata przyniosły znaczące przyspieszenie. To powstania śląskie i plebiscyt stanowiły nowy, istotny budulec zmian terytorialnych, uznanych w końcu przez mocarstwa zachodnie.

W roku 1918 osłabione Niemcy nadal mogły liczyć na zachowanie tych ziem. Angielski premier, David Lloyd

George, właśnie w tym czasie miał wypowiedzieć znamienne słowa, że „wcześniej dałby małpie zegarek niż Polsce Górny Śląsk”. Te słowa dobrane ilustrują ówczesny stosunek Zachodu do aspiracji polskich. Wprawdzie Francja i Wielka Brytania już wcześniej uznały potrzebę odrodzenia państwowości polskiej, to jednak droga do ustanowienia i utrwalenia jej granic była bardzo odległa.

Ta angielska inwektywa pośrednio oświeśla również ramy polityczne, w jakich mogły się poruszać polskie władze w Warszawie. To prawda, że naczelnik Piłsudski zwracał swą politykę w stronę rubieży wschodnich, a nie zachodnich. Nie wynikało to jednak z jakiejś irracjonalnej niechęci żywionej do Śląska i Ślązaków, o co był w późniejszych latach często oskarżany. Po prostu — w roku 1918 i dwóch następnych losy całego państwa polskiego, zagrożonego przede wszystkim agresją bolszewicką, właśnie na wschodzie się rozstrzygały. Tam ulokowało się polskie „być albo nie być”.

Z perspektywy śląskiej nigdy się tego elementu nie dostrzegało, w skrajnych przypadkach natrętnie powtarzając, że Piłsudski nie tylko nie znał, ale wręcz nie chciał Śląska. To niedopuszczalne uproszczenie, tym bardziej że jeszcze jako konspirator związany z PPS, bywał na początku wieku na Śląsku, w tym w Katowicach.

Niemniej prawdą jest, że po roku 1918, a zwłaszcza po zamachu majowym, obóz polityczny Piłsudskiego nie miał łatwego życia w województwie śląskim. Przejął wprawdzie, jak wszędzie, pełnię władzy, ale na przykład w Sejmie Śląskim musiał liczyć się z większością opozycją. Ta zaś kojarzyła się z nazwiskiem Korfanteo. Również prawdą jest, że Piłsudskiemu zabrakło wyobraźni, gdy trzeba było zjednywać sobie śląski lud i pozyskać jego dusze, choćby tylko symbolicznymi gestami. W efekcie — to nie on, a inny wybitny legionista, czyli generał Stanisław Szeptycki, odbierał w roku 1922 na moście granicznym w Szopienicach śląską przysięgę wierności Polsce i to Szeptycki, a nie Piłsudski jako pierwszy przyjechał do polskich już Katowic i polskich Piekarów.

Chwilę później w Warszawie formułowano nowy rząd. Na jego czele stanąć miał pierwszy Ślązak, Wojciech Korfanty. I prawdą jest, że to właśnie veto Piłsudskiego stało mu na przeszkodzie. Gdyby tak się nie stało, zapewne inaczej potoczyłyby się wtedy polityczne losy międzywojennego Śląska, a i postać marszałka co innego by znaczyła w pamięci Ślązaków.

KRZYSZTOF KARWAT

Siemianowice Śl., choć stosunkowo młode jako municipium (prawa miejskie w 1932 roku), jak większość innych w okręgu przemysłowym lokacji, początkami swymi sięgają głęboko w średniowiecze. Od XV do końca XVII w. należały do myslowickiej linii rycerskiej rodziny Mieroszewskich, po krótkim okresie władania nimi przez Huntera von Grandon, w 1718 r. przeszły w ręce Hencklów von Donnersmarck. Rezydencją siemianowickiej (katolickiej) gałęzi Hencklów siemianowicki pałac został około 1740-1760 r., nieustannie odtąd się rozrastając. Istniejący zapewne już w XVI w. dwór został najpóźniej w połowie XVIII w. rozbudowany w stylu późnobarokowym w rodową siedzibę. Najstarsza jego część w głównych zarysach odpowiada typowym śląskim założeniom pałacowym z II połowy XVII, a zwłaszcza XVIII w. i ma wiele cech wspólnych z ówczesną architekturą rezydencjalną Czech, Małopolski zachodniej i północnych Moraw.

Był to wtedy zamknięty w czworobok spory kompleks z charakterystyczną, do dziś zachowaną w pierwotnym kształcie wieżą bramną, otwierającą od wschodu wjazd na dziedziniec. Przestrzeń użytkową rezydencji powiększono w latach trzydziestych XIX w., być może według planów któregoś z uczniów (z kręgu Karola Friedricha Schinckla. Wyrażnie dostawione do barokowego korpusu dzisiejsze skrzydło południowe, z charakterystycznym ryzalitem dawnej oranżerii, zrealizowano w obowiązującym wówczas neoklasyzystycznym i romantyzującym porządku. W efekcie powstał znaczący obiekt, zdumiewająco długo lekceważony przez oficjalną historię sztuki (vide pseudoustalenia wieku siemianowickiej rezydencji).

Jeszcze dziś stojąc w środku dziedzińca, z łatwością wyróżnić można najstarszą część tego „Wcale imponującego” założenia pałacowego, która flankuje dziedziniec od północy. Prawdziwą ironią losu, przykryty łamanym, tzw. polskim mansardowym dachem, dawny dwór Mieroszewskich jako pierwszy człon zachowanego kompleksu zaczął się na naszych oczach chylić ku, powstrzymanej chwilowo kontrowersyjną wymianą owego dachu kilka lat temu, ruinie. Choć, dokładniej mówiąc, najpierw los dopadł oficyny południowej, stanowiącej czwarte skrzydło barokowego założenia, widocznej jeszcze na planie w katastrze miejskim z 1933 r. Rozebrano ją do fundamentów niedługo potem, w lipcu 1934 r.

Detali architektonicznych, w czystym kształcie zwłaszcza, nie mówiąc o wyposażeniu wnętrza, zostało rozpaczliwie mało. Reprezentacyjną fasadę dawnej oranżerii, ze słynną salą balową w centralnej części obecnego południowego skrzydła, dziś już z trudem można sobie wyobrazić w kształcie pierwotnym. A przecież celom reprezentacyjnym pałac, w swej zasadniczej części, jak to wiemy choćby z pamiętników Zofii Kirkor-Kiedroniowej, służył praktycznie niemal do połowy naszego



Pejzaż mitologiczny

Pałac dziwnie zapomniany (2)

ANTONI HALOR



stulecia. Po sprzedaniu i opuszczeniu go przez ostatnich mieszkańców z rodu Hencklów, był siedzibą kolejnych dyrektorów koncernu „Zjednoczone Huty Królewska i Laura”. Potem już tylko w użytkowaniu kopalni „Siemianowice” (dziś byłej). Wtedy rozpoczęła się stopniowa dewastacja obiektu. Chałupnicze przeróbki i remonty prawie całkowicie zatępiły dawny rezydencjalny charakter rodowej siedziby. Zmarł też otaczający pałac stary park. Rosnące w nim wspaniałe, kulkusetletnie dęby, prastare buki, klony, lipy i platany, nazywane zabytkami przyrody już w latach dwudziestych, pozostały dziś w znacznej mierze wspomnieniem, a na ich miejsce nie zasadzono nic równie szlachetnego.

Powojenni mieszkańcy pałacu (wschodnią i zachodnią jego część, a przede wszystkim reprezentacyjne skrzydło południowe zamieniono na mieszkania, służące do niedawna pracownikom kopalni) na ogół mieli świadomość niezwykłości tego miejsca i krążyło wśród nich mnóstwo przedziwnych o nim opowieści. Historie te były jeszcze w bardzo żywym obiegu w latach 60. wśród uczniów szkoły górniczej, mieszczącej się aż do 1968 r. w zachodnim skrzydle pałacu, na którego osi mieści się dawna kaplica pałacowa. Mimo zdumiewającej beztroski i braku szacunku dla starych murów, które dla doraźnych celów arbitralnie rozpruwano i niszczone, nikt przecież nie miał wątpliwości, że miejsce jest szczególne, w jakimś stopniu niepokojące, i w rezultacie budzące respekt.

Onegdaj usłyszałem, że znana z różnych dawnych opowieści sławna Biała Dama siemianowickiego pałacu to hrabina Wanda z Gaszynów, która wprawdzie wyjechała na „stare lata” do rodzinnego zamku w Polskim Krawarzu, i tam umarła, nocą wraca jednak do miejsca, w którym spędziła całe dorosłe życie i błądzi teraz po ścieżkach parkowych bolejąc nad upadkiem swej dawnej rezydencji. Ładny pomysł. Niestety dość elegijny. Zwłaszcza, gdy się przyjrze bliżej pałacowi.

Pierwsze pokolenie obrońców pałacu (z końca lat 60.), osiągnęło zaledwie to, że nie został rozebrany do fundamentów, co niechybnie by się stało zaraz po wyprowadzeniu zeń szkoły górniczej. Druga fala zainteresowania pałacem przypadła na początek lat osiemdziesiątych. Dopiero wtedy (w 1982 r.) został wciągnięty na listę zabytków województwa katowickiego. Jako budowla neoklasyzystyczna, pochodząca z przełomu XIX/XX w. Miał być więc zbudowany akurat w czasie, kiedy ród hrabiowski, po sprzedaży dóbr siemianowickich, zaczął go właśnie opuszczać. Nigdy nie został zaszczycony tabliczką z napisem: „Zabytek sztuki. Obiekt chroniony prawem”. Do dziś jej nie ma. Być może już nikomu nie jest potrzebna. Choć bowiem wraz z unikalnym drzewostanem, z monumentalnym spichlerzem dworskim z końca XVII w. i zabudowaniami słynnej w XIX w. stadniny koni pełnej krwi powinien stanowić cenną i troskliwie chronioną pamiątkę przeszłości, to tak, niestety, nie jest.

Co będzie z nim dalej? *Helas...* Niestety, cyklicznie powracające zainteresowanie ideą ratowania tej pięknej budowli znów znalazło się w fazie uśpienia. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że zastraszająco szybko obiekt zbliżył się (nie tylko wizualnie) do statusu „zabezpieczonej ruiny”. Dla wielu sprawa tym bardziej jest przykra, że w wypadku osnutej (jak i sam pałac) licznymi legendami kaplicy pałacowej mamy do czynienia z pierwszym na tym terenie, najstarszym miejscem uświęconym w rycerskich, a w owym czasie już hrabiowskich dobrach Siemianowice.

Opublikowana w 1933 roku
książeczka Ernsta Laslowskiego,
pt. „Verkanntes Oberschlesien”
(„Zapoznany Śląsk”),
zawierająca zbiór artykułów i prze-
mów autora
z lat dwudziestych, przyjęta została
przez krytykę z dużą życzliwością.
Niemiecki publicysta,
historyk i badacz folkloru
przedstawił w niej
aktualne tematy śląskie,
skupiając uwagę
na kwestii narodowej
i religijnej regionu.
Umiejętność panowania
nad słowem,
sposób argumentowania
i wyważony ton wypowiedzi
docenione zostały
przez ks. dr Szramka.
W wydanej w 1934 roku
rozprawie pt. „Śląsk jako problem
socjologiczny” polski kapłan
kilkakrotnie zacytował sądy
Laslowskiego,
rozważając problem duszy
i sumienia jednostki.

Ernsta Laslowskiego wizja Górnego Śląska

GRAŻYNA
BARBARA
SZEWCZYK

Ernst Laslowski, urodzony w 1889 roku w Kluczborku, związał się w latach dwudziestych ze środowiskiem opolskich historyków i literatów. W latach 1920-1923 był wydawcą i czołowym felietonistą tygodnika „Der Oberschlesier”, a od 1923 do 1930 kierował Domem Oświaty Ludowej „Heimgarten” w Nysie. Idea powstania tej placówki wyszła z grona katolickiej inteligencji niemieckiej. W nawiązaniu do działalności europejskich uniwersytetów ludowych organizowano kursy szkoleniowe dla kiluosobowych grup młodzieży katolickiej. Zbudowany z dużym nakładem środków finansowych ośrodek stawiał sobie za cel przyswajanie uczniom wiedzy o niemieckim dziedzictwie kulturowym na Śląsku, z jego lokalną historią, pieśniami i folklorem. Laslowski zaangażowany był przede wszystkim w przygotowywanie kursów teatralnych. Uczestniczyli w nich młodzi rzemieślnicy, rolnicy i urzędnicy, którzy stworzyli potem popularną wędrowną teatralną trupę i wystawiali w wielu miejscowościach Śląska sztuki dramatyczne — także utwory śląskich autorów — np. Eichendorffa.

Będąc z zamiłowania historykiem i folklorystą Laslowski uważał, iż obu tym dziedzinom należy się pierwszeństwo w programie nauczania młodzieży. Angażując się w ideę „Heimgarten” oraz w pracę społecznych towarzystw, realizował własną wizję nowego Śląska, w którym ważne miejsce wskazywał podobnie jak ks. dr Szramek katolickiej inteligencji. Jako katolik był E. La-

slowski człowiekiem tolerancyjnym i otwartym na inność. W 1923 roku zainicjował w ramach „Ostdeutsche Hochschulwochen” (Wschodniemieckie Tygodnie Uniwersytetu Ludowego) cykl spotkań młodzieży, który miał służyć porozumieniu pomiędzy śląskimi katolikami i protestantami. W latach trzydziestych nie dane mu było jednak kontynuować tego dialogu. Po objęciu władzy przez narodowych socjalistów, wycofał się z życia publicznego. Znalazł pracę w gliwickim archiwum Ballestrema, które stało się miejscem jego „wewnętrznej emigracji” aż do końca drugiej wojny światowej. Po 1945 roku, wypędzony ze śląskiej ojczyzny, osiadł we Freiburgu, mieście, gdzie rozpoczął studia uniwersyteckie i gdzie obronił swoją pracę doktorską w 1929 roku. Kierował tam początkowo centralnym archiwum, a od 1951 roku biblioteką niemieckiego Caritasu. W swojej ostatniej książce, wydanej w 1952 roku pt. „Antlitz der Heimat. Ein schlesisches Skizzenbuch” (Oblicze ojczyzny. Śląski szkicownik) powrócił raz jeszcze wspomnieniem do lat spędzonych w Nysie, mieście, które zawsze nazywał „śląskim Rzymem” i duchowym środkiem „kraju pod krzyżem”. Zmarł 21.03.1961 roku we Freiburgu, pozostawiając po sobie bogatą spuściznę obejmującą kilkadziesiąt artykułów, esejów, krytyk, felietonów pomieszczanych na łamach czasopism i roczników śląskich oraz pisma zwarte z dziejów historii i religii Śląska.

Do sądów Laslowskiego i jego rozważań wokół sytuacji spo-

łecznej i kulturalnej Śląska sięgali współcześni mu literaci, historycy, działacze organizacji katolickich. Sięgał do niego również ks. dr E. Szramek, podziеляjąc poglądy niemieckiego badacza na temat właściwości charakteru Górnoszlązaka i przyznając mu rację, iż Śląsk pozostaje dla ludzi z zewnątrz krajem wciąż nieznanym. W szkicu zatytułowanym „Zapoznany kraj” Laslowski krytycznie odniósł się do mitów i nieprawdziwych sądów o Śląsku, kreowanych, jak pisał, przez „ludzi z zewnątrz”. „Można fałszywie ocenić jakiś kraj, ponieważ go się nie zna. Można także z powodów tendencyjnych wypaczyć obraz kraju i charakter jego narodu. Porozmawiajmy zatem o nieporozumieniach wokół Górnego Śląska” (E. Laslowski: „Verkanntes Oberschlesien”, Breslau 1933, str. 5.).

W tworzeniu mitów i fałszu, stwierdzał ze smutkiem, uczestniczyli także polscy intelektualisci. „Szczególnie boleśnie dotknęło nas, że pewna znana polska pisarka, (mowa jest o Zofii Kossak-Szczuckiej, przyp. G. B. Szewczyk) której książka o bitwie Mongołów pod Legnicą została przyjęta także przez niemieckich czytelników z radością i wdzięcznością, wykorzystała swój wielki talent, by zaciemnić i przefarbować oczywiste fakty. Nie przeczę, że pisarka przybyła na Górny Śląsk z najlepszymi zamiarami, jednak na ludzi i rzeczy spoglądała oczami romantyzmu i patriotki. Widziała naszą krainę w promiennym blasku własnych narodowych ideałów i ży-

czeń. I dlatego z prawdy musiała powstać poezja. Jej opisy Górnego Śląska są niczym innym jak tylko snuciem marzeń przy polskich kominach" (E. Lasłowski: „Verkanntes Oberschlesien”, str.10).

Omawiając książkę polskiej pisarki „o europejskiej sławie” Lasłowski ubolewał, iż nakreśliła ona nie tylko wyidealizowany wizerunek polskiego Śląska, zafalszowując jego dzieje, ale że utrzymywała dzięki niemu rozpowszechniane przez propagandę plebiscytową stereotypy i mity o Śląsku. Górny Śląsk, twierdził, pozostawał wciąż krajem nierozpoznanym, przedmiotem zafalszowania i manipulacji polskich i niemieckich historyków i pisarzy.

Rozprawa Lasłowskiego pt. „Verkanntes Oberschlesien” jest krótką syntezą wiadomości o najważniejszych sprawach regionu, ważnych dla zrozumienia jego specyfiki i odrębności. Wskazując na najważniejsze epoki w historii Górnego Śląska, poczynając od średniowiecza i skończywszy na 1921 roku, słusznie zauważa, iż charakteryzował je z jednej strony zwrot ku zachodniej cywilizacji, z drugiej stopniowe włączanie Górnego Śląska w krąg wpływów niemieckiego życia państwowego i kulturalnego. Kiedy jednak Lasłowski formułuje tezę, iż historia jest nie do uniknięcia losem, wówczas posługuje się argumentami mitotwórczymi i każe wierzyć w sens dziejowego przeznaczenia. „Nikt nie potrafi uciec przed określonym i formowanym przez los działaniem historii, nawet jeżeli chciałby. (...) Los ten, objawia się niejako w podwójnej funkcji: może oznaczać albo przypływ, albo paraliż sił (...). Pytamy więc, kto decyduje o tym, czy działanie historii jest napędem życia czy też jego hamowaniem. Na pewno nie decydują o tym fakty historyczne. To, co raz się wydarzyło, pozostaje na zawsze niezmiennie. Zmienny jest jedynie sens historycznego wydarzenia. To znaczy, że sam człowiek nadaje zdarzeniom pozytywne lub negatywne znaczenie. Od nas samych, a dokładniej od naszej woli zależy, w jakim stopniu historia staje się losem” (E. Lasłowski: „Verkanntes Oberschlesien”, str. 31).

Zdaniem Lasłowskiego tylko naród, który aprobuje swoją historię i odnajduje w niej wartościowe cegiełki dla dalszego rozwoju, jest narodem przyszłości. W przypadku Górnego Śląska chodzi o cztery ważne fakty dziejowe, które zaciążyły nad jego rozwojem niczym fatum, po pierwsze o dwuwarstwowość istoty rasy, po drugie o wrastanie w niemiecki krąg kulturowy, po trzecie

o proces industrializacji Górnego Śląska i wreszcie o działalność polskiej propagandy i rozerwanie regionu. Wszystkie te zdarzenia wpływały, zdaniem Lasłowskiego, negatywnie na rozwój życia duchowego Ślązaków, na ich zwyczaje, pieśni i zwyczaje językowe, na stosunki społeczne i rodzinne, potęgując cierpienie i wewnętrzne konflikty. Z drugiej strony zauważa, iż postawa zwątpienia i rezygnacji w obliczu tragedii dziejowej, jest dla mieszkańców tej ziemi, pobożnych, modlących się i gotowych do poniesienia ofiary, czymś zupełnie obcym. Zniszczenie tradycyjnych wartości może zatem mieć „oczyszczające działanie” i wyzwolić w ludziach tych energię, odwagę i nadzieję. Przekonany o sile moralnej górnośląskiego ludu, Lasłowski kolejny rozdział swojej książki poświęca jego duszy.

„Dusza górnośląskiego ludu jest bardziej bojaźliwa i trudniejsza do zrozumienia aniżeli dusza innych plemion. Doświadczyła ona w minionych stuleciach zbyt wiele cierpień. Zbyt często była nierozumiana i źle traktowana. Dlatego ukrywa swoją ostatnią tajemnicę przed oczyma obcych (...). Jej korzenie nie rozszczepiają się pod ziemią, lecz zapuszczają prosto i strzeliście w jej najgłębszą warstwę, z której wyrasta całe jej duchowe życie. A ona sama opiera się jeszcze mocniej o Boga” (E. Lasłowski: „Verkanntes Oberschlesien”, str. 60).

Podobnie jak dr ks. E. Szramek tak i Ernst Lasłowski podkreśla, iż Górnoślązak jest typowym homo religiosus i że religijność, zdolność do ponoszenia ofiar i cierpienia wypełniają całą jego istotę. „Jest sprawą znaną, że pobożny Górnoślązak odda na religijne cele dosłownie ostatni grosz. Ofiarowuje się także sam, co potwierdzają statystyki zgromadzeń klasztornych i misyjnych. Obraz górnośląskiej duszy wzbogacają dziecięce zaufanie, żarliwa wiara i wzruszające poczucie piękna. Należy do tego również dodać dziwną skłonność do marzycielstwa, niezwykle intensywność wewnętrznego przeżycia i fantazjowania, zdolność do interpretowania rzeczywistości jako symbolu” (E. Lasłowski: „Verkanntes Oberschlesien”, str. 64).

Studium górnośląskiej historii i duszy Górnoślązaka prowadzi Lasłowski do stwierdzenia, iż Górny Śląsk posiada własną twarz i własny duchowy wyraz. Zwłaszcza w krajobrazie prowincji, który staje się symbolem pracującego i modlącego się Górnoślązaka i w którym objawia się dusza ludu, dostrzec można mityczne, tajemnicze i baśniowe miejsca

i znaki. Jednym z nich jest Góra Św. Anny, która łączy pielgrzymów we wspólnej modlitwie i w śpiewie. Innym elementem mitotwórczym jest przemysłowy region Śląska ze wspólnie rozświetlonym w nocy niebem, z hutami, wielkimi piecami i kominami fabryk. Z takiego krajobrazu dusza Górnoślązaka — pisze Lasłowski — czerpie bogactwo i siłę. Z mitu krajobrazu wyrastają bowiem górnośląskie pieśni ludowe, opowieści i baśnie, drewniane kościoły. Mit ten łączy człowieka z macierzystą ziemią i umacnia go w wierności i miłości do małej ojczyzny. Pełni rolę więzotwórczą w życiu zbiorowym i integruje jednostki. Przede wszystkim jednak buduje mosty pomiędzy tym, co przeszłe i co teraźniejsze, tym, co ziemskie i pozaziemskie, pomiędzy człowiekiem i Bogiem.

Rozważania Ernsta Lasłowskiego na temat dziejowego przeznaczenia Górnego Śląska oraz duszy górnośląskiego ludu oparte są na wierze w trwałość wartości ludzkich i w celowy ład świata. Wprowadzając pojęcie mitu przy interpretacji zdarzeń historycznych, uważał, iż fakty są nie tylko faktami, lecz przede wszystkim „cegielkami świata wartości”, które można ocalić bez względu na nieodwracalność i fatalizm zdarzeń. Rozkład i zniszczenie dotyczą, jego zdaniem, tylko widocznej warstwy istnienia, a nie tej drugiej, odpornej na zagładę. Zjawisko losu czy przeznaczenia, oglądane w perspektywie mitycznej, staje się więc etapem rośnięcia wartości i ich afirmowania.

Lasłowski równocześnie dodaje, iż wartości, np. pobożność, zdolność do ponoszenia ofiary, pracowitość, które charakteryzują „duszę górnośląskiego ludu”, przekazywane są tylko przez dziedziczenie społeczne, to znaczy dzięki tradycji. Pragnienie ludzi życia w świecie porządku wartości jest równoznaczne z zakorzenieniem ich w świecie zorganizowanym przez mit. Wówczas zdarzenia historyczne, nawet najbardziej tragiczne, stają się zrozumiałe, albowiem odniesione są do powołania człowieka, do człowieczeństwa, które wyprzedza historię.

Mitotwórcza świadomość Lasłowskiego znajdowała oparcie w jego katolicyzmie i w wierze w moc wybaczenia i pojednania. Interpretowane fakty i zdarzenia stawały się w jego wywodach nośnikami uniwersalnego świata chrześcijańskich wartości, a afirmacja ich zapowiadała harmonię między „niebem i ziemią”.

Mit krajobrazu

Każdy krajobraz posiada własną twarz, swój własny wyraz. Krajobrazy można podobnie jak ludzi odróżnić dzięki ich odrębnej fizjonomii, postawie i ruchom. Cechy szczególnie wymykają się racjonalnemu tłumaczeniu. Trudno je zdefiniować; pozostają zawsze tajemnicze w swoim ostatecznym kształcie.

Tak jak intuicyjnie wyczuwamy tajemnicę ludzkiej osobowości, tak samo wnিকamy uczuciem w tajemnicę krajobrazu, powiedzmy, kiedy w nim wędrujemy lub kiedy w pamięci powstaje obraz ukochanego miejsca. Wtedy serce bije szybciej, jesteśmy głęboko uszczęśliwieni, i tęsknimy do starego miasta, do cichej doliny, do rozpromienionej słońcem rzeki. Obraz namacalnej rzeczywistości przemienia się w coś, co jest nierzeczywiste i z tej dziwnej przemiany rodzi się coś, co nazywamy mitem krajobrazu (...).

Odwróćmy uwagę od tych wspaniałych obrazów i skierujmy ją w stronę naszej górnośląskiej ojczyzny. Czy wypada mówić także o micie górnośląskiego krajobrazu? — Jeden z naszych rodzimych pisarzy napisał kiedyś o górnośląskiej służącej, która w Berlinie znalazła posadę. Kiedy zapytano ją, co podoba jej się w dużym mieście, odpowiedziała z ociąganiem i prawie ze smutkiem: Podobałoby się jej tutaj — gdyby tylko była w pobliżu Góra Św. Anny. Dla tej prostej duszy Święta Góra ojczyzny stała się symbolem, mityczną treścią górnośląskiego krajobrazu. Czy rzeczywiście nie wyrasta ona z monotonnej, płaskiej równiny niczym pocieszający nas miraż? Widoczna ze wszystkich stron, wznosi się ponad niskimi chałupami, łąkami, polami i zielonymi falami lasu. Tęsknoty i modlitwy, pieśni i legendy pobożnego ludu wznoszą się na jej szczyt. Święta Góra rozświetla swoim uszczęśliwiającym, czarownym blaskiem każdą chłopską zagrodę i biedną izbę robotnika. Pobożny lud górnośląski przez pół roku rozmawia o czekającej go pielgrzymce i przez drugą połowę roku żyje o niej wspomnieniami. (...).

Kiedyś zapytałem ludzi, pochodzących z ponurej miejscowości przemysłowego regionu, czy życie ich nie jest w tym środowisku trudne. Popatrzyli na mnie z wielkim zdziwieniem. Tam wszystko im się podoba i nie chcieliby opuścić domu. Ci młodzi robotnicy próbowali mi opisać, jak wspaniałe są u nich wieczory i noce, kiedy dookoła palą się ognie, kiedy kolorowy płomień z wielkich pieców wznosi się do nieba, i kiedy ten ciemny kraj, gdzie

tylko sięga oko, rozświetlony jest niezliczoną liczbą gwiazd.

Mit krajobrazu! W nocnym obrazie przemysłowego regionu podobnie jak i na Górze Św. Anny objawia się symboliczny związek krajobrazu i duszy ludu. Krajobraz staje się symbolem pracującego i modlącego się Górnoślązaka, a dusza ludu czerpie z niego swoją siłę. Dziecięcą radość z kolorów i światła, także skłonność do tajemniczości i baśniowości wyraża się symbolicznie w krajobrazie.

Historia naszej ziemi nie jest żadną radosną pieśnią bohaterską. Przypomina raczej cichą, tęskną piosenkę ludową, utkaną z cierpień i z wyrzeczeń. Żadna wielka katedra z dawnych czasów nie wznosi się ponad dachami naszych miast (...). Osady przemysłowe powstały w tempie amerykańskim, a małe miejscowości na terenach rolniczych są monotonne i nastrajają melancholijnie. Wielcy poeci przechodzili obok Górnego Śląska z milczeniem. Żadne nazwisko o znaczeniu europejskim nie przesłoniło zewnętrznej biedy krajobrazu, i nie wszyscy wiedzą, że kołyska naszych wielkich pisarzy, Josepha von Eichendorffa i Gustava Freytaga stała na Górnym Śląsku. Może dlatego, że przez całe niemal życie tworzyli z dala od ojczyzny. O górnośląskim folklorze krążyły tu i tam i wciąż jeszcze krążą przedziwne opowieści. Twardy język naszych robotników i chłopów jeszcze dzisiaj jest tematem tanich dowcipów.

Mówimy o tym bez rozgoryczenia. Ponieważ najlepiej znamy wszystkie nasze wady i niedoskonałości. Ale oczy miłości patrzą głębiej. Widzą,

jak lud, traktowany przez los w wielu przypadkach po macoszemu, pozbawiony często rozumiejącej go i troszczącej się o niego ręki, walczy niezlomnie ze sobą i ze swoim przeznaczeniem. Widzą, jak lud ten z godną podziwu energią stara się nadrobić zaniedbane etapy kulturalnego rozwoju. Widzą, jak stoi prosty i nieugięty pod krzyżem swojego przeznaczenia (...).

Historia naszej ziemi, (...) jest historią anonimowych „małych ludzi“, jak zwykł mawiać Gustav Freytag, historią chłopów, którzy po wszystkich nieśczęściach wojennych i ciężkich ciociach losu (...) niezmordowanie i nieustraszenie uprawiali zniszczone pole i historią rzemieślnika, który po rabunkach, zarazach i głodzie sięgnął odważnie do swoich narzędzi, aby rozpocząć pracę od nowa. W nowszych czasach jest to historia nieznanego robotnika, który w bardzo trudnych warunkach społecznych zbudował — drugie co do wielkości — warsztaty niemieckiego przemysłu. To także historia nieznanego duszpasterza i nieznanego nauczyciela, którzy w niepokoju gorączkujących miast przemysłowych lub w trawiącej samotności odległych leśnych wiosek, spełniali swój obowiązek w milczeniu(...).

Mit krajobrazu! Wyczuwamy go, stojąc w oknie pociągu i patrząc na Świętą Górę wznoszącą się jak w pięknym śnie ponad szczytami lasów. Wyczuwamy go, kiedy wieczorem przejeżdżamy kolejką elektryczną przez okręg przemysłowy. Mit ten rozjaśnia historię naszego ludu. Jest obecny w pieśniach Eichendorffa i w książkach Gustava Freytaga. Z niego powstają nasze pieśni ludowe, podania i legendy. To on nadał formę naszym drewnianym kościółkom i prowadził rękę rzeźbiarzy i malarzy.

Mit krajobrazu! — to nic innego jak owa tajemnicza siła, która wypływa z duszy ludu, próbując odnaleźć swoją postać w barwach, formach, w słowach i w dźwiękach. To ona wiąże człowieka z ojczystą ziemią. Umacnia go w przywiązaniu do ludzi i ojczyzny. (...) Buduje mosty pomiędzy przecuciem i teraźniejszością, pomiędzy tym co ziemskie i pozaziemskie, między życiem na ziemi i wiecznością, pomiędzy człowiekiem i Bogiem.



Alfons Wieczorek, Kościół w Bieruniu Starym.

Tekst pochodzi z książki E.Lasłowskiego pt. „Verkanntes Oberschlesien (Reden und Aufsätze)“, Breslau 1933.

— Jeszcze kilkanaście lat temu stan naszych lasów, zwłaszcza lasów górnośląskich, mógł budzić spore obawy. Obecnie sytuacja diametralnie się zmieniła.

— Faktycznie obecnie sytuacja wygląda dużo lepiej. Recesja w przemyśle, zmiana technologii tych brudnych, jak my to nazywamy, na bardziej przyjazne środowisku, wygaszanie pewnej produkcji, jak również duży wysiłek leśników doprowadziły do tego, że umiemy lepiej zorganizować i poprowadzić wszelkie prace związane z ochroną lasów i ich zagospodarowaniem. Wszystko to spowodowało, że w ciągu ostatnich lat stan lasów uległ z dnia na dzień znaczącej poprawie. Dziś nie istnieją żadne zagrożenia, które mogłyby doprowadzić do rozpadania się naszych ekosystemów tu na Górnym Śląsku. Istnieją jednak pewne zagrożenia w Beskidzie Żywieckim i Beskidzie Śląskim. Tam nadal mamy do czynienia z emisją transgraniczną. Zagraża ona tamtejszym drzewostanom, w większości składającym się z monokultur świerkowych, które już wcześniej uszkodzone zostały przez przemysł i zakwaszone gleby. To wszystko powoduje, że leśnicy na tamtych terenach muszą bardzo nad tym czuwać i wkładać maksymalnie dużo wysiłku w ochronę lasu. Prace te polegają najczęściej na usuwaniu drzew i drzewostanów uszkodzonych tak przez przemysł jak i przez owady. Oczywiście wcześniej, o ile jest to jeszcze możliwe, prowadzone są zabiegi polegające na podsadzaniu, czy inicjowaniu nowych pokoleń lasu, tak by nie dopuścić do całkowitego wylesienia. Jest to trudne zadanie, ale na razie leśnicy-górale powstrzymują rozpadanie świerczyn.

— Mówi pan o Beskidzie, gdy tymczasem wydawać by się mogło, że to lasy śląskie powinny być o wiele bardziej zagrożone i ich stan zdrowotny winien zostawiać wiele do życzenia.

— Przed 30 laty rozpoczęto przebudowę lasów wokół aglomeracji śląskiej. Powstał tzw. leśny pas ochronny wokół Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego i wtedy leśnicy bardzo intensywnie zaczęli przebudowywać drzewostany: z drzewostanów sosnowych i świerkowych na drzewostany liściaste. Przez te kilkanaście lat pracę tę udało się wykonać i stąd zagrożenie obecnie istniejących lasów jest mniejsze. Wiadomo, że drzewostany liściaste zmieniają każdego roku aparat asymilacyjny, a ten przecież zwykle najbardziej jest uszkodzony przez przemysł, przez skażenie środowiska. Z kolei brak aparatu asymilacyjnego to brak możliwości oddychania, produkcji cukrów prostych, które są podstawowym składnikiem odżywczym. Jeśli więc ten aparat jest zniszczony, to zamiera drzewo i zamierają całe lasy. Jeśli byłyby to lasy iglaste prowadziłyby to do całkowitego ich wymarcia. W przypadku lasów liściastych aparat asymilacyjny odradza się każdego roku i drzewa potrafią walczyć

Zielone, śląskie lasy

Rozmowa z dyrektorem

Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych

w Katowicach TADEUSZEM NORMANEM



Te drzewa znajdują się na obszarze Katowic.



U źródeł Wisłoki.

ze skażonym środowiskiem. Na Śląsku udało się to leśnikom przewidzieć i wraz z szybkim rozwojem przemysłu wydobywczego, przetwórczego czy kompleksu energetycznego udało się na czas przebudować lasy. Natomiast nadal pozostaje problem świerczyn zagrożonych emisją transgraniczną. Tam przebudowy już się rozpoczęły, niestety jeszcze nie są zakończone.

— Nasze prawodawstwo nie sięga poza granice kraju, ale czy prawodawstwo czeskie jest wystarczająco restrykcyjne by ukarać tamtejszych trucicieli?

— Dziś państwa porozumiewają się i rozmawiają na te tematy. Jednak nie jest to problem nowy, sięga on raczej czasów przeszłych, kiedy takie a nie inne były technologie. Do całego kompleksu energetycznego używano wówczas węgla, który w procesie spalania wytrącał związki toksyczne. Te gnane wiatrami zachodnimi, których u nas jest

przewaga, docierały do naszych lasów. Tak więc dostawaliśmy z importu zanieczyszczenia, które dziś procentują...

— A my dodawaliśmy do tego własne, które stworzyły śmiertelność mieszkankę dla naszej przyrody. Ale skoro wspomnieliśmy o paleniu węglem to myślę, że warto wrócić na Górną Śląsk, gdzie mamy jeszcze sporo familoków opalanych w ten najprostszy sposób, czyli właśnie węglem. Jak bardzo cierpią na tym lasy?

— Myślę, że przemysł dużo zrobił w zakresie wychwytywania związków toksycznych powstałych w procesie spalania. Dużo zmieniło się tu na korzyść. Jeśli chodzi natomiast o małą emisję, czyli spalanie węgla w domach do celów grzewczych to niestety ten proces utrzymuje się. Kiedyś próbowano przechodzić na ogrzewanie gazowe, ale było to w okresie gdy gaz faktycznie był tani. Dziś realia się zmieniły i węgiel znów cieszy się większym

wzięciem. Tak więc mała emisja nadal bardzo szkodzi i nadal szkodzić będzie.

— A węgiel to również w linii prostej problem szkód górniczych, które odczuwane są nie tylko przez infrastrukturę miejską, ale także w lasach.

— No tak, Na naszym terenie fudruje ponad 60 kopalń, które powodują dwa rodzaje szkód górniczych: po pierwsze górnictwo węglowe często pod lasami wydobywa węgiel na tzw. zawalę, czyli nie podsadza wyrobisk. To doprowadza do stałego uszkodzenia terenu poprzez jego osiadanie. Taką sytuację mamy na blisko 2 tysiącach ha lasu, szczególnie na terenie nadleśnictw: Katowice, Rybnik, Świerklaniec, Brynek, Siewierz. Drugi rodzaj szkód to pozyskiwanie piasku dla kopalń do podsadzania wyrobisk i do innych celów. To z kolei daje tzw. lej depresyjny, prowadzi do osuszania terenów wokół, do braku wilgoci i wody i bardzo niekorzystnie wpływa na zdrowotność lasów. Lasy te zamierają, zmienia się szata roślinna na bardziej wytrzymałą na otaczające warunki. Skutki górnictwa odczuwa się na ponad 20 tysiącach zalesionych ha. Obecnie zmienia się sytuacja w górnictwie, ale myślę, że skutki tamtej polityki będą jeszcze przez kilkanaście lat odczuwalne.

— A jak wygląda sprawa odszkodowań dla nadleśnictw za straty spowodowane z powodu wyżej wymienionych przyczyn?

— Są przypadki, że kopalnia stara się naprawić wyrządzone szkody, ale dotyczy to raczej infrastruktury, np. jeśli zniszczeniu na skutek szkód górniczych ulegnie leśniczówka, to kopalnia stara się pokryć naprawę, lub przeniesienie jej na inny teren. Na uszkodzone drogi, przepusty, mosty — kopalnie są skłonne wyasygnować pewne środki, gorzej jeśli dotyczy to bezpośrednio drzewostanu. Zdają sobie sprawę z trudnej sytuacji finansowej kopalń, dlatego staramy się współpracować na innej płaszczyźnie, mianowicie przeciwdziałać. Wcześniej staraliśmy się ustalić miejsca, gdzie może dojść do zapadnięcia terenu i dzięki temu unikamy zbędnych nakładów finansowych, które mogliśmy tam wcześniej zainwestować. Zapadłiska staraliśmy się też odbudowywać, wykładając je skalą płonną, najpierw, później zaś nawiezieniem warstwy urodzajnej, czyli rekultywujemy ten teren. Są to jednak działania bardzo kosztowne, dlatego należy liczyć się z tym, że większość tych zapadłisk pozostanie, staną się zbiornikami wodnymi. Podobnym przykładem zagospodarowania wodnego jest stworzenie — w ramach leśnego pasa ochronnego GOP-u — rowów opaskowych, żeby odprowadzić nadmiar wody, by ta nie zalała terenów leśnych. Ogroblowano te zbiorniki, pobudowano infrastrukturę w postaci restauracji, czy miejsc do wędkowania. Trzeba zaznaczyć, że są to przypadki sporadyczne ze względu na duże środki finansowe, które trzeba na nie wyłożyć.

— Skoro mówimy o szkodach i stratach to trudno nie wspomnieć o pożarach, jakie nękają nasze lasy?

— Tak, a my jesteśmy jedną z najbardziej palnych dyrekcji w Polsce. Podczas pamiętnych pożarów w 1992 roku na 36 tysięcy ha spalonych lasów na terenie Polski, w dykcji katowickiej pożary objęły 13 tysięcy ha.

— Dlaczego u nas jest największe zagrożenie pożarowe?

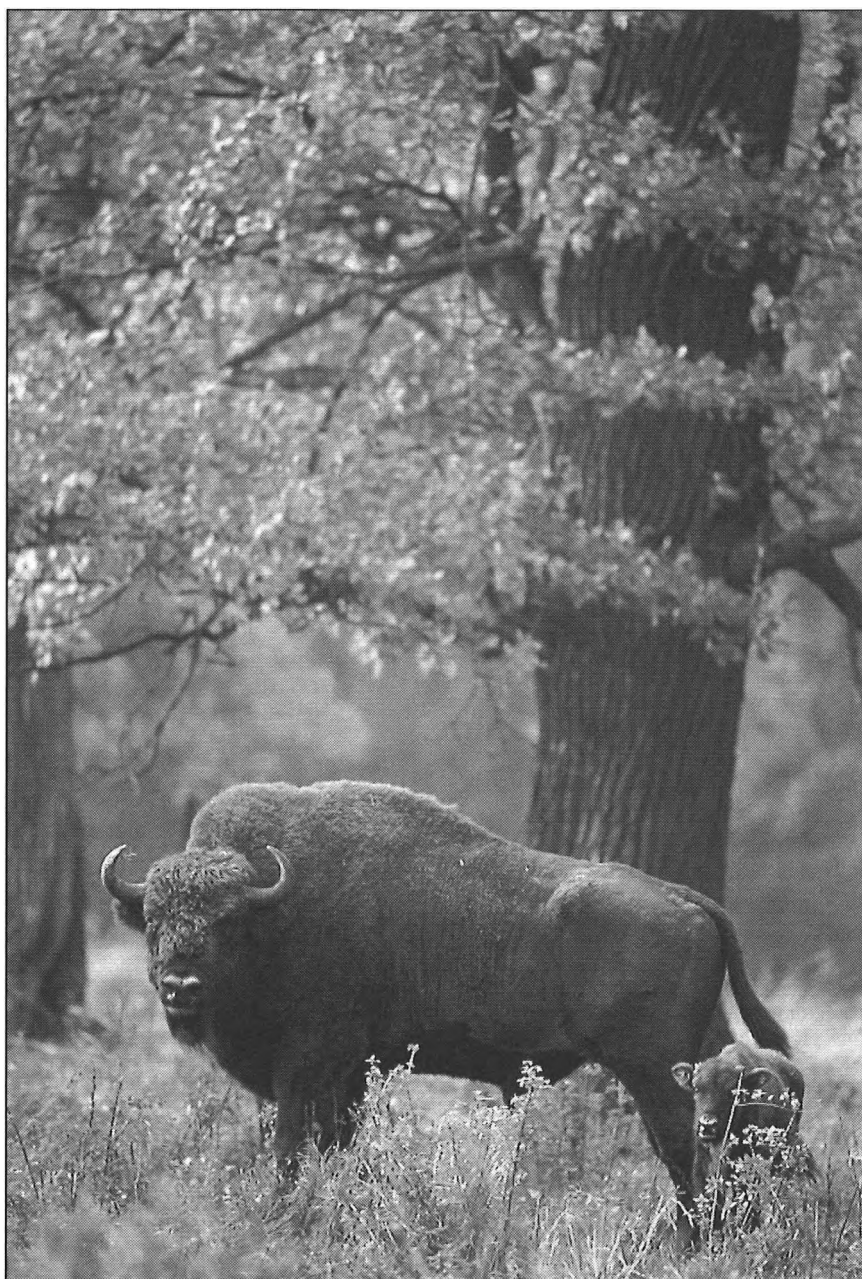
— Bo na terenie naszych lasów mieszka około 8 milionów mieszkańców. Ponieważ mamy bardzo silnie rozwinięty przemysł, mamy też zniszczone lasy. Przemysł doprowadził do zamierania drzew, a tym samym ich przersedzanie. Następstwem tego jest większy dostęp światła do dna lasu. Prowadzi to do silnego rozwoju roślinności zielnej, która na zimę zamiera i staje się tym samym materiałem łatwopalnym. Z roku na rok materiału tego gromadzi się coraz więcej i staje się on zarzewiem ognia. Nie zapominamy również o podpalaczach.

— A ochrona przeciwpożarowa?

— Staramy się nie szczędzić na nią środków. Każdego roku powstają nowe wieże obserwacyjne, nawiązujemy współpracę ze strażą pożarną czy jednostkami ochotniczej straży pożarnej. Kupujemy sprzęt, środki gaśnicze i tworzymy system ochrony przeciwpożarowej.

— Śląskie lasy to nie tylko powód do zmartwień, ale także do radości. Nawet mieszkańcy województwa nie zdają sobie sprawy, jak wiele rezerwatów i parków krajobrazowych nas otacza.

— Kilkanaście rezerwatów przyrody, zespoły przyrodniczo krajobrazowe, użytki ekologiczne i zabytkowe parki — to powód do radości. Jeśli jeszcze nadmienię, że wiele z tych miejsc odradza się, zasiedlają je gatunki ptactwa i zwierząt, które już były rzadkością — to okazuje się, że na naszym terenie można wspaniale wypoczywać. Jeden z rezerwatów znajduje się niemal w centrum Katowic — tzw. Las Murkowski. Na jego terenie znajdują się wspaniałe blisko 200-letnie buki, które pozostały po dawnej Puszczy Śląskiej. Świat zwierzęcy rezerwatu to kukułki, dzięcioły, chronione chrząszcze i trzmiele. Są tam również chronione gatunki grzybów: flagowiec olbrzymi oraz sromotnik bezwstydnny. Kolejny rezerwat to Ochojec, pierwszy w województwie rezerwat florystyczny. Występują tu rzadkie gatunki roślin górskich, wśród ptaków: strzyżyk, rudzik czy dzięcioł duży, gryzonie: jeż wschodni, łasica, kret. Nieco dalej od Katowic mamy słynne i dobrze wielu mieszkańcom regionu znane zubrowisko. Tradycja hodowli żubra w lasach pszczyńskich ma już ponad 130 lat. Obecnie w pszczyńskim rezerwacie żyją 33 osobniki tego gatunku. Na północ od Katowic znajduje się rezerwat Segiet, na granicach Bytomia. Znajduje



Żubry w pszczyńskiej puszczy.

się w nim zbiorowisko buczyny storczykowej, która jest siedliskiem wielu gatunków storczyków. Teren ten jest jednym z największych na Śląsku zimowiskiem nietoperzy. Wreszcie inne rezerваты np. Góra Chełm, Hubert, Lipowiec, Ostra Góra, Dolina Żabnika, Bukowica. Są też zabytkowe parki w Brynku, Chorzowie, Katowicach, Pszczynie, Rudzie Śląskiej czy Zawierciu. Chronione gatunki zwierząt i roślin żyją nie tylko w rezerwach, ale również na całej przestrzeni leśnej. Do zwierząt spotykanych w wielu miejscach należą np. wilki, w zbiornikach wodnych wydry, bobry, w górach — niedźwiedź, który ostatniej zimy zimował w nadleśnictwie Wisła, rysie.

— To wszystko zachęca zapewne mieszkańców, zwłaszcza Śląska, do wypoczynku na łonie natury.

— Przygotowujemy się do tego w sposób najróżniejszy: na początek

tworząc miejsca parkingowe dla zmotoryzowanych. Organizujemy też odpowiednie punkty do rozpalenia ogniska, tak by przyjezdni mogli po spacerze usiąść przy ognisku. Mamy kilka ośrodków wczasowo-wypoczynkowych. W ośrodku „Leśnik” znajduje się regionalny ośrodek edukacji ekologicznej, gdzie można poznać przyrodę Beskidów.

— A wracając do miejsc, w których warto wypoczywać...

— Takich miejsc jest wiele, ale zachęcam jeszcze do odwiedzenia terenów byłego województwa opolskiego, gdzie otworzone zostały miejsca do wędkowania, gdzie w ciszy leśnych zagajników można wspaniale odpocząć od zgiełku i hałasu miejskiego.

Rozmawiała:
KATARZYNA WIDERA

Parki z przeszłości

W Polsce zewidencjonowano do tej pory 9.249 zabytkowych parków o łącznym obszarze 50.354,65 ha. W województwie śląskim znajduje się 421 parków liczących 3.696,80 ha, co stanowi 7,34 proc. powierzchni ogólnej założeń parkowych w kraju. Porównując z innymi województwami zauważamy, że wyraźnie przodujemy w tym względzie wbrew ogólnie panującemu przekonaniu o niewielkim zazielenieniu Śląska. 42 parki o powierzchni 311,34 ha zlokalizowane są na terenie dawnego województwa bielskiego, 111 o powierzchni 406,63 ha na terenie częstochowskiego, zaś 268 o powierzchni 2.978,83 ha katowickiego.



Dąbrowa Górnicza, park Ludowy Zielona, rosarium

Foto: Zbigniew Fabianczyk

Typy kompozycji

Barokowa - charakterystyczna dla XVII i połowy XVIII wieku ukształtowana we Francji przez A. Lenôtre'a; cechuje ją jedność kompozycyjna architektury parku i pałacu, który był jednocześnie główną dominantą całości układu przestrzennego. Niewielkie początkowo ogrody rozwinęły się później w rozległe układy, obejmując kolejno wzdłuż osi centralnej poszczególne składniki kompozycji (np. aleje, dziedzińce lub zespół dziedzińców, szpalery, układ wodny). Do najciekawszych należą parki pałacowe w Pilicy i Czechowicach Dziedzicach, Kruszyń.

Krajobrazowa - oparta na motywach naturalnego krajobrazu, charakterystyczna w różnych odmianach dla ogrodów angielskich, a także całej Europy w XIX w. Parki łączono z otaczającym pejzażem systemem osi widokowych, siecią dróg, alei i strumieni i stawów tworząc rozległe założenia krajobrazowe. Najciekawsze, które powstały zgodnie z tą ideą, to wielkoprzestrzenne kompozycje Świerklańca, Rud i Pszczyny, Żywca, Koszęcina.

Kompozycja kaligraficzna (chińska) została ukształtowana pod wpływem tradycyjnej symboliki i filozofii dalekiego wschodu z nadrzędną rolą w założeniach układów wodnych, skał i pagórków wraz mostkami lukowymi i pawilonami parkowymi jak park pałacowy w Pszczynie. W 2 połowie XIX w. przekształca się ona w parki typu pretzelgarten charakteryzujące się sinusoidalnym układem alei i przenikających się wewnątrz parkowych (np.: salony, gabinety, polany widokowe). Przykładami mogą być parki Schönów w Sosnowcu, pałacowe w Leszczynach, Złotym Potoku.

Kompozycja romantyczna została ukształtowana w 1 połowie XIX w. pod silnym wpływem ogrodów angielskich. Cechował ją kult przyrody rodzimej i zwrot ku przeszłości narodowej wynikające z ideologii romantyzmu. W układzie przestrzennym dominowała różnorodność otwartych widokowych i dalekich perspektyw w malowniczych grupach zadrzewień z charakterystycznymi klombami i buketami drzew. Ważną rolę odgrywały neostylowe pawilony parkowe oraz sztuczne ruiny. Takie były parki w Modzuruwie, Górkach Wielkich i Koniecpolu.

Modernistyczna - kompozycja kształtowana od początku XX w. charakteryzująca się dominacją układów geometrycznych i osiowo symetrycznych np. Park im. A. Mickiewicza w Bytomiu, Ogród Róż w Chorzowie, Park Ludowy w Bielsku Białym.

Zachowane do dziś zespoły parkowe na terenie województwa śląskiego, mimo znacznego zróżnicowania, wykazują jednak wiele wspólnych cech stanowiących o ich odmienności w stosunku do reszty kraju. Większość z nich powstała pomiędzy końcem XVIII a po-

łą XIX w. Wiele z istniejących założeń parkowych ma swoje początki w znacznie wcześniejszym okresie, jak np. parki pałacowe w Rudach czy w Pilicy. Kształtowane je w oparciu o pierwotne zadrzewienia, wielokrotnie przekształcając w miarę zmian mód ogrodniczych. Jednak niemal wszystkie parki, których rodowód dałoby się prześledzić niekiedy aż od XVI w. uzyskało swój ostateczny, widoczny do dzisiaj kształt właśnie w wieku XIX. Ma to związek z jednej strony z napływem odmiennej kulturowo magnaterii przemysłowej pragnącej nobilitować swoje pochodzenie przez tworzenie neostylowych rezydencji, a także z powszechnym przyjęciem filozofii romantyzmu, zaś z drugiej z żywą tradycją miejscową. Ciągłość tradycji historycznej najwyraźniej występuje w niewielkich założeniach dworsko-parkowych w północno-wschodniej i południowej części województwa. Zachowane relikty pozwalają potwierdzić powtarzanie w ich kompozycjach ogólnego schematu siedziby szlacheckiej wspólnego dla całej Polski. Tradycja historyczna w niektórych z tych siedzib była na tyle silna, że mimo zmieniającej narodowości kolejnych właścicieli „wymuszała” kontynuację dotychczasowych kompozycji. Gdy tradycja miejsca była słabsza lub też nie istniała, poszczególne kompozycje odzwierciedlały przede wszystkim terytorialne związki emocjonalne fundatorów oraz ich powiązania gospodarcze. Związki te w znacznym stopniu odpowiadają zasięgom terytorialnym poszczególnych zaborów i są szczególnie widoczne w obrębie pruskiego i austriackiego.

Prusko-niemieckie pochodzenie niemal wszystkich właścicieli zachodnich terenów województwa śląskiego spowodowało zakładanie przez nich parków z wyraźnym piętnem szkoły berlińskiej (np. Ślawików, Pławniowice, Modzurów, Koszęcin). W części centralnej i częściowo południowej województwa znacznie silniej zaznaczyły się wpływy szkoły wiedeńskiej (np. Parki Dietla i Schóna w Sosnowcu, Łubie Górne, Kochcice, Pawłowice). Nie wszystkie kompozycje parkowe można wiązać bezpośrednio z konkretnymi szkołami sztuki ogrodowej. Dotyczy to szczególnie wielkich kompozycji krajobrazowych, których twórcy, ze względu na swoją pozycję społeczną korzystali ze wszelkich najlepszych dostępnych wzorców. Takie były komponowane układy parkowo- krajobrazowe żywieckich Habsburgów, pszczyńskie Hohbergów, Donnersmarcków czy rudzkie książąt von Hessen-Rothenburg.

Rodzaje i funkcje parków

Na terenie województwa śląskiego mamy do czynienia z pełną gamą kompozycji parkowych od geometrycznych poprzez ogrody francuskie, angielskie i romantyczne po modernistyczne. Biorąc pod uwagę ich funkcje można usystematyzować je w następujące grupy:

Osiedlowe - z bogatym programem funkcjonalnym wpisanym w zieleni parkową (sale taneczne i gimnastyczne, kręgielnie itp.) tworzone przez właścicieli wielkiego kapitału z myślą o ściągnięciu i zatrzymaniu w zakładzie wykwalifikowanych pracowników oraz zapewnienie im jak najlepszych warunków mieszkania i wypoczynku. Zakładane były od ostatniego ćwierćwiecza XIX w. po okres międzywojenny. Nadawano im różne formy, najczęściej kompozycji w typie krajobrazowym, rzadziej modernistycznym. Parki wraz z zielenią wewnątrzosiedlową tworzyły spójne układy kompozycyjne. Przykłady: TAZ w Zawierciu, Knurów, Katowice - Giszowiec, Borsig w Zabrze Biskupicach Bytom - Łagiewniki, Sosnowiec - Miłowice, Rybnik - Niedobczyce.

Zakładowe - tworzone przez przemysłowców w obrębie zakładów i w ich bezpośrednim sąsiedztwie w końcu XIX i na początku XX w. Są to kompozycje znacznie skromniejsze od osiedlowych. Dominują wśród nich układy swobodne o charakterze naturalnym, rzadziej sformalizowane, geometryczne. Przykłady: Katowice - ul. Kopalniana, Katowice - Welnowiec park Alfred, Tychy - Browar Książęcy, Gliwice - GZUT. Specyficzną grupę parków przeznaczonych dla określonych, zamkniętych grup użytkowników stanowią parki przyszpitalne. Przykłady: Chorzów - szpital im. Mieleckiego, Knurów - szpital miejski, Pilchowice, Katowice - Bogucice.

Miejskie - zakładane przez mecenasów oraz grupy inwestorów na terenach miejskich i podmiejskich począwszy od lat 80-tych XIX w. Tworzono je z myślą o zaspokajaniu zróżnicowanych potrzeb czego odbiciem były ich bogate programy funkcjonalne oraz z reguły większe powierzchnie. Nadawano im formę założeń geometrycznych, często wprowadzając strefy o różnym sposobie użytkowania (strefa zabaw dla dzieci, rekreacji czynnej, wypoczynku biernego itp.). Największe z nich to: Katowice - park im. Kościuszki, Gliwice - park Chrobrego, Chorzów - Góry Wyzwolenia, Bytom - park miejski, Dąbrowa Górnicza - park Zielona, Częstochowa - parki Staszica i 3 Maja, Bielsko Biała - park Ludowy.

Uzdrowiskowe - kształtowane w latach 90-tych XIX w. w oparciu o istniejące zespoły starodrzewu przez wpisanie weń budowli zdrojowych i towarzyszącej im infrastruktury. Dzięki temu zachowały typ kompozycji krajobrazowych o charakterze zbliżonym do naturalnego jak Goczałkowice, Jastrzębie Zdrój, Jarosławiec, Jaworze.

Rezydencjonalne - powstające przy siedzibach wiejskich i miejskich.

- dworskie - formowane w sąsiedztwie dworów w wieku XVIII i XIX. Z reguły niewielkich rozmiarów o kompozycji krajobrazowej z niezbyt rozbudowanym programem i mało urozmaiconym zestawem gatunków drzew i krzewów jak Góra, Udórz, Kokoszyce, Rychnwałd, Nieznanice.

- pałacowe - zakładane w sąsiedztwie pałaców w wieku XVIII i XIX. Mają kompozycję krajobrazową z rozbudowanym programem i urozmaiconym zestawem gatunków drzew i krzewów często z pawilonami i elementami małej architektury: Brynek, Pilica, Repty, Nakło Śląskie, Bytom - Miechowice, Kozy, Łodygowice, Górki Wielkie, Grodziec Śląski.

- kompozycje wielkoprzestrzenne - Sieć majątków powiązanych ze sobą i rozmieszczonych w zakomponowanej zieleni przestrzeni z centralną siedzibą główną, której ranga jest podkreślona bogactwem architektury i jej otoczenia. Przykłady: Dominium Pszczyńskie, Dobra Donnersmarcków (Świerklaniec), Łatyfundium Rudzkie, księstwo Żywieckie, dominium Koszęcińskie.

Specyfiką Górnego Śląska w XIX w. byli właściciele ziemscy i przemysłowcy, którzy bez względu na swoje pochodzenie etniczne czuli się eksterytorialnymi obywatelami Europy. Tworząc kompozycje nie sięgali do wzorców i tradycji miejscowych lecz bezpośrednio do źródeł stylowych angielskich i francuskich, zatrudniając często ogrodników i projektantów parków o europejskiej sławie. Dążyli oni do uporządkowania przestrzennego i architektonicznego majątków. Powstały aleje łączące poszczególne jednostki gospodarcze w obrębie ich dóbr. Powstały też wzorowane na głównych rezydencjach parki wokół zarządcówek, willi dyrektorów, osiedlowe, zakładowe czy szpitalne. Są one znacznie mniejsze i uboższe kompozycyjnie od pierwowzorów.

Dzisiejsze województwo śląskie jest jedynym w Polsce, w którego granicach znajdują się tereny wchodzące w XIX w. skład trzech zaborów. Ścierają się tutaj tendencje wynikające z mody, obyczaju i obowiązujących ówczesnie przepisów prawnych Prus, Austrii i Rosji. Założenia wielkoprzestrzenne przeważają na terenach dawnych zaborów pruskiego i austriackiego. Powoduje to wyraźne różnice pomiędzy nimi a parkami na ziemiach dawnego zaboru rosyjskiego.

Różnice międzyzaborowe odzwierciedlają się nie tylko w kompozycjach założeń zieleni, ale również w doborze stosowanych w nich gatunków drzew. Duży wpływ na preferencję gatunków miała mitologia. Stąd zapewne częste pojawianie się w parkach północnych i wschodnich rejonów województwa katowickiego lipy drobnolistnej (*Tilia cordata*) jako dominanty kompozycyjnej. Z kolei na pozostałych terenach podobną funkcję spełniają: dąb szypułkowy (*Quercus robur*), jesion wyniosły (*Fraxinus excelsior*) lub platan klonolistny (*Platanus acerifolia*). Symbolikę lipy można wiązać z tradycją wypływającą z mitologii słowiańskiej, a dębu i jesionu z wpływami mitologii germańskiej i skandynawskiej. Odległości te są szczególnie czytelne w przypadku drzew opiekuńczych i heraldycznych (drzewo o koronie kształtowanej na wzór korony baronowskiej, hrabiowskiej czy książęcej, gdzie ilość kona-

ków i projektantów parków o europejskiej sławie. Dążyli oni do uporządkowania przestrzennego i architektonicznego majątków. Powstały aleje łączące poszczególne jednostki gospodarcze w obrębie ich dóbr. Powstały też wzorowane na głównych rezydencjach parki wokół zarządcówek, willi dyrektorów, osiedlowe, zakładowe czy szpitalne. Są one znacznie mniejsze i uboższe kompozycyjnie od pierwowzorów.



Pilica, park pałacowy, centralna oś widokowa; fontanna z sowami A. Karnego

Foto: Zbigniew Fabiańczyk



Pszczyzna, park pałacowy, główny salon ogrodowy

Foto: Zbigniew Fabiańczyk



Świerklaniec, park pałacowy, główne wnętrze parkowe

rów odpowiada ilości palek {ostrzy} korony). W parkach na obszarze byłego zaboru rosyjskiego sadzono przede wszystkim drzewa rodzime pozostawiając je w formie naturalnej. W byłych zaborach pruskim i austriackim w kompozycjach dominują drzewa egzotyczne sprowadzane z Zachodniej Europy, Azji i Ameryki. Dobierano gatunki o różnorodnym, odmiennym od zielonego zabarwieniu liści. Sadzone drzewa poddawano procesowi kształtowania koron w celu uzyskania ich nietypowych kształtów.

Kilka najpiękniejszych

Brynek, gm. Tworóg, park pałacowy, pow. 56 ha
Pałac został wzniesiony przez hrabiów Henckel von Donnersmarck linii świerklanieckiej w 1829 r. Wtedy też na bazie istniejącego lasu, o czym świadczą licznie występujące kilkusetletnie dęby, założono park krajobrazowy. Centrum parku stanowi istniejące do dziś, wzorowane na kórnickim arboretum (ogród lub park przeznaczony do uprawy różnych gatunków i odmian drzewiastych i krzewiastych w celach kolekcjonerskich i naukowych). Kierując się panującą ówczesnie modą Donnersmarckowie stworzyli w parku kolekcję roślin obejmującą kilkaset egzotycznych gatunków drzew i krzewów kwitnących. Pałac przebudowano w 1905 r. wg projektu architekta Karola Grosera w związku z oczekiwaną wizytą cesarza Wilhelma II.

Cieszyn, Park zamkowy, pow. 3,58 ha.

Obecnie funkcjonujący jako park miejski. Założony na zboczach wzgórza zamkowego zachował ślady kompozycji związanych z funkcjonowaniem zamku, od geometrycznego ogrodu renesansowego, związanego z piastowską wieżą obronną oraz rotundową kaplicą, poprzez park krajobrazowy otaczający neoklasycystyczny pałac arcyksięcia Karola oraz pochodzącą z poł. XIX wieku oranżerię, skończywszy na modernistycznym parku z pocz. XX wieku. W tym okresie wprowadzono do parku około 100 gatunków egzotycznych drzew i krzewów, z których znaczna część zachowała się do dzisiaj.

Dąbrowa Górnicza, Park Ludowy Zielona, pow. 81 ha.

Powstał w 1933 r. z inicjatywy władz miejskich wg projektu B. Burskiego poprzez przekształcenie lasu w dolinie Czarnej Przemsy i Pogorii. Kompozycja modernistyczna z promienistym układem alei prowadzących od półkolistego placu przy wejściu. Rozbudowany program funkcjonalny obejmował pierwotnie zwierzyńiec, ogródek jordanowski, stadion sportowy i tor do wyścigów motocyklowych. Ciekawym jego uzupełnieniem jest otoczony kolumnadą krąg taneczny powstały w roku 1955 będący przykładem architektury socrealistycznej. W parku rośnie około 70 gatunków drzew i krzewów. Na uwagę zasługuje rosarium gdzie różom towarzyszy duża ilość innych gatunków krzewów kwitnących.

Jastrzębie Zdrój, park zdrojowy, pow. 18,2 ha

Park został założony na obszarze o bardzo urozmaiconej rzeźbie w 1861 r. przez hrabiego von Königsdorff, a następnie rozbudowywał go od 1896 r. dr Mikołaj Lipczak. W obrębie istniejącego lasu wytyczono aleję główną lokalizując na południe od niej budynki zdrojowe otoczone geometrycznymi ogrodami kwiatowymi, a na północ romantyczny park krajobrazowy. Do rosnącego tu wcześniej lasu wprowadzono ponad 200 gatunków egzotycznych drzew i krzewów jak np. miłorząb (*Ginkgo biloba*) czy kasztan jadalny (*Castanea sativa*).

Katowice, park miejski im. Tadeusza Kościuszki pow. 60,5 ha

Park Kościuszki powstał w 1922 r. na obszarze, na którym w 1894-95 r. funkcjonował lasek miejski. Znaczny udział w formowaniu parku miał kierujący Miejskim Ogrodnictwem w latach 1913-26 ogrodnik Paweł Sallman. Szeroki program użytkowy obiektu łączący funkcje rekreacyjne, sportowe i wystawiennicze rozbudowano do 1939 r. W 1937 r. powstała wieża spadochronowa słynna z harcerskiej obrony we wrześniu 1939 r. Park został ukształtowany jako kompozycja modernistyczna o charakterze krajobrazowym z układem promienistych szerokich alei przechodzących przez duże prześwietlone przestrzenie i zwarte masywy drzew i krzewów ponad stu gatunków. Wiele z nich to gatunki rzadkie jak np. lipa amerykańska (*Tilia americana*), bez czerwony (*Sambucus racemosa*), laurowiśnia (*Prunus laurocerasus*) czy katalpa (*Catalpa bignonioides*). Dominują buki (*Fagus sylvatica*), brzozy i topole różnych odmian.

Katowice, Giszowice - miasto - ogród

W 1906 r. tajny radca górniczy Anthon Uthemann dyrektor Zarządu Towarzystwa Górniczego „Spadkobiercy Jerzego von Giesche” zapoczątkował budowę kolonii robotniczej Gischewald według własnego pomysłu i howardowskiego wzorcowego miasta-ogrodu Port Sunlight w Anglii powierzając projekt architektoniczny i częściowo budowę firmie E. i G. Zillmann z Berlina. Budynki kolonii wzorowane na zabudowie śląskiej wsi zostały rozmieszczone wśród wysokiej zieleni z dominującymi dębami szypułkowymi (*Quercus robur*), lipami drobnolistnymi (*Tilia cordata*) i bukami zwyczajnymi (*Fagus sylvatica*). Zieleń wzbogacono obsadzeniem koncentrycznego układu ulic i placu centralnego kasztanowcami (*Aesculus hippocastanum*) i głogami dwuszykowymi (*Crataegus oxyacantha*).

Pilica, park pałacowy, pow. 13 ha

Powstanie w XVII w. ogrodu w obrębie twierdzy bastionowej w Pilicy związane jest z ówczesną właścicielką dóbr Marią Józefą wdową po królewiczu Jakubie Sobieskim. Ogród został rozbudowany w barokowy park przez jej syna Teodora Wessel, w połowie XVIII w. Ostateczna, krajobrazowa forma parku została mu nadana przez Leona Epsteina w pierwszych latach XIX w. Wszystkie etapy kształtowania parku są do dzisiaj czytelne. Park barokowy z symetrycznymi poczwórnymi szpalerami dwustuletnich lip drobnolistnych (*Tilia cordata*) znajduje się w obrębie zachowanej twierdzy bastionowej, u stóp której rozpościera się północny park krajobrazowy. Elementem łączącym obie części jest aleja ze znajdującym się w zamknięciu pałacem, którego historia sięga późnego średniowiecza. Obok niego rośnie drzewo heraldyczne - lipa drobnolistna (*Tilia cordata*). Świadectwem wyjątkowych wartości parku jest uznanie go za pomnik przyrody już w 1928 r.

Pszczyna - kompozycja wieloprzestrzenna, pow. parku 42 ha

Od połowy XIII w. Pszczyna, wraz z zamkiem, stanowiła lokalne centrum gospodarcze i administracyjne, od 1517 r. stając się stolicą „wolnego państwa stanowego”. W 1562 r. Stanisław Promnitz (Pramnic) przekształcił gotycki zamek nadając mu renesansową formę podkowy. Obok zamku założył geometryczny ogród. W XVIII w. księżna von Anhalt Zoethen rozbudowali kompozycję o barokowy park z promienistym układem alei zakończonych dominantami optycznymi: gotyckiego kościoła p.w. Św. Jadwigi, pałacu Ludwikówka i dworem na Kępie. W latach siedemdziesiątych XIX w. kolejni właściciele, którymi są wówczas herzogowie Hochbergowie z Książa, przebudowują pałac, wzorując go na baroku francuskim. Wtedy też zostają przekształcone zachowane dotąd ogród renesansowy i park barokowy. Powstała krajobrazowa kompozycja o charakterze kaligraficznym z rozbudowanym systemem stawów z wyspami i łączącymi je malowniczymi mostkami o różnych formach. Z poprzedniej kompozycji zachowano otwarcia widokowe. W parku rozmieszczono pawilony o ciekawej formie architektonicznej np. herbaciarnia, lodownia. Sięgając bezpośrednio do wzorów angielskich utrzymano przewagę gatunków rodzimych, wprowadzając liczne dominanty drzew egzotycznych np. tulipanowiec amerykański (*Liriodendron tulipifera*) buk czerwony (*Fagus sylvatica atropurpurea*) czy platan klonolistny (*Platanus acerifolia*). Kompozycję uzupełniono licznymi grupami krzewów i roślin kwitnących. Ogółem w parku zarejestrowano ponad 300 gatunków drzew i krzewów.

Pałac pszczyński stanowił centrum rozległego dominium, początki którego należy wiązać z rodziną Promnitzów. Obszar dominium

pokryty był siecią dróg obsadzanych dębami i później jesionami. Łączyły one siedzibę główną i przyłączane kolejno od XVI w. poszczególne jednostki gospodarcze oraz pałacyki myśliwskie. Te ostatnie (Poręba, Promnice), położone w rozległym kompleksie lasów, powiązane były siecią malowniczych duktów spacerowo-konnych z bażaniami i żubrowskiem.

Rudy - kompozycja wielkoprzestrzenna, pow. parku 44,3 ha.

W 1252 r. sprowadzeni z Jędrzejowa cystersi zakładają klasztor, któremu towarzyszą ogrody i stawy. W połowie XIX w. po sekularyzacji zakonu nowy właściciel dóbr landgraf heski Amadeusz von Hessen-Rothenburg założył obecnie istniejący park wykorzystując starsze elementy układu. W krajobrazowej kompozycji dominują duże przestrzenie trawiaste otwarte w dalekich perspektywach na dominanty terenowe (Wzgórze Azalii, kapliczka, domek ogrodnika) oraz otaczający krajobraz. W obrębie łąk kwiatnych znajdują się pojedyncze drzewa ciekawych gatunków i form np. dęby kandelabrowe (*Quercus robur fastigiata*), świerki serbskie (*Picea omorika*) czy sosny wejmutki (*Pinus strobus*) czy magnolia drzewiasta (*Magnolia acuminata*). Wyjątkowość wewnątrz podkreślają duże zgrupowania kwitnących krzewów, wśród których dominują różne odmiany różaneczników.

Rudy stanowiły centrum latyfundium, którego poszczególne jednostki gospodarcze łączone były alejami obsadzonymi dębami szypułkowymi (*Quercus robur*) i lipami drobnolistnymi (*Tilia cordata*). Na szczególną uwagę zasługuje olbrzymi kompleks stawów z położonym wśród nich dworkiem myśliwskim w Łęczoku.

Świerkianiec - kompozycja wielkoprzestrzenna, pow. parku 48 ha

Na początku XVIII w. w miejscu dawnego zamku piastowskiego wzniesiono zapewne według projektu Schinkla zamek otoczony parkiem. W latach siedemdziesiątych XIX w. Donersmarckowie budują nowy pałac zgodnie z projektem Hektora Lefuela i zakładają nowy park krajobrazowy, projekt którego przypisywany jest Peterowi Lennie, twórcy ogrodów królewskich między innymi w Poczdamie i Kolonii. W parku dominują duże otwarte przestrzenie trawiaste z pojedynczymi drzewami lub ich grupami, gaje o bogatym, nieregularnym konturze. Charakteryzują go dalekie malownicze widoki z ogrodu na otaczający krajobraz. Na terenie parku rośnie ponad 100 niezwykle ciekawych gatunków drzew i krzewów tworzących swoisty rodzaj arboretum. Na szczególną uwagę zasługuje zespół fontann z rzeźbami dłuta Emmanuela Fremieta i mauzoleum projektu Juliusa Raschdorffa.

Pałac wraz z parkiem stanowiły centrum zespołu pałaców, dworów i folwarków (im też towarzyszyły parki) np. Nakło Śląskie, Tarnowskie Góry, Tarnowice Stare, Repty połączonych systemem alei o wyróżniających się walorach krajobrazowych. Kompozycję tą urozmaicoło dominantami terenowymi (ruiny romantyczne w Orzechu, kościół pielgrzymkowy w Piekarach Śląskich).

Żywiec, park pałacowy, pow. 28,0 ha.

Park ten był kształtowany razem ze stanowiącą jego centrum rezydencją Komorowskich a następnie Wielopolskich, której początki datowane są na ok. 1500. W połowie XVI wieku powstaje dziedziniec arkadowy, któremu towarzyszył niewielki ogród geometryczny. Pierwsze wzmianki o ogrodzie pochodzą z 1664 roku. Przebudowę zamku towarzyszyło utworzenie w latach 1712-1715 barokowego ogrodu w stylu włoskim, którego pozostałością jest niewątpliwie monumentalna trzykilometrowa aleja lip drobnolistnych (*Tilia cordata*) stanowiąca do dziś oś założenia. Wokół niej otwierają się ogromne salony ogrodowe, których przestrzenie wzbogacone są licznymi egzotycznymi gatunkami drzew i krzewów. Zbudowano wówczas tzw. „Domek Chiński”. Kolejny etap rozwoju parku wiąże się z XIX-wieczną przebudową pałacu przez arcyksięcia Karola Stefana Habsburga. Park zostaje wówczas powiększony i przekształcony w duchu romantyczno - krajobrazowym; autorem projektu był architekt niemiecki Jan Merk. Powstają kamienne pergole, skomplikowany system wodny z zespołem fontann. Kolejna rekompozycja parku miała miejsce na przełomie XIX i XX wieku, jej autorami są anglicy Ronda Solvin i ogrodnik Kitt Beckh. W trakcie przekomponowywania parku w duchu krajobrazowym angielskim wzbogacono kompozycję parkową o kolejne gatunki drzew i krzewów egzotycznych, w tym klonu jesionolistnego odmiany złocistej (*Acer negundo „Auratum”*), dębów (*Quercus*) burgundzkiego (*cerris*) stożkowego (*robur „Fastigiata”*), sosen (*Pinus*) wejmutki (*strobus*), rumelijskiej (*peuce*), Jeffreya (*Jeffreyi*), himalajskiej (*griffithii*), limby (*cembra*), jedlicy (*Pseudotsuga menziesii*) oraz jej odmiany sinej (*v. glauca*), iglicznii trójcierniowej (*Gleditsia triacanthos*), modrzewia japońskiego (*Larix caempferi*), tulipanowca amerykańskiego (*Liriodendron tulipifera*) i innych, tak że obecnie zinwentaryzowano ich w parku ponad 300. Niewątpliwą ciekawostką jest zajmująca całe piętro neomanierystycznego pałacu oranżeria, w której ogrodnicy Habsburgów hodowali unikatowe odmiany roślin tropikalnych.



Foto: Józef Wróbel

Uśmiech, który stał się pamięcią

Zdjęcie uśmiechniętej, pełnej uroku młodej kobiety, zamieszczone w „Dzienniku Zachodnim” i szokująca wiadomość: nie żyje!... Śmierć nagle, lecz nie w wyniku tragicznego wypadku a straszliwej, utajonej długo, nieuleczalnej choroby, która dała o sobie znać, gdy już było za późno.

Ewa Budzińska zmarła w szpitalu w poniedziałek 24 maja. Jeszcze na krótko przed śmiercią nie traciła nadziei powrotu do zdrowia. Wrodzony optymizm nie opuszczał Jej nawet w tych dniach ostatnich — i o tym też napisano w pośmiertnych wspomnieniach.

Osoba odznaczająca się wielką energią i przedsiębiorczością. Właścicielka dwu ekskluzywnych restauracji — „Divertimento” w Mysłowicach oraz „Restauracji Polskiej - Marcholta” w Katowicach przy ul. Warszawskiej 37 (gdzie mieścił się ongiś Klub Związków i Stowarzyszeń Twórczych). A już niedługo miała dokonać otwarcia w Katowicach swej restauracji prowansalskiej „C'est si bon”.

Szczególnie wielkie nadzieje wiązano z otwarciem „Marcholta” — legendarnego adresu dla niegdysiejszej katowickiej cyganerii, gdy okazała willa przy ulicy Warszawskiej, lecz szczególnie słynna „Piwniczka”, przez ćwierć wieku były miejscem artystycznych spotkań i wielu inicjatyw. Po 15 latach od likwidacji Klubu (z nastaniem stanu wojennego), okazało się niemożliwe odtworzenie tamtej atmosfery: zerwana ciągłość, zmiana generacji, wygasłe więzi, no i czas, czas, który dawnych bohaterów szaleńczych eskapad przemienił w zgorzkniałych często weteranów artystycznych porywów.

Ewa Budzińska uczyniła wiele, więcej niż to możliwe, by miejsce to pulsowało na mapie kulturalnej miasta własnym tętnem i miało swój styl. Organizowała różne imprezy artystyczne, recitale i koncerty gwiazd polskiej estrady, spotkania i bale — zawsze obecna z tym radosnym, ujmującym uśmiechem. Nie zyskała jednak właściwego zrozumienia tam gdzie powinna była tego oczekiwać, doświadczała różnych przykrości i zawodów, toteż wiele inicjatyw mogła tylko w części rozwinąć.

W dziejach naszej redakcji Ewa Budzińska zapisała się jako osoba gościnnie i przyjazna. To właśnie w Marcholcie — w sali imprez na parterze i pomieszczeniach sąsiednich zorganizowane były 3-krotnie ważne dla „Śląska” spotkania — pierwsze, powitalne, po ukazaniu się naszego pisma. Drugie, gdy „Śląsk” obchodził „roczek”. Wreszcie trzecie, 30 listopada 1998 roku, gdy pismo świętowało swoje kolejne urodziny. Ta trzecia rocznica zorganizowana została z niemalym rozmachem, z udziałem znacznych gości i współpracowników. Sympozjum „Śląsk” — po 3 latach, konferencja prasowa i spotkanie urodzinowe... Było serdecznie i gromko od toastów. Z tej okazji pani Ewa, zawsze w takich przypadkach życzliwa i współsponsorująca nasze poczynania, ofiarowała nam 3-piętrowy tort.

Także w „Restauracji polskiej” odbyło się pożegnalne spotkanie z Tadeuszem Różewiczem w dniu uhonorowania go doktoratem honoris causa przez Uniwersytet Śląski. Pani Ewa promieniała — tak znakomity gość!... I wtedy po raz ostatni byliśmy Jej gośćmi.

W grudniu tego roku ukaże się — w to należy wierzyć — 50 numer „Śląska”. Smutno na samą myśl, że Pani Ewa nie rozchyliła ramion w powitalnym geście, z tym swoim uśmiechem, który stał się już tylko pamięcią.

TADEUSZ KIJONKA

Święta kraina milczenia: hołdy, zabioki, dukle

ZBIGNIEW
KADŁUBEK

*Mam ojczyznę
z czterech języków.
I co z tego?
(Gabriel Laub,
Moja Wielka Ojczyzna)*

Nigdy nie przypuszczałem, że istnieje jakiegokolwiek powinowactwo pomiędzy Marcelem Proustem a Śląskiem. Kiedy go jednak doświadczyłem, ujrzałem jasno i w zachwyceniu — zatem jak sam Marcel — całkiem inny świat. Przeczytawszy jako chłopiec list Gilberty do Marcela, myślałem, że to list do mnie:

„Drogi przyjacielu — mówił list — dowiedziałem się, żeś był bardzo cierpiący i że już nie przychodzisz na Pola Elizejskie. Ja też nie chodzę, bo tam jest mnóstwo chorych. Ale moja gromadka przychodzi do nas na podwieczorek co poniedziałek i co piątek. Mama każe ci powiedzieć, że zrobiłbyś nam wielką przyjemność, gdybyś przyszedł, skoro tylko poczujesz się lepiej; będziemy mogli podjąć w domu nasze miłe rozmowy z Pól Elizejskich. Do widzenia zatem, mam nadzieję, że rodzice pozwolą ci przychodzić bardzo często, i ślę ci wyrazy szczerej przyjaźni”.

Niedawno znowu, z powodu Gilberty, zacząłem intensywnie rozmyślać nad upływem czasu i Polami Elizejskimi, ale nie tymi w Pa-

ryżu Champs Élysées. Nad Polami Elizejskimi z czasów mojego dzieciństwa i Polami Elizejskimi w jeszcze innym znaczeniu. Chcę tu więc w trochę nieumiarkowany sposób mówić o symbolach, ich bujności w naszym byciu, ale w pewnym sensie jest to odwrotna pocztą listu Gilberty do Marcela, jak gdyby dalszy ciąg „miej rozmowy z Pól Elizejskich”.

Na „hołdy” — bo tylko tak się mówiło: wyraz „hałda” usłyszałem dopiero w telewizji — nie chodził mi się właściwie bawić. Przynajmniej nie w takim sensie jak Marcel z Gilbertą na Pola Elizejskie. Owszem, w zimie część hałd zamieniała się w tory saneczkowe, a latem paliliśmy ogniska na szczytach. Ale tak naprawdę zabawa nie była najważniejsza. Chodziło się „na hołdy” — żeby tam być. Siedzieć w cieniu powykęcanych brzózek, które zdążyły pokornie wyrosnąć na czerwonej skale, przebywać w cudownym, czarowanym ogrodzie. Byliśmy tam żyjącymi jeszcze na wolności Indianami kryjącymi się w wąwozach Wyżyny Kolorado. Myśleliśmy także, że jesteśmy tymi chłopcami z węglowych okręgów stanu Kentucky (nie wiem skąd się biorą te amerykańskie analogie), którzy czekają na swój czas, żeby wyjechać na zachodnie wybrzeże albo

gdziekolwiek. Byli wśród nas tacy, którzy rzeczywiście wyjechali. Los jednak chciał, żeby znowu byli blisko kominów i węgla, i hałd — w Zagłębiu Ruhry, w Essen, Duisburgu, Bochum, Dortmundzie.

U podnóża hałdy był zabiok. Niewielki powierzchniowo i płytki staw, w którym rozmnażały się żaby, traszki i wajsiki (białe, bardzo ruchliwe rybki, których innej nazwy podać nie potrafię). Zimą trzeba było bardzo uważać, żeby zjeżdżając z hałdy na sankach lub nartach, wyhamować przed zabiokiem, bo lód nie zawsze był odpowiednio twardy. Wiosną łapaliśmy w zabioku traszki, żeby je trzymać w słoikach.

Za zabiokiem był las. Na skraju dębowo-bukowego lasu co kilkadziesiąt metrów można było spotkać sporych rozmiarów leje w ziemi — jak po małych bombach atomowych. To były dukle. Inaczej zwane biedaszybami. Kiedyś bezrobotni wydobywali tu niskopokładowy węgiel. Zjeżdżało się na haszplu (rodzaj kołowrotu) kilkanaście metrów pod ziemię i kopało węgiel zmieszany z kamieniami i piaskiem. Dukle przebudowaliśmy na coś w rodzaju szałasów-ziemianek: przykrywając je paprociami i trawą. Potem siedzieliśmy w środku w ciszy. W pobliżu dukli można było wtedy, i można jeszcze dzisiaj, znaleźć małe kawałki węgla.

„Nic nie brakowało temu krajobrazowi oprócz uświetnienia” — to pierwszy wers Miłoszowego *Widoku* i początek mojego wstydzienia się hałd. Zacząłem rozważać możliwości uświetnienia czegoś, czego zacząłem się wstydić. Wcześniej nie myślałem o uświetnianiu, nie widziałem braków Pól Elizejskich z hałdą w środku. Dziś jestem prawie pewien, że jedyną rzeczą, która jest w stanie ten krajobraz z hałdą uświetnić jest zgoda na milczenie. Milczenie i Pola Elizejskie — to dwie nierozłączne sprawy. Uświetnienia zresztą nigdy nie trzeba było, bo ono — chociaż, nie jawiąc się jako coś dotykającego — po cichu istniało, o czym przez długi czas nie wiedziałem.

Mistrz Wincenty zwany Kadłubkiem, pierwszy polski pisarz, nazywał Śląsk w *Kronice polskiej* świętą krainą Milczenia — *sacra*

Silentii provincia: (divina (III, 18) albo sacra (III, 30) Silentii provincia). Współczesna tłumaczka *Kroniki polskiej*, Brygida Kúrbisowa zastanawia się: „Nie wiadomo, czy Wincenty chciał się tu wyrazić metaforycznie”. Uważam, że chciał, bo po nim jeszcze wielu pisarzy pisząc o Śląsku, wyrażało się równie metaforycznie, świadomie lub nie, korzystając ze starego średniowiecznego toposu. O dzielnicę krakowskiej Wincenty napisze w innym miejscu *regina provinciarum* — „prowincyj królowa”, lecz ani święta, ani boska. Tak wyraził się jedynie o śląskiej ziemi.

Metaforą Śląska w *Kronice* jest zatem Milczenie. Czy symbolem milczenia, jako aktu najbardziej ludzkiego, może być Śląsk? Czy uczonemu biskupowi krakowskiemu i cysterskiemu mnichowi z Jędrzejowa chodziło o zwykłą grę słowną: *Silentium/Silesia*? Czy bawiąc się w tworzenie pewnego typu anagramu, próbował przedrzeć się do jakiejś tajemnicy, której Śląsk jest tylko widzialną powłoką? W anagramie jest zawsze coś z chęci stworzenia nowego języka. Nowy język tworzy się wtedy, gdy ten, który już znamy, nie potrafi opisać i nazwać rzeczywistości, która się jawi przed oczami. *Silentium*, pisane z dużej litery, to niewątpliwie jakiś wysublimowany do jednego słowa system metafor. Nie widział przecież Kadłubek obrazu hałd — zaklętych w milczenie popiołów. To jakiś archetyp, topos tak niezmienny, że znajduje się go u śląskich pisarzy bez względu na język, w jakim przyszło im pisać. Chyba coś trwalszego niż mogłoby się wydawać, trwalszego od tradycji literackiej i (między)narodowych symboli, a przypisanego w dziwny sposób tej ziemi, tkwi w tajemniczej Wincentego metaforze z Milczeniem, metaforze „dającej do milczenia”.

Milczenie jest znakiem (*signum*) Śląska. Czy znakowi odpowiada rzeczywistość lub znaczy on tylko inny znak? Trzynastowieczny awerroista zwany Boecjuszem z Dacji powiada: „Albowiem sama rzecz, która jest pojmowana przez umysł, jest znaczeniem słowa. Lecz gdy rzecz została unicestwiona, to oczywiście ona nie istnieje. A więc nie istnieje również znaczenie myślowe słowa”. Skąd więc



Edward Poloczek, fotogram z cyklu „Koniugacje”.

bije źródło pojmowania Śląska jako Elizjum i Milczenie?

Gdy mowa o motywie Elizjum czy *terra Quadorum*, Ziemi Kwadów, w kontekście Śląska, stosownie jest zacząć od Tacyty. W powstałym pod koniec I w. po Chr. niewielkich rozmiarów traktacie etnograficznym pt. „*De origine et situ Germanorum*”, czyli w tzw. krótko *Germanii* — autor pisze o niejakiach Kwadach, po łacinie Quadi, których utożsamiano z ludem zamieszkującym kraj na północ od Moraw. Czytamy u Tacyty: „*luxta Hermunduros naristi ac deinde Marcomani et Quadi agunt* — blisko Hermundurów żyją Naristowie, a dalej Markomanowie oraz Kwadowie”. Niedaleko również mają swe siedziby Sarmaci — podaje Tacyt w innym miejscu. Do „Prasławaków” zaliczano także na podstawie dzieła Tacyty Lugiów (Lygiów, Ligiów) i Helizjów (Elizjów), którzy byli — jak twierdzi Tacyt — szczepem ludu

Lugiów. Stąd właśnie kraj Elizjów, czyli Śląsk, zwie się Elizjum. Oczywiście i Sarmaci, i Kwadowie-Elizjanie Tacyty nie byli tymi samymi Sarmatami i Kwadami w XVI lub XVII wieku, ale to nie przeszkodziło budować mitu zarówno sarmackiego, jak i kwadyjsko-elizejskiego. Na Śląsku ważną książką potwierdzającą elizejskość miały być *Roczniki ludu śląskiego* (*Gentis Silesiae annales...*) napisane przez Joachima Cureusa i wydane w Wittenberdze w 1571 roku. Cureus świadomie dąży do wbudowania mitu elizejskiego w śląską kulturę. Czyni to jednak z pozycji Ślązaka niemieckojęzycznego. Stąd zapewne topos elizejski zaczął funkcjonować jako antypolski, choć niesłusznie.

Śląsk, Kwadia, Elizjum, nazwy te stosowano na zasadzie synonimów. Uważane były od dawna przez badaczy literatury na Śląsku — za nazwy „niemieckie”. Nie można się z tą opinią zgodzić. We-

dług mnie bowiem topos elizejski był czymś wspólnym dla niemal wszystkich wielojęzycznych dawnych pisarzy śląskich. Co więcej, motyw Elizjum posiada i dziś tajemniczą moc.

W krainie Milczenia — milczy się. Doskonale milczeć potrafią tylko zmarli i cienie. W mitologii greckiej Elizjum, czyli Kraina Zmarłych i Wyspy Błogosławionych, były wydzieloną dla nielicznych części Hadesu. Był to jakby Hades dla wybranych dusz. Mówiło się też o Krainie Cieni, albowiem dla Homera dusze były po prostu pozbawionymi umysłu cieniami (δκιοι). Tradycja nazywania Śląska Krainą Cieni jest długa. Ze względu na różnorakie emocje motywy Milczenia i Elizjum nie zostały dotąd dostatecznie przebadane i należyte zinterpretowane. Jedno jest pewne: to literackie określenie u różnych pisarzy, od Wincentego zw. Kadłubkiem począwszy, dotyczy tego samego obszaru — Śląska. Badanie elizejskości w śląskiej literaturze jest możliwe tylko dzięki metodom komparatystyki literackiej. Warto byłoby — myślę — zająć się wyjaśnianiem ewolucji literatury na Śląsku bardziej w kategoriach *genius loci* — ducha miejsca, aniżeli w kategoriach „ducha czasu”, czyli *Geistesgeschichte*, którą to metodę już dawno temu negatywnie osądzili Wellek i Warren.

Motyw elizejski był najpopularniejszy w wieku XVII. 1 czerwca 1614 roku Melchior Lauban ze Szprotawy (1567—1633), wybitny znawca Homera i Wergiliusza, rektor gdańskiego gimnazjum, nowolaciński poeta — został rektorem gimnazjum w Brzegu. Na jego cześć napisano wiele łacińskich panegiryków. Autorem jednego z nich był Jan Scultet z Kozuchowa (1570—1629), rektor humanistycznej szkoły w Legnicy:

*Dwoma już szkołami rządziły,
Laubanie, twoje Kameny.
Chwałą cię w Elizjum, chwałą
w pruskiej ziemi.
Chciałeś się wycofać, uzyskać
zwolnienie,
Lecz tego nie ścierpiałyby
Prusy, nie ścierpiałyby Śląsk.
Gdy Bóg zechciał, zawołano
cię ze śląskiej ziemi,*

byś berło rektorskie

w swe ręce wziął.

*Jednak w ojczystej ziemi nie
zniósł tego książę Jan Krystian,
ten, który światłem księstwa
brzeskiego, wyrocznią Elizjum.
Gdy Bóg zechciał, zawołano
cię z pruskiej ziemi,
zawołano cię — jak dawniej —
a teraz ma cię u siebie Brzeg.
Rządź więc sprawiedliwie
tą brzeską szkołą!
Nie ustawaj w okazywaniu
najwyższemu Ojcu wdzięczności.
Kiedy Bóg zechciał, tak
się stało: i niech się dzieje!
Skoro Bóg tak zechciał,
wszystko znieść musisz.*

W tym konwencjonalnym wierszu na uwagę zasługuje zastąpienie nazwy Śląska nazwą Elizjum. Nie jest to jakiś wyjątek. Była to na Śląsku w barokowych tekstach łacińskich powszechna maniera i zabieg pospolicity. Ciekawe jest także określenie piastowskiego księcia Jana Chrystiana z Brzegu: *Numen Elysiae* — wyrocznia Elizjum.

Przyjrzyjmy się jeszcze innemu tekstowi. Tym razem napisanemu po polsku, choć opatrzonemu łacińskim tytułem. Ludwik Heimb (1710—1765) pochodził z Cieszyna. Był księdzem katolickim, proboszczem w Skoczowie oraz Pruchnej. Jego zapomniany poemat pt. *Gloria Quadorum* wydał w 1995 roku Jan Malicki. Już sam tytuł tekstu Heimba, który jest swobodnym tłumaczeniem pieśni żaków śląskich napisanej przez Karla Gottlieba Weinganga, budzi nasze zainteresowanie. *Gloria Quadorum* — *Chwała Kwadów* jest napisana po polsku, jednak kontynuuje tradycję toposu. Wydawca poematu pisze: „... w pamięci ludności Śląska, ale i Europy utrwały się przejęte z Tacyta *terra Quadorum* czy Elizjum. Odnaleźć je można zarówno u Niemców, jak i Polaków w siedemnastym i osiemnastym stuleciu. (...) Spotykamy je też w twórczości Andreasa Gryphiusa i Melchiora Joppicha. Wra- stają one wręcz w świadomość Ślązaków. Warto z *Gloria Quadorum* przytoczyć dwie ostatnie zwrotki:

*Cieszcie się tedy Kwadowie,
Boście ziemscy są bogowie.
A wy Czechy, Francuzowie,
Włoszy, Polacy, Węgrowie.*

*Zostańcie każdy w swym kraju,
My też w naszym kwackim raju,
Bo tu starcza wody z górów
I anielskich śpiewy chórów.*

W XVII wieku żyła na Śląsku poetka zwana śląską Safoną. Marienne Elisabeth von Bressler urodziła się w 1693 roku w Wiedniu, a zmarła w 1726 roku we Wrocławiu. Pisała po niemiecku. Jej talent cenił wielce wybitny niemieckojęzyczny śląski poeta barokowy Johann Chrystian Günther (1695—1723). Nazywano ją również „śląską Melpomene”. Ona sama zaś przybrała pseudonim literacki Eliza (*Elysie*).

Przykłady na elizejskość w literaturze śląskiej można mnożyć, ale wiele aspektów samego tematu Elizjum pozostaje jeszcze nieznanymi. Z rodzajem kryptomotywu elizejskiego w literaturze o Śląsku lub przez Ślązaków pisanej spotykamy się w wieku XIX i XX. Np. Jan Nikodem Jaroń (1881—1922) był autorem mało znanej sztuki pt. *Eleusis*. Albo Franciszek Stateczny (1864—1921), poeta i franciszkanin spod Raciborza pisał o łabędziach na Odrze w swoich impresjach z Wrocławia: „... jak cienie elizejskie błądzą beztroskie, a marzenie snuje się pogodnie i bez pamięci czasu i przestrzeni, tak łabędzie płyną spokojnie...” Gustaw Morcinek wydał w 1946 roku zbiór opowiadań pt. *Dziewczyna z Pól Elizejskich*. Tytułowe opowiadanie nie wspomina wprawdzie o Śląsku, ale jest to właśnie dowód na nieświadome krążenie w orbicie śląskiej tradycji. To tylko migawkowe spojrzenie na recepcję motywu.

W zamierzonych czasach świętą górą dla Ślązaków była Ślęża. Pankratius Vulturinus z Jeleniej Góry w swoim dziele geograficznym *Panegyricus Slesiacus* — *Śląski panegiryk* z 1506 roku wymienił jej starą nazwę: *Silentius Mons* — Milcząca Góra.

„O czym nie można mówić, o tym trzeba milczeć” — napisał gdzieś Wittgenstein. W świętej krainie Milczenia, w Elizjum hałdy milczą najdoskonalej. Te Milczące Góry usypane z kwadyjskiej ziemi — łatwo czytelny tekst.

Nawet zawzięci kinomani rzadko zwracają uwagę na nazwy kin, do których uczęszczają, bo wydają im się oczywiste. I nie zmieniają się z miesiąca na miesiąc. Niemniej zmieniają się, a zmiany te świadczą, w dłuższej perspektywie, o nastrojach czasów. W szyldach sal kinowych zawiera się historia zjawiska kinematografu, ale również historia w ogóle.

Na Górnym Śląsku zmiany w nazewnictwie sal kinowych mają dodatkowe, pograniczne aspekty. Tutejsze kina zmieniały szyldy z niemieckich na polskie i odwrotnie w zależności od przebiegu historii politycznej. W efekcie najdawniejsze sale kinowe w górnośląskich miastach, jeśli przetrwały do dnia dzisiejszego, mają za sobą wielokrotne zmiany nazwy. A powody bywały najbardziej rozmaite.

Na początku naszego stulecia, gdy pojawiły się pierwsze stałe kina, Górny Śląsk należał do państwa pruskiego. Stąd i kina nosiły nazwy niemieckie bądź kosmopolityczne, poświadczające uniwersalne znaczenie X Muzy. Bardzo często budynki kinowe nazywano po prostu: „Kammerlichtspiele”, co oznacza mniej więcej tyle co „kameralny teatr świetlny”. Tak właśnie („Kammerlichtspiele”) brzmiała pierwsza nazwa dzisiejszego „Rialta” w Katowicach, otwartego w 1912 roku.

Przytaczając nazwy pierwszych kin katowickich, z okresu jeszcze przed I wojną światową, łatwo uzmysławiamy sobie, że miały one olśniewać potencjalną publikę wielkoświatowym blaskiem. Te pierwsze kina nosiły nazwy: „Welttheater”, „Colosseum”, „Palast Theater Moderne Lichtspiele”, „Apollo”. Podobnie było w innych miastach. W Zabrze otwarto „Welt — Kino”, w Raciborzu „Metropol Theater”, w Królewskiej Hucie — „Palast Theater” i „Colosseum”.

Z jednej strony nawiązania do wielkoświatowego blasku, z drugiej — pretensje artystyczne ukrywające się za nawiązaniami do mitologii antycznej i w ogóle do czasów antycznych. Dlatego tak często spotykamy się z nazwami „Colosseum” i „Apollo”. Niektóre z nich przetrwały w szyldach kin przez wiele dziesięcioleci, pewnie dlatego, że jako narodowościowo obojętne w ostateczności nie wadziły późniejsi ani Niemcom, ani Polakom w sporach politycznych. Do dnia dzisiejszego istnieje w Zabrzu kino o nazwie „Roma”, zbudowane jeszcze przed pierwszą wojną światową przez Jana Porallę, jednego z pionierów górnośląskiego kinematografu.

Z chwilą przejęcia części Górnego Śląska przez Polskę w 1922 roku, kina zazwyczaj pozostawały przy swoich antyczo-kosmopolitycznych nazwach, jak „Helios”, „Apollo”, „Colosseum” (to najczęściej wtedy spotykane nazwy kin w polskiej części regionu). Jednak niemieckie nazwy tłumaczono

wędrowki po kinie

Zmienne nazwy

stopniowo na polskie, co polegało najczęściej na tym, że kino o nazwie „Kammer” przemieniało się w „Kameralne”, a „Palast” w „Pałacowe”. Dopiero po pewnym czasie zaczęły pojawiać się kina o bardziej swojskich nazwach, jak „Piast”, „Świt” i „Polonia”.

Z czasem szyldy kin zaczęły wywoływać kontrowersję, szczególnie po roku 1926, gdy rządy w województwie śląskim przejęli piłsudczycy z wojewodą Michałem Grażyńskim na czele. Na właścicieli kin o niemieckich nazwach zaczęto wywierać naciski. W ten sposób w 1928 roku katowickie kino „Kammer”, po kilku krytykach sanacyjnej „Polski Zachodniej”, stało się kosmopolitycznym „Rialtem” i przetrwało przy tej nazwie szczęśliwie do dnia dzisiejszego.

W efekcie, w latach trzydziestych, nazwy kin górnośląskich ulegały stopnio-

wo polonizacji, a kina wtedy otwierane nosiły nazwy wyłącznie już polskie (jak katowickie kino „Zorza”, otwarte w 1938 roku).

Z kolei w latach II wojny światowej kina górnośląskie powracały do szyldów niemieckich bądź kosmopolitycznych, by kolejnej zmiany doczekać się w roku 1945. Wiele górnośląskich kin zmieniało nazwy wielokrotnie.

Zaraz po wojnie zapanowała polityczna moda na nazwy piastowskie i słowiańskie, co miało związek z ówczesną propagandą państwową, a kina — przypomnijmy — zostały wtedy właśnie upaństwowione. Stąd owe „Piasty”, „Światowidy” i „Bałtyki”, tak liczne w tamtych, powojennych latach, a niektóre przetrwały do dnia dzisiejszego. W Bielsku-Białej, gdzie w przeszłości przeważała ludność niemiecka, dawny Kinoteatr Miejski przemianowano w 1945 roku na „Wandę” (co nie chciała Niemca”, a Katowickie „Casino” nazwano „Wolnością”.

Jednak moda słowiańska nie trwała długo, bo szybko nadeszła epoka sztuki socrealistycznej, co nie pozostało bez wpływu na szyldy kinowe. Zapanowały takie nazwy, jak „Przodownik”, „Pionier”, „Stal” i „Przyjaźń” (wiadomo, że związkiem Sowieckim), a katowickie kino o podejrzanie kosmopolitycznej nazwie „Union” przemianowano na słuszną ideologicznie „Młodą Gwardię”, która zresztą przetrwała jedynie do lat sześćdziesiątych.

Dla przykładu warto wspomnieć siemianowickie kino otwarte na początku stulecia pod niemiecką nazwą „Kammer”. Najpierw więc „Kammer” zmieniło się w kino „Kameralne” (w latach dwudziestych), potem w „Deli” (to w okresie II wojny światowej), by stać się zaraz po wojnie „Piastem” i na koniec „Jednością” (w roku 1948). Nazwę kina wyznaczała za każdym razem historia ze swymi meandrami.

Z czasem kin zaczęło ubywać, a ze znikającymi salami znikaly ich nazwy. Jediną nową modą stała się (już w latach sześćdziesiątych) moda na szyldy kosmiczne, co wiązało się poniekąd z sowieckimi sukcesami w tej dziedzinie. Z tego okresu mamy katowicki „Kosmos”, tyską „Andromedę” i oświęcimską „Lunę”, a wszystkie te kina zbudowano od podstaw właśnie w latach sześćdziesiątych. Na szczęście nazwy te niczym nie rażą i trwają szczęśliwie również i dzisiaj.

W późniejszym czasie nowych kin na Górnym Śląsku prawie już nie budowano, a starym kinom przestano zmieniać nazwy. Nową rewolucję przyniosła w tej materii dopiero multipleksy, które będą musiały pewnie jakoś się nazywać. Miejmy nadzieję, że sensownie.

Temat na powieść

Pan Piotruś
 Wszędzie z teczką
 Do łazienki do sklepu
 Śpi na teczce
 Ogląda telewizję
 Teczka na kolanach
 Spakowana do drogi

Najpierw został
 W Jugosławii potem
 Przez Triest do Włoch
 Z Włoch do Austrii
 Z Austrii do Niemiec
 Niemcy puścili do Francji

Z Francji już nie chciał
 Się ruszać było mu dobrze
 W Paryżu ale Francuzi
 Odesłali go do Niemiec
 Niemcy do Austrii
 Austriacy chcieli do
 Jugosławii ale ta
 Przestała istnieć

Teraz pan Piotruś
 Z teczką dokumentów
 Czeka na decyzję
 Urzędnika ONZ
 Do spraw uchodźców

Zanim nadejdzie odpowiedź
 Piotruś zwany „Marynarzem”
 Okrąży Europę
 Po raz dziesiąty

Dopóki starczy życia
 A może jeszcze dłużej
 Bo nie chce wracać do kraju
 Który zwrócił Neptunowi
 Razem z biletem powrotnym

Jeszcze jedna bajka

Za siedmioma górami
 Za siedmioma stolami
 Porzucili warsztaty
 I narzędzia pracy
 Mężowie i ojcowie
 W pogoni za uciechami

Najzdrowsza proteina
 Amerykańska dziewczyna

A mnie się coś pomyliło
 I do takiej jednej
 Rozdyndanej naguski
 Z widelcem i octem
 Podskoczyłem
 Jak do galarety
 Spożywczej tandety

Wróciłem do Hawelki
 w końcu siedzi Machejek
 Czerwony jak wiśienka
 Jak jego psia dusza
 Obok wierny Pykosz
 Sekretarz redakcji

Piotr odkrył inny wymiar

W sierpniowe noce
 Pan Piotr szukał
 Odpowiedzi w gwiazdach
 Spadających nad barakiem
 W obozie dla uchodźców

Rumuni śpiewali dojny
 Albańczycy chwytały za noże
 A on się modlił — Stwórcu
 Nie zapomnij o mnie i o nas

Nie mógł się uspokoić
 Ciągłe powtarzał
 Jestem tylko wędrowcem
 Zawsze tylko przechodniem

Już nie zazdroszczę
 Tym co siedzą w domach
 Wpatrzeni w trupy
 Nadajniki pustki

Bóg wszystko widzi
 Choć żadna gwiazda
 Nie spada im na głowę
 Tacy są bezpieczni

I któregoś dnia odkrył
 Że pierwszym rodakiem
 Wystrzelonym w Kosmos
 Jest papież Karol Wojtyła

Nie żaden tam pułkownik
 Ze względu na brata
 W sztabie generalnym
 Ale prawdziwy kosmonauta

Rzucam śledziem przez salę
 Odbija się od jękały
 I trafia w Pykosza
 Czyli rykoszet
 A właściwie pykoszet

Ale się nie wściekli
 Tylko się śmiali
 Jeszcze mnie drukowali
 I o Miłoszu napisali
 Na tydzień przed Noblem

Więc nikt nie rozumie
 Że się zapijam octem
 I nie widzę dziewczęcia
 Co się do mnie wdzięczy

Nabity na widelec czasu
 Wtedy w Hawelce
 Z plikiem rękopisów
 Odtąd po wieczne czasy

Wieczna młodość

Ona nadawała z Hanoi
Regularne audycje
Nazywając pilotów
Przestępcami wojennymi

On po szkole wojskowej
Światowy żeglarz
Multimilioner
Powtarza z uśmiechem
Religia jest tylko
Dla przegranych

Modlą się codziennie
Do Matki Ziemi
I Ojca — ONZ

Walczą z kapitalizmem
Który ich stworzył

W swojej pralni CNN
Czynnej całą dobę
Piorą mózgi milionów
Telekretynów

Oboje maltretowani
Przez ojców
Przeciwników politycznych
Chcą zabijać podczas
Transmisji na żywo

Każdy kto ma więcej
Niż jedno dziecko
Jest potworem
Szerzącym głód i nędzę

Swojej propagandy
Już nie nadają z Hanoi
Hanoi przenieśli
Do Atlanty

Czasem wpadną do Hawany
Wypalić cygaro przyjaźni
Z najwspanialszym przywódcą
Wolnego świata

Koala-Bregnon

Musiałeś być
Strusiowiasty
Dziobakowaty
Wompatowaty

Ni to ni sio
Tasmanisio

Konsul
z wieżą Eiffla
Za plecami
Skazał niet

Amerykański
Z otwartymi rękami
Pan Grizzli
Z Polski

Do kolekcji
No i po co się
Pchać do Australii?
Bumerangować
W dzikie króliki?

Węże pan chciał
Piec na ognisku
Jak kielbasę?
Wkangurzać się?

U nas też nie brakuje
Tego świństwa
Co wylazi nocą z bagna
I skuczy do księżycy

I do kawiarni na Wiejskiej
Znacznie bliżej

Podobieństwo w niepodobieństwie

Chyba z zazdrości
Zżynali od Jankesów
Te drapacze chmur

Tyle że dodawali
Falbanki na dachach
I klujące jak bagnet
Iglice wieżyczek

Roosevelt w rewanzu
Kazał wszędzie stawiać
Tamy i zapory

Przez co teraz
Tak jak i przedtem
Susze albo powodzie

Tak się wymieniali
Doświadczeniami
Jak Watson z Pawłowem

Pies za szczura
Szczura za psa
Kara za nagrodę

Skąd tylko ta wspólna
Nienawiść do abstrakcji
Głuchota na ironię

Przecież Rosjanie
To nie purytanie
A stale na misji

Nawracają na wiarę
Ogniem żelazkiem
Słowem i obrazem

Inżynieria społeczna
Kult jednostki
Wojskowej

Tam strzelanie z „Aurory”
Na wiwat po pijaku
Tu wrzucanie herbaty

I doradca prezydenta
Żywy jak Lenin
Tylko bez kaszkietu

JERZY GIZELLA



Pielgrzymka do Studzienki – maj 1981

NORBERT
NIESTOLIK

Studzienka

Przed ponad stu laty ksiądz Norbert Bonczyk w poemacie „Góra Chelmska” pisał o Śląsku:

*Szczęсна ziemia kościołów, kopalń i kominów,
Szczytina między ziemiami z córek twych i synów,
Śląska, gniazdo Piastowskie! Choć cię wieszcz Wincenty
Sławny z pieśni ziem polskich nie opisał, ty święty
Jesteś wiary przystulek (...).*

Słowa te potwierdzają tradycyjne śląskie wartości, którymi są praca i religijność. One zawsze były kamieniem węgielnym w życiu codziennym śląskich rodzin. Jak trafnie zauważył Bończyk: Śląsk to ziemia kopalń i kominów, ale także kościołów, miejsc ważnych wydarzeń historycznych i trwałych po nich pamiątek. Tak było i nadal jest pomimo tylu zmian i wstrząsów dziejowych.

Wiele takich miejsc owianych jest aurą tajemniczości. Pięknie opisuje je Antoni Halor w cyklu „Pejzaż mitologiczny” ukazującym się w miesięczniku społeczno-kulturalnym „Śląsk”. Jedno z nich znajduje się w niewielkiej podrybnickiej wsi Jankowice. Leży ona około 7 km na południe od Rybnika (obecnie administracyjnie wchodzi w skład gminy Świerklany). Mieszkańcy w ogromnej większości zatrudnieni są w górnictwie. Przeważa ludność miejscowa, posługująca się na co dzień gwara śląską, bardzo mocno związaną z tradycją rodzimą i katolickim kościołem.

Początki wsi sięgają głębokiego średniowiecza. Jest w tych-że Jankowicach miejsce, gdzie legenda stapia się z prawdą historyczną. Uroczy obiekt położony wśród lasów, wawozów i dolinek, jakby wyjęty z najwspanialszych baśni — Studzienka, lokalne sanktuarium Bożego Ciała.

Omijało ją niestety pióro historyków i kronikarzy. Przed II wojną światową wspominał o niej Gustaw Morcinek

w książce „Śląsk” będącej jedną z cyklu monografii poświęconych krajoznawstwu ziem i miast Rzeczypospolitej opatrzonej wspólnym tytułem „Cuda Polski”. Dziś ma Studzienka coraz bogatszą literaturę — o jej istnieniu informują ostatnio między innymi prace: Jerzego Michalskiego „Znakowane szlaki turystyczne ziemi rybnicko-wodzisławskiej” (Rybnik 1996); Longina Musiolika „Spacerkiem po Rybniku i okolicy” (Rybnik 1998). Pisał o niej Innocenty Libura w „Dziejach domowych powiatu, gawędzie o ziemi rybnickiej” (Opole 1984). Możemy też znaleźć kilka drobnych artykułów prasowych na jej temat zamieszczonych w prasie lokalnej. Wychodząc naprzeciw potrzebie zbadań historii Studzienki myślałem, że będzie to dla mnie jedynie przygoda naukowa. Stało się inaczej, czar sanktuarium spowodował, że przygoda przerodziła się w trwałą miłość do tego niezwykłego miejsca.

Legenda i historia

Historia Studzienki jest ściśle związana z dziejami jankowickiego kościoła oraz z podaniem ludowym o księdzu Walentym.

W 1433 roku, w czasie wojen husyckich, ginie tutaj ksiądz o imieniu Walenty, spieszący do chorej kobiety. Przed śmiercią kryje w dziupli dębu bursę z przynajmniej jednym sakramentem. Odnaleziona zostaje ona dopiero po latach, co daje początek wielkiemu kultowi Bożego Ciała. Znalazło to odbicie w budowie kaplicy, a później kościoła pod takim właśnie wezwaniem (ok. 1670) oraz ustanowieniu Bractwa Najświętszego Sakramentu (1675). Inicjatorem tych działań był ówczesny właściciel tzw. państwa rybnickiego Ferdynand Leopold Op-

persdorf. Ciekawostką może być fakt, że pień wspomnianego dębu można oglądać do dzisiaj pod ołtarzem głównym kościoła oraz to, że bractwo potwierdzone zostało specjalną bulą papieża Klemensa X.

Po śmierci męczennika — ks. Walentego, starano się odzyskać jego ciało i przenieść je na cmentarz do Rybnika, ale ku zdziwieniu kapłanów i wiernych w miejscu wcześniejszego pochówku, nie odnaleziono zwłok, a wypłynęło tam źródło wody słynące od tego czasu cudami uzdrawiania w chorobach. Wydarzenia te stały się jednym z wątków powieści historycznej Karola Miarki „Husyci na Górnym Śląsku” wydanej po raz pierwszy w 1865 roku w Poznaniu.

Mijały lata i dopiero kolejny cud pozwolił na ponowne „odkrycie” Studzienki. Otóż w roku 1895 proboszcz parafii Matki Boskiej Bolesnej w Rybniku, do której należały Jankowice, ks. Edward Bolik ciężko zaniemógł. Na łożu śmierci złożył przyrzeczenie, że jeśli wyzdrowieje, wybuduje w Studzience kaplicę ku czci Matki Boskiej. Wkrótce choroba ustąpiła, a proboszcz wypełnił swoją obietnicę.

Istniejący do dzisiaj obiekt składa się z trzech części. W środkowej umieszczono figurę Matki Boskiej z Lourdes, w bocznych figurę Matki Boskiej Zaśniętej oraz księdza Walentego. Przed kaplicą tryskało źródło „świętej wody”.

W 1897 roku Jankowice zostały samodzielną parafią. Od roku 1932, gdy proboszczem został ks. Józef Miczka, Studzienka przeżywa dalszy rozwój. W latach 1932—1935 parafianie i ich duszpasterz wzniesli wspaniałą grootę z ołtarzem i wielką 3-metrową figurę Matki Boskiej. Wzór stanowiła grota w Lourdes. Jednocześnie powstały jeszcze dwie mniejsze: św. Barbary i tzw. grota bezrobotnych. Przy jej budowie pracowali górnicy pozbawieni pracy w latach kryzysu gospodarczego. Zużel potrzebny do wyrobu kamieni przywożono furmankami z ówczesnej kopalni Hoym. Żelazo i cement ofiarowali rybnicy Żydzi, zaś drewno miejscowy leśniczy. Jedzenie przywożono ze wsi a potrzebnych produktów dostarczali mieszkańcy.

Studzienka tętniła odtąd życiem religijnym. Coniedzielne msze i liczne pielgrzymki gromadziły rzesze wiernych. Na pobliskich łakach harcerze organizowali obozy i biwaki. Działały dwa schroniska, a w grocie mieszkał pustelnik. Poświęcenia wszystkich nowych obiektów dokonał ksiądz biskup sufragan Teofil Bromboszcz. Niestety wkrótce wybuchła wojna. Po jej zakończeniu Studzienka była w opłakanym stanie. Nowy proboszcz ks. Henryk Pieprzyk przeprowadził potrzebne remonty i wznowił odprawianie mszy świętych (4 razy do roku).

W 1976 roku, kolejny proboszcz ks. dr Herbert Jeziorski podjął inicjatywę odbywania corocznych pielgrzymek w drugą niedzielę maja i zapraszał na nie biskupów katowickich. Od początku swego istnienia Studzienka przyciąga latem — otoczona zielenią lub zimą — zasypana śniegiem; cicha i skromna sprzyjająca skupieniu i religijnym przeżyciom.

Sanktuarium

Historia Studzienki obfitowała w wiele uroczystości religijnych gromadzących wiernych nie tylko z parafii ziemi rybnicko-wodzisławskiej. Pierwszą z nich było poświęcenie kaplicy, która miała miejsce 15 sierpnia 1895 roku. Aktu tego dokonał budowniczy obiektu ks. proboszcz Edward Bolik za zgodą ks. kardynała Koppa, wlewając dwie butelki wody z Lourdes do źródła Maryjnego (wytrysnęło podczas kopania fundamentów pod kaplicę) oraz jedną do źródła Walentego.

W 1934 roku, z inicjatywy ówczesnego proboszcza ks. Miczki odegrano scenę ucieczki i śmierci ks. Walentego. Wincenty Zniszczoł (rocznik 1908), tak zapamiętał to widowisko rozegrane w plenerze: *Wszyscy uczestnicy byli przebrani w stroje z czasów wojen husyckich. Ksiądz grał Alojzy Wowra, który długo ćwiczył scenę upadku. Husytów było 32 — wszyscy na koniach. Ja grałem Husytę zadającego śmiertelny cios. Na końcu lancy miałem pojemnik z farbą, co miało imitować krew wypływającą z rany zadanej ofierze. Widowisko zgromadziło tłumy. Ludzie rozsiedli się nawet na drzewach. Scena śmierci księdza wywołała wielkie wrażenie. Odezwały się głosy „boroczek księszoszek” i z niejednych oczu polały się łzy. Dla pewnych ludzi scena ta miała wymowę autentycznego wydarzenia powtórzonego po latach. Przed II wojną światową, w Wielki Czwartek, odbywały się tu tzw. „procesje z lampionami”; obecnie tradycji tej zaniechano. 5 maja 1957 roku parafianie odnowili w grocie*

Śluby Jasnogórskie. 15 sierpnia w święto Matki Boskiej Wniebowziętej w Studzience odbywają się odpusty. W roku 1998, w którym przypadała 775 rocznica istnienia Jankowic, oprócz części religijnej zorganizowano „Bieg księdza Walentego”, którego trasa wiodła dawną drogą ucieczki kapłana przed Husytami.

Tradycją stale rozwijającą się są coroczne pielgrzymki do Studzienki (druga niedziela maja), na które przybywają wierni niemal z całego Górnego Śląska. Mszy i modlitwom przewodzą zapraszani w tym dniu biskupi. W minionych latach gościli więc w Studzience księza biskupi: Herbert Bednorz, Juliusz Bieniek, Janusz Zimniak, Czesław Domin, Gerard Bernacki i arcybiskup Damian Zimoń.

Począwszy od 1996 roku, w okresie od maja do października, w Studzience odbywają się msze z kończącym je Apelem Fatimskim (godz. 20.00). Blask tysięcy zapalonych świec budzi wtedy leśne ptaki a pieśń „Ave Maria” śpiewana w tej scenerii wywołuje niezapomniane wrażenia.

Czar uroczyśka

Jankowicka Studzienka była i jest inspiracją dla ludzi pióra. Utwory, które powstały w oparciu o to cudowne miejsce, nie zawsze były najwyższych lotów. Czasem raziły naiwnością i prostotą, lecz zawsze wpływały z potrzeby serca, bo o Studzience nie sposób pisać tylko piórem, trzeba czynić to także sercem. Do utworów godnych zacytowania należy wiersz Wiktora Bugli (z tomiku „Pejzaż z kominem”, 1997).

*Madonno Jankowickich lasów,
strażniczko drzew i leśnej ciszy,
schowana za żelazną kratą
przed ludźmi w swej kamienniej niszy.*

*Patronko wszystkich leśnych stworzeń,
źródłko niebosiężnych wzruszeń,
co wytrysnęło z piersi ziemi,
gdy ktoś oddawał Bogu duszę.*

*Historia miesza się z legendą,
tętent husyckich słychać koni
i krzyk rozpaczny, kiedy ginął
ten co nie zdołał ująć pogoni.*

*Legenda żyje wciąż w obrazach,
i wodę ciągle daje ziemia,
a tylko dzikich pszczoł już nie ma
co skryły sacrum w dziupli cieniach.*

*Inne dziś drzewa na polanie
i ludzie także nie ci sami.
Wszystko się zmienia, las w odwrocie,
a ty bezpiecznie, za kratami.*

W odróżnieniu od innych podrybnickich wsi Jankowice uniknęły większych zniszczeń w czasie minionej wojny. W pobliżu miały miejsce walki, pozostały groby ofiar, zaś w Studzience stacjonowały wojska radzieckie dokonując niestety jej dewastacji. Poza kilkoma osobami (Felix Hola, Paweł Wowra — patroni obecnych ulic) większość uczestników walk szczęśliwie wróciła do swoich domów. Wierzą, że za sprawą „Panienki z Groty”. Stało się też tradycją, że każdy kto wyruszał na front, modlił się przed jej figurą, a ze sobą zabierał jej zdjęcie. Jeden z mieszkańców wsi, były powstaniec Franciszek Szulik, ocalał być może dzięki temu, że przesłuchujący go Niemiec znał Jankowice i Studzienkę. Na stwierdzenie Szulika, że jest z Jankowic oświadczył: *to tam, gdzie jest ta święta woda...* i wysłał go z grupą Ślązaków do domu. Wydarzenie miało miejsce w Bawarii i opisane zostało w wojennym pamiętniku powstańca.

Czy woda ze Studzienki ma właściwości uzdrawiające? Jak dotąd nikt nie spisywał cudów dziejących się za jej przyczyną. Mówi się o mieszkańcu Raciborza, który zabrał dwie beczki „świętej wody” i mocząc w niej ropiejące nogi, uleczył je. Do dzisiaj w wielu domach przechowuje się wodę ze Studzienki — antidotum na wszelkie dolegliwości. Ludzie mówią, że nie mętnieje, nie zmienia koloru, nie ma zapachu i... pomaga w chorobach. Badania laboratoryjne potwierdziły jej doskonałą jakość. Czy jest święta? W Jankowicach wszyscy w to wierzą.



Rycina z 1900 r. (W. Długolecki: Parafia jankowicka i jej pamiątki)

Dobrym duchem Studzienki był jej pustelnik. Nazywał się Izidor Mirek i pochodził z Radlina, gdzie mieszkał w starym dębnie. Był osobą świecką. Po roku 1935 zamieszkał w pomieszczeniu w grocie, za figurą Matki Boskiej. Przewodził modlitwom w czasie pielgrzymek. Codziennie dzwonił na Anioł Pański. Utrzymywał się z datków wiernych, z pracy na probostwie, robił miotły dla mieszkańców wsi. Był człowiekiem cichym, skromnym i bardzo lubianym. Jego dobrocią, brodatą twarzą pamięta się do dzisiaj. Po drugiej wojnie światowej, wraz z odejściem z parafii ks. Miczki, pustelnik opuścił Studzienkę. Zmarł w Kłodzku 15 kwietnia 1950 roku. Nikt nie przypuszczał, że ten skromny człowiek zgromadził środki na pewien piękny cel. Był nim zakup nowego dzwonu do Studzienki. Umieszczone na nim napisy świadczą o osobie fundatora i celu zakupu. W czasie wojny znalazł on miejsce w jankowickim kościele, gdyż dzwon ze świątyni zrabowali okupanci. Dzwon pustelnika do dzisiaj dobrze służy miejscowej parafii.

Studzienka była zawsze miejscem ukochanym przez dzieci i młodzież. Przed wojną odbywały się tutaj sobotnio-niedzielne biwaki, a także dłuższe obozy. Organizowali je: Innocenty Libura — profesor gimnazjalny z Rybnika i Longin Musiolik — drużynowy V drużyny Harcerskiej ze Smolnej, Dzień rozpoczynał apel i modlitwa, w niedzielę uczestniczono we mszy świętej. Podobne imprezy organizowali nauczyciele miejscowej szkoły. Wieczory, to gawędy i śpiewy przy ognisku. Miejsce dodatkowo podnosiło nastrój. Obecnie coraz częściej powraca się do tamtych tradycji. W 1995 roku łąki nie opodal Studzienki gościły uczestników obozu zorganizowanego przez parafię z pobliskich Markłowic.

Tradycją stał się zwyczaj od kilku lat kultywowany w miejscowej szkole. Po komersie kończącym pobyt ośmioklasistów w jej murach, dzieci wraz z wychowawcami (ok. godz. 21.00) udają się do Studzienki. Uczniowie szkoły biorą także udział w pracach porządkowych w swoim sanktuarium w ramach tzw. „Dni Ziemi”. Pracę tę traktują nie jako obowiązek, lecz potrzebę serca.

Dziedzictwo

Odwiedzają Studzienkę często indywidualni pielgrzymi i czynią to niezależnie od pory roku. Longin Musiolik — autor kilku książek o Rybniku wspomina, że Jankowice przed wojną i na krótko po wojnie były odbierane w mieście jako wieś owiana atmosferą tajemniczości. Przybysze przeżywali tam na nowo legendę o ks. Walentym i Husytach. Z wielkim wzruszeniem wspomina swoją matkę Rozalię, która na krótko przed śmiercią jako 92-letnia staruszka zażyczyła sobie raz jeszcze odwiedzić Studzienkę. Oczywiście życzenie to zostało spełnione.

Studzienka, to wreszcie dzień dzisiejszy wsi i gminy. Sanktuarium ożyło nowym blaskiem w kilku ostatnich latach. Stało się to za przyczyną obecnego proboszcza ks. Tadeusza Stachonia, władz gminnych i sołeckich. Odnowiono kaplicę, stację drogi krzyżowej, ławki dla wiernych, wyasfaltowano drogę dojazdową. Umieszczono nowe kierunkowskazy i tablice informacyjne. Ukazała się widokówka z kościołem i Studzienką.

Dzięki urokowi i magii Studzienki, Jankowice były i są wsią niezwykłą, w której duch dawnych wydarzeń owocuje aktywnością mieszkańców. Czar miejsca udziela się także młodemu pokoleniu mieszkańców wsi. Jak podkreślili uczestnicy sesji naukowej pt. „Świat śląskich ojczyzn lokalnych” (Jankowice, październik 1998), panuje tutaj również niezwykły duch edukacji religijnej. Dzięki trosce i wsparciu finansowemu Urzędu Gminy Świerklany uczniowie tutejszych szkół realizują program stworzony przez miejscowych nauczycieli. Efekty widoczne są gołym okiem. Piękne klaso-pracownie, wystawy ma korytarzach szkolnych, publikacje książkowe uczniów, coroczny turniej gminny „Godki przy śląskim kołoczku”, sukcesy jankowickiego zespołu folklorystycznego „Sobótki” (Grand Prix „Śląskiego Śpiewania” w roku 1997). Miejscowe dzieci odnalazły tutaj swoją małą ojczyznę, swoje korzenie. Siedmioklasistka Malwina Sobik napisała:

*Tu się urodziłam i tutaj dorastam,
I cieszę się bardzo, że z dala od miasta.
Moja wieś jest piękna,
A zwłaszcza o świcie,
Gdy słonko wstaje
I budzi się życie.*

Kończąc opowieść o jankowickim sanktuarium pragnę stanowić się, co decyduje o jego sile oddziaływania w społeczności lokalnej?

Fenomenem jest to, że jego istnienie opiera się na bardzo wątych podstawach źródłowych, a mimo to aktywność ludzka pozwoliła na stworzenie tam kilku okazałych obiektów sakralnych. Czy to cud sprzed wieków sprawił, że działa tam „Genius loci”? A może to tylko przywiązanie i tradycja? Jest faktem oczywistym, że Studzienka cementowała i cementuje mieszkańców wsi. Mówią o niej: *Jest nasza, to święte miejsce stworzyli nasi przodkowie, a gdy trzeba było toczyli o nią krwawe boje* (chodzi o dawny konflikt, gdyż położona jest na terenie wykupionym od wsi Markłowice). W dzisiejszym świecie pieniądza, pogoni za sukcesem, jest miejscem wewnętrznego wyciszenia, zadumy i refleksji oraz spotkań z Bogiem. Symbolem przywiązania mieszkańców wsi do tradycji.

1. Sala 58 Collegium Maius Uniwersytetu Jagiellońskiego. Maj, niedzielne południe. Spóźnieni, na spotkanie przychodzą Stephane Courtois i Jean-Louis Panne, autorzy właśnie wydanej po polsku „Czarnej księgi komunizmu”. Po krótkiej prezentacji — czas na pytania z sali. Moderator spotkania z ramienia wydawnictwa zagrzewa profesurę, studentów i grono amatorów. Ośmiela się pani z tylnego rzędu: „Jestem rusycystką, specjalizuję się w literaturze łagrowej. Chciałabym podziękować gościom z Francji za tę książkę, na którą tak długo czekaliśmy. I chciałabym powiedzieć, że tak znakomita książka w polskim wydaniu niesie nieprzyjemny zgrzyt. Z wielkim zdumieniem czytałam przedmowę napisaną przez panią Krystynę Kersten. Jak można? Jak można pisać, że nie sposób wyobrazić sobie nazizmu bez komór gazowych, a komunizm bez łagrów — można? Kiedy my czytaliśmy prawdę z emigracyjnych książek, pani Kersten nie pisała nam prawdy. Jak można cytować na poparcie swoich sądów Miłosza, który był w końcu wysokim funkcjonariuszem systemu, zanim wybrał wolność?” ... Francuscy goście są dobrze wychowani, więc dziękują za interesujący głos z sali. Ktoś rzuca nieśmiało, że to nie są słowa Kerstenowej tylko przytoczona przez nią pewna obiegowa opinia, ale wysrebrzone siwizną głowy już potakują z uznaniem: „Zgadzam się z panią profesor — basuje pani z drugiego rzędu, — jak można nawet cytować podobne sformułowania?!... A u Miłosza nie było najgorsze bynajmniej to, że po wojnie był w służbie dyplomatycznej PRL-u, ale fakt, iż w latach osiemdziesiątych określił komunizm jako piękną i wielką ideę młodości”. Przez salę idzie pomruk oburzenia. Francuskich gości nie opuszcza dobre wychowanie, więc dziękują za ciekawy głos z sali. I jeszcze jeden pan: „Chcę powiedzieć, dziękując za tę ważną książkę, że chyba w którymś momencie autorzy się zatrzymali. Piszecie panowie, że miliony ofiar, że Stalin, Mao i Kim Ir Sen. Ale przecież ci zbrodniarze nie robili tego własnymi rękami. Mieli pomocników, wykonawców. Ciekawe byłoby wiedzieć, kim oni byli, ci pomocnicy i oprawcy, z jakich n a c j i się wywodzili?...”. Francuscy goście, jak wyżej...

2. Do głosu przebija się Jean-Louis Panne. Nazywa „Czarną księgę komunizmu” książką otwartą. Z dwóch powodów. Po pierwsze, w każdym z krajów, gdzie książka się ukazuje (Polska jest trzynastym), miejscowe wydanie uzupełniane jest stosownymi aneksami. Na przykład edycja niemiecka ma dodatkowe 50 stron na temat represji w byłej NRD. W wydaniu rumu-

Rys. Marek Polanski

BLOC -NOTES

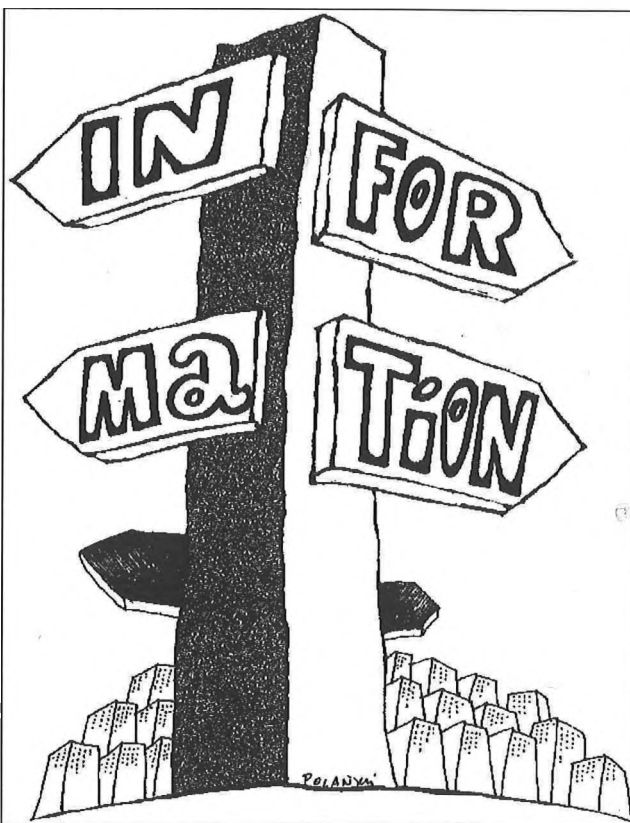
skim dołożono kilkadziesiąt stron o zbrodniach Ceausescu. Przygotowane wydanie po grecku zawierać będzie specjalny rozdział o represjach w Komunistycznej Partii Grecji. A wydanie serbskie — jeśli nastąpi? Karek Bartosek, autor rozdziału o zbrodniach komunistycznych w Europie Środkowej i Wschodniej, już dokonał swojej samokrytyki, gdyż nie „docenił” terroru Tity. Ale to książka otwarta także w tym sensie, że choć fakty i liczby, zebrane w jednym tomie, robią wrażenie kompletności, daleko wciąż do pełnego dostępu do źródeł. W Moskwie na nowo zamknięto pod klucz archiwa Kominternu. Nie istnieją — przynajmniej dla badaczy z zewnątrz — archiwa chińskie, koreańskie, afgańskie, angolańskie, kubańskie. Ale te archiwa — J.-L. Panne ufa w to głęboko — będą się otwierać przed naukowcami. Otwo-

rzę się kiedyś i archiwa chińskie, a wtedy trzeba będzie dopisać kolejne rozdziały o Wielkim Głodzie: ile pochłonął naprawdę ofiar? 35 milionów, jak podaje dziś „Czarna księga”? A może 60 milionów? 80 milionów?

3. Więc ile tych milionów? I czy to liczenie jest w ogóle uprawnione, jak skłonni są zastanawiać się krytycy „Czarnej księgi”? Stephane Courtois liczy tylko tych, którzy zmarli z głodu, zostali zabici lub zginęli w obozach.. Tylko w oparciu o archiwa, wychodzi mu blisko 100 milionów ludzi. Ci, co wolą głościć, że ludobójstwo przypisane jest nazizmowi, komunizm zaś to tylko piękna idea, która uległa deprawacji — poddają w wątpliwość tak rzetelność wyliczeń, jak samo prawo do ich sporządzenia. Jeden z niemieckich historyków nazwał redaktora książki „historykiem z kalkulatorem”. Zgoda, niech i tak będzie, odpowiada Courtois, ale właśnie to liczenie jest sprawą zasadniczą z historycznego i moralnego punktu widzenia.

4. Nie wszyscy przyjmują podobny punkt widzenia. Nawet wśród autorów „Czarnej księgi” nie ma zgody. Jean-Louis Margolin, autor rozdziału o zbrodniach komunizmu azjatyckiego, zakwestionował owo kryterium ilościowe, bo jest ono prostą drogą do porównania nazizmu z komunizmem. A tego już zachodni intelektualista, który „kulturę antyfaszystowską” wysłał z mlekiem matki, ścierpieć nie może. Stephane Courtois mówi, że tu właśnie tkwi klucz do problemu: już Francois Furet przestrzegał, iż nie da się zrozumieć historii XX wieku bez porównania nazizmu z komunizmem. Argument, że w łagrach nie było komór gazowych, odbiera zdolność rozumowania wszystkim, których obowiązkiem jest racjonalne myślenie. To nic innego niż terroryzm intelektualny; czyż bowiem na Kołymie istniała w ogóle potrzeba stawiania komór gazowych?

5. „Czarna księga komunizmu” to książka przeciw amnezji. I przeciw perspektywie, która w gruncie rzeczy sprowadza zbrodnie XX wieku do niemoralnego podziału na zbrodnie niesłuszne i słuszne. Dzięki także tej książce toruje sobie drogę inne myślenie: akurat w czasie wizyty w Polsce autorów „Czarnej księgi”, Fundacja Kultury Chrześcijańskiej „Znak” oraz Komitet ds. UNESCO ogłosiły konkurs dla młodzieży na temat: „Trzy pytania: Dlaczego Auschwitz? Dlaczego Kołyma? Dlaczego Kosowo?”





Centrum Istebnej

Wieś pod Złotym Groniem

MARIA
LIPOK-
BIERWIAZONEK

*Gdy spojrzę na twój obraz, kochana Istebno,
to jakbym miał przed sobą książkę modlitewną,
którą Bóg Sam roztworzył, oparł o gór szczyty,
każąc nam sercem wyczuć czas Swój w niej ukryty.*

Wiersz ten napisał ksiądz Emanuel Grim, proboszcz parafii istebniańskiej w latach 1917 - 1950 (z przerwą okupacyjną), zasłużony i ukochany przez górali duszpasterz, ale również pisarz, folklorysta, współpracownik „Zarania Śląskiego”, poseł na sejm.

Słowa księdza Grima posłużyć mogą za najlepsze zaproszenie do wizyty w Istebnej, wsi rozłożonej pod Złotym Groniem. Niewysoki, wznoszący się na 710 m, ale przyjaźnie rozłożysty masyw Złotego Gronia zasługuje na swą nazwę: stara, gęsto zabudowana część wsi rozciąga się na jego południowym, słonecznym stoku. Jego wyniosłość osłania ludzką siedzibę przed północnym wiatrem. Istebna patrzy więc ku ciepłemu południowi, a Złoty Gron jest złoty słońcem, zaś latem łąkami dojrzewających zbóż.

Za progiem Kubalonki

Serpentyny wspinające się na przełęcz Kubalonkę zna prawie każdy. Dla turystów, zjeżdżających w Beskid Śląski, Kubalonka jest jak skrzyżowanie głównych dróg. Stąd można wybrać się na Baranią Górę - czerwonym szlakiem przez Stecówkę i Przysłop - lub w drugą stronę, na Stożek. Można, skręcając wygodną drogą na wschód, pójść na spacer do prezydenckiego Zameczku (wybudowanego jako miejsce wypoczynku Ignacego Mościckiego), który znajduje się jeszcze w granicach Wisły, lub pójść na wprost, niedaleko, do drewnianego kościółka, który należy już do Istebnej. Podobnie, jak ukryte wśród drzew na stoku sanatorium dla dzieci.

Jest zatem Kubalonka jak wysoki próg, który trzeba przekroczyć, żeby przejść z jednej do drugiej góralskiej izby - z Wisły do Istebnej. Przekraczając ten próg warto pamiętać, że wiele wokół niego śladów cywilizacyjnej działalności gospodarzy województwa śląskiego w latach międzywojennych. Od 1928 roku poczynając wybudowano kolej z Ustronia do Głębców, bitą drogę przez Kubalonkę do Istebnej, wspomniane już sanatorium, prezydencki zameczek, szkoły w Wiśle i Istebnej. Nic dziwnego, że miejscowi górale we wdzięcznej pamięci zachowali nazwisko wojewody Michała Grażyńskiego - jego decyzje inwestycyjne przybliżyły ich do świata.

Co więcej, droga przez przełęcz przybliżyła też do siebie wzajem mieszkańców obu miejscowości. Przed wybudo-

waniem szosy wędrowanie pomiędzy Wisłą i Istebną było bardzo uciążliwe, a tym samym niezbyt częste. Dziś konstatacja taka budzi niedowierzanie, a jednak tak było przez parę stuleci - wyniosłość górskiej grani z siodłem Kubalonki nie sprzyjała intensywnym wzajemnym kontaktom wiślan i istebnian. Jedni i drudzy szukając łączności z szerszym światem kierowali się „ku dołom”, a więc ku najbliższemu, niżej położonym i gęściej zasiedlonym dolinom: wiślanie do Ustronia i Góleszowa, a istebnianie do Bukowca, Pioska i Jabłonkowa. Wędrowki górali z Istebnej, Jaworzynki i Koniakowa do Jabłonkowa ułatwiała wygodna droga zwana „cesarską cestą”, będąca fragmentem traktu biegnącego z Wiednia do Krakowa, na beskidzkim odcinku prowadzącego szeroką doliną Olzy aż do Jabłonkowa, następnie ku Przełęczy Koniakowskiej i dalej do Żywca. „Cesarsko cesta” omijała centrum Istebnej, biegła nieco dalej na południe, krawędzią wzniesień pomiędzy tą wsią i Jaworzynką.

Tak było przez wieki przynależności Śląska Cieszyńskiego do monarchii habsburskiej. W obrębie księstwa cieszyńskiego można się było swobodnie przemieszczać: od Strumienia na północy po Jabłonków na południu i od Bielska na wschodzie po Bogumin i Frydek na zachodzie. Wytyczona w 1920 roku granica pomiędzy Polską i Czechosłowacją podzieliła ten obszar na dwie części przecinając dotychczasowe drogi i szlaki. W ten sposób istebnianie, a także mieszkańcy Jaworzynki i Koniakowa, którzy tradycyjnie ciążyli do Jabłonkowa jako swej góralskiej stolicy, musieli zmienić kierunek wędrówek „do świata” - „świat” był teraz na północy, za Kubalonką. Dla istebnian „świat” ten stał się dostępny dopiero w latach trzydziestych, po zbudowaniu wspomnianej drogi przez przełęcz. Szeroko otwarł się po uruchomieniu regularnej komunikacji autobusowej po II wojnie.

O tym, że Kubalonka była kiedyś i bywa dziś kłopotliwym progiem przypominają zimą kopne śniegi, paralizujące czasem komunikację samochodową.

W dorzeczu Odry i Dunaju

S pod przełęczą Kubalonki spływają górskie potoki. Głębiczek bieży na północ, łączy się z Łabajowem i wpada do Wisły. Potok Połomity spływa na południe i wpada do Olzy, z Olzą zaś dąży ku Odrze. Schodząc zatem z Kubalonki ku Istebnej - wkraczamy na obszar dorzecza Odry. Fakt ten, o podstawowym znaczeniu dla geografów, zawiera też w sobie przedziwną symbolikę. Deszcze spadające na masyw Baraniej Góry, na stokach której rodzi się Wisła, królująca całej Polsce, zasilają też Odrę, rzekę-matkę Śląska.

Z kolei wznosząca się nad Koniakowem Ochodźta osłania źródła potoków Czadeczek i Krężelka, które płyną na zachód ku Jaworzynce, łączą się, a dalej, już po słowackiej stronie, wpadają do Skaliczanki, potem Kisuczy, a wraz z nią i wieloma innymi nitkami potoków i rzek oddają swe wody Dunajowi. W ten sposób „cesarska cesta” na odcinku od skrzyżowania przed Jaworzynką do Koniakowa biegnie europejskim wododziałem, oddzielając zlewisko Morza Bałtyckiego od zlewiska Morza Czarnego. Górale z przysiółków Odkrzasz, Zapasieki i Śliwkula mieszkają już na terenie zlewiska czarnomorskiego.

Ciekawy styk definiowanych pojęciami geograficznymi obszarów nie wyczerpuje tutejszego rejestru symbolicznych miejsc i linii granicznych. Jest ich więcej. Za ostatnimi domami Jaworzynki stykają się współczesne granice trzech państw: Polski, Czech i Słowacji. Za plecami Ochodźtej, za jej bardziej stromym, wschodnim stokiem biegła niegdyś granica między Polską a państwem habsburskim i wcześniej czeskim, których częścią było Księstwo Cieszyńskie już parę setek lat przed rozbiorami. Jeszcze dziś starzy ludzie potrafią pokazać, w którym miejscu

między Koniakowem a Lalikami zaczynała się Polska. Małgorzata Kiereś, etnograf rodem z Istebnej, przytaczała kiedyś rozmowę z babką wypędzającą krowy na pastwisko: *Kany to idziecie paść krowy?* - *A ku Polsce.* - *A kany ta Polska?* - *A za Ochodźtą.* I choć zarówno po wschodniej, jak i po zachodniej stronie Ochodźtej od 1920 roku jest ta sama Polska, a przedtem, przez 150 lat, była formalnie ta sama Austria - babka, jak całe jej pokolenie, zachowała świadomość historycznej granicy, dziś już mitycznej. W wspomnieniu tamtej granicy wyraża się świadomość różnej tradycji kulturowej górali śląskich, mieszkańców cieszyńskiego Beskidu Śląskiego, i górali żywieckich, mieszkańców wsi zza Przełęczy Rupiienka i Przełęczy Koniakowskiej.

Istebniańska dziedzina

Istebna jest wsią rozległą. Jej przysiółki wypełniły różne zakątki doliny Olzy i dolinki spływających do Olzy potoków. Centrum lokalnego świata, jego oś świętą, wyznacza wieża kościoła pod wezwaniem Dobrego Pasterza, zbudowanego na wyniosło-



Istebna - „dziedzina”. Kamienista droga prowadzi w głąb „dworu”.

Foto: Jerzy Bierwiaczonek

ści, na którą z trudem wspinają się - zarówno od strony doliny Olzy, jak i od strony Jaworzynki - autobusy, samochody i konie zaprzężone do góralskich furmanek. Przestrzeń sacrum wokół kościoła dopełniają cmentarze: przed kościołem stare, z żeliwnymi ozdobnymi krzyżami tonącymi w rozrosłej zieleni, za kościołem dwa nowe, wypełnione nagrobkami z lastryka. W pobliżu strefy sacrum ulokowało się centrum *profanum*: rozgałęzienie głównych dróg, przystanek autobusowy, stara gospoda „U Ujca”, obok sklepy i sklepiki. Tu kwitnie także jarmarczna sprzedaż chodnikowa; handlarze rodzimi i „ruscy” zjeżdżają licznie zwłaszcza w weekendy.

Od kościoła na wschód, w kierunku Koniakowa, ciągnie się główna, najstarsza część wsi, o zwartej zabudowie. Istebnianie nazywają tę gęsto zabudowaną część centralną „dziedzina”, w odróżnieniu od rozrzuconych po górskich zboczach przysiółków. „Dziedzina” z kolei składa się z „dworów”. „Dwory” to grupy zagród (kilku, kilkunastu, a nawet kilkadziesiąt), które wyrosły na niedzysiejszych działkach zagrodowych pierwszych osiadłych tu rodów. Takie też noszą nazwy - od nazwisk starych rodów, które tylko częściowo odpowiadają nazwiskom rodzin współcześnie w ich obrębie mieszkających. Wędrując od centrum wsi w kierunku Koniakowa mijają się zatem kolejno takie „dwory”, zwane też placami: Wojtki, Kępka, Kawule, Kubale, Michałki, Haratyki, Kohuty, Bury, Szarce, Wojtosze, Poloki. Tak zapisała istebnianka Małgorzata Kiereś, z domu Michałek, wywodząca się z placu Bury.

Trwające od kilku pokoleń podziały gruntu w obrębie „dworów” i wyznaczenie miejsc pod budowę kolejnych domów i budynków gospodarczych spowodowały silne zagęszczenie, wręcz ciasnotę zabudowy tej części wsi. W gęstwinie domostw dla przybyśza zupełnie nieczytelne są granice „dworów”, ale miejscowi potrafią je precyzyjnie określić. Nazwy placów, a nie numery domów, są podstawą ich adresowej orientacji. Kiedy uwzględnimy się powtarzalność istebniańskich nazwisk, mnogość rodzin Wałachów, Kawuloków, Kukuczków, Legierskich, Sikorów, Jurroszków i Burych - zaczyna się doceniać wartość takiej informacji rodowo-adresowej, jak na przykład „Teresa Kukuczka z domu Kawulok, zamieszkała w Istebnej-Dziedzinie w dworze Michałki” (cytuje z zapisów Małgorzaty Kieres).

Szyndzioty, przilepki, pawłatki

Istebniańska „dziedzina” to skarbiec architektury ludowej. Chciałoby się powiedzieć - żywy skansen.

Ale żaden skansen nie odtworzy urody i atmosfery gęstwy drewnianej zabudowy, okalającej ciasno kamienistą drogę biegnącą wnętrzem „dziedziny”. To była kiedyś główna droga przez wieś. Dziś pełni funkcję wewnętrznej, dojazdowej drogi do domów - jej rola zmalała po wybudowaniu nieco powyżej, na obrzeżu starej, gęstej zabudowy, szosy prowadzącej do Koniakowa, która to szosa miała odpowiadać potrzebom ruchu samochodowego. Po latach i ta szosa okazuje się za wąską.

Po obu stronach koniakowskiej szosy więcej dziś wielkich, murowanych domów, niż drewnianych, góralskich chat. Można przemknąć przez wieś nie zauważając urody starej architektury. Murowańce wypychają się też w zwartą zabudowę przy starej drodze. *Signum temporis*. Różni zatem wieś od skansenu również ta oczywistość koegzystencji starego i nowego. Nie zmienia tego nostalgia romantyków za czasem przeszłym. Żałować jednak trzeba, że miejscowe nowe budownictwo w nikłym stopniu nawiązuje do pięknych, harmonijnych form i proporcji zabytkowych chałup.

A przecież nietrudno w Istebnej znaleźć znakomite przykłady drewnianej góralskiej architektury. Dawne chałupy budowane były na zrąb z belek czasem tak grubych, że wystarczały cztery do osiągnięcia planowanej wysokości ściany. Wysoki dach dwuspadowy kryty „szyndziolami” (gontami) dobrze osłaniał zrąb chaty przed opadami. Szalowany deskami szczyt u dołu zakończony był szerokim okapem przydaszków. Chałupy stojące na pochylności zbocza z jednej strony miały wysoką podmurówkę z kamienia, tworzącą często wzdłuż ściany budyńku „przilepek” z gankiem „pawłatką”. „Przilepki” i ganki dodają uroku wielu zachowanym do dziś starym istebniańskim chałupom.

Z kamiennego „przilepka” wchodzi się na przykład do najbardziej znanego w Istebnej domu - chaty Kawuloków, pełniącej dziś muzealną funkcję. Taki charakter nadał chacie przed wielu laty Jan Kawulok, muzyk i gawędziarz, znany jednak przede wszystkim z sztuki wykonywania ludowych, góralskich instrumentów: gajd, rogów, trombit, przeróżnych piszczałek. Jan jeszcze w starej chacie mieszkał, jego córka Zuzanna, dzięki temu, że zamieszkała w nowym domu zbudowanym obok, mogła udoskonalić dzieło ojca: usunęła z chaty współczesne urządzenia, a starannie wyeksponowała wszystkie cenne sprzęty, pamiątki, dokumenty, instrumenty.

Wchodząc z „przilepka” przez wysoki próg i niskie drzwi (tu prostokątne, w innych chatach półkoliste) do „kurlawej” (kurnej) chaty Zuzanny Kawulok wkraczamy w odmienny świat i odmienny czas. W jednym rogu izby, przy drzwiach, wielki piec z „nolepą” czyli otwartym paleniskiem, na którym wśród palących się szczapek

ustawiano do gotowania „ryniki” na nóżkach, a wodę gotowano w zawieszonym nad ogniem kotle. W przeciwległym rogu stół, ławy, „żidloki” (zydle) i krzesło traktowane jako sprzęt paradny, nad stołem święty kąt. W drugim kącie przy drzwiach warsztat stolarski z narzędziami ojca, wśród których przyciąga uwagę osobliwy długi świder do wybierania wnętrza drzewka przeznaczonego na trombitę. Swoich gości Zuzka wprowadza gawędami w tajemnice góralskiego „żiwobycia”, a opowiada gwarą tak pięknie brzmiącą, z miękką wymową sz, rz, ż (zwą tę cechę gwarową jabłonkowianiem, północną granicą tej wymowy jest Kubalonka, nie mówią więc tak wiślanie), że gawędy jej słuchać można jak muzyki. Tej muzyki, którą po mistrzowsku wyczarować potrafi z wszystkich zgromadzonych w chacie instrumentów.

Przy chacie Kawuloków latem często zatrzymują się turyści. Nie zawsze zdają sobie sprawę, że ta ostoja góralskiej kultury trwa dzięki umiłowaniu swego dziedzictwa, mądrości i talentowi jednej skromnej a wielkiej kobiety. A warto wiedzieć, że jest też Zuzka Kawulok poetką oraz... esperantystką. Bywało, że na międzynarodowych konferencjach w języku esperanto opowiadała o góralskich tradycjach.

Odwiedzając chatę Kawuloków warto zatem widzieć w niej nie tylko zabytek architektury ludowej, ale również wczuć się w jej atmosferę, którą tworzy Pani Zuzanna.

Wieś artystów

Talentów w Istebnej rodzi się wiele. Najbardziej rozślawili wieś pod Złotym Groniem właśnie Zuzanna Kawulok oraz Józef Broda. Józef Broda - pedagog i muzyk. Pedagog natchniony i muzyk natchniony - zarówno wtedy, kiedy wprowadza dzieci w arkana sztuki góralskiej, jak i wtedy, gdy sam śpiewa i gra. Gra na każdym instrumencie góralskim - i gra zdumiewająco pięknie na listku.

Ale z Istebnej wywodzi się cała plejada muzyków. Wyróżnia się wśród nich Zbigniew Wałach, który z kolei był mistrzem dla licznych następnych - do terminowania u niego przyznaje się prawie każdy istebniański skrzypek i gajdosz.

W Istebnej rozkwitły też sztuki piękne. Pod Andzielówką miał swój dom i pracownię malarz Jan Wałach, który pozostawił po sobie wiele obrazów, szkiców i rysunków, w tym portrety znanych gazdów. Bucznik na Andzielówce upodobał sobie i osiadł tu Ludwik Konarzewski senior, tu pozostały i tworzą jego dzieci. Ludwik Konarzewski wpisał się w dzieje Istebnej poprzez historię utworzonej przez niego Szkoły Plastycznej. Pod Kubalonką mieszka rzeźbiarski ród Procnorów.

A w całej wsi, gdzie nie spojrzeć, haftują i szydełkują utalentowane kobiety.

W Istebnej urodziło się wielu literatów. Pamięć górali przechowywała nazwiska twórców pieśni i przyśpiewek, jak np. Michała Jurosza żyjącego na przełomie XIX i XX wieku. Późniejsi od niego poeci drukowali już swe utwory. Wiersze i widowiska sceniczne pisał góral spod Gańczorki Jerzy Probosz. Inni istebniańscy poeci to: Jan Probosz, brat Jerzego, Antoni Krettek, Antoni Juroszek, Anna Kobielska, Józef Zawada, Helena Chabiera, wspomniana już Zuzanna Kawulok i inni.

Skąd takie bogactwo literackich talentów w jednej wsi - można by zapytać. Nie ma mądrzejszego wytłumaczenia, niż słowa ze strofy Zuzanny Kawulok:

*Nejsiumniyjsi strómy
tu na gróniach rosnóm.
Nejpiekni spiywajóm
tu ptoşzynta wiosnóm.
Nejcistszi źródełka bijóm
z kierych se górole
swe natchniyni pijóm.*

W ostatnich latach góralscy poeci, podobnie jak wcześniej rzeźbiarze i malarze, znaleźli przyjazną atmosferę i możliwość prezentacji swych utworów na spotkaniach odbywających się w murach Muzeum Beskidzkiego w Wiśle. Tak było już przed dziesięciu laty, gdy kierował tym Muzeum polonista Jan Krop, tak jest w ostatnim czasie, gdy Muzeum pracuje pod opieką wielokrotnie już wspomnianej Małgorzaty Kiereś, która jest nieocenioną patronką wszelkiej twórczości artystycznej „swoich” górali.

A sześćdziesiąt i siedemdziesiąt lat temu miejscem literackich biesiad i wszelkiej innej działalności kulturalnej były istebniańskie gospody: „Rogowiec”, należąca do Stańków oraz „U ujca”, własność ujca Jerzego Gazura - położone tuż obok siebie w centrum wsi. Tam mieściła się czytelnia Macierzy Szkolnej, tu bywała Maria Wyslouchowa, Feliks Nowowiejski i Gustaw Morcinek.

Dziedzictwo Wołochów i ludzi z dolin

Wysoko na groniach, gdzie rozłożyły się trzy góralskie wsie: Istebna, Jaworzynka i Koniaków, zwane często Beskidzką Trójwią (a połączone granicami administracyjnymi wspólnej gminy), osadnictwo rozwinęło się późno, na początku XVII wieku. Istebniańskie osadnictwo rozpoczęło się na terenie przysiółka Jasnowice, jakby u wylotu drogi od strony położonego niżej Bukowca. Dopiero później powstała istebniańska „dziedzina”, a jeszcze później zagrody „na łąkach” czyli przysiółki.

Przyjmuje się, że pierwsi byli tu pastersze zwani wołoskimi, którzy zakoń-



Zuzanna Kawulok na „przilepku” swego domu

czyli w Beskidzie Śląskim swoją parowiekową wędrowkę lukiem Karpat. Wołosi przynieśli w śląskie góry system szalańniczego wypasu owiec i sztukę wyrobu owczych serów. Z języka wołoskich pasterzy pozostało wiele osobliwych nazw miejscowych, jak Beskid czy Kiczera, a także nazwy sprzętów i naczyń pasterskich, jak choćby „putyra” czy „gielata”.

Wołoscy pastersze dotarli w te strony od wschodu górami, zaś od strony dolin wędrowali wciąż wyżej chłopci z położonych w dolinach wsi śląskich. Obie te fale osadnicze dały początek góralskim wsiom we włościach książąt cieszyńskich. Stąd w kulturze górali śląskich wiele jest elementów, łączących ich - poprzez wspólne wołoskie wątki - z innymi grupami górali polskich, obok nich wiele elementów łączy ich kulturę z kulturą sąsiednich ziem cieszyńskich. Cieszyńska i - szerzej - śląska jest ich gwara. Wołoskie są elementy stroju męskiego, do którego wyrobu niezbędne było sukno z owczej wełny (na brunatne lub czarne gunie, kamizele i białe nogawice).

Szczególna wartość kultury ludowej górali z Istebnej wyraża się również w jej sile trwania. Strój góralski jest tu nie tyle reliktem, skazany na zanik, a utrzymywany tylko przez zespoły folklorystyczne - co paradnym strojem, zakładanym na uroczystości rodzinne. Do pierwszej komunii istebniańscy chłopcy przystępują tu w góralskim ubraniu - choć dziewczynki w białych, miejskich sukienkach; rodzice dzieci zakładają również strój ludowy. Na wesela goście stroją się „po góralsku”, bo tak jest przyjęte i dobrze widziane. Hafciarki nadal mają zamówienia na haftowanie męskich koszul i „żywotków” cieszyńskich sukien - bo te wypierają góralskie ciasnochy, fortuchy i kabotki. Na zabawach weselnych powodzenie mają góralskie kapele.

A zatem w murowanych góralskich domach, wyposażonych w sprzęt wideo i wykafelkowane łazienki - mimo współczesnego sztafażu trwa jednak świadomość wartości najcenniejszej części własnej spuścizny kulturowej. Oby jak najdłużej.

ten człowiek w lustrze nie ma już mojej twarzy

kilka lat nie pisałem wierszy
 kilka lat nie czytałem wierszy
 czasami tylko sięgałem po „strefę skażeń”
 piotra bratkowskiego w której wciąż widzę siebie
 jakim byłem wtedy
 gdy zimowej nocy z kilkoma butelkami dla towarzystwa
 piotr wychodząc powiedział
 : „chcę zmarznąć na dworcu czekając na pociąg do warszawy”

kilka lat nie pisałem wierszy
 nie szukałem ich a one
 obchodziły mnie wokół
 nie dając się przytępać na chwili słabości

kilka lat w czasie których jedni odeszli
 inni przyszli
 : „mam coraz więcej znajomych
 coraz mniej przyjaciół” — jak to napisał piotr

nawet ta twarz w lustrze jest już inna
 choć wpatruje się ciągle tak samo

mam nadzieję że po mojej śmierci dzieci mnie spalą

wciąż nie noszę krawata marynarkę od święta na nogach welury
 rękawiczki kupiłem dopiero wczoraj kiedy skóra na rękach popękała od mrozu
 gołę się wciąż od golenia do golenia
 włosy ścinam raz na rok
 jola szybko chwyta wtedy nożyczki i tnie bo wie że mogę się rozmyślić
 na wiszące nad moim biurkiem zdjęcie boba dylana
 dzieci mówią: tata i tylko dziwi się, że kiedyś grałem na gitarze
 mam nadzieję
 że kiedy przyjdzie ta chwila
 włożą je do wewnętrznej kieszonki czarnej marynarki
 i poprawią pętlę krawata
 która nie uczyni mi już krzywdy

dwa wyjścia

na jednej ścianie narysowałem okno
 na drugiej drzwi
 stoję pośrodku pokoju
 nie wiem
 — wyjść czy wyskoczyć

linia życia

do późna siedziałem przed komputerem
 obudziłem się z twarzą na poduszce klawiatury
 mój nos oparty na klawiszu
 zapisał kilka stron samego „—”
 przerwałem tę linię
 budząc się do dalszego życia

cały świat

mój świat
 to cztery ściany
 przez które próbuję czasami przejść
 na drugą stronę

nie patrz w okno

kiedy się budzisz
 nie patrz w okno
 może jednak zechcesz
 dalej żyć

M inęło dziesięć lat od zmiany ustroju politycznego w Polsce, a obecność literatury emigracyjnej w krajowej świadomości badawczej wciąż nie zadowala. Jest w ogóle zjawiskiem problematycznym, pomimo iż od pewnego czasu trwają usilne próby skierowania obydwu odpływów tej samej rzeki w jedno koryto. A przecież dają się słyszeć takie - idealistyczne - głosy jak ten, Jerzego Jarzębskiego: „Żegnając się z literaturą emigracyjną, żegnamy się [...] także - z »literaturą krajową«. Tej przecie także odtąd nie będzie, tzn. nie będzie sytuacji, w której istnieje ona wobec i w opozycji do swej, słabo z kraju widocznej, zakazanej przez władze, emigracyjnej partnerki. Nie będzie też politycznej podstawy ich podziału, która okazywała się czasem główną racją istnienia twórców i dzieł po obu stronach żelaznej kurtyny”.

Różne marzenia, jest inaczej. **Polska literatura emigracyjna jest w krajowej świadomości badawczej i czytelniczej wciąż źle obecna.** Do takiego sądu przekonuje lektura syntezy historycznoliterackich, rekonesansów i periodyzacji, jakie wychodzą spod piór krytyków i uczonych, i które zostały ogłoszone w ostatnim dziesięcioleciu. W efekcie dzisiejszy czytelnik (a może nim być uczeń, student lub fascynat) wie o drugim biegunie polskiego piśmiennictwa po 1939 roku tyle samo, co przed dziesięcioleciem. I tyle samo, co - dajmy na to - przed dwoma dekadami. *Literatura emigracyjna wciąż bywa poznawana przez dwie kanoniczne prace powstałe na obczyźnie: dwutomową Literaturę polską na obczyźnie 1940-1960 oraz Szkice o literaturze emigracyjnej Marii Danilewicz Zielińskiej.* Jedyny krajowy przewodnik tego typu, napisany w „szkole katowickiej”, dwutomowa *Literatura emigracyjna 1939-1989*, prawdopodobnie nie jest znana szerszemu gronu, lecz jeśli się myli - można ją dodać do tego zestawu opracowań opisowych.

Co świadczy o czymś zupełnie przeciwnym niż to zostało wyrażone w opinii Jerzego Jarzębskiego. Nawet pobieżna obserwacja dyskursów o twórczości krajowej i emigracyjnej dowodzi, że w dalszym ciągu mamy do czynienia z kategorią rozgraniczaniem obydwu biegunów, a nie z próbami ich połączeń.

Ułomności dzisiejszych rekonesansów szukać należy głównie w nienajlepszej znajomości literatury emigracyjnej w ogóle. Powtórzmy raz jeszcze: obecnie książek syntetyzujących obszar literatury na obczyźnie nie jest zbyt wiele. Pisane z różnych pozycji krytycznych, nie dały czytelnikowi krajowemu kompetentnego obrazu tej

Powroty

Nieobecność emigracji

twórczości. Z pewnością nie mogło być inaczej, bo rozum jednego człowieka nie potrafi objąć całości zjawisk. A nadto dokonania współczesne nie dają się zmierzyć jakąś jedną miarką - jednostce przedstawiają się one zawsze w rozproszeniu, w nieciągłości. Najlepsze efekty daje w takim wypadku synteza zbiorowa. Musi być ona kompromisem między różnymi opcjami krytycznymi i pewną symplifikacją rzeczy. Takich syntez jednak - za wyjątkiem londyńskiej i katowickiej - nie ma.

M ożna powiedzieć coś zdecydowanie przeciwnego: w ostatnim dziesięcioleciu zrobiono dla poznania emigracji niezwykle dużo. Powstało wiele książek o poszczególnych autorach, opisane zostały niektóre ważne tematy i topika emigracji, pojawiły się prace o generacjach, czasopiśmiennictwie, publicystyce itd. Zgoda. Że tak jest - każdy przytomny potwierdzi. Rzecz w tym jednak, że wszystko to biegnie zupełnie innym torem i nie ma bezpośredniego przełożenia na wiedzę ustandaryzowaną,

tę natomiast przekazują podręczniki, syntezy i rekonesanse. Integracja literatury krajowej i emigracyjnej pozostaje więc kwestią przeszłości.

Wojciech Wyskiel napisał w połowie lat osiemdziesiątych: „Łatwo dostrzegalny fakt zbliżania się i oddalania obiegu krajowego i emigracyjnego nie daje się - wbrew rozpowszechnionym opiniom - równie łatwo i prosto wyjaśnić. [...] literatura emigracyjna obecna jest w krajowym życiu literackim w sposób wyrwykowy, dyskretny i szarpany (brak ciągłości). I [...] obecna jest w formie zmitologizowanej. I dlatego, że brak rzetelnej znajomości rekompensuje legenda; i dlatego, że zarówno mecenas, jak i publiczność literacka skłonni są przypisywać jej siłę polityczną, którą w rzeczywistości nie rozporządza żadna literatura”. To bardzo ważna opinia, jej trafność potwierdziło późniejszych lat piętnaście i, jak się zdaje, nic nie zmieni się pod tym względem przez czas najbliższy.

Janusz Kryszak napisał ostatnio: „Wcale nie ma już ilości książek, studiów i prac rozproszonych w czasopiśmiennictwie podejmujących zagadnienie emigracji literackiej, zarysowuje dopiero pole obserwacji”. Ta konstatacja, wyrażona w połowie dekady, przynosi trafne rozpoznanie również dzisiejszej sytuacji. Tak naprawdę niewiele zmieniło się w krajowej polonistyce po roku 1989. Wciąż nie został określony **korpus piśmiennictwa emigracyjnego**, którym powinni zająć się badacze współczesności, niezmiennie obowiązuje **dialektyka nadmiaru i braku**, przy czym twórczość krajowa nagminnie dystansuje emigracyjną. To prawda: i tu, i tam pełno jest grafomanów; i tu, i tam nie ma ustalonej hierarchii problemów, zjawisk i nazwisk. Współczesność powojenna jawi nam się jako ciąg naczyń rozłączonych i, zdaje się, nieprędko ten stan rzeczy ulegnie zmianie.

R eguła symplifikacji, jakże ważna w procesie syntetyzowania literatury, staje się w odniesieniu do emigracji wytrychem interpretacyjnym. Poza nazwiskami, jakie przed trzema dziesięcioleściami (i wcześniej) zakorzeniły się w świadomości czytelniczej - trudno szukać nazwisk nowych. W sposób „dyskretny, wyrwykowy i szarpany” - by użyć jeszcze raz przymiotników Wyskiela - dokonuje się proces fałszowania rzeczywistego obrazu literatury polskiej po roku 1939. W sytuacji braku zainteresowania kulturą narodową przez państwo polskie, wypada tylko załamać ręce nad takim stanem rzeczy.

Na zespół
Jurajskich Parków
Krajobrazowych
w województwie
śląskim składają się
obszary zespołu
Jurajskich
Parków
Krajobrazowych
z byłych województw
katowickiego
i częstochowskiego.

Rezerwaty jurajskie

KAZIMIERZ
BAK

Powierzchnia Zespołu Jurajskich Parków Krajobrazowych w woj. śląskim jest następująca:

Zespół Jurajskich Parków Krajobrazowych (część środkowa) w województwie katowickim został powołany 20 czerwca 1980 roku uchwałą WRN w Katowicach. Drugą część Zespołu powołano 2 grudnia 1981 roku uchwałą MRN miasta Krakowa (część południowa). Trzecią część zespołu powołano 17 czerwca 1982 roku uchwałą WRN w Częstochowie (obejmuje część północną).

Powierzchnia Zespołu Jurajskich Parków Krajobrazowych w woj. śląskim i małopolskim wynosi 246.170 ha, z tego Parki Krajobrazowe 102.860 ha, a Obszar Chronionego Krajobrazu 142.416 ha. Celem powołania Zespołu była ochrona i zachowanie jego wyjątkowych wartości przyrodniczych, krajobrazowych, historycznych i kulturowych oraz udostępnienie tych wartości dla turystyki.

Specyfiką Zespołu Jurajskich Parków Krajobrazowych jest urozmaicone ukształtowanie powierzchni, od wypiętrzeń skalnych po jary i wąwozy, jaskinie i schroniska skalne utworzone w skałach wapiennych, które powstały w wyniku zjawisk krasowych (wymywanie przez wodę skał wapiennych). Zmienne warunki klimatyczne, od ciepłego morza po zlodowacenia, wytworzyły bogatą mozaikę gleb, a co za tym idzie bogatą szatę roślinną i zwierzęcą. Dodajmy, że na obszarze Parku Krajobrazowego „Orlich Gniazd” znajduje się około 500 jaskiń i schronisk. Najdłuższą jaskinią jest Jaskinia Wierna (1020 m), a najgłębszą Jaskinia Studnisko (75,5 m). Niektóre jaskinie były zamieszkałe przez człowieka od 200 tysięcy lat, a dzisiaj ma w nich schronienie 11 gatunków nietoperzy.

Nazwa parku	Park krajobrazowy (ha)	Otulina Obszar Chronionego Krajobrazu	Razem
Park Krajobrazowy „Orlich Gniazd”	49.432	59.983*	110.615
Park Krajobrazowy „Stawki”	1.800		
Razem	51.232	59.383	110.615



Ogrodzieniec

Zielona Góra — Kusięta, gmina Olsztyn:

Rezerwat leśny o pow. 19,66 ha utworzony w roku 1953, wzgórze ostańcowe (ok. 343 m n.p.m.) z jaskinią, porośnięte kompleksem ciepłolubnej roślinności murawowo-zaroślowej i leśnej. Występuje tu wiśnia karłowata, irga zwyczajna, perłówka jednokwiatowa oraz płaty buczyn — sudeckiej, kwaśne buczyny niżowe, buczyny storczykowe z rzadkimi gatunkami storczyków.

Sokole Góry, gmina Olsztyn:

Rezerwat leśny utworzony w roku 1953 o pow. 215,95 ha, proponuje się jego powiększenie do pow. 379,24 ha. Obejmuje dziesięć wzgórz z największym — Górą Puchacz (402,1 m) z licznymi jaskinia-

mi. Wzgórza pokrywają naturalne zbiorowiska liściaste, głównie buczyny. U podnóża występują bory sosnowe.

Parkowe — Złoty Potok, gmina Janów:

Rezerwat Krajobrazowy utworzony w roku 1957 na pow. 153,22 ha. Początki ochrony sięgają 1907 r., gdy właściciel hr. Karol Raczyński (wnuk Zygmunta Krasińskiego) wstrzymał wyręb i ograniczył wstęp do lasu. Rezerwat obejmuje część doliny Wiercicy z jej źródłami oraz otaczające je wzgórza. Rośnie tu głównie żyzna buczyna sudecka oraz kwaśna buczyna niżowa. Występują liczne ostańce, jaskinie oraz dwa wczesnośredniowieczne grodziska.

Rezerwaty obecne

Na terenie Zespołu Jurajskich Parków Krajobrazowych utworzono następujące rezerwaty:



Bocian biały — wiosną na gnieździe

Ostreżnik, gmina Janów:

Rezerwat leśny o pow. 3,87 ha, utworzony w roku 1960 na wzgórzu wapiennym (o wys. 373 m n.p.m.) z ruinami zamku z XIV w. Góra część wzgórza porośnięta lasem bukowo-grabowym, a podnóże borem sosnowym.

Kaliszak — Apolonka, gmina Janów:

Rezerwat leśny o pow. 14,33 ha, utworzony w roku 1954. Rezerwat porośnięty jest starodrzewem sosnowo-dębowym na podłożu wapiennym, z udziałem jodły pospolitej, graba, świerka, modrzewia, pojedynczo występuje wierzba.

Góra Zborów — Podlesice, gmina Kroczyce:

Rezerwat przyrody nieożywionej o pow. 45,00 ha, utworzony w roku 1957. Wzgórze to, zwane również Górą Berkową o wys. 463 m n.p.m., zbudowane jest z wapieni górnopaleozoicznych o bogatej rzeźbie krasowej z jaskiniami. Wyższe skaliste partie wzgórza porasta roślinność naskalna, niższe pokrywają murawy i zarośla kserotermiczne oraz bory sosnowe i płaty buczyn.

Góra Chełm — Hutki Kanki, gmina Łazy:

Rezerwat przyrody — leśny o pow. 12,56 ha utworzony w 1957 r. Obejmuje wapienne wzgórze o wysokości ponad 400 m n.p.m., porośnięte lasem bukowym z ciekawymi formami skalnymi na szczycie. Występuje tu 256 gat. roślin naczyniowych, w tym ponad 20 gat. chronionych.

Smoleń — Smoleń, gmina Pilica:

Rezerwat przyrodniczo-krajobrazowy o pow. 4,32 ha utworzony w 1959

r. Obejmuje wzgórze wapienne porośnięte lasem bukowym z ruinami średniowiecznego zamku, z licznymi jaskiniami i schroniskami. Występuje tu około 160 gat. roślin naczyniowych i około 60 gat. mszaków.

Rezerваты projektowane

Bagna Błędowskie — Błędów, Dąbrowa Górnicza:

Projektowany rezerwat wodno-leśny o pow. 220 ha. Obejmuje doli-

ny Białej Przemszy i Białej. Rzeki na tym odcinku mają kręty, meandrowy charakter co dodatkowo wzbogaca teren krajobrazowo. Występują tutaj wilgotne lasy sosnowe i suche bory sosnowe, a w nich ponad 170 gat. roślin naczyniowych. Żyje tu dziedzicząca nutria, jenot, łos, bóbr, żuraw.

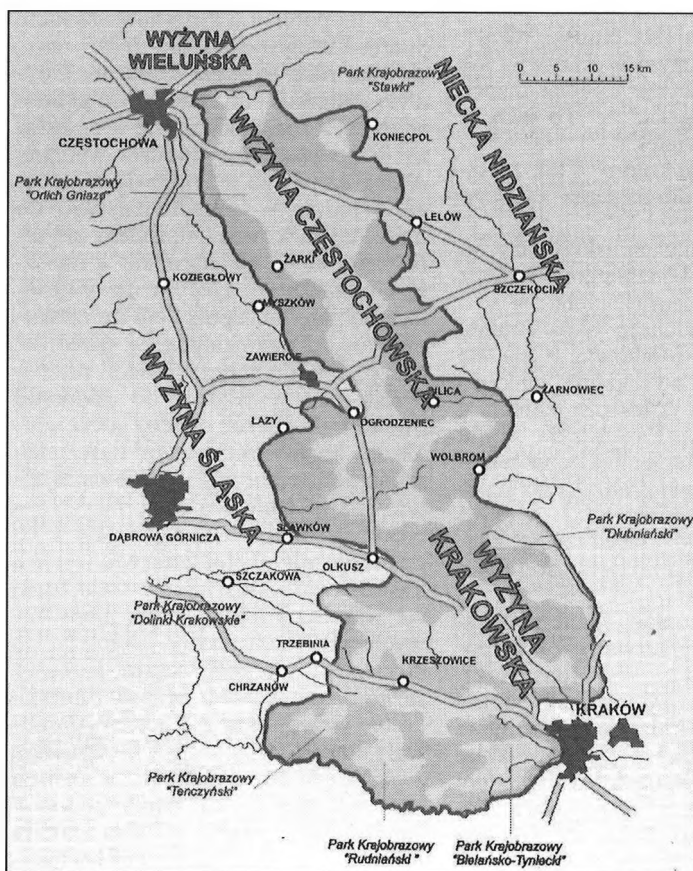
Ruska Góra, gmina Pilica:

Projektowany rezerwat leśny o pow. ok. 153 ha. Nazwa projektowanego rezerwatu pochodzi od jednego ze wznieśnień (485 m n.p.m.) znajdującego się na tym obszarze. Cechą charakterystyczną powierzchni są znaczne różnice wysokości. Teren porastają lasy bukowe. Występuje tu ponad 250 gat. roślin naczyniowych, w tym ok. 20 gat. chronionych, ok. 30 gat. górskich w tym rzadki storczyk bezieleniowy, storzian bezlistny.

Mokrzynia — Trzebyczka, gmina Łazy:

Powierzchnia około 150 ha. projektowany rezerwat typu leśnego z licznymi łąkami śródleśnymi. Lasy mieszane z bukiem, jodłą, grabem, sosną, świerkiem i jesionem. Teren bardzo wilgotny. Na łąkach licznie występują kosaciec syberyjski, pełnik i liczne storczyki.

Ponadto projektuje się utworzenie 12 rezerwatów w części północnej.



Zespół
Jurajskich
Parków
Krajobrazowych

Trochę denerwowała mnie dodana w ostatniej chwili do innych bagaży reklamówka z kwiatowym sadzonkiem. Złość na tę uciążliwość opuściła mnie jednak, gdy spojrzałem na wychylające się z ufnością pędy o wiotkich liściach, które wyraźnie interesowało zmieniające się wciąż otoczenie. Troskliwość, z jaką obchodziłem się w pociągu z plastikową torbą, zwróciła uwagę współpasażerki, która skwapliwie skorzystała z pretekstu do rozmowy. Otóż ona również uwielbia kwiaty. I ma ich też wiele. Żałuje, że jej mąż, pozbawiony większej wrażliwości na piękno... No, kiedyś posiadał jej aż nadmiar, bo inaczej jakże mógłby zwrócić uwagę na jej subtelną urodę, ale z czasem zatracił jakiekolwiek rozeznanie w tym, co ładne. I jednocześnie pożyteczne. Z wyższych uczuć wylugował go do szczytu alkohol... I stąd biorą się jej wszystkie nieszczęścia. I trochę chociaż wytchnienia dają jej owe botaniczne istotki, u których przynajmniej znajduje zrozumienie swego położenia. I są — co jest bodaj najważniejsze — tyle cierpliwymi, co i chłonnymi powiernikami. Ostatnio, na przykład, tak jakoś tuż przed tym strasliwym wypadkiem, zawierała... Jaki znów przypadek? Ano, kot Prych, powyjadał kwiaty. Cekał, drań, aż rozkwitną w pełni, po czym... No, nie mogła mu darować, tak jak niekiedy przysmykała oczy, gdy podkraadał się po szczypiór, pietruszkę czy inną zieleninę przybiadową... Ale tego cisusa, którego z taką pieczołowitością pan wiezie, mój Prych, na pewno by się nie tknął...

— To nie cisus, lecz chińska róża!

Moja rozmówczyni wykrzywiła się w grymasie, jakby ją zaleciał dalece nie kwiatowy zapach: — To jeszcze gorzej, bo ten kwiatek...

— Nie smakuje kotom? I tak zresztą nie mam w domu teraz żadnego zwierzątko...

— W przypadku chińskiej róży, to o kota nigdy nie będzie chodziło, lecz o człowieka, jego właściciela...

Moja sąsiadka naraz jakoś straciła chęć do dalszej rozmowy. I jęła się przygotować do wysiadania, choć do jej stacji dzieliło ją jeszcze jakieś pół godziny czasu. Zaskoczyła mnie zmiana w jej tonie, jednakże nie naga-bywałem, żeby mi zdradziła, jakie perypetie, czy może nawet — o czym już wspomniała — nieszczęścia, wiążą się z tym gatunkiem domowej przyrody...

Zaintrygowała mnie jednak i począłem analizować przerwany tok wypowiedzi gadatliwej współpasażerki. Najpierw jednak próbowałem odgadnąć jej wzrok, który stał się naraz przenikliwy i mniej przyjazny, i jakby od nowa, bo z uwzględnieniem nagłej korekty, penetrował moją twarz. Podobnie czyniła to Tami, ale dla niej zawsze przecież byłem pacjentem, ze

Chińska róża

(Fragment powieści)

EDWARD SZOPA

stałym wytrzeszczem. I nic nie pomagała uwaga, że ten feler pojawiał się u każdego mężczyzny, który znalazł się w jej pobliżu... Zastanawiało mnie przede wszystkim, dlaczego moją chińską różę nazwała cisusem? Obydwie roślinki są do siebie dość podobne, przecież jednak różnicę w rysunku liścia hodowca natychmiast wyłapie. A ona na pewno należała do tej kategorii ludzi. W przeciwieństwie do mnie, bo ja też nie popisałem się reflekssem, kiedy zjawiłem się w mieszkaniu Staszka, z którym nie widziałem się parę lat. Spotkałem go odmienionym do niepoznania, w jakże też innym niż dotychczas otoczeniu — przed jego wyjazdem do Eldorado trudno było szukać choćby jednej doniczki. Jedynymi kwiatami były zasuszone herbaciane róże, które pamiętały... Już nikt nie starał się nawet dociekać, jaką uświetniały okazję i co poświadczały. Teraz zaś stały wielce niestosownie pośrodku... oranżerii; we wszelkich możliwych i niemożliwych miejscach tkwiły i garnęły się do środka, dotykały także niekiedy sufitów, niezliczone krzewy doniczkowe. Najczystsza zaś zieleń rozsnuwały liczne kłęby — jak mniemałem — cisusów. Bo właśnie przez pewien czas posiadałem na stanie podobny nabytek, lecz... O, to już cała historia mojego krótkiego, jak żywot tej rośliny,

matżeńskiego pożycia. Tragiczne- go w obu przypadkach...

Staszek był wyraźnie rad, iż fascynuje mnie jego nieprawdopodobnie bogaty zbiór kwiatów, dumny z jednej strony, jako ich kolekcjoner i hodowca, z drugiej zaś — że zauroczony, nie mogłem poświęcić baczniejszej uwagi jego wyglądowi. A prezentował się kiepsko. Ba, nawet okropnie! Wciąż opędział się więc przed moimi spojrznięciami...

— Skąd masz choćby te przepyszne cisusy, jakże soczyste, gęste, mocne, dynamiczne i ożywcze... Chciałoby się powiedzieć, że swą urodą zachęcają do wysnuwania dla siebie najbardziej obiecujących prognostyków?!

— Przede wszystkim, to nie żadne cisusy, choć rozumiem, iż twoje skojarzenia obracają się wokół tego właśnie kwiatu... Tak, tak, pamiętam, co przeżyłeś... ale to są, być może nawet dość podobne do twego dramatycznego cisusa, chińskie róże.

— A skąd je zdobyłeś, bo podobno najlepiej chowają się kwiaty z podkradzionych zaszczepeków?

— Pozyskałem nie skrycie, lecz oficjalnie, gdyż imieninowo — otrzymałem je od mojej teściowej.

— O, też nie najlepiej, bo przecież wszystko, co od niej podchodzi, pochodzi prosto z piekła, a tam hodują jedyne z tych pnących — drut kolczasty, różgi, mieczyki, granaty i, jak się oto okazuje — chińskie róże.

— Nie przypisuj czarcich mocy tym wspaniałym kwiatom. Zobacz, jak się bujnie krzewią, ile w nich mocy witalnych, a ich zadziorne czuby wkrótce wysadzą sufit...

— Dajmy temu spokój, w końcu interesuje mnie co innego, choć również jest to związane z tą oto oranżerią. Właśnie, co się stało, że przemieniłeś się we właściciela tak niebywale uprzyrodzonego mieszkania. Pamiętam przecież, że przed twoim wyjazdem do Houdson, można tu było spotkać jedynie jakiegoś zasuszonego chabazja, truchło róży bądź goździka. A teraz mamy do czynienia ze scenografią do zupełnie innego zachowywania się mieszkańców?

— Musiałem widoczne tamte zaniebdania nadrobić. Dług spłacałem przez cały rok. Jako ogrodnik. Opiekowałem się uprawami kwiatowymi, łąkowymi (bo jakie tam żyć bez trawnika?!). Poza zasobami botanicznymi, musiałem także doglądać wszelakiego zwierzostanu. A w tym przede wszystkim psów i wiewiórek, za którymi uganiały się stale te dwa pierwsze czworonogi. Owszem, byłoby nawet na co popatrzeć, gdyby psiaki nie gonily za dymami ogonów wiewiórczych, poprzez grządki i rabaty...

— Dobrze dobrze, wykształ jednak kto cię wpędził w ten straszliwy potrzask, jakim był ten cały ogród... Ogród twojej byłej żony... To też i nie dziw się, że tak się wzburzyłem, gdy

mi powiedziałeś, że te cisu... przepraszam, chińskie różę, dostateś od teściowej...

— We wszystkim wietrzysz jakieś spiski i związki magiczne, choć w istocie to paskudna historia, jakby wprost od czarownicy...

— Teraz już rozumiem, skąd się wzięła w twoim mieszkaniu ta oto oranżeria — w zminiaturyzowanym otoczeniu, wciąż pełnisz rolę ogrodnika, tym razem jednakże nie najemnego...

— Pewnie, kwiaty są niczemu nie winne... Dam ci też najpiękniejszą sadzonkę. Początkowo byłeś przywiązany do swego cisusa...

— Zgadza się, ale jaki był jego, i mój jednocześnie, koniec?!

— Poczekaj, nie wyciągaj przedwczesnych analogii...

Zapadłem w drzemkę. A właściwie w głęboki sen, który jał niebawem przetwarzać na swój sposób snute niedawno wspomnienia. Przedzierałem się więc przez mrok dżungli, mokry od wilgoci tropikalnej i od własnego potu, potykałem się co chwilę o korzenie, i aby utrzymać równowagę, chwytalem się lian i gałęzi, chyba sekwoi... Okazywało się jednak, że to były albo ogony dzikich kotów i szakali lub też wiechy wiewiórczych ogonów. Oczywiście, również zolbrzymiałych do tornada. I jakie nie zadowolilyby się jakimiś orzeszkami laskowymi, które garściami rozsypywałem przy Białym w Zakopanem, lecz wyłącznie kokosowymi... niebawem okazało się, iż miast puszystej sierści, trzymam w ręku brzożowe witki miotły, na której chybotwała teściowa Staszka. Wiedźma skrzeczała mi do uszu: — Masz zgubny wpływ na Staszka, już ja zadbam o to, żebyś przestał się z nim zadawać! — po czym poczęła mnie poszturchiwać i wreszcie okładać pogrzebaczem. Wzięła go pewnie ze sobą jako zastępcę pojazdu... Nagle zaszła mnie, a właściwie zaleciała od tyłu i po wpełchnięciu do ust owego pogrzebacza, zaczęła mnie obracać wokół osi. Wirowałem w jakimś opętańczym tańcu...

Przecknąłem. Obudziłem się w przedziale prawie pustym i w miarę bardzo statycznym. Chciałem odechnąć z ulgą, ale w ustach tkwiła jakaś obrzydliwość. Gdy ją wreszcie wypłułem, okazał się nią liść chińskiej róży — sen pochylił mi głowę i twarzą, targaną wzdriadłami czochołem po podarunku Staszka. Na szczęście większych szkód nie poczyniłem w różochińskim stanie. Z majaczeń wciąż jednak nie mogłem się otrząsnąć. Cóż, coraz trudniej zawirowań sennych przedostaje się do świata rzeczywistego. I coraz rzadziej jestem szczęśliwy z tej przeprowadzki, gdyż nadal męczą, czy nawet — jak przed chwilą — przerażają zwidzenia. Przerażenia szczególne, bo

dotyczą mojego alkoholizmu. Nie piję już, co prawda, 15 lat, przecież jednak, gdy mi się przysni kielonkowanie, czy mordercze mocowanie się z flachą, i to w bramie, gdy obciąga się z gwinta, to przebudzenie jest prawdziwym wybawieniem. I tryumfem z cudownego ocalenia. I od razu zachciewa mi się żyć, wyrwać do przodu, żeby dobiec do kresu następnych piętnastu lat... I czynić też rzeczy dobre i pożyteczne, spełniane głównie z myślą o innych, którzy proszą o poradę i wsparcie... Wobec opętanych alkoholem osobników odczuwam zobowiązanie — ja, wyzwolony, muszę podać rękę, tym którzy ockną się wreszcie i zapragną uciec z krainy krzywych luster...

I to przebudzenie, dzięki któremu urwałem się z haka pogrzebacza, na jaki nadziewała mnie teściowa Staszka, bardzo przypominało owe przecknięcie po śnie pełnym prześladowców i przerażeń... Z wdzięcznością i zarazem troską upewniałem się, czy chińska róża trzyma się krzepko w otulinie plastikowej torby, i czy nie poczyniłem nadmiernych spustoszeń w jej listowiu. Wyglądała, jakby w ogóle nie uczestniczyła, oczywiście po stronie teściowej, w operacji nad moim unicestwieniem. Zdaje się, że nie nabawiła się jeszcze uczulenia na sztuczne tworzywo. I wyraźnie rokowała, że kiedy się wymota z osłony, niezwłocznie pocnie się pięć do góry i ani się obejrzą, jak mnie przegoni i pewnie będzie bodła w sufit... Obiecywałem sobie wiele strzelistych przeżyć z obcowania z przyrodniczą osobliwością z Chin...

A właśnie, kiedy wywołałem tę rozległą, fascynującą krainę, to od razu pojawiła mi się przed oczami ZHU LING XIN, urodziwa i podniecająca Azjatka, którą poznałem, i to dość blisko, na letniej sławistycie w Pradze... Marian, fantastyczny facet z uniwersytetu poznańskiego, z którego, jako Polaka jedyny zresztą raz byłem dumny poza granicami kraju, bo w tamtejszym muzeum odkrył, że klocek glogolicy stoi do góry nogami (!), ostrzegał: — E DZIUŃ CIU, bo tak ci chyba mówi twoja ZHU LING XIN, że tak, jak wokoło kolumny Vaclawa, tak i u ciebie na osiedlu będzie cię śledzić bardzo wiele skośnych oczu! Zobaczysz, E DZIUŃ CIU, twój dom stanie się ośrodkiem skupiającym, tak jak się to dzieje w Łodzi, tę nację w Polsce. Przestrzegam. Nie zazdroszczę ci, ale muszę przyznać, iż los obdarzył cię prawdziwą chińską różą! Niech się zacznie uczyć twojego języka, albo ty przynajmniej przyłóż się solidnie do czeskiego, którym ona już bardzo dobrze włada. Ba, jak na poliglotkę przystało, szybko chwytaj i polskie słowa... Cóż, jest to skuteczna metoda przyswajania sobie mowy poprzez wyznania miłosne,

choć zażęcia są przecież językiem uniwersalnym...

Ta chińska róża, którą troskliwie obejmowałem kolanami, będzie mi towarzyszyć wiernie przez całe lata, a nie, jak jej ludzki odpowiednik, za ledwie kilka tygodni. I też się zapewne, podobnie jak tamta, będzie nieustannie wdzięczyć i każe się podziwiać. Szkoda jedynie, że nie w tańcu i w szaleńczych, nieprawdopodobnie zmysłowych wypięciach mojej przyjaciółki, lecz w statku, bez ostentacji jak to bywa w zwyczaju u tych roślin...

Trzeba było gdzieś pilnie przypaść, więc wbiegliśmy do „Jamy Michalika”. Pośród „Siedzących na żerdce” K. Sichulskiego, powstało zamieszanie — pewnie w przybyłej rozpoznali jedną z muz młodopolskich. Zachowanie onegdajskich turystów, Tami skwitowała z rozbrajającą naturalnością: — Ciebie wszędzie dopadnie zazdrość, choć akurat tu, wobec tych obleśnych grubasów, możesz się czuć, jak... Pochwaliłem się nowym nabytkiem — chińską różą. Tami zaraz: — Więc jednak ZHU LING XIN sprowadziła się do ciebie?! O, Tami zawsze była bystrą i przewrotną rozmówczynią. Po tej uwadze zaczęła mi się przyglądać z podobnym wyrazem twarzy, z jakim patrzyła na portretowanych kompanionów: — Wyglądasz coraz gorzej. Zaczynasz znacznie wyprzedzać swój wiek. O oczach nie pozwala mi mówić mój zawód, ale koniecznie powinienieś zainteresować dermatologa tą naroślą na nosie...

W końcu Tami przestała mnie dęczyć. Znow zapatrzyła się na obraz z młodopolskimi obibokami: — Chciałabym być w Zakopanem, pamiętasz ten dwuwiersz:

„Skądkolwiek wije wiatr,
zawsze ma zapach Tatr?”

A teraz, skoro przywołaliśmy Sztudyngera, to — niejako sprowokowani — zabierajmy się jak zwykle do układania limeryków. Ty, oczywiście, wyszukujesz męskie rymy, ja — żeńskie!

Przy drugiej kawie i po serniku objawiał się oto następujący utworek:

„Ale znow skąd
ciągnie ten swąd
hen, ponad reglami
całymi chmurami
aż po Giewont?!”

Tami znow zerknęła na „Siedzących...”. Tym razem z pewną abrobatą: — A swoją drogą, to może wreszcie skusisz mnie, abym wpadła zobaczyć chińską różę. Należy do roślinek, które w domu nigdy nie zakwitają...

— Na tak niebywałą okazję, to i chińska róża uczyni wyjątek!

Wysłaliśmy z kawiarni-skansenu. Za nami rozległ się trzask łamanej żerdzi...

Po paru miesiącach uznałem, że czas przesadzić moją różę do więk-

szej donicy. Kupiłem też kijaszki bambusowe, aby ustrzec ją od zejścia z pionu, ponieważ zauważyłem w jej zachowaniu wiele tego typu przekorności. No i posłuchała dobrej rady. Choć nie bez oporów, gdyż przybladała nieco, a później — bo tresura była wyraźnie w niezgodzie z jej rozwichrzoną naturą — przyzółka. Niemniej, uczipiona podpórki, wspinała się szparko, pokonując w parutygodniowych odcinkach półki bibliotecznej szafy. Aż dosięgła ostatniej, czyli przebyła ponad pół drogi dzielącej ją od upragnionego sufitu...

Poszedłem poradzić się do kwiaciar-ki, pełniącej przecież pośród roślin doniczkowych tę rolę, jako weterynarz przy trzodzie hodowlanej. Poleciała preparat „Biohumus”. Patrzyła na mnie wciąż rozwierającymi się oczyma — widocznie, opisując przypadłość mojej podopiecznej też, jak i ona, bladłem i zapadałem gwałtownie na żółtaczkę. Nie, nie ma u siebie nieprzyjaznych kwiatów. Aktualnie nie posiada również chińskiej róży, a wszelkie uprzedzenia pojawiają się wedle podobnego przekonania, które lisa każe uznać za wyjątkowo chytrą sztukę, wilka za krwiożercę, a znów sowa uosabia mądrość... Inna rzecz, iż — co, oczywiście nie dotyczy pana — że rośliny reagują w zależności od tego, jak są traktowane, czy się współżycie układa, czy też obie strony pozostają w rezerwie lub nawet są wrogię... Pan coś zdaje się o tym wie, prawda?!

Nie potwierdziłem tej urażliwej sugestii, choć kwiaciarka miała rację — kiedy tylko wyjechałem, to powierzono opiece Asi kwiaty mizerniały, cisus zaś odczuwał rozłąkę najdotkliwiej. Skończyło się to jego unicestwieniem. Uniknąłby zapewne tak smutnego losu, gdyby sobie — jako niemy świadek — nie przybierał tak głęboko od serca tego, w czym w tym domu pod moją nieobecność uczestniczy...

Podlewka roślinna nie na wiele poprawiła kondycję chińskiej róży. Wszelako, po pewnym czasie, na mojej pupilce pojawiły się paki (!) — chińska róża miała się niebawem, jako kwiat spełnić. Z niecierpliwością i w niesłychanym podnieceniu czekałem, aż się rozświetli płatkami, i rozsnuje subtelny zapach. Pewnie podobny w mocy do tego, jaki onegdaj roztaczała moja czarodziejska ZHU LING XIN...

Objawienie cudu nastąpiło o drugie w nocy. Poprzedził go sen, podobny do tego z pociągu. Otóż po wyjściu Krystyny odezwało się we mnie następne, pochodne zresztą od pierwszego, pragnienie — uciec tym razem w niebyt snu... Znalazłem się znów w Pradze. Rano wyszedłem właśnie, jak zwykłem to czynić, na przechadzkę. A właściwie marszobieg. Zacząłem spacer od alejek parku sadowego, jaki powstał po dawnym ogrodzie zakonnym. Wkrótce dotarłem do dziedzińca

eremu. I — jak się spodziewałem — zastałem moją starowinkę, która, podobnie jak za pierwszym razem, próbowała rąbać jakieś stare futryny i meble na opał. Oczywiście, wyręczyłem ją i niebawem powstała przyzma z patyków. Staruszka ukradkiem ocierała łzy i powtarzała: — Wróciłeś, borocku, jednak wróciłeś?! Nawet nie wiesz, ile przez ten czas nabierało się roboty. Bo trzeba także trawniki skosić i wywieźć pokosy za bramę... W zakupach na razie, nie musisz mnie wyręczać, bo to, co mi przyniosłeś, wystarczy na kilka dni. A poza tym mam jeszcze smakołyki chińskie... Coś mnie nagle tknęło i przerwałem babulince: — O jakich chińskich smakowitościach pani mówi? — moja rozmówczyni wyraźnie czekała na to właśnie pytanie: — No, przynosi mi czasem przeróżne specjalności twoja Czerwona Róża... I pewnie też przyjechałeś do Pragi, żeby się z nią zobaczyć, bo przecież nie pojechała za tobą do Polski. Rzadko, ale lubi tu przychodzić. Ostatnio jednak nie udało się do ogrodu-parku, tylko od razu wsiadła do samochodu... Wtedy nawet nie było czasu, żeby porozmawiać o tobie...

Uściskałem starowinkę i popędziłem do śródmieścia. Miałem zamiar zajrzeć na uniwersytet, gdzie poznawałem czeski, ucząc się go w języku rosyjskim, gdyż byłem jedynym Polakiem w tej grupie, przejsz się mostem Karola, może wdepnąłbym pod „Złotego Tygrysa”, gdzie widywałem Bohumila Hrabala... Odłożyłem to na później, w pierwszym bowiem rzędzie pobiegłem pod Václava, gdzie spotykałem się z ZHU LING XIN. Przedtem jednak zatrzymał mnie głos Cyryla Cole, z którym dzieliłem pokój akademicki, chciał wręczyć mi prowadzony przez siebie serbołużycki „Rozhľad”. Następnie pojawiła się Święta, poetka ukraińska, ubrana kolorowo jakby wyjęta z korowodu weselnego, zdążającego przez hutor, która zapytała, czy znów pójdziemy na organowy koncert... Monarszy jeździec trzymał się krzepko, a wokół niego, jak dawniej, i jak zawsze, skupiali się młodzi, którzy tu zwykle wyznaczają sobie randki. Przypominałem sobie inskrypcję, która opłata cokół. Onegdaj nauczyłem się jej na pamięć. I dumny udałem się do mojej starowinki, by jej wyrecytować znaną każdemu Czechowi i Czeszce formułkę. Babcinka wysłuchiwała bez spodziewanej nabożności deklamacji, którą skwitowała następująco: — O, żebym ja cię, borocku, mogła zrozumieć. Mów już lepiej w swoim języku... Kiedy przypomniałem sobie ową komiczną sytuację, spostrzegłem ZHU LING XIN. Nabrała rozpędu i skoczyła na moje piersi. Nie pocałowała mnie jednak, tylko położyła palec na ustach... Chyba przybyła na wadze, jedynym też stało się jej ciało. Pośladki jak dwie piłki drgały w moich dłoniach... Ześliznęła się ze mnie,

ujęła mnie za rękę, drugą pomachała przyjaznemu nam zawsze królowi i poprowadziła mnie w dół sławnego placu, by po skręceniu w jedną z przecznic, stanąć przed chińską restauracją. ZHU LING XIN wprowadziła mnie do lokalu, na którego środku stała w cudownym rozbłyску bordowych kwiatów chińska róża...

Przebudziłem się. Zaświeciłem światło. Sprawdziłem godzinę. Była druga w nocy... Wtedy ujrzałem rozkwitłą chińską różę...

Rano zadzwoniłem zaraz do Staszka, żeby się pochwalić objawieniem sennym. Wykręcając numer telefonu czułem za sobą tchnienie całego ogrodu botanicznego. Myślałem z wdzięcznością, iż w gruncie rzeczy rachityczna roślina wspinała się jednak uparczywie, aby kwiatem obwieścić, iż wola także dużo znaczy w biologii. Że tu także zdarzają się cudowne poczęcia...

Staszek był zaskoczony, bo jakże to — zakwitła ofiarowana przez niego sadzonka, podczas gdy mocarnym protoplastom nigdy nie udało się taka sztuka. A są przecież niesłychanie rozkrzewione, liście mają jędrne, głęboko zielone i połyskliwe. A jednak — jak się okazuje — nie rodne! Nie krył zawodu. Pogratił mi i życzył dalszych radości. — Pewnie, ciebie zawsze lubili kwiaty, i psy oraz koty całego świata. Ale ja przecież swoje pielęgnuję też z czułością, jednakże nie otrzymuję od nich oznak wdzięczności...

Parę dni później coś wystukiwałem na maszynie. Pisanie szło mi opornie. Za moimi plecami rozległo się pacnięcie. Spadł kwiat chińskiej róży. Jego zewłok spoczywał pośród wiórek płatkowych. W obawie, że posypią się następne kwiaty, zacząłem się ubierać, by jak najszybciej uciec od tego samobójstwa. W radiu dobiegała końca cykliczna pogawędka. Dzisiejszym jej tematem było najbliższe otoczenie przyrodnicze człowieka — jaki ma wpływ człowiek na środowisko domowe, a jak owo środowisko kształtuje lokatorów, powiedzmy M-3. Żałowałem, że nie wysłuchiwałem audycji w całości, a jedynie jej końcowy fragment, w którym na pytanie redaktorki, czy to prawda, że jeśli chińska róża (!) rozkwitnie w domu, to oznacza, iż ktoś z jej ludzkiego otoczenia zapadł na chorobę nowotworową, pani botanik odpowiedziała, że owszem, funkcjonują w obiegu takie przekonania, ona jednakże nie widzi w relacji kwiat — człowiek...

Ostry sygnał telefonu zagłuszył niezbyt przekonujące wywody bohaterki audycji. Jednakże, nie podjąłem słuchawki, wybiegłem z domu. Pojechałem czym prędzej do kliniki dermatologicznej, w której przed trzema tygodniami pobrano mi wycinek z niepokojącej mnie stale narośli na nosie...

Elegia na śmierć wiązów Ciechocińskich

*Jeszcze się stroją w złotogłów
I rozpierają w słońcu
Kopiącą czapą liści -
Omszałe dostojeństwo
W grzywie turzej zastygłe,
Niczym w obłoku miedzi.*

*Umierają cierpliwie,
Jadem cywilizacji trute
W majestacie prawa,
Wryte po brzechwy racie
W rtęć złotą kurzawki -
Bursztynu Kujaw.*

Błyskotka

*Kobieta piękna - cierpkość głogu,
Gdy niesie siebie dla chimery,
Nie będąc dzbanem, który raczy.*

*Kobieta piękna - wilcze łyko,
Gdy nieci ogień bez nadziei,
Że go uśmierzy dżdżu dotykem.*

*Kobieta piękna - czas stracony,
Gdy spierzchnie ziarno, które łaknie,
Bo nie spulchniła go wilgocią.*

Matka

*Wyczesywała kamienie spod jego stóp,
A powinna je była nagarniać,
Żeby go kaleczyły boleśnie.*

*Rozpraszała burze i firany mgieł,
A powinna je była zasnuwać gęsto,
Żeby się przez nie przedzierał w trudzie.*

*Rozgarniała szaleństwo wichrów przed nim,
A powinna się była do nich modlić,
Żeby go potargały dotkliwie.*

*Nie mogła być inna - nie byłaby matką,
Która przetrwała w nim ciepłem i troską
Lecz Medea - chłodną i tragiczną.*

Bez tytułu

*Stary oleodruk z pejzażem:
Na pierwszym planie - mostek
Z siwych bali i trzęsawisko,
Upięte kaczeńców broszami.*

*W tle: bezkres stepu i kobieta
W szkarłacie zapaski - samotna,
Na ścieżce, z którą się pogrąża
W milczącą, chłodną przestrzeń.*

*Śledzę jej kroki z nadzieją,
Że kiedyś, nim wchłoną ją dale,
Za siebie spojrzę przez ramię
I twarz jej zobaczę, i oczy.*

Śląski Eden

Jest jednym z największych tego typu obiektów w Europie. Budowany przez ponad dwadzieścia lat. Do dzisiaj się zmienia. Wojewódzki Park Kultury i Wypoczynku w Chorzowie — oaza czy kombinat? A może realizacja ludzkich tęsknot i pierwsza, naprawdę śląska, „jaskółka” ekologicznego myślenia?



Foto: Zbigniew Sawicz

„Wesołe Miasteczko” urządzono na obszarze 40 ha. Króluje nad nim najwyższy w tej części Europy „diabelski młyn”, wysoki na 40 m.

i odpoczynku. Jest symbolem niewinności i zawierzenia. Ale też mistycznych objawień i introdukcji paśnyjnej. Zależnie od kanonu i pełnionej roli, może być symbolem ascezy i służby — by przypomnieć klasztorne wirydarze średniowiecza, albo też rozpusty i zepsucia — wystarczy przywołać Swetoniuszowe wspomnienie ogrodów tyberiańskich na Anacapri.

Od zawsze były ogrody miejscem miłosnych schadzek i uniesień. Mimo piętna grzechu w kręgu kultury Morza Śródziemnego od czasów Adamowej Ewy. Oczekiwanie rajskich, pełnych niefrasobliwości rozkoszy miłości i pokoju po śmierci, nie ominęło nawet asasynów, męskiej sekty „Starca z Gór”, będących do dziś w świecie synonimem zbrodniarzy.

Mógł też być ogród w swej wspałości oznaką pychy, spowodowanej bogactwem i potęgą, przewrotnie wyniesioną na piedestał siedmiu cudów świata. Jak legendarny ogród — założony na tarasach, które przetrwały w ludzkiej świadomości jako „wiszące ogrody” — stworzony na zamówienie (lub dla) królowej Hatszepsut. Podobne w wyrazie — mimo wielkiego wrażenia jakie wywierały i wywierają, nie otoczone jednak nimbem „cudowności” — były założenia tworzone na zamówienie króla-Słońce w XVII-wiecznej Francji. I inne, których wiele przetrwało do naszych czasów, jak ogrody blisko — i dalekowschodnich sułtanów, kalifów, cesarzy i królów, czy te, zachowane przy europejskich rezydencjach monarchii absolutnych i oświeconych.

Od starożytności były też owe przestrzenie miejscem intelektualnych spotkań. Choć początki europejskie były bardziej „leśne” — gaj Akademos, czy ten założony przy Likeionie, bardziej znanym jako Liceum. Z biegiem stuleci, ogrody zaczęły czerpać z urody lasów i gajów, przemieniając się w parki, które do doskonałości formy doprowadził romantyzm.

Dzieło Ziętka

Początki założenia śląskiego sięgają przełomu lat 40. i 50. Wicewojewoda katowicki Jerzy Ziętek (jak twierdzą jedni — dla podreperowania swojej zagrożonej pozycji politycznej, zaś inni — co wydaje się równie prawdopodobne — kierując się zdrowym rozsądkiem), podjął próbę realizacji monumentalnego kompleksu rekreacyjno-sportowego i edukacyjno-kulturalnego. Na przewagę tego zdroworozsądkowego podjęcia ówczesnego wicewojewody śląsko-dąbrowskiego wskazywała nazwa, jaką opatrzył swój zamysł —

Parki pełne zieleni, miejsc urządzonych dla gromadnych spotkań i odosobnionych ustroni, jak ludzie Księgi — „wyszli” z ogrodów. Pamięć tych ostatnich jest tak stara, jak ludzkie wierzenia. Nie tylko

w religiach monoteistycznych — judaizmie, chrześcijaństwie, czy islamie — ogród pochodzi od Boga lub bogów i z nimi jest związany. Stanowi miejsce początku życia i pośmiertnej nagrody. A także refleksji

zielona oaza. I mapa skażenia tego terenu, dołączona do pierwszego wydawnictwa, poświęconego osiągnięciom w budowie Śląskiego Parku Kultury.

Autorami założenia i koncepcji było trzech projektantów: prof. dr inż. arch. Kazimierz Wejchert, inż. arch. Tadeusz Braun oraz inż. arch. Krystyn Olszewski. Projekt wstępny opracował i funkcję generalnego projektanta pełnił dr inż. Władysław Niemiec. Pierwsza prezentacja ich osiągnięć odbyła się w Katowicach w listopadzie 1950 r. Miesiąc później, na sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej powołano Społeczny Komitet Budowy Śląskiego Parku Kultury i Wypoczynku, którego przewodniczącym został Bolesław Jaszczyk. Wybrano także lokalizację — sześciusethektarowy obszar nie użytków w zbiegu trzech miast: Katowic, Chorzowa i Siemianowic Śląskich.

Kiedyś, jeszcze przed II wojną światową, była tu tzw. Dolina Szwajcarska. Miejsce, w którym zatrzymywały się wędrownie karuzele i cyrki, odbywały się pikniki, festyny i ludowe zabawy. Jednak po wojnie obszar ten stał się składowiskiem odpadów poprzemysłowych, wyginęły fiołki i kaczęce (wspomniane do dziś przez zasiedziały chorzowian i katowiczanie) i ulegał ciągłej degradacji. A cyrki i objazdowe lunaparki zatrzymywały się w innych miejscach.

Przedstawiona koncepcja proponowała, prócz — jakbyśmy to dzisiaj powiedzieli — rekultywacji terenów poprzemysłowych, także wzniesienie kilkudziesięciu obiektów. Różna była ich funkcja i przeznaczenie. Począwszy od pawilonów wystawienniczych, przez kręgi taneczne, restauracje i kawiarnie, po muzeum botaniczne, palmiarnię czy planetarium, a także dwa teatry i kino. Przewidziano też ogród zoologiczny, „Wesołe Miasteczko”, pawilony sportowe, przystań kajakową, tereny gier i zabaw oraz kolejkę naziemną. „Koroną” obiektów sportowych miał być Stadion Śląski z 60 tysiącami miejsc na widowni. Wszystko „zanurzone” w masie zieleni — drzew, krzewów, trawników i klombów.

W parku przewidziano nawet teren wczasowy. Źródło tego pomysłu można się doszukiwać w rosyjskiej tradycji daczy podmiejskich. A także w obyczaju wznoszenia rezydencji, oddalonych od miast w Europie Zachodniej. Każda z nich otaczana była ogrodem. Już w starożytnym Rzymie lub w średniowiecznej Italii, czy oświeceniowej Francji. Niejedno z tych miejsc trafiło do literatury, jak znany z „Dekameronu” Bocaccia ogród, będący schronieniem przez

zarazą. Ale nie tylko, bo nastrój, który wzbudzał wśród zgromadzonych w nim uciekinierów, czynił go przestrzenią inspirującą, skłaniającą do snucia opowieści, zawartych później w dziesięciu księgach.

Co prawda, o ogrodzie dekamernym nie wiadomo, jaki wkład miał w jego powstanie sam poeta. Ale sztuka ich zakładania, od XVII w. przejęta przez architektów i ogrodników, nie była obca ludziom pióra, filozofom, czy artystom, tworzącym w różnych dziedzinach sztuki. Przykładem może być Petrarca, sam praktykujący uprawę ogrodu, czy Bacon, który jeden z esejów poświęcił sztuce kompozycji i uprawy tego miejsca lub Johann Wolfgang Goethe, projektodawca ogrodu książęcego w Weimarze i wielu, wielu innych. Nie ominęło to zainteresowanie także świętych, by wspomnieć tylko Biedaczynę z Asyżu z jego „Fioretti”. I wcześniejszą odeń Hildegardę z Bingen, która w korespondencji, prócz rozważań dotyczących spraw wiary, muzyki (była znakomitą kompozytorką) i architektury, pozostawiła także ślad zainteresowania przyklasztornym ogrodem, sposobem jego zarządzania i utrzymania.

Znane od lat jako Wojewódzki Park Kultury i Wypoczynku śląskie założenie, prócz tych, bliższych i dalszych w czasie i przestrzeni odniesień, miało spełnić jeszcze kilka innych zadań. Wśród nich, wcale nie mniej ważnym od pozostałych, było udostępnienie go publiczności. Nieodpłatne na większej części obszaru, rzecz jasna. Łączyło się z ideą parków i ogrodów publicznych, rozwiniętą najbujniej w Europie XIX w. Choć polska tradycja warszawskich Łazienek, czy puławskiego założenia Czartoryskich, zaczęła się rozwijać już w wieku XVIII.

Nie mniej ważne i nie do przecenienia było zaangażowanie społeczeństwa śląskiego w budowę tego parku. Prócz tego, jak świadczą współcześni, że stał się on przysto-wiowym „oczkiem w głowie” Jerzego Ziętki, skupił na sobie wielkie zainteresowanie tutejszej społeczności. Wraz z tym przyszła pora na przełożenie idei w czyn. Być może nieświadomie Ślązacy realizowali w tym myśl patrona Europy, św. Benedykta, który — zalecając zakładanie i pielęgnowanie ogrodów swoim współpracownikom — podkreślał zba-wienną rolę pracy, nieodłącznie z tym związanej. W każdym bądź razie całe rzesze ludzi, wspierały zatrudnionych tam za pieniądze robotników, sypały zwalę ziemi i żużlu z huty „Kościuszko”, zasadziły trzy i pół miliona drzew i krzewów w 70 gatunkach i odmianach, wygładzały wytyczone alejki i kopały zbiorniki

na stawy. Przy tym park integrował, był powodem dumy, bo — u nas, tutaj, naszymi rękami.

We wprowadzeniu do okolicznościowego albumu „Śląski Park Kultury” pisał Jerzy Ziętek: „Kto jest twórcą Śląskiego Parku Kultury? Przede wszystkim społeczeństwo — a zwłaszcza robotnicy i pracownicy zakładów przemysłowych, urzędnicy władz oraz instytucji, uczniowie szkół i wyższych uczelni. Oni to ogrom robót ziemnych (gdzie maszyny nie miały zastosowania) oraz prace przy sadzeniu drzewek wykonywali społecznie, bez zapłaty. (...) ci wszyscy, którzy poparli różne imprezy, wydawnictwa, drobne zbiórki organizowane przez Komitet Budowy i nie poskąpili groszowych datków przy zakupie biletów. W sumie uzbierano miliony. Zainwestowane w urządzenia Parku wróciły w innej formie do społeczeństwa”.

Kolejne atrakcje

Budowa postępowała bardzo sprawnie. Już w 1952 r. ludzie tańczyli pod gołym niebem na trzech kręgach tanecznych (każdy, jak w piosence — na 1000 par!), które zbudowano na terenach przeznaczonych dla organizowania festynów i zabaw. Trzy lata później oddano przystań-kajakową wraz z kawiarnią i restauracją. W tym samym roku, na Barbórkę otwarto swe podwoje Planetarium i Obserwatorium Astronomiczne. Zbudowano je wg projektu Zbigniewa Solawy. W 500-lecie urodzin Mikołaja Kopernika, patrona tej placówki naukowo-badawczej i popularyzatorskiej, przed budynkiem stanął jego pomnik, autorstwa Jerzego Bandury.

22 lipca, w dwunastą rocznicę ogłoszenia Manifestu PKWN (do roku 1990 było to jedno ze świąt państwowych), oddano Stadion Śląski. Projektantem „dumy śląskich kibiców” (i tutejszych klubów sportowych) był Julian Brzuchowski. Liczebność miejsc na widowni udało się powiększyć w tamtych czasach do 84 tysięcy. Krakowskim targiem, bo nie mogła być większa od tej na warszawskim Stadionie X-lecia. W latach późniejszych widownia mieściła 75 tys. widzów. Teraz, po remoncie, ma ich pomieścić o 15 tys. mniej.

W 1957 r. otwarto Śląski Ogród Zoologiczny. Rozmieszczony na 48 hektarach, początkowo prezentował 30 gatunków zwierząt. Obecnie jest ich w nim 400, a liczba okazów przekroczyła trzy i pół tysiąca. Decyzją Jerzego Ziętki, wejściem głównym stała się brama wjazdowa zrujnowanego pałacu świerklanieckiego, należącego do niemieckiego rodu Donnersmarcków. Wielkim

wydarzeniem było wybudowanie obok ZOO, kotliny skalnej, udostępnionej 24 lipca 1975 roku, znanej dzisiaj jako popularna „Dolina dinozaurów”. Nadzór naukowy nad tym przedsięwzięciem pełniła prof. Zofia Jaworowska z Zakładu Paleozoologii PAN, rzeźby zaprojektował Jan Kosarz, zaś wykonali je: Henryk Fudali, Teresa i Waldemar Madejowie, Józef Sawicki i Mirosława Wirtek.

Uruchomiono „Wesołe Miasteczko”, ulokowane ze stawem, kręgiem tanecznym i rozmaitymi urządzeniami na obszarze 40 ha. Dzisiaj jest to jedyny istniejący w Polsce stacjonarny lunapark, z wieloma urządzeniami dla wszystkich, którzy chcą się bawić. Wśród nich jest najwyższy w tej części Europy „diabelski młyn”, którego wysokość wynosi 40 m.

Przybyła linowa kolejka krzesełkowa, popularna „Elka”. Kolejka ta jednoznaczowo może przewieźć 1440 osób. Długość przejazdu na całej trasie: „Wesołe Miasteczko” — Planetarium — Stadion Śląski, wynosi 5,5 km. Tę samą długość torów ma kolejka naziemna, niegdyś „zarządzana” i obsługiwana przez dzieci i młodzież. Można się nią przemieścić od parkowego lunaparku do ZOO, Planetarium i przystani kajakowej. Istniała już wtedy większość z 80 km alej spacerowych, których łączna długość, wraz drogami rowerowymi i dojazdowymi dzisiaj wynosi 120 km.

Dodano także inne obiekty — np. Ośrodek Postępu Technicznego (dziś teren Międzynarodowych Targów Katowickich), nieistniejącą już dzisiaj szklaną wieżę doświadczalnej hodowli roślin — unikalny obiekt wysokości 50 m, czy „kapelusze”, w którym odbywały się u progu lat 70. pierwsze dyskoteki z ówczesnym „czadem” muzyki zespołu Brekout i innych, mniej lub bardziej znanych ansambli. Założono galerię rzeźby plenerowej. W 1976 r., w dniu Święta Pracy, otwarto Skansen Wsi Górnośląskiej, istniejący do dziś jako Górnośląski Park Etnograficzny. Początkowo liczył 30 obiektów, zgromadzonych na obszarze 22 ha. Obecnie prezentuje 57 zabytkowych obiektów XIX-wiecznej wsi z części Górnego Śląska i z Zagłębia Dąbrowskiego. Każdy z nich, łącznie z niedawno pozyskanym ko-



Pelikany — także charakterystyczna rzeźba parkowej promenady

ściółkiem św. Józefa, pięknie wyposażony.

Powstał też załazek siedmiohektarowego rosarium z 60 tysiącami krzewów pięciuset gatunków róż (w czasach świetności). Corocznie wysadzano w WPKiW tysiące innych kwiatów na klombach i rabatach. I tak jest do dziś. Liczba sadzonek w roku wynosi 130 tysięcy. Imponująca jest także liczba drzew — 600 tysięcy i krzewów — prawie milion. Początkowo sadzono tu gatunki szczególnie odporne na skażenie przemysłowe — wierzyby, topole, brzozy i czerechmy.

Rośliny i rzeźby

Z upływem czasu wzbogacono ilość gatunków, wprowadzając także rzadkie i szlachetne. Należą do nich buki, dęby, jesiony, klony, lipy, i drzewa iglaste — cisy, jodły, modrzewie, sosny i świerki. Pozwolił na to mikroklimat tego miejsca, wytworzony z biegiem lat dzięki naturalnym filtrom roślinnym. Dzięki temu do WPKiW można było wprowadzić rzadkie rośliny o dużych walorach ozdobnych — magnolie, miłorzęby, metasekwoje chińskie, czy tulipanowce amerykańskie. Dzięki tej zróżnicowanej roślinności, prócz

niewątpliwego statusu „zielonych płuc Śląska” (uzupełnionych przez Katowicki Pas Ochronny), park spełnia znany z dawna postulat, ujęty także przez Bacona — jego szata roślinna jest interesująca i zdobi go w każdej porze roku. O walorach kompozycji zapachowych, podkreślanych przez tego myśliciela, odczuwalnych szczególnie w czasie kwitnienia, nie zapominając.

Ale parki w swoich założeniach to nie tylko rośliny. To także budowle, sztuczne zbiorniki wodne, pomniki i rzeźby. Wszystkie one zostały wykorzystane na obszarze WPKiW. Są świadectwami obowiązujących stylów artystycznych i architektonicznych, a także wytycznych polityki kulturalnej i miejscem edukacji. Bo przecież parki i tę funkcję spełniały, vide „Myśli różne o sposobie zakładania ogrodów” Izabelli Czartoryskiej. Na pewno, prócz zdobienia, te dwa ostatnie zadania spełniały parkowe pomniki.

W chorzowskim parku jest ich wiele. Wystawione w różnym czasie, są wyraznym świadectwem ówczesnych założeń i tendencji. Rolę edukacyjno-propagandową, wiążącą się z nowym ładem, spełniały na pewno te, które trafiły do parku w pierwszych latach jego istnienia. Nowy, sprawiedliwy ład, oddany w duchu socrealizmu to „Hutnik”, czy dawne fryzy kolumnady „Przystani” Jana Ślusarczyka i „Górniki” Stanisława Marciniowa. W tej stylistyce utrzymane są inne ich prace — „Krakowiak” pierwszego z nich i „Trojak” Marciniowa, nawiązujące do ludowości i tematyki, znanej z twórczości Zofii Stryjeńskiej.

Inny wymiar miało przeniesienie z przywróconego Macierzy Zabrza uroczego dziełka Emanuela Fremiéta „Szczurołap”, którego miejsce — po niedawnym powrocie do rodzinnego miasta — zajęła kopia. Tak jak w przypadku świerkianieckiej, zdobnej rzeźbami dwóch lwów bramy ZOO, prócz niewątpliwego zamiaru upiększenia parku, decyzyja ta miała polityczne znaczenie.

Z czasem przybywały inne, oddające ducha lat kolejnych, utrzymane w obowiązującej stylistyce. Coraz ważniejszy był ich walor zdobniczy, jak chociażby dynamicznej grupy „Łani”, czy tych, które swe miejsce znalazły w plenerowej galerii. Co prawda patrząc na „dziurawą” — jak

Foto: Zbigniew Sawicki

chcą jedni lub „ażurową” — jak chcą inni, „Karolinę”, można mieć mieszane uczucia.

Park nie byłby tym, czym jest, gdyby nie ludzie. Nie tylko pracujący przy jego zakładaniu, czy w nim zatrudnieni. To goście, którzy go odwiedzali i odwiedzają. Zdążający do wybranych miejsc, albo na określone, organizowane w nim imprezy. Na pewno jedną z nich było Święto „Trybuny Robotniczej”, które po stanie wojennym przemianowano na „Święto Prasy, Radia i Telewizji”. Tłumy, zjeżdżające do parku, w oczekiwaniu atrakcji, które specjalnie z tej okazji przygotowywano, były ogromne. Nie tylko zresztą wtedy, ale i w dniach rozmaitych świąt państwowych, które szczęśliwie przypadły w porze wiosny i lata. Dźwięki muzyki, roztańczone pary, biorące udział w zabawach i konkursach dzieci, liczne stoiska (gros z nich oferowało książki, które wówczas szły „jak woda”), pokazy sztucznych ogni i projekcje filmów, czyniły z parku miejsce, nieporównywalne z żadnym innym na Śląsku.

Atmosfera miejsca kulturalnych spotkań nie tylko z takich okazji „opanowywała” WPKiW. Bo i majowe kiermasze książki, połączone ze spotkaniami z pisarzami, występy licznych zespołów różnego rodzaju, czy artystyczne plenery, nadawały mu także specyficzny charakter. Było to też miejsce wycieczek szkolnych i harcerskich. A także zupełnie prywatnych spotkań, np. przedstawicieli bohemy artystycznej, która ścigała tu licznie, także ze względu na sławę znakomitej kuchni w znajdujących się w parku „punktów zbiorowego żywienia”. I gwarancję, że w potrzebie na pewno znajdzie się miejsce oddalone od ludzi. Aż żał, że nie wszystkie anegdoty związane z parkiem; zostały spisane i zapamiętane.

Fenomen miejsca

Ten fenomen miejsca integrującego, już dużo rzadziej występujący, trwa do dziś. Wystarczy przypomnieć „Śląskie gody”, festyny organizowane przez redakcje prasowe, katowicką rozgłośnię radiową, czy tutejszy ośrodek telewizyjny. Już nie tak regularnie, bo pieniędzy na kulturę brakuje (także i masową).

Nie tylko przy tych okazjach park był i jest uczęszczany. Mimo, że jego struktura się zmieniła. Potężna całość, jaką niegdyś tworzył, nie jest pełna. Osobną instytucją jest Planetarium, oddzielono skansen, poza parkiem działa od lat Stadion Śląski. A także hotel PTTK oraz Ośrodek Harcerski. Sprywatyzowano restau-



Znakomicie komponujący się z otoczeniem budynek dyrekcji Parku

racje i kawiarnie, które zmieniły swój charakter. Pozostałe jednostki działają nadal w obrębie WPKiW, ale z większą samodzielnością.

Park stracił także część ze swojej „klienteli”. Szczególnie tych, którzy przyjeżdżali tu z bardziej odległych miejsc — Gliwic, Rybnika, czy Będzina. Zwyczajnie, to nieraz jest zbyt kosztowne. I nie chodzi tu tylko o droższą parkową restaurację, czy brak gotówki na bilet wstępu. Czasem potencjalnych gości nie stać po prostu na dojazd, a i wolą domowe wideo.

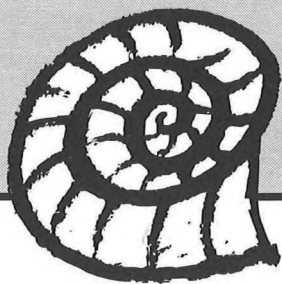
Podobny los spotkał park jako „okaz”, godny prezentacji gościom z bliska i daleka. Corocznie WPKiW było wizytowane nie tylko przez rozliczne wycieczki, ale gros przybywających na Śląsk delegacji zagranicznych. Różnego autoramentu — od grup pracowniczych, po delegacje na szczeblu rządowym. Także i tym najwyższym. Delegacje z KDL (Krajów Demokracji Ludowych), czy usamodzielnionych byłych państw kolonialnych, czy nawet niezbyt często przybywający na Śląsk przedstawiciele Europy Zachodniej — wszyscy zwiedzali WPKiW. Politycy, robotnicy, urzędnicy, a nawet kosmonauci po prostu musieli go obejrzeć. Podobno małżonka ministra spraw wojskowych Indii, po zobaczeniu tego miejsca stwierdziła, że chciałaby tu spędzić rodzinne wakacje. Ponoć kuchnią w dawnej „Łani” zachwycił się towarzysz Leonid Breżniew. Pełni wrażeń wyjeżdżali harcerze i pionierzy z różnych stron Europy Środkowej, gromadzeni corocznie na turnusach Międzynarodowego Obozu Harcerskiego „Malta” w Ośrodku Harcerskim. Teraz te czasy bezpowrotnie minęły.

Transformacja gospodarcza nie ominęła także WPKiW. Przytoczone przez kierującego nim dyrektora, Pawła Szafranca, liczby dobrze oddają dzisiejszą sytuację tego ogromnego założenia. Park otrzymał w bieżącym roku 60 proc. dotacji ubiegłorocznej. Dofinansowanie 1 hektara wynosi 13 tys. zł, warszawskich Łazienek — 100 tys. zł, w podobnym doń parku w Strasburgu kwota ta jest dwa razy wyższa od stołecznej. W parku łazienkowskim przypada 1 pracownik na 1 ha, w Chorzowie jeden zatrudniony zajmuje się sześcioma. Mimo że park jest nadal miejscem bezpiecznym, przydałoby się zwiększenie liczebności chroniącej go Straży Parkowej. O podniesieniu pracowniczych pensji nie wspominając. Park jest samowystarczalny, jeśli chodzi o uprawę roślin na własny użytek, ale zrobić się na tym nie da. Stąd konieczność dalszej prywatyzacji, być może dopuszczenia kapitału zagranicznego. Na ile zmieni to charakter tego założenia — trudno powiedzieć.

Wiele obiektów cieszy się (nie tylko na Śląsku) poparciem społecznym. Są to jednak przedsięwzięcia najbliższe, z małej ojczyzny każdego z nas — żłobek, kościół, chodnik, czy gazociąg. Wobec wzrastającej pauperyzacji ludzi, już nie tak dużym, jak kiedyś. Chociażby wtedy, gdy WPKiW budowano. Ale to były czasy, kiedy wystarczała satysfakcja, która nie zawsze wymierzalna jest w pieniądzu. Być może znów wokół parku uda się skupić ludzi. Nie tylko jako gości i uczestników, ale i chroniących od zniszczenia to, co mamy. I to, co park nam daje. A jak wiele — wystarczy tam pojechać.

KAROLINA DRWAŁ

Foto: Zbigniew Sawicz



Zanikająca tradycja

Ostatnio, jako wicemarszałek woj. śląskiego odpowiedzialny za tereny wiejskie i rolnictwo, uczestniczyłem w tradycyjnym redyku, czyli gromadnym uroczystym wypędzie owiec na hale. Było to w Korbielowie w gminie Jeleśnia w powiecie żywieckim. Panowała podniosła atmosfera. Pod przełęcz graniczną ciągnęły umajone zaprzęgi konne. Wielu górali przyodziło tradycyjne stroje beskidzkie, ze spodniami wałaszczokami, z kamizelkami bruclikami, z pasem bacowskim, a nade wszystko z kapeluszem filcowym. Wszyscy w napięciu czekali na głównych aktorów redyku — owce i zaproszonych gości, którzy tłumnie przyjechali samochodami pod granicę. Uroczystość ta, wiosenny majowy redyk, która jeszcze kilka lat temu gromadziła tysiące owiec w każdej gminie beskidzkiej, dzisiaj należy już w Polsce do rzadkości.

Pasterstwo owiec i wołów, jako forma gospodarki, dotarło w Beskidy wraz z wołoskimi pasterzami, którzy przybyli ze swoimi stadami łukiem Karpat, gdzieś od Rumunii. Od ponad 200 lat tradycyjne naturalne gospodarowanie na szałasie, kierowane przez bacę wspomaganego przez juhasów i psy pasterskie, wprowadziło do naszej kultury beskidzkiej wiele zwyczajów, specyficzny język a nade wszystko szałas, kolibę, bacówkę. Te typowe archaiczne formy budownictwa utrwalane na sztychach Stellera czy obrazach Wałacha są identyfikatorem śląskiego krajobrazu beskidzkiego. Kojarzą się z sielskością, z nieskażoną przyrodą beskidzkich lasów i łąk. Pierwotne prymitywne szałasie pasterskie, zbudowane na dwóch sochach przykrytych deskami i kamieniami, zamieniono później na stałe siedziby jednoizbowe ze ścianami uszczelnionymi mchem lub trzaskami tj. wiórami drzewnymi kręconymi w warkocze. Dach w takiej groniowej chałupie był dwuspadowy kryty szczypanymi szyndziolami.

Korbielowski redyk wiosenny zgromadził na hali obok przejścia granicznego kilku wytrawnych baców i ponad trzysta owiec od kilkudziesięciu właścicieli. Po dotarciu owiec na halę redykową, którym towarzyszyło beczenie owiec i piękne dźwięki pasterskich dzwonek rozpoczęło się mieszanie owiec. Jest to stara procedura polegająca na wytworzeniu ruchu wirowego owiec wokół bacy Stanisława Majewskiego, tak aby owce z tych różnych małych stad wymieszały się całkowicie. Potem odbyła się zbiorowa modlitwa, na kolanach, o dobry urodzaj, o mleko dla owiec, o bezpieczeństwo i zdrowie i szczęśliwy powrót do domu na jesień. Owce, gdy się całkiem zmieszają, należy wprowadzić do koszar czyli opłotkowanego sztachtami poletka dla owiec, w którym się je liczy, doi, gdzie spędzają noc. Aby to sprawnie poszło, baka nęci owce, soląc trawę przed czołem redyku. Zaprasza przewodnika stada do zbliżenia się do koszar i gdy on wejdzie do środka, reszta stada owczym pędem wpycha się przez dziurę w płocie. Rozpoczyna się głośnie liczenie. Dawniej owce musiały skakać jeszcze przez dogasające ognisko, co miało być skutecznym sposobem przeciwko chorobom owiec. Przy wychodzeniu z koszar odbywa się pokazowe dojenie i szacowanie przyszłych dochodów z mleka, żętycy i sera. Skomplikowane są tradycyjne formy rozliczeń pomiędzy

bacą, juhasami, właścicielami owiec i hali. Ongiś utworzono spółki szalaśnicze, takie pierwowzory spółdzielni rolniczych. W skrajnych wypadkach bywało, że prawo do wypasu liczone w racicach przysługiwało biednym góralom raz na kilka lat. Wydojone owce pasą się i jakby popłakują, że straciły dotychczasowych partnerów, potrząsają dzwoneczkami i lamentują becząc żałośnie.

Owczarstwo górskie na naturalnych łąkach beskidzkich jest bardzo ekologiczne. Po pierwsze — produkty owcze z takich nie nawożonych sztucznie hal, nie dokarmianych paszami i hormonami owiec są wyśmienitej jakości. Nadają się dla chorych i stosujących specyficzne diety. Dawniej stosowano jeszcze kąpiele w żętycy jako formę terapii dla kuracjuszy. Setki lat wypasu pozwoliło na wykształcenie się specyficznych biocenoz łąkowych — cudownych godnych podziwiania kwitnących traw i ziół. Te bogate w owady, płazy, gady — a ubogie w chwasty, ekosystemy łąkowe, były wynikiem wieloletniego naturalnego gospodarowania. Owce, wypasając trawę, nawożą ją naturalnie od lat. Gdy brak jest owiec, gdy trawy nie są właściwie koszone to następuje degradacja łąki — zachwaszczenie i kwaśnienie. Dlatego ważne jest kontynuowanie pasterstwa na naszych halach beskidzkich, bo inaczej zostanie ona przez leśników w właścicieli gruntów zalesione. Pamiętam i tęsknię do tętniących gwarem koszarów pasterskich

w masywie Pilska, Romanki, Hali Lipowskiej, na Kotarzu i Skalce w Brennej.

Dlaczego pasterstwo w Polsce upada? Górale mówią, że ponoć się to nie oplaca. Każdy kto zna Holandię, Austrię, Szwajcarię to wie, że tam każda zielona łąka i hala służy do wypasu i tam się to ponoć oplaca. W Polsce na nizinach zaczyna być widoczny wypas byczków. Upadek pasterstwa w Karpatach miał kilka przyczyn. Po pierwsze spadły w Polsce ceny na wełnę owczą. Po drugie baranina i produkty przetwórstwa owczego mleka nie były nigdy zbyt popularne i nie dawały samodzielnie wystarczającego dochodu. Po trzecie tradycyjne kozuchy przestały być modne a i ostatnie zimy były zdecydowanie cieplejsze — więc rynek kozuchowy zamarł. Ponoć też nasze owce genetycznie przystosowane do trudnych warunków górskich nie wytrzymują konkurencji z uszlachetnionymi wielofunkcyjnymi rasami nizinnymi.

Uważam jednak, że owczarstwu w Beskidach należy pomóc. Stanowi ono element kultury regionalnej i może być ciekawostką promującą daną gminę. Sam widok pasących się owiec i refleksja nad kulturą pasterską daje ponoć ukojenie. Marzy mi się, aby w każdej gminie beskidzkiej było wzorcowe, co najmniej jedno, gospodarstwo pasterskie — taki swojski szałas bacowski. Nie tak wielkie jak za socjalizmu w Jaworkach w Pieninach, czy w Bieszczadach. Takie przytulne, kultuwujące tradycję, godne zwiedzenia nie tylko przez konesera, ale i młodzież szkolną z miasta. Mogłaby się ona dowiedzieć i zobaczyć czym jest gospodarstwo pasterskie. Przy taniej bazie noclegowej niedaleko bacówki, tzw. zielone szkoły mogłyby odbywać się na terenach pasterskich w Beskidach. Byłaby to atrakcja turystyczna, i mały zakład produkcyjny, z nowymi miejscami pracy, sprzedający na miejscu swoje produkty. Wokół bacówki rozwijałoby się pamiątkarstwo regionalne z drewna, wyroby koronkarskie i bibułkarskie, sprzedaż skarpet i rękawic z surowej wełny owczej. Dlaczego tylko piwo ma być serwowane turystom w beskidzkich pensjonatach, czy zajazdach? Może by tak spróbować żętyć?

Trzeba jednak poprzez promocję wytworzyć rynek konsumenta na regionalne produkty owcze — żętycę, serki wędzone, rolady serowe. Potrzebne są porozumienia pomiędzy gminami dla promocji pasterstwa jako atrakcji turystycznej. Potrzebne są też nowe uszlachetnione odmiany owiec i chętni bacowie. Gminy przy wsparciu Ośrodka Doradztwa Rolniczego powinny opracować projekt — program rozwoju owczarstwa w Beskidach, wsparty funduszami z programów pomocowych na rozwój rolnictwa i terenów wiejskich.

Zakończenie redyku — to wyśmienita zabawa połączona z degustacją potraw i kiermaszem wyrobów owczarskich. To też tradycja, gdyż występowały regionalne zespoły folklorystyczne, taneczne, śpiewacze i gawędziarskie. Były gajdy i skrzypce, dudy i trąbity a nawet helokanie. Biesiadowanie trwało do późnych godzin i turyści polujący aparatem fotograficznym czy kamerą wideo na ciekawostki folkloru mieli swoje żniwa. Spotkajmy się na kolejnym redyku.

JAN RZYMEŁKA

Czy ludzie mówiący jakimkolwiek językiem, wiedzą, co to jest język? Czy potrafiliby sformułować jakąkolwiek, niekoniecznie nawet bardzo naukową definicję tego pojęcia? Czy potrafiliby opisać, czym się charakteryzuje to narzędzie, które służy im na co dzień? Może niektórzy tak. Ale spośród tych niektórych, wielu byłoby zapewne takich, którzy zrobiliby to absolutnie źle i nieprawdźliwie. A czy muszą umieć to zrobić? Nie. Wszak wystarczy, że wiedzą do czego owo narzędzie służy. Czy ja wiem, jak i z czego jest zbudowany telewizor? Nie, nie, nie. Ale naprawdę potrafię się nim posługiwać i świetnie wiem, do czego służy.

Czy ludzie mówiący jakąś gwara, wiedzą, co to jest gwara? Czy potrafiliby sformułować jakąkolwiek, niekoniecznie nawet bardzo naukową definicję tego pojęcia? Czy potrafiliby opisać, czym się charakteryzuje to narzędzie, które służy im na co dzień? Może niektórzy tak. I czy muszą umieć to zrobić? Tak, zdecydowanie tak! Bo na tych ludziach ciąży konieczność, obowiązek przechowywania tradycji, skarbcza, kulturowej pamiątki. Muszą mieć świadomość swojej misji, by wypełniać ją naprawdę dobrze.

Jak się okazuje, łatwiej jest z określeniem innych regionalnych tradycji. Ślązacy wiedzą doskonale, jakie są tajniki śląskiej kuchni, które należy pielęgnować i przekazywać kolejnym pokoleniom - zarówno do rośli, jak i dzieci bezbłędnie wymieniają: *rolada, kluski i modro kapusta, krupnioki, szalot, kołocz i kołoczki, mienicka, siemieniotka i wodzionka*. Inne śląskie wartości też są wymieniane szybko i sprawnie: rodzinność, szacunek w rodzinie, hierarchia w rodzinie, zamiłowanie do roboty, umiowanie roboty, robotność, wyjątkowa religijność, której objawem są choćby stałe, cykliczne pielgrzymki do Piekarni Śląskich, poczucie, że żona nie powinna pracować - to mąż winien zarobić na całą rodzinę, na swoją żonę, na dzieci, aby im dać poczucie stabilności i spokoju. To wszystko elementy, które Ślązacy w różnej kolejności wymieniają jako cechy typowe dla siebie samych. Nie zdarza się, aby ktoś wśród tych cech wymieniał mówienie gwara, *godanie*. A jeśli pytać, czy mówienie gwara jest cechą Ślązaka, też nie uzyskuje się jednoznacznej odpowiedzi. Dopiero na pytanie, czy każdy Ślązak zna gwara, wszyscy zgodnie odpowiadają: TAK. Nie jest to więc cecha, która w ogólnej opinii ma być utrzymywana i pielęgnowana. Ale to jeszcze nie koniec. Najciekawsze okazało się, że wbrew temu, co kiedyś sądziłam, Ślązacy mają niezwykle słabą świadomość tego, kiedy i jak mówią gwara. W związku z moim polonistycznym wykształceniem i, jak myślę, niezłym

sluchem językowym wydawało mi się zawsze, że człowiek musi słyszeć i na dodatek rozróżniać, kiedy pochyła samogłoski, kiedy rozkłada nosówki, kiedy twarde spółgłoski wymawia miękko i odwrotnie. Aż nagle się przekonałam, że wcale tak nie jest, bo to nie takie proste. Po raz pierwszy uderzyło mnie to, gdy zapytałam znajomego o zgodę na wywiad nagrywany na dyktafon, a on odpowiedział: „*Nó ja, może pani sie nagrywać, ale jo nny byda godot po ślónsku, ino normalnie byda muwil, tak jak tera, bo jak czołwek widzi mikrofon, to sie bardzi staro*”. Uświadomiłam sobie wtedy, że on nie ma świadomości te-

Śląska samoświadomość

go, że nadal mówi gwara i potem zaczęłam pytać ludzi o to, kiedy używają gwary, a kiedy jej unikają. I cóż się okazało. Absolutna większość moich rozmówców uważała, że gwara mówi tylko wtedy, kiedy używa specyficznych, właściwych dla gwary wyrazów, wyrażań i zwrotów, czyli tzw. *alsdrukuf*. Dwie wypowiedzi Ślązaków - pierwsza: „*Moje dzieci już, niestety, coraz gorzej znają gwara śląską. Być może jest to kwestia zaniedbania i kwestia tego, że się w domu mało mówi gwara, ale one już tylko co niektóre słowa znają, łapią i rozumieją*”. I druga: „*Byłem już w różnych sytuacjach, ale jak ktoś powie: „te łone”, to wiadomo, że to jest Ślónzok, nó nny ma rady nny? Bo to jes take przysłowie, które zastępuje wszystko. Po prostu, jak się nny umi wygadać, to powie: „dej mi te łone” albo „podej mi te óne”. Każdy Ślązak umi mówić gwara*”.

Osoby spoza Śląska, mające jakiś silniejszy związek ze Śląskiem, zwracają poza tym uwagę na jeszcze jedną rzecz, mianowicie na tzw. akcent (piszę „tzw.”, bo tak naprawdę chodzi o specyficzną śląską intonację zdaniową). Przytoczę fragment jednej z rozmów:

- „Czy wszyscy Ślązacy mówią po śląsku? czy wszyscy Ślązacy mówią gwara?”

- Nie, wrywkowo nie, co niyktóre słowa.

- A czy Ślązaka zaraz można poznać po mowie?

- Można, tak. Bo właśnie coś się wyczuwa takiego, że to wyjdzie i to od razu da się wyczuć.

- A po czym?

- Akcent tylko”.

Z kolei jedna z moich przyjaciółek Ania mówiła: „*My nie umiemy nic mówić po śląsku, tyle lat tu mieszkam, a ja nie umiem właściwie ani*

jednego słowa. Ale jak jadę do Polanicy, to rodzice i moje siostry wyczuwają akcent, takie naleciałości. One mówią, że wyczuwają, że ja mówię po śląsku. A ja też, kiedy jako młoda dziewczyna mieszkalam w Polanicy rozpoznawałam wśród wczasowiczów, kto jest Ślązakiem. Ślązak nie musiał powiedzieć, że jest ze Śląska, a poznałaś go zaraz po akcencie, po jego mowie. Jest to taka wyróżniająca się właśnie mowa. Ja tutaj tego nie zauważam, ale mieszkając w Polanicy, zauważałam”.

Czy nasze przeciętne rozumienie gwary, pojęcie o gwarze jest właściwe? Nie, wszyscy - dialektolodzy

zgodnie stwierdzili już dawno, że gwary od języka ogólnego leksyka (słownictwo) różni właśnie najmniej. Tak uważali najwięksi spośród dialektologów: Stanisław Urbańczyk, Kazimierz Nitsch, Karol Dejna. W tym kontekście zadziwia definicja z *Encyklopedii wiedzy o języku polskim*: „Gwara - mowa lud-

ności wiejskiej z niewielkiego terytorium, przeważnie z kilku czy kilkunastu wsi, różniąca się od języka ogólnego i mowy sąsiednich okolic pewnymi cechami, głównie fonetycznymi i leksykalnymi”. Zresztą pokutuje w tej definicji stary pogląd o wiejskości gwary, co do Górnego Śląska pasuje właściwie jak pięść do nosa.

Cechy gwarowe to głównie cechy fonetyczne - na Śląsku to między innymi owa specyficzna śląska intonacja, samogłoski pochylone (*nny, jo, kón*), rozkład nosówek (*Ślónzok*), r frykatywne (*grzihy, trzi*). Na drugim miejscu pod względem frekwencji znalazłyby się cechy fleksyjne: tu można wymienić pozostałość po aoryscie (*żebych, zrobilach, wypilzech*), końcówkę -a w 1. osobie liczby pojedynczej czasowników i w bierniku liczby pojedynczej rodzaju żeńskiego (*widza wieża, kupia czapka, pisa ta praca*), czy końcówkę -i w bierniku rzeczowników męskich odmieniających się wedle deklinacji żeńskiej (*widza tam mojigo kolegi*). Odmienności leksykalne stanowią absolutnie niewielki procent. Najczęściej więc, tak jak w przypadku pana, którego cytowałam jako pierwszego, ludzie sobie nie zdają sprawy z tego, czym jest gwara i tym samym, kiedy nią mówią. Dlatego też często słyszy się uwagi o „zniemczeniu” gwary - *alsdrukuf* wszak to często właśnie germanizmy. Nigdy więc nie dość mówić i pisać o tym, czym rzeczywiście jest gwara i co w niej jest najistotniejszego, bo wtedy będziemy wiedzieć, o co mamy dbać. Owe *alsdrukuf* to tylko skansen, otoczka. Często są piękne - sama mam sentyment do *łoszkrabin, tyglików, aszenia sie, czy maszkecynia*. Ale te słowa i słówka nie są istotą gwary. Można ich nie używać i nadal godać „po naszymu, czyli po śląsku”.

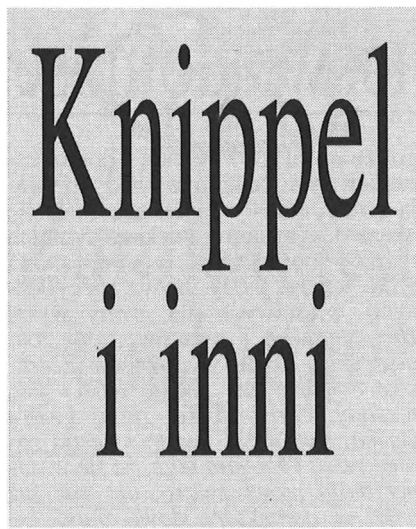
Już w pierwszych latach XIX wieku wrocławskie gazety zamieszczały ryciny z widokami górnośląskich zakładów przemysłowych, wystających jak grzyby po deszczu pośród rustykalnego pejzażu. W prezentowaniu podobnych ilustracji celował zwłaszcza tygodnik „Der Breslauerische Erzähler”, w latach 1800-1809. Wśród stałych współpracowników gazety był grafik Friedrich B. Endler, do którego ciekawszych prac o górnośląskiej tematyce należy widok huty żelaza „Hohenlohe” w Wetnowcu, wykonany w 1808 roku według rysunku wrocławskiego malarza Johanna Schmahela - jeden z najstarszych przekazów ikonograficznych z terenu obecnych Katowic. Proces „oswajania” - także artystycznego - wschodniej części Górnego Śląska znacznie przyspieszyło doprowadzenie do okręgu przemysłowego nitki kolei żelaznej. Z nowego szlaku komunikacyjnego mógł już skorzystać Ernst Wilhelm Knippel, autor serii prac graficznych, przekazujących obraz dziewiętnastowiecznego Górnego Śląska, który głęboko zapisał w pamięć przyszłych pokoleń. Knippel, podobnie jak Schummel, Endler czy Klausmann, był Dolnoślązakiem.

Urodził się w 1811 w Ściegnach koło Karpacza. Od 1827 roku kształcił się u Friedricha Augusta Tittla - pejzażyisty, portrecisty i miedziorytnika, założyciela tzw. grupy kowarskiej - pierwszej szkoły graficznej na Śląsku, funkcjonującej od końca XVIII wieku. Tittel tworzył pod wpływem znakomitego malarza niemieckiego romantyzmu Ludwiga Richtera z Dreżna. Z czasem Knippel wraz ze swym współpracownikiem J. Riedenem przejęli powołane przez Tittla wydawnictwo Schmiedeberger Verlag, które od tamtego funkcjonowało pod nazwą Steindruckerei und Lithographischer Verlag von Rieden und Knippel in Schmiedeberg. Po śmierci Riedena w 1858 r. Knippel kierował firmą samodzielnie. Zmarł w roku 1900, zaś przedsiębiorstwo przetrwało jeszcze dwadzieścia lat. Wydawnictwo specjalizowało się w pejzażowych grafikach, głównie barwnych litografiach, aczkolwiek Knippel i Rieden przyjmowali także zlecenia na portrety. Preferowana technika była stosunkowo nowa, po raz pierwszy zastosował ją bowiem Senefelder w 1796 r. Największym powodzeniem cieszyły się serie widoków atrakcyjnych celów turystycznych w Karkonoszach, uzdrowisk Kottliny Kłodzkiej oraz zakładów przemysłowych Górnego Śląska.

Ze względu na brak pełnego zestawienia trudno precyzyjnie określić rozmiary tego ostatniego cyklu, jednak na podstawie dostępnych danych ustalić można, że obaj artyści wykonali około 65 prac o podobnej tematyce, przy czym bardziej znaczący był udział Knippela. Ilustrowane obiekty artyści oglądali podczas podróży odbytych w 1849/50 roku. Nawet orientacyjna liczba grafik wskazuje na spory popyt na industrialne widoki - wydawnictwo z Kowar działało bowiem na zasadach komercyjnych, odpowiadając na zapotrzebowanie mieszczańskiego odbiorcy. Mimo wysokich cen, problemów ze zbytem litografii nie było. W przypadku górnośląskich pejzaży można nawet udowodnić, iż Knippel i Rieden działali na bezpośrednie zamówienia, rozprowadzając druki w systemie subskrypcyjnym.

Protetorką obu artystów była w owym czasie pani na Sławęcicach - księżna Hohenlohe-Oehringen. Z tego okresu datuje się także ożywiona korespondencja Knippela z górnośląskimi urzędnikami hutniczymi. Przemysłowe widoki trafiały również do domów dolnośląskich *Biedermannów*, dla których kompleksy hut stanowiły musiały osobliwość podobnie jak ponad pół wieku

wcześniej maszyna parowa dla Goethego czy Schummla. Dla samych twórców industrialny krajobraz przedstawiał jednak przede wszystkim nie tyle kuriozum co interesujący problem artystyczny. Malownicze motywy architektoniczne o urozmaiconej bryle i sylwecie wzbogacone przez komin i szyby, kłębiące się ponad nimi dymy i wielobarwne opary, języki ognia i buchający przez drzwi i okna żar składały się na całość niebywale atrakcyjną optycznie, która wręcz prosiła się o opisanie środkami plastycznymi. Nic dziwnego zatem, iż fascynacja nowoczesnością tak silnie objawiła się właśnie w dziełach malarzy, jak słynna kompozycja Williama Turnera „Deszcz, para i szybkość” z 1844 roku, czy późniejszy o trzydzieści lat wspaniały obraz walcownicy w Królewskiej Hucie pędzą Adolfa von Menzla. Wizja Knippela i Riedena odbiega od tych genialnych dzieł nie tylko artystycznym poziomem. Ich litografie charakteryzuje precyzja detalu obca owym obrazom stanowiącym popis wirtuozerii



i rzadki przykład swobody malarskiej wypowiedzi. Stopień rzeczowości opisu docenić można w pełni porównując widoki autorstwa kowarskich twórców z architektonicznymi projektami zilustrowanych obiektów lub wykonanymi przed ich dewastacją fotografiami. Szybki postęp w dziedzinie produkcji spowodował konieczność rozbioru wielu budowli jeszcze w XIX lub na początku XX wieku, tak więc litografie Knippela i Riedena nabrały, zapewne nieoczekiwane dla nich samych, wartości dokumentacyjnej, stając się nieocenionym źródłem w badaniach nad budownictwem przemysłowym poprzedniego stulecia.

Błędem byłoby jednak sprowadzanie walorów górnośląskiego cyklu tylko i wyłącznie do kronikarskiego zapisu. Mamy to bowiem do czynienia z oryginalną artystyczną kreacją, na której wyraziście piętno odcisnęła osobowość twórców.

Górnośląskie grafiki Knippela i Riedena wykazują szereg cech wspólnych, tworząc pewien z górą przyjęty schemat. Motywy architektoniczne, wśród których przeważają huty, kadrowane są z dystansu, co umożliwia ujęcie całego kompleksu, a także fragmentów otaczającego go naturalnego krajobrazu. Na pierwszym planie często pojawiają się stawy lub rzeczne rozlewiska, w których lustrze, czasem lekko pomarszczonym, przeglądamy się zabudowania. Innym razem wodę zastępują haldy, piętzące się po bokach w kulisach zatopione w kałużach mroku. Horyzont wykreślony jest stosunkowo nisko, ustępując miejsca polaciom błę-

kitnego nieba, po których tańczą kłęby szarego dymu, leniwie unoszącego się z kominów. Regule stanowi ożywienie pejzażu sztafajem. Charakterystyczna jest przy tym niewielka skala ukazanych postaci. Niepozorne figurki czasem pozostają w ścisłym treściowym związku z przedstawionymi w głębi obiektami. Krzątają się niczym mrówki uczestnicząc w procesie produkcyjnym; usypując góry odpadów przekształcają stopniowo swe naturalne otoczenie. Kiedy indziej człowiek wydaje się być elementem zupełnie innego kontekstu. U stóp fabryki podąża za plugiem, układa snopki lub kopie kartofle, jakby nie zdając sobie sprawy z zachodzących wokół niego przemian. Trudno oprzeć się wrażeniu, iż w tym barwnym świecie krucha ludzka istota, podporządkowująca sobie naturę, wykorzystująca jej bogactwa i przeobrażająca pejzaż, nie do końca panuje nad uwolnioną przez siebie demiurgiczną siłą, poruszającą potężne tryby maszyn. Nieposkromiony żywioł tryskających ogniem hut przywodzi na myśl mitologiczną kunięć Wulkana, znaną z obrazów barokowych malarzy. Przeskok skali między człowiekiem i jego dziełem jest źródłem niepokoju, któremu nie może zapobiec idylliczny nastrój połowych prac. Uczucie to potęgowane jest przez napięcie wynikające z kontrastu między rysunkową precyzją i krystaliczną czystością formy a bogactwem efektów luministycznych. Czyżby Knippel i Rieden, zaspokajając estetyczne potrzeby statecznych mieszczan, dostrzegali niebezpieczeństwo dehumanizacji, jakie niesie ze sobą postęp techniczny?

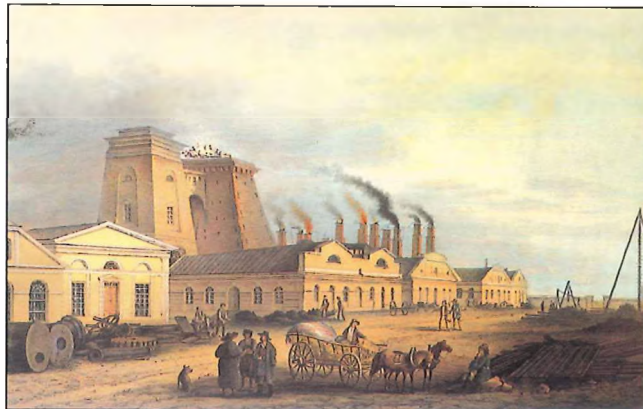
Równocześnie w przemysłowych widokach kowarskich grafików dostrzec można elementy baśniowości. Wypiętrzone bryły architektonicznych kompleksów o formach nawiązujących nierzadko do sztuki gotyckiej kojarzą się z romantycznymi wizjami średniowiecznych zamków. Magiczną aurę współtworzą spowijające budowle wielobarwne opary, przesycone bijącym z pieców żarem, tworzące dynamiczne i wizualnie atrakcyjne zjawisko.

Plastyczną wizję Knippela i Riedena warto skonfrontować z literackim opisem innego Dolnoślązaka - Antona Oskara Klausmanna - który po latach tak opisywał swe wrażenia z okresu spędzonego na Górnym Śląsku dzieciństwa: „Temu, kto dorastał pośród górnośląskich hut cynku, nie wydawał się niczym nadzwyczajnym żaden obłok dymu ani kurzu - zjawiska które dają się we znaki wrażliwym oczom i płucom nie przystosowanych. (...) Huty, w których odbywa się produkcja tego metalu [cynku - J.G.] przedstawiają sobą osobliwy, rzucający się w oczy, w najwyższym stopniu charakterystyczny i to wyłącznie dla Górnego Śląska widok. Podczas niżu w pierwszej chwili odnosi się wrażenie, że jest to jedna szara chmura otulająca wszystko wokół mroczną mgłą, a z niej od czasu do czasu strzelają błyski ognia z pieców albo zielone i żółte płomienie palących się gazów cynku. Oko obserwatora ogląda bowiem wtedy to, co odsłania się poprzez otwarte szeroko bramy i otwory okienne. (...) Całości obrazu dopełniają wysokie haldy szlaki, wielkie kopce rudy i węgla, budynki zarządu dyrekcji i familości pracowników huty”. Gdy Klausmann spisywał swe wspomnienia w roku 1911 obraz ten należał już w znacznym stopniu do przeszłości. Spojrzenie na Górny Śląsk połowy XIX wieku oczami Knippela i Riedena jest tym bardziej zatem interesującym doświadczeniem. Nie należy jednak zapominać, iż jak każda artystyczna wizja, obraz utrwalał w ich litografiach rzadzi się własnymi prawami i nie może pretendować do kompletności czy obiektywizmu.

JERZY GORZELIK



Widok Opola z roku 1850.



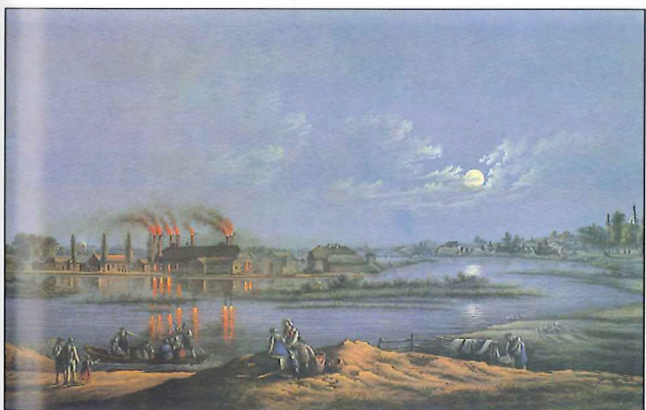
Stara Huta w Henrykowie (Sosnowiec-Niwka) ok. 1850 r.

Siemianowice. Huta Laura nocą ok. 1850 r.



Gliwice. Weduta miasta ok. 1840 r.

Litografie barwne E. W. KNIPPLA ze zbiorów Muzeum w Gliwicach



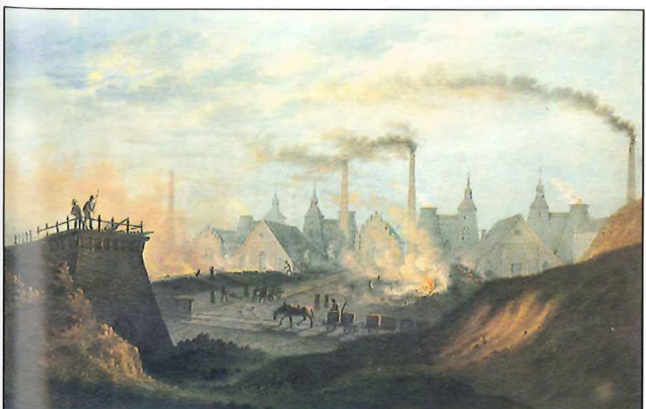
Romantyczny nokturn. Huta Zofia w Mysłowicach ok. 1845 r.

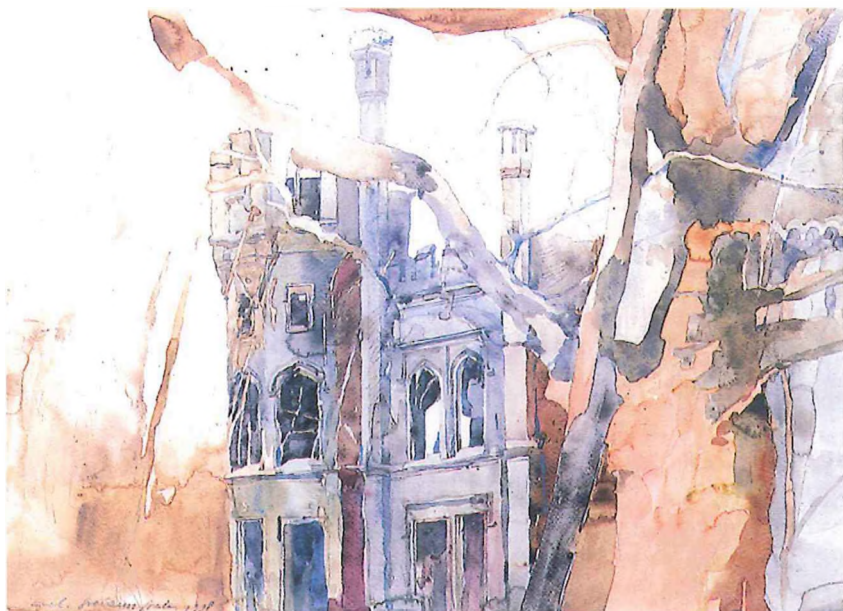


Widok Chorzowa (Królewskiej Huty) z połowy XIX w.

Widok huty „Kościuszk” (Królewskiej) w Chorzowie ok. 1840 r.

Huta Maria w Orzeszu ok. 1850 r.





Ireneusz Botor „Ruiny pałacu w Miechowicach” - akwarela 52 x 37,5 cm



Sonia Botor „Widok ul. Dworcowej z pocz. XX w.” - akwarela 29,7 x 41,5 cm



Ireneusz Botor „Dawna ulica Pocztowa” - akwarela 37,5 x 52,5 cm



Sonia Botor „Renesansowy dziedziniec zamku” - akwarela 42 x 29,5 cm



Ireneusz Botor „Zamek Tiele-Winklerów” - akwarela 38 x 52 cm

**SONIA BOTOR
IRENEUSZ BOTOR
„ŚLADY”
malarstwo i rysunek**



Sonia Botor „Pałac z 1825 r.” - akwarela 43 x 31



Sonia Botor „Ruiny Pałacu Schallgotschów” - akwarela 31 x 42,5 cm

W Chorzowie spędziłem dzieciństwo. Na zakupy chodziło się jeszcze wówczas „na halę” przy ulicy Katowickiej, pełną wszelakich dóbr, gwarą, pachnącą, kolorową. Dzisiaj w dawnej hali targowej niczym się nie targuje, raz po raz zmienia najemców i przeznaczenie. Często obok niej przechodzę. Wtedy zwalniam krok, opóźniam teraźniejszość, szukam pamięci, szukam śladów.

„Ślady”. Pod takim właśnie hasłem Muzeum Śląskie w Katowicach zorganizowało wystawę dwojga autorów pragnących coś zatrzymać — wstrzymać jakąś pamięć. Katowiczanie Sonia i Ireneusz Botorowie wystawili kilkadziesiąt akwreli oraz rysunków ołówkiem. Podtytuł



Sonia i Ireneusz Botor

ekspozycji — „Ginąca architektura miejska i pałacowa historycznego obszaru Górnego Śląska” — coś precyzuje i jednocześnie wywołuje jakiś odruch sprzeciwu. Gdzie miastom do pałaców? Gdzie pałacom do miast? „W niektóre dni biegłem boso do Pławniowic, aby z daleka popatrzeć na cudowny zamek (...) W Rudach, gdzie zamek był o wiele bardziej potężny, nie dotarłem (...) w jego pobliże. Był tam strażnik, który pytał się od razu, dokąd (...) się pójść zamierza.” To Horst Bienek i jego „Brzozy i wielkie piece”, kartki wspomnień. Wspomnień z dzieciństwa w Gliwicach, dzieciństwa gdzieś obok tych zamków, rzeczywistych i jakże magicznych. „Gdyby zapytać przeciętnego mieszkańca kraju, z czym kojarzy Górny Śląsk — mówił na wernisażu wystawy Ireneusz Botor — odpowie, że z przemysłem, zanieczyszczeniem środowiska, jeśli będzie uprzejmy, to powie, że z ciężką pracą. [Jeszcze inni] powiedzą, że Górny Śląsk to famiłoki, architektura przemysłowa i kultura plebejska (...). Stereotyp daje wygodę i bezpieczeństwo, ponieważ łatwo jest akceptowany przez ogół ludzi.”

Na rysunku Sonii Botor — pałac z XIX wieku — „Mały Wersal” — w Świerkłańcu. Na pierwszym planie, w centrum: łukowata, otwarta brama, nitka latarni, z prawej i lewej drobne kratki ogrodzenia. W głębi kłocki zabudowań, jakieś kopuły, wieża. Wszystko spokojne, wyciszone. Już nieprawdziwe. Ten pałac już nie istnieje. Rysunek zainspirowany zapewne archiwalną fotografią czy pocztówką jest jednak tyleż dokumentem, cytatem, co i jakimś osobistym świadectwem. Wybrano „ujęcie”, oświetlono „obiekt”. Wiemy jednak, że coś jest poza konturami obrazka. Powstaje w nas niepewność, wahanie. Na innym rysunku, tym razem Ireneusza Batora — fragment wzniesionego w ubiegłym stuleciu budynku Poczty w Chorzowie. „Podglądanie” pocztówki z 1929 roku. Fantazyjny, niby-gotycki fronton. W tle pełna światła kopuła, lekka, zakończona wieżyczką. Gmach ciągle pełni swe pocztowe funkcje, istnieje, żyje życiem dla gmachów publicznych zwyczajnym. A jednak między jego plastycznym wyobrażeniem, artystyczną „konkretyzacją”, a wyobrażeniem „Małego Wersalu” w Świerkłańcu nie ma zasadniczej różnicy. To, co zewnętrzne

Akwarela jako nostalgia

spotyka się z wewnętrznym. Rzecz dokumentalną dopełnia sentyment. Z realistyczną wiernością szkicowane obiekty stają się ilustracjami innej, ważniejszej wierności.

Na jednej z akwreli — Bytom lat trzydziestych. Tramwaj, postój dorożek. Bryły kamienic. Stragany jak znaczki pocztowe. I kolorowe plamki ludzi. W innym miejscu, na innej ścianie — ruiny pałacu w Miechowicach. Drobna inskrypcja u dołu akwreli wyjaśni, że skopiowano widok ruin z 1908 roku. Puste oczodoły okiennic, dogasająca ekspresja murów, płatanina z pni i konarów rosnących samopas drzew. Trzeba dopiero tej zagęszczonej przestrzeni zaaranżowanej specjalnie dla nas, oglądających wystawę, aby uzmysłowić sobie na nowo wspólnotę rynku w Bytomiu i ruin zamku w Miechowicach, ich bliskość na mapach. I na planie pamięci.

Dawna rezydencja Mieroszewskich w Siemianowicach od 1718 roku była własnością Donnesmarcków. Nieruchomość przyjęto nazywać pałacem, ale budowla to w istocie prosta, mało wyszukana. Jedyne elementy ozdobne to gzymsy i ryzality. Rysunek Ireneusza Batora odda ascetyczny spokój pałacu w Siemianowicach. Na sennym dziedzińcu — kilka płam światła. Milczenie murów. A tyle by mogły powiedzieć. O Mieroszewskich, o Donnesmarckach. I o alianckich żołnierzach, jeńcach, dla których w czasie ostatniej wojny zamieniono pałac w obóz czy więzienie...

Jedna z akwreli Ireneusza Batora przypomni wybudowaną w latach pięćdziesiątych XIX wieku, u zbiegu ulic Warszawskiej i Bankowej w Katowicach, klasycystyczną willę Grundmanna. Wysokie walory architektoniczne (zwłaszcza niesymetryczna kompozycja) czyniły z niej jedno z najciekawszych dzieł kultury materialnej, jakie

powstały w ubiegłym stuleciu w Katowicach. Pozostał po niej jedynie pusty plac. Na początku lat siedemdziesiątych przestała pasować do „nowoczesnych” planów. Bezmyślna decyzja jakiegoś urzędnika. Lecz też — przynajmniej — zwyczajny los cegieł, kamieni. I los ludzi. I jakaś ironia. Któż pamięta, że właściciel willi — Friedrich Wilhelm Grundmann — był inicjatorem pierwszego (realizowanego po 1865 roku) planu ukształtowania przestrzennego Katowic? Główną oś planu stanowiły ulice obecnie 3 Maja i Warszawska, wraz z dwoma placami — dzisiejszym Wolności i Rynkiem. Na akwareli zatrzymującej willę Grundmanna widać zbudowany w latach 1856—58 neoromański kościół ewangelicki. Drugą świątynią chrześcijańską w Katowicach był wzniesiony w 1870 roku rzymskokatolicki kościół Najświętszej Marii Panny, zwany też Mariackim. Jego neogotyckie, strzeliste piękno pojawiło się na rysunkach i akwrelach. Każdy detal będzie przedstawiony wiarygodnie. Oglądamy jednak nie tyle coś rzeczywistego, co notatkę na krawędzi snu, mitu, baśni.

Szkicowanie śląskiego pejzażu rozpoczęli Botorowie w 1990 roku w Nysie. To urzekające gotykami, renesansowymi i barokowymi śladami miasto zainspirowało ich do — jak sami mówią — „podróży po całym obszarze [Śląska], poszukiwań, analiz.” Są rysunki i akwarele dokumentujące zamkową, pałacową i sakralną architekturę m.in. Opola, Brzegu, Głogówka, Lubiąża, Raciborza, Otmuchowa, Gliwic, Mikołowa, Tychów, Cieszyna, Bielska — Białej. Jest wiele wędut miejskich, są przyczynki do studiów powszechnie znanych zabytków (np. zamku myśliwskiego w Promnicach czy gotyckiej kaplicy zamku Piastów w Raciborzu). Nie brak jednak i prac przywracających zbiorowej pamięci obiekty już właściwie zapomniane (np. bardzo osobisty cykl rysunków i akwarel ruin pałacu von Schaffgotschów w Kopcach k. Grodkowa). Są miejsca oglądane współcześnie, są „portrety” budowli nie istniejących czy zespołów miejskich w ich kształcie nie do odtworzenia.

Wystawa Botorów mimowolnie dowiodła, że zwłaszcza zamki i zespoły pałacowe — ogrodowe mogłyby stać się ogromnym walorem turystycznym Śląska. Autorska próba „inwentaryzacji” przeszłości stała się nieoczekiwaną szansą dla przyszłości. Dobrze zatem, że ową szansę umieli dostrzec sponsorzy, którzy wsparli wystawę — Urząd Miejski w Katowicach, Bank Przemysłowy w Łodzi — Oddział w Katowicach i Klub Kapitału Śląskiego. Dzięki pomocy tego ostatniego wydano interesujący katalog. Wcale udanie zatem wypromowano pewną, ważną nadzieję: że są ślady, których zacierać nie wolno.

PIOTR ZACZKOWSKI

Sonia i Ireneusz Botorowie: *Ginąca architektura miejska i pałacowa historycznego obszaru Górnego Śląska*. Muzeum Śląskie w Katowicach. Maj — czerwiec 1999.

16. Odwaga

— **Mówi się: Do odważnych świat należy, los sprzyja śmiałym.** Obserwując jednak tyle postaw koniunkturalnych czy przypadkiem nie są to slogany? Często brakuje nam odwagi bo mamy przed sobą rzeczy trudne do pokonania. A może tylko wydają się nam trudne, bo brakuje nam odwagi...

— Mnie zawsze fascynuje odwaga myślenia, bardziej niż odwaga takiego czy innego czynu, do którego może dojść pod wpływem emocji, rozmaitych uczuć. Żeby zrozumieć istotę odwagi, trzeba by przyręczyć się naszym codziennym lękom. Bo odwaga zaczyna się od tego, że człowiek potrafi patrzeć w oczy swojemu własnemu lękowi. Jest ich w nas niemało, wpływają z mniej lub z bardziej irracjonalnych zakazów.

— **Osaczenie, jednym słowem...**

— No, pani Ewo. Czego nas uczą w szkole? Przede wszystkim lęków. Taki jasio, który przychodzi do szkoły w zasadzie niczego się nie boi. A potem każą mu się bać dwóji, nauczyciela, dyrektora. Niektórym pedagogom wydaje się, że im więcej strachów napuszczają w tę głębię jaką jest człowiek, tym bardziej go wychowują.

— **Czy można być odważnym tylko w obliczu nieszczęścia? Bo któżby znał Hektora, gdyby Troja była szczęśliwa...**

— Ja myślę, że jednak odwaga sprawdza się w jakimś niebezpieczeństwie. Istota, dla której nie ma niebezpieczeństwa jest co prawda odważna, ale nie wie o tym, bo czymś innym jest być odważnym, a czymś innym wiedzieć, że się jest odważnym. Myślę, że aby wiedzieć, trzeba stanąć oko w oko z jakimś niebezpieczeństwem.

W filozofii jest takie ciekawe pojęcie „męstwo bycia”. A więc samo to, że człowiek decyduje się być na tym świecie wyraża męstwo. Jakby to męstwo bycia leża-

ło u podstaw wszelkich innych męstw — męstwa na ulicy, w szkole, w zabawie. Męstwo bycia, czyli przyjmowanie istnienia na barki własnej odpowiedzialności. Męstwo bycia znaczy też stwierdzenie, że za moje istnienie, za to kim jestem, przede wszystkim ja sam ponoszę odpowiedzialność. Jest to jakby fundament wszystkiego.

— **Czy przypadkiem to męstwo o którym ksiądz profesor powiedział, nie wynika, w jakimś sensie, z tchórzostwa. Pozostajemy na tym padole płaczu, bo nie mamy odwagi odejść z niego...**

— To też jest problem. Ale wtedy, zawsze wtedy, nie mamy do czynienia z męstwem bycia, ile z szukaniem czegoś, a raczej kogoś, na którym można by się oprzeć. Tak jak fasola potrzebuje tyszki, aby się rozwijać, tak pozorne męstwo bycia naprawdę wygląda. Uciekam od siebie, żyję życiem tego, kto we mnie podtrzyma ochotę życia, radość życia, miłość życia, przyjemność życia. Bardzo często mamy do czynienia z takimi przypadkami.

— **Słowem ludzie bluszcze, istniejący dzięki silniejszemu...**

— Kiedy tyczka się złamie, bluszcz pada. I wtedy można powiedzieć, że z tchórzostwa nie popełni samobójstwa, ale w gruncie rzeczy umiera jako samodzielna jednostka, jako osoba. To jest fundamentalna sprawa, nadzieja bycia, męstwo bycia.

— **Do czego dzisiaj powinniśmy być odważni?**

— Ja może, pani Ewo jestem trochę skażony swoim fachim, bo jestem raczej zdania, że dzisiaj tchórzymy na poziomie myślenia, to znaczy uciekamy ze sfery myślenia. Mamy takie kryjówki, zrobione z emocji, czasem jest to emocja zrobiona z pogardy w stosunku do innego człowieka. Zamiast pomyśleć kim ten drugi człowiek jest, kim ja jestem, to uciekam w pogardę. Bardzo często taką kryjówką jest także, dla wielu ludzi, religia. Ja ci przeba-

czę, ale czy ci w niebie przebaczą?... I wtedy religia staje się narzędziem bicia drugiego człowieka. Proszę zwrócić uwagę na fenomen polityki. Ilu polityków jest takich, którzy występują w imieniu czegoś albo kogoś. Bardzo często występują w imieniu samej Matki Boskiej. To jest niezwykle zręczna kryjówka, bo wtedy, kiedy go atakują, to przecież nie jego, ale Matkę Boską. I znowu tutaj okazuje się, że odwaga myślenia jest rzeczą niesłychanie potrzebną.

— **Nie każdego stać na odwagę. Pamiętam jak w grudniu 81 roku ktoś przyznał, że wycofuje się z określonego zadania, bo brakuje mu odwagi. Miał odwagę publicznie się przyznać do braku odwagi...**

— To sprawa niezwykle delikatna. Objaśniam tchórzostwa było to, że niektórzy ludzie swoje zachowanie w tym dniu uważali za wzorowe i narzucali je innym. Ten człowiek, o którym pani mówi uznał, że nastąpił kres jego możliwości. A ktoś jemu chciał własny wzorzec narzucić. Ja też pamiętam ten grudniowy dzień. Musiałem stanąć na ambonie kościoła św. Anny w Krakowie i coś tym ludziom powiedzieć. Oczywiście nie uważałem, że moim zadaniem jest pobudzanie nastrojów. Ponieważ nie powiedziałem nic dramatycznego, pełnego boju kazania, to na domu, w którym wtedy mieszkałem, wysmarowano napis, że Tischner uczy ludzi tchórzostwa. Pani Ewo, może czasem właśnie tchórzostwo jest najwyższym aktem odwagi. Często to, co nazywamy tchórzostwem, rejteradą u Arystotelesa byłoby cennym, złotym środkiem.

Nie wiem, czy myśmy dość jasno powiedzieli co to znaczy odwaga myślenia. Na tym właśnie rzecz polega, żeby do końca nie mówić a zachęcić słuchaczy do odwagi w poszukiwaniu odwagi w myśleniu.

17. Wiara

— **Mamy podział na ludzi wierzących i niewierzących, który od początku wydaje się być wątpliwy. Bo czyż tak do końca można o sobie powiedzieć, że wierzę, czyż tak do końca można twierdzić, że nie ma we mnie wiary? Że ktoś jest wierzący bądź nie? I tyle w związku z tym pytań... Dlaczego wierzę, po co mi wiara?... Dlaczego nie wierzę?... Czy jestem taki silny, taki pewny siebie, że bez tego poradzę sobie w życiu, odnajdę jego sens?... To są wielkie znaki zapytania nie tylko, jak sądzę, natury religijnej ale też filozoficznej...**

— W sprawie wiary jestem raczej uczniem, niż nauczycielem. Nawet jako ksiądz, pracując jeszcze dawniej na parafii, teraz w duszpasterstwie, w pewnym

momencie uświadomiłem sobie, że dając ludziom coś z siebie, dawałem im przede wszystkim nadzieję, natomiast byłem analfabetą jeżeli chodzi o miłość i analfabetą jeżeli chodzi o wiarę.

Tego gadania na temat wiary było bardzo dużo, ale myśląc nad przykładami tego co to jest wiara, nasuwają mi się dwa obrazy: Pierwszy z dawnych lat, kiedy chodziłem z komunią świętą do chorej na raka kości. Wtedy nie było jeszcze środków uśmierzających ból. Chora bardzo cierpiała. Dwie rzeczy były uderzające — niesłychana czystość i co aż trudno przez gębę przechodzi, jakieś szczęście pomimo bólu. Gdybym chciał wskazać na termometr wiary to wskazałbym na ten przykład. Drugi obraz: Alkoholik, ciężka, wy-

daje się nieuleczalna choroba. W pewnym momencie ten góral, twardy facet, który w życiu łyzy nie uronił, ślubował Matce Boskiej, że nie będzie pił. Przełamał się, wyszedł z tego.

Gdybym miał powiedzieć czym jest wiara, to bym to tak ujął. Jest to sposób albo siła, która umożliwia człowiekowi jakieś jego zmartwychwstanie. Znaczący się otwiera się na Pana Boga, Matkę Bożą, rozmawia z nimi i potem coś w nim zmartwychwstaje. Wiara jest łaską. I tutaj oddzieliłbym wiarę od światopoglądu. O światopoglądzie na ogół mówi się wiele, ale temat wiary pomija się milczeniem, jest ona jakąś niesłychaną siłą w środku człowieka.

— Nie wiem czy to jest stosowne pytanie, ale czy dla księdza profesora jest cenniejszy ten, który wyssał wiarę z mlekiem matki, czy ten który był sceptykiem, zmagał się ze sobą, aż w końcu uwierzył?

— Ja bym powiedział, że tutaj Libert ma rację, kiedy pisze: „Uczyniwszy na wieki wybór w każdej chwili wybierać muszę”. Coś, jakiś świat się dziedziczy. Ale istota sprawy polega na tym, że poza dziedziczeniem w wiarę wchodzi się samemu, wtedy jest mocniejsza w przeciwieństwie do wiary dziedziczonej, która jest nastawiona na mnóstwo trudności. Największą trudnością dla wiary jest świadomość nieszczęścia. W jego obliczu człowiek niewierzący ma problem — jest Bóg czy go nie ma, a wierzący pyta o to, w czym zawinił, że Pan Bóg o nim zapomniał. Te egzystencjalne pytania łączą wierzących z niewierzącymi, natomiast jest jakaś forma weryfikacji wiary. Wkraczając do podanych przeze mnie przykładów, można zrozumieć i alkoholika, który dzięki odniesieniu się do Matki Bożej wygrał walkę ze sobą, czy nieuleczalnie chorą, która czując się blisko Boga, wygrała walkę ze złem.

— Ale to nie są częste przypadki...

— Tu bym nie był taki pewny. Byłbym skłonny przyjąć takie przypuszczenie, że każdy człowiek, albo przez to przeszedł, albo przechodzi, albo będzie przechodził, że akurat ta próba jest taka, która wcześniej czy później przed człowiekiem stanie. Pan Bóg nie daje nikomu więcej wiary niż mu trzeba. Nie mniej ani nie więcej. Daje człowiekowi tyle wiary, że zdobędzie się na przeskoczenie samego siebie i na doznane zło odpowie jakimś dobrem.

— Czy prolegom do wiary nie powinno być silne przekonanie do czegoś?

— To nie jest to. Ja bym pani Ewo powiedział tak: Ja się boję pewności w wierze. Pewność jest często wrogiem prawdy. Nie ma nic gorszego w religii jak człowiek, który wszystko wie. Naprawdę to jest tragedia, początek fanatyzmu religijnego. Człowiek, przed którym w kwestii wiary nie ma żadnych tajemnic, wszystko wie — kto i co jest przyczyną zła, np. że powódz to kara Boża za grzechy, potrafi nawet wymienić za jakie przewinienia woda zatopiła dobytek. I to jest prawdziwe nieszczęście. Tymczasem plany Boże są inne niż ty człowieku to sobie wyobraź. Gdyby była pewność nie byłoby próby, tego zmagania się ze sobą.

— Panuje przekonanie, że wiara jest dla słabszych, którzy muszą mieć jakąś podporę, drogowskaz. Ale zdarzyło mi się rozmawiać z wielkim artystą, muzykiem o światowej sławie. Powiedział mi wierzę, bo potrzebuję tego „coś”.

— Ja bym ujął tę sprawę poprzez słowo „służba”, bo jego dzieło artystyczne jest rodzajem służby. Artysta, który jest panem muzyki i poprzez nią panuje nad ludźmi, ten artysta odkrywa siebie jako służącego, jako sługę słów. To jest także w Ewangelii, bo sam Chrystus traktuje swoją misję jako służbę.

— Spotkałam się też z takimi opiniami uczonych, którzy twierdzili, że wiedza, racjonalizm, uniemożliwia bycie człowiekiem religijnym. Einstein natomiast powiedział: „Nauka bez wiary nie jest nic warta”...

— Rzeczywiście praca nad religijnością to nie jest to samo co praca nad wiarą. Kiedy my uczymy dzieci religijnego zachowania się w kościele, religijnego przeżywania tygodnia, czy dnia, to oczywiście jest to potrzebne i ważne ale to jest tylko religijność. Natomiast w wierze czasem trzeba odrzucić religijność, aby pokazać istotę



Foto: Janusz Kokot (TVP Katowice)

wiary. Wracam do przykładu chorej. Czy to była religijność, w pewnym sensie tak, bo przyjmowała komunie, był ołtarzyk, świece, ale jak to się miało do istoty sprawy, która się działała poza tym wszystkim. Ludzie często się wysilają, żeby budować religijność, a to jest domek z kart, wystarczy dmuchnięcie a się przewróci. Istota rzeczy tkwi w słowie twórczość, wewnętrzna twórczość i w tej sprawie byłem i jestem uczniem, jedynie może jako ksiądz mam pewien przywilej obserwowania momentów tej twórczości w życiu człowieka.

— Toczy się spór o umieszczanie ocen z religii na świadectwach. Przeciwnicy argumentują, że wiara jest sprawą osobistą i nie trzeba jej manifestować na świadectwach, zwolennicy ocen komentują takie stanowisko jako spychanie religii w sferę prywatności człowieka...

— Bardzo wieloznaczne są te pojęcia prywatne, nieprywatne. Są dwa niebezpieczeństwa nie tylko w religii ale w przypadku każdego innego przekonania. Jedno niebezpieczeństwo polega na tym, że człowiek jest kimś innym od wewnątrz i kimś innym na zewnątrz. Np. będzie publicznie demonstrował swoją religijność, chodził do kościoła, nosił chorągwie, uczestniczył w pielgrzymkach, a kiedy wróci do domu — do swojej prywatności będzie nieznosny dla rodziny, uciążliwy, skąpy, kłótlivy, nie do wytrzymania. Jaki mamy tutaj problem: Nie ma wiary w sferze prywatnej, jest wyłącznie w sferze publicznej. Dzisiaj bardzo często obserwujemy kandydatów na posłów, z ugrupowań, które mienia się chrześcijańskie, jak pokazują się w towarzystwie biskupów, chodzą na procesje, kiedy przemawiają w jakiejś sali, zawsze w tle jest krzyż. Jest to demonstracja wiary publicznej, ale gdyby w sferze prywatnej ta wiara była też taka mocna, to byłoby może mniej wzywania imienia Bożego nadaremno. I wtedy chciałoby się więcej prywatności w wierze, większego skupienia do wewnątrz, osobistego stosunku i konsekwencji. Jest oczywiście i drugie niebezpieczeństwo, że dąży się do tego aby wiary w żaden sposób nie okazywać, żeby ją wyciszyć, znaki wiary wymazać z przestrzeni publicznej. Czasem dotyczy to wszelkiej wiary, czasem dotyczy to innej wiary niż ta, którą większość wyznaje. Muszę powiedzieć, że pod tym względem katolicy także nie są bezgrzeszni. Były takie opinie teologów a nawet praktyki rządów katolickich, że co prawda nie prześladowano protestantów, ale nie wolno im było bu-

dować kościołów z wież lub niższą od tych, które miały kościoły katolickie. Tak więc można powiedzieć, że próby wepchnięcia innego poglądu w sferę niepubliczną nie są wynalazkiem komunistów, to praktyki znane w Polsce od dawna i stąd bacznie na niebezpieczeństwa płynące z tzw. publiczności czy prywatności wiary.

Sprawa wystawiania ocen z religii na świadectwach wzbudziła emocje, ale jakoś nikt nie zadaje sobie trudu, aby problem zgłębić do samego końca. Otóż bp. Pierniek w wyrażonej opinii swojej na ten temat wypowiedział jedno zdanie, które w moim mniemaniu jest bardzo słuszne. Mianowicie decydujący głos za umieszczeniem ocen z religii jest oparty na prawie rodziców. I to jest argument przekonujący. Znaczą szkoła nie może wychowywać wbrew idei, woli rodziców.

— Ale ksiądz profesor opisał kiedyś przypadek dyskryminowania przez katechetę dziecka, które zgodnie z wolą rodziców, nie uczęszczało na religię.

— To się zdarza ale może zostawmy ten problem na boku, bo to jest szczegół, o który zahaczają pryncypia. Czy szkoła, w ogóle szkolnictwo publiczne mają być państwowe czy niepaństwowe. W naszej mentalności zakorzeniło się przyzwyczajenie, że państwo ma decydować o programie, ilości dzieci w klasach, długości nauki. Tymczasem to nie jest prawda. Szkoła to taka instytucja, która jest publiczną ale nie państwową. W Polsce w okresie transformacji granica między państwowym a publicznym jest bardzo płynna stąd, co jakiś czas wybuchają podobne spory. Czym jest dla chrześcijanina państwo? Jest to twór ludzki, może trochę demoniczny, twór wielce niedoskonały, wielce nawet podejrzan. A czym jest Kościół? Kościół mistyczne ciało Jezusa, miejsce objawienia Bożego. I tu mam problem i znak zapytania. Jak to się dzieje, że katolik potrzebuje ze strony tak ulomnej organizacji jak państwo potwierdzenia, że jest wierzący i chodził na religię. To jest tak jakby papuga miała oceniać śpiew skowronka. Mamy tu przewrót w dziedzinie wartości, punkt widzenia na władzę, byle władza potwierdziła... Z jednej strony nie chcemy tego państwa, krytykujemy je, wściekamy się na nie jak ono się pakuje tam, gdzie nie trzeba a tu nagle ma ono potwierdzać co się dzieje w naszym sumieniu. Tu widzę jakiś głęboki paradoks!

Rozmawiała:
EWELINA PUCZEK

Przez dziesięć lat — a tyle liczą już sobie Gliwickie Spotkania Teatralne — kultura polska zmieniła się radykalnie. Od repertuaru scenicznego poczynając, na sposobach finansowania kończąc. Z drugiej jednak strony, majowy maraton teatralny zakorzenił się w tradycji miasta na tyle mocno, że mieszkańcy Gliwic wprost nie wyobrażają sobie jego ograniczenia, o likwidacji nie wspominając.

Przekornie (a może nie?) rzec można, że Gliwickie Spotkania Teatralne były u swoich narodzin przedsięwzięciem pionierskim; tak organizacyjnym, jak i ekonomicznym. Od początku przegląd przygotowywany był siłami własnymi, czyli przy wsparciu władz samorządowych, przez grupę zapaleńców-specjalistów, którzy brali na siebie całą odpowiedzialność. Za potencjalny sukces, ale i — odpukać, wpadki były nieliczne — klęskę. Ten sztab, najpierw skupiony pod szyldem Miejskiego Ośrodka Kultury, potem — teatru Muzycznego w Gliwicach, kierowany był przez wiele lat przez Ewę Strzelczyk. To ona wymyśliła imprezę, a potem potrafiła zdobyć pieniądze i zadbać o taką reklamę GST w Polsce, że mało który zespół odmawiał złożenia wizyty w Gliwicach. Gdy pani dyrektor Strzelczyk zginęła tragicznie, zimą ubiegłego roku, przez moment zdawało się, że to koniec. Ale przyjaciele i współpracownicy Ewy postanowili kontynuować jej dzieło.

☆☆☆

W nowych realiach przygotowywanie tak potężnej imprezy staje się coraz trudniejsze. Z trzech, przynajmniej, powodów. Po pierwsze kurczą się dotacje na kulturę i to na każdym szczeblu, a w walce o sponsorów przybywa konkurentów. Finanse Gliwickich



„Kopciuszek czyli magia kola” Krzysztofa Raua z bielskiej „Baniałuki”.
Foto: ARC

Tak trzymać!



Krystyna Janda w „Maria Callas — lekcja śpiewu”.

Foto: ARC

Spotkań Teatralnych zawsze podlegały żelaznej dyscyplinie, zawsze było ich bowiem mało, ale z roku na rok wyrwy stają się bardziej widoczne. Pracownicy Impresariatu Teatru Muzycznego — głównego organizatora przeglądu — liczą karnety i bilety, dosłownie co do sztuki; tak, by ani jedno miejsce się nie zmarnowało. Ale oszczędzają także w każdy inny, możliwy sposób — własnymi siłami wspomagają montaż techniczny przyjeżdżających zespołów, szukają najtańszych miejsc zakwaterowania, a jeśli trzeba (najczęściej — trzeba) to sprzątają, myją i ustawiają krzesła.

Drugim ograniczeniem, w budowaniu repertuaru GST, stają się warunki i miejsca prezentacji. Zaplecze sceny w Teatrze Muzycznym zdumiewa nawet tych, którzy już sporo widzieli — praktycznie brak tu jednej kulisy (!), niemożliwe są natych-

miastowe i liczne zmiany dekoracji, zdarzają się kłopoty z precyzyjnym oświetleniem etc. Ruiny Teatru Miejskiego — choć urokliwe i pełne magii — właściwie w ogóle zaplecza nie posiadają, a wspólnym nastrojem nie każda inscenizacja może się nasycić. Prezentowane tu mogą być tylko przedstawienia, bazujące na najprostszej technice, choć trzeba przyznać, że większość realizatorów gotowa jest nawet „przykroić” swoje spektakle, byle mogły wybrzmieć w naturalnej scenerii wypalonego wnętrza... Czasem dla potrzeb GST adaptowane są przypadkowe sale i pomieszczenia, ale coraz rzadziej można z nich korzystać, polskie teatry odchodzą już bowiem od zgrzebnych i prostych form wypowiadzi.

Z tych właśnie powodów do Gliwic nie można było w tym roku sprowadzić wielu, oczekiwanych przez publiczność i ambitnych organizatorów, przedstawień. Nijak i nigdzie nie dało się, na przykład, zmieścić któregoś ze spektakli Grzegorza Jarzyny, który namiętnie „wymyśla” sceniczne uduśnienienia; bardzo efektowne, ale i piekielnie trudne do wykonania na obcej scenie. We wstępnych bojach padło także kilka inscenizacji możliwych do przeniesienia, ale tak drogich, że nie do kupienia.

Trzecią przeszkodą, niepokojącą pracowników Impresariatu TM, stała się... ruchliwość polskich zespołów teatralnych, które nie trzymają się już kurczowo macierzystych siedzib, lecz ochoczo ruszają w Polskę i przyjmują każde (dobrze zapłacone) zaproszenie. Z tej to przyczyny, ślasy teatromani obejrzeli w kilku ostatnich latach wiele znaczących lub okrzykniętych znaczącymi, realizacji scenicznych. Organizatorzy Gliwickich Spotkań Teatralnych oba-

wiali się, że poniosą klęskę frekwencyjną zapraszając takie spektakle na tegoroczny przegląd, ale zaryzykowali. I to była jedna z najmilszych niespodzianek, albowiem — używając marketingowej metafory — rynek okazał się tak chłonny, że te właśnie propozycje sprzedawały się od ręki. Gliwiczanie nie ukrywali faktu, iż wbrew pozorom, wyprawa na importowane przedstawienie do Katowic czy Chorzowa, to duży kłopot, czekali zatem, aż „Maria Callas. Lekcja Śpiewu” przyjedzie do ich miasta. A gdy przyjechała, przyjęli Krystynę Jandę i jej popis z prawdziwym entuzjazmem.

☆☆☆

Gdyby wystawiać cenzurkę repertuarowi tegorocznych Gliwickich Spotkań Teatralnych, to powiedziałabym, że to „górna granica stanów średnich”. Obserwuję tę imprezę od wielu lat i mogę, z całą odpowiedzialnością powiedzieć, że zdarzały się bardziej udane edycje. Z drugiej jednak strony, świadoma wszystkich ograniczeń (o których wyżej) nie mogę nie wyrazić podziwu dla pasji i wysiłku ludzi, którzy bardzo skromnymi siłami i środkami całość przygotowali. Nie zmieniła się podstawowa zasada przeglądu — możliwie największa różnorodność oferty. Niepokoją mnie, wyrażane tu i ówdzie, przymiarki do zmiany formuły festiwalu, jednorodność propozycji i zabić może bowiem jego atrakcyjność. Zmienność klimatów i nastrojów, przemieszanie wielkich wzruszeń i zwykłej zabawy, a przede wszystkim różne formy wypowiedzi artystycznej, składają się przecież na niepowtarzalność tych ponad dwóch tygodni, w czasie których wytrwali (a jest ich zaskakująco wielu) spędzają w teatrze każdy wieczór!

W tym roku o kilku przedstawieniach dyskutowano w Gliwicach wyjątkowo namiętnie. Dwa spotkały się z powszechną akceptacją, trzecie podzieliło widzów, jak stalową liną, na wrogie obozy. Owe chwalone dają do myślenia, obydwa dotyczą bowiem najgłębiej pojmowanej tajemnicy ludzkiej egzystencji. Przypomniany „na bis”, przy okazji jubileuszu dziesięciolecia „Dr Faustus” Christophera Ma-

rlowe’a, to niemal równolatek GST. Przywołany ponownie do życia przez swego twórcę — Andrzeja Dziuka i jego aktorów z zakopiańskiego Teatru im. St. I. Witkiewicza, znów wstrząsnął widownią. Zagrany w w misteryjnej aurze, której sprzyjała sceneria Ruin Teatru Miejskiego, zachwycił nie tylko mądrością przesłania, ale przede wszystkim napięciem emocjonalnym, które potrafili wykrzesać z siebie wykonawcy. Trudny, ale przejmujący spektakl dowiódł, że prawdziwej sztuki czas się nie ima. Także w Ruinach, choć w zupełnie innym klimacie, zaprezentował swój autorski spektakl Leszek Mądzik. Jego „Kir” — afabularny, wyciszony, bazujący wyłącznie na grze z wyobraźnią i samotnością widza, zagubionego w czarnej czeluści przestrzeni — był jakby negatywem formy Dziuka, tak samo jednak silnym i fascynującym.

Spektaklem, który wręcz zantagonizował gliwicką publiczność okazały się natomiast „Słowa Boże” Ramona del Valle-Inclana, zrealizowane przez Piotra Tomaszuka w warszawskim Teatrze Rozmaitości. Tak dramat, jak i inscenizacja, to materia niepokorna, wymykająca się tradycyjnym schematom fabularnym i scenicznym. Dziejąca się na hiszpańskiej prowincji opowieść o namiętności i opętaniu (symbolizowanym przez postać diabła), to ciąg ekspresyjnych, czasem świadomie wulgarnych, ale i przejmująco głębokich, obrazów, które obnażają najtajniejsze ludzkie instynkty. Przedstawienie imponujące siłą kreacji aktorskich — przede wszystkim Joanny Kasperek i niespokojną, pulsującą temperaturą scenicznych działań, drażniło wielu widzów odwagą obyczajową. Dla mnie, mimo usterek warsztatowych, było jednym z najlepszych na tegorocznym przeglądzie.

W tej grupie, powiedzmy: tematycznie-emocjonalnej, mieścił się także spektakl pt. „BAM” Teatru Studio z Warszawy. Surrealistyczne teksty rosyjskiej grupy „Oberiu” stają się w Polsce coraz popularniejszym materiałem dla teatralnych eksperymentów, ale większość realizatorów wybiera

z nich przede wszystkim tkanę groteski i absurdu. W pracy Oskarasa Korszunovasa ujawniła się natomiast cała groza, leżąca pod podszewką niezwykle żartów i skojarzeń, a wynikająca z poczucia zagrożenia totalitaryzmem. Zimne (dosłownie — poprzez scenografię i światła) przedstawienie Korszunovasa, uwiarygodnione przez kreację Marii Peszek w roli Elżbiety Bam, odstąpiło kolejny wymiar twórczości artystów, przeczuwających swoją zagładę.

☆☆☆

Gliwickie Spotkania Teatralne nie są konkursem ani festiwalem o określonym repertuarze, stąd też spokojnie egzystować mogły obok siebie szalone spektakle uliczne oraz inscenizacje tradycyjne, by nie powiedzieć — solidne. Niejako pośrodku plasował się, na przykład, zabawny „Śpiew nocy letniej” Teatru Montownia, w reżyserii Macieja Wojtyszki, który zabrał w zgrabną całość Szekspirowskie teksty o miłości, pochodzące z różnych sztuk czy „krótki kurs piosenki aktorskiej” Białostockiego Teatru Lalek, wg scenariusza i w reżyserii Wojciecha Szlachowskiego.

To, oczywiście, tylko wybrane propozycje tegorocznych Gliwickich Spotkań Teatralnych, nie idzie mi jednak o drobne sprawozdanie, lecz raczej o oddanie klimatu imprezy, którą szczerze lubię i cenię. Mam nadzieję, że tak zwane „życie” (czytaj: trudności obiektywne) nie spacyfikują sympatycznego Dziesięciolatka i nie zniechęcą jego organizatorów. Byłaby to strata ewidentna, zważywszy na prawdziwą przyjaźń, wiążącą gliwicką publiczność z wcale sporą grupą twórców. W momencie, gdy atomizuje się życie społeczne, a instytucje kulturalne padają pod naciskiem ekonomii, takie spotkania artystów i odbiorców są po prostu trudne do przecenienia. I nie jest to wcale laurka dla jubilata, tylko głos zatrważonego teatromana, który nigdy nie planuje urlopowego wyjazdu w maju...

HENRYKA WACH-MALICKA

Bogdan Tosza, dyrektor Teatru Śląskiego, już od dawna myślał o przygotowaniu tej inscenizacji. Jeszcze trzy lata temu mógł się ludzić, że zdąży z nią na podwójny jubileusz katowickiej teatru: 90-lecie istnienia i 75-lecie funkcjonowania w tym miejscu Sceny Polskiej. Plany pokrzyżował generalny remont zabytkowego budynku, który przedłużył się o wiele miesięcy i wyłączył najważniejszą część teatru z jakichkolwiek artystycznych przedsięwzięć. Dopiero teraz udało się wrócić do wcześniejszej koncepcji, która zwróciła uwagę i na nazwisko patrona teatru, i na ambicje dyrektora czy zespołu.

Wybór padł na „Akropolis”, mniej znany dramat autora „Wesela”, a w każdym razie bardzo rzadko wystawiany, właściwie w ogóle nieobecny we współczesnym polskim teatrze. Już sam ten fakt ujawnił wątpliwości podstawowe i podstawowe pytania o sens wystawienia tego dramatu. Tosza, jakby świadomy tych obiekcji, w programie teatralnym sam niejako uzasadnił ten wielce ryzykowny wybór: „To dramat o świadomości sztuki — stwierdził w wywiadzie zamieszczonym w programie teatralnym, towarzyszącemu temu przedstawieniu — o pamięci sztuki, o tym, w jaki sposób w kończącym się XX wieku artysta mojego obszaru kulturowego, cywilizacyjnego jest wyznaczony przez dwa kręgi — krąg kultury antycznej i krąg kultury chrześcijańskiej. «Akropolis» to wspólna deklaracja naszej obecności w Europie”.

Niemniej w innej części tego wywiadu reżyser ujawnił, że „całościowa realizacja jest już dziś niemożliwa”. Bo rzeczywiście — konstrukcja tego dramatu, wielość i różnorodność wątków, odmienny charakter kolejnych aktów, to nie lada dylematy, jakie od razu stają przed każdym reżyserem, który pomyśli o wystawieniu tego dramatu. Tosza inteligentnie i z literackim smakiem opracował tekst dramaturgicznie, przycinając go do swoich potrzeb inscenizacyjnych i z mozołem szukając jakichś łączników między postaciami, wyłaniającymi się z co najmniej dwóch różnych światów — biblijnego i antycznego. Widać, miał te kwestie głęboko przemyślane, więc nie sposób polemizować nawet z tą formułą interpretacyjną, pozwalającą aktorom grać po kilka, ściśle określonych i nieprzypadkowo dobranych ról, choć zapewne i czynnik ekonomiczny miał tu swoje znaczenie. Możemy go jednak pominąć, bo



Scena z katowickiego „Akropolis”

Na koturnach

TEATR

nie on zaważył na kierunku, w których poszła ta inscenizacja. Tosza również nie chybił, wprowadzając na scenę postać Poety, owego najwiarogodniejszego „świadka historii”, „świadka kultury”.

Tosza, jako się rzekło, zrobił spektakl erudycyjny, krok po kroku śledzący myśl Wyspiańskiego, precyzyjny w konstruowaniu postaci, także tych alegorycznych, co było szczególnie trudne. Cóż to jednak znaczy, skoro Wyspiański niewiele już tu nam szans daje, topiąc bohaterów w młodopolskim wielośloviu. Aktorzy robili co mogli, a jednak poezja ta rozmywa się w długich nieraz oracjach, wznosi się na koturny, na których z trudem się już dziś poruszamy. Nie dziwi więc, że mimo wysiłków inscenizacyjnych i plastyczno-ruchowych, próbujących uczynić mgliste partie tekstu, wiele scen utknęło w retoryce i patosie, pozostawiając po sobie chłód i pustkę. Na domiar złego paru aktorów, zwłaszcza tych młodszych i zwłaszcza pań, nie dość dobrze radziło sobie z tekstem, mówiąc po prostu zbyt cicho i niewyraźnie, jakby lękając się wierszowanej frazy, rytmu i nade wszystko rytmu. W ostatnich rzędach i na balkonach wiersz się rozplątywał, gubił, przez to jeszcze bardziej ustatyczniając cały spektakl.

Widowiskowy kształt katowickiego „Akropolis” respektuje rozmaite konteksty historyczne, literackie, kulturowe. Pod tym względem tej inscenizacji niewiele można zarzucić. Wprost przeciwnie — szukanie zgody z uobecnionym na scenie kulturowym stafażem, wskazującym właśnie na ową manifestację naszej „europejskości”, może być źródłem pewnych satysfakcji estetycznych, tym bardziej że Tosza udało się znaleźć głębokie porozumienie z najważniejszymi dla tego przedstawie-

nia współtwórcami: scenografem i kompozytorem, a także choreografem. Po szczególne tworzywa ściśle do siebie przylegają, zaś plastyczna wizja została bardzo precyzyjnie i atrakcyjnie wymyślona. Odnosi się ta uwaga nie tylko do zorganizowania przestrzeni, jej dyskretnego dzielenia na kilka planów, ale także do kostiumów, bogatych i zdobnych, respektujących historyczne konteksty, także te, które można wyczytać z twórczości plastycznej samego Wyspiańskiego. Aleksandra Semerowicz nie po raz pierwszy udowodniła, że jest scenografem wrażliwym i inteligentnym, bo potrafiącym aluzyjnie przetwarzać kulturowe (i narodowe) wzorce czy stereotypy.

Na największą uwagę zasługuje także muzyka Zygmunta Koniecznego, który to już raz mierząc się z dziełami Wyspiańskiego, także tymi rzadko wystawianymi. Sławny kompozytor, godzi się podkreślić, nigdy dotąd dla katowickiej sceny niczego nie napisał. Muzyka w „Akropolis”, choć gęsto i znacząco ingeruje w materię inscenizacyjną, przecież jednak nie jest natrętna, łącząc walory ilustracyjne z kontrapunktującymi, uruchamiając i ożywiając sceny, mające w założeniu dramaturgicznie się rozrastać. W założeniu... Bo mimo tej spójności katowickie „Akropolis” pozostawia widza niewzruszonym. Nic to, że kilka scen zostanie zapamiętanych (np. sen Jakuba, spowity we mgłę, z której wyrasta drabina i poruszające się na niej rzeźby Antoniego Toborowicza). Nic to, że drugi akt, „antyczny”, dobrze rysuje konflikt sumienia, rozdzźwięk między obowiązkiem względem rodziny a ojczyzną, między powinnością zakletą w fatalizm mitu, a „ludzkim” odruchem, szukającym ratunku i szczęścia. W tym też akcie bardziej niż w pozostałych (jakże króciutkich przecież, skoro cały spektakl, grany bez przerwy, trwa za ledwie godzinę dwadzieścia minut) powstała szansa na stworzenie choćby szkiców pełnokrwistych postaci. A po za tym? Niewiele. Spektakl jest pozbawiony żaru, emocji. Nie wrózę mu długiego scenicznego żywota.

KRZYSZTOF KARWAT

Stanisław Wyspiański: Akropolis. Opracowanie tekstu, inscenizacja i reżeria: Bogdan Tosza. Scenografia: Aleksandra Semerowicz. Muzyka: Zygmunt Konieczny. Choreografia: Leszek Czarnota. Rzeźby do Snu Jakuba: Antoni Toborowicz. Premiera 9 maja 1999 roku na Dużej Scenie Teatru Śląskiego im. St. Wyspiańskiego w Katowicach

Jubileusz 30-lecia istnienia Wydziału Jazzu i Muzyki Rozrywkowej Akademii Muzycznej w Katowicach był znakomitą okazją do wznowienia, po kilkunastu latach przerwy, Międzynarodowego Konkursu Improwizacji Jazzowej. Zrazu, w 1975 roku zainicjowany został jako Ogólnopolski Konkurs Improwizacji Jazzowej, przekształcony w 1986 roku w konkurs o zasięgu międzynarodowym. Przyniósł on Wydziałowi rozgłos i uczynił go jednym z ważnych ośrodków europejskiego jazzu. Laureatom ułatwiał profesjonalny start na estradach Europy i świata. A laureaci Konkursu nie byli byle jacy. Do dziś głośno o nich w świecie muzyki jazzowej i rozrywkowej. To największe gwiazdy polskiej estrady. Są wśród nich Krystyna Prońko, Lora Szafran, Łukasz Żyta, Jerzy Głowczewski, Jan Cichy, Stanisław Sojka, Piotr Wojtasik, Jarosław Śmietana, Wiesław Pięgorółko, Jacek i Wojciech Niedzielowie, Ewa Uryga, Anna Serafińska i wielu innych.

Wydział Jazzu i Muzyki Rozrywkowej jako jedyny tego typu w Polsce został utworzony z inicjatywy prof. Zbigniewa Kalemby. Początkowo było to Studium Zawodowe Muzyki Rozrywkowej. Był to rok 1968. W rok później na polskiej scenie muzycznej zaistniał Wydział Muzyki Rozrywkowej. Studenci uczyli się aranżacji, kompozycji, wykonawstwa instrumentalnego i wokalnego. Ponieważ zawsze dominowała orientacja jazzowa, dlatego w 1983 roku została podjęta decyzja o rozszerzeniu nazwy Wydziału. Do roku 1998 ukończyło go 250 absolwentów. Wielu spośród nich związało się z Wydziałem, zostając jego wykładowcami. W ten sposób zaistniał ścisły związek między tym, co działało się na światowych estradach jazzowych i w katowickiej Akademii. Pedagodzy pracowali się własnymi nowoczesnymi metodami kształcenia dotyczącymi różnorodnych technik wokalnych i gry instrumentalnej, komponowania i aranżacji. Wiele miejsca zajmowały indywidualne poszukiwania twórcze, bo przecież improwizacja i umiejętność pracy w zespole to podstawa jazzowego muzykowania. Kolejne roczniki studentów Wydziału uczestniczyły w prestiżowych konkursach jazzowych. Byli wszędzie: na Pomorskiej Jesieni Jazzowej, Jazzie nad Odrą, Ost-West Jazz Festival w Norymberdze, Jazz Juniors w Krakowie, w Dunkierce na Międzynarodowym Festiwalu Wokalistów Jazzowych, na Międzynarodowej Federacji Jazzowej w Leverkusen, na Międzynarodowym Konkursie Piosenki w Sopocie i Jazz Jamboree. Wreszcie znakomicie prezentowali swoje umiejętności podczas konkursu powstałego na ich rodzimym Wydziale.

Studenci i absolwenci Wydziału muzykowali w wielu znanych zespołach jazzowych, które powstawały z ich udziałem. Tak więc nieobce miłośnikom jazzu, ale nie tylko, są nazwy Extra Ball, Kwartet Wojciecha Gogolewskiego, Heavy Metal Sextet, Presentation, Still Anthotet, Walk Away, Jazz Trio, Unit 7, Simple Acoustic.

Szczególne miejsce w historii a i w bieżącej działalności Wydziału Jazzu i Muzy-



Michał Tokaj — laureat I nagrody.

Jak Feniks z popiołów

JAZZ

ki Rozrywkowej ma big-band prowadzony przez Andrzeja Zubka i prof. Zbigniewa Kalembę. Jego brzmienie znane jest na kontynentach Europy i Ameryki. Występowali m.in. w USA, Francji, na norymberskim Ost-West Jazz Festival, Jazz Jamboree. Big-band uczestniczył w Akademii Jazzu TVP.

Pierwszym dziekanem był prof. Zbigniew Kalemba. Po 1980 roku jego miejsce zajął Andrzej Schmidt, następnie Piotr Warzecha i Andrzej Zubek. Trzeci rok Wydziałem kieruje prof. Stanisław Proksa. O historii Wydziału opowiada zorganizowana specjalnie z okazji 30-lecia Wydziału retrospektywna wystawa. Opowiada nie tylko o jego losach, ale także o sukcesach studentów, absolwentów i profesorów. Prezentuje dorobek pozauczelniany kolejnych dziekanów. I tak Zbigniew Kalemba przez wiele lat łączony był z Operetką w Gliwicach, gdzie pełnił funkcję dyrektora naczelnego i artystycznego. Andrzej Schmidt to autorytet w sprawach jazzu. Schmidt jest autorem trzech tomów „Historii jazzu”: „Rodowodu”, „Krystalizacji i rozwoju” oraz „Zgiełku i furii”. Piotr Warzecha to dyrygent i kompozytor, współpracujący również z Operą Śląską w Bytomiu. Andrzej Zubek nie tylko od lat prowadzi akademicki big-band, ale również jest kierownikiem artystycznym gliwickiej Operetki (Teatru Muzycznego). W duecie fortepianowym z Michałem Banasikiem koncertował na wielu estradach świata.

Prawdziwą ozdobą wystawy są afisze i nagrody przyznawane przez laureatów studentów Wydziału i zespoły z festiwalu i konkursów.

IV Międzynarodowy Konkurs Improwizacji Jazzowej odbywał się w katowickiej Akademii Muzycznej w dniach 26-29 maja, a zakończony był uroczystym koncertem w dniu 30 maja w Filharmonii Śląskiej. O kolejności występu uczestników w kolejnych etapach decydowało losowanie. Do konkursu zgłosiło się 38 muzyków, którzy nie ukończyli jeszcze trzydziestego roku życia. Byli reprezentantami kilku krajów: Polski, Litwy, Estonii, Austrii, Czech, Rosji, Węgier. Spośród nich komisja kwalifikacyjna wybrała 21 (18 z Polski). Kandydaci swoje jazzowe im-

pro wizacje prezentowali na fortepianie, gitarze, kontrabasie, trąbce i saksofonie, puźonie i flecie. Tematy do improwizacji określał regulamin Konkursu. W etapie pierwszym można było wybrać dwa spośród 36 standardów, w drugim trzy tematy po jednym wybranym spośród sześciu ballad, pięciu bluesów i ośmiu standardów rytm changes. W finale należało popisać się umiejętnościami improwizacyjnymi na jeden temat dowolny, jeden zadany przez komisję konkursową i jeden wspólny dla wszystkich finalistów. Wszystkim startującym w zmaganiach konkursowych towarzyszyły dwie sekcje akompaniujące.

Jury, w skład którego weszli Jerzy Jarosik, Piotr Wojtasik, Andrzej Zubek oraz Karl Heinz Miklin — saksofonista, dziekan Wydziału Jazzu Uniwersytetu w Grazu, na co dzień współpracujący z katowicką uczelnią, przewodniczył prof. Zbigniew Kalemba. Dyrektorem Konkursu był Ernest Małek.

Po czterodniowych zmaganiach laureatami czwartej edycji Międzynarodowego Konkursu Improwizacji Jazzowej zostali: Michał Tokaj — pianista, absolwent Akademii Muzycznej w Katowicach w klasie Wojciecha Niedzieli, który otrzymał pierwszą nagrodę, Piotr Wyleżół — również pianista w klasie Wojciecha Niedzieli, student katowickiej AM, zdobywca drugiego miejsca, kontrabasista Paweł Pańta — absolwent Studium Jazzowego Akademii Muzycznej w Warszawie, zdobywca trzeciego miejsca. Wyróżnienie przyznano trębaczowi Jerzemu Małkowi, studentowi I roku katowickiej Akademii w klasie Piotra Wojtasika. Jak łatwo zauważyć, znów najlepsi okazali się jazzmami z Katowic, zbierając gros przyznanych laurów.

Wszyscy laureaci zagrali podczas koncertu wieniącego Konkurs, a który odbył się w Filharmonii Śląskiej. Laureaci wystąpili wraz z najlepszymi muzykami i wokalistami jazzowymi — absolwentami katowickiego Wydziału: Krystyną Prońko, Lorą Szafran, Ewą Uryga, Bernardem Maseli, Jackiem Niedzielą i Wojciechem Niedzielą, Dariuszem Janusem i Jerzym Głowczewskim. Towarzyszył im big-band pod dyktando Andrzeja Zubka.

Ale nie tylko na konkursie skupiała się tegoroczna impreza. Miłośnicy jazzu mieli okazję do wysłuchania kilku koncertów towarzyszących, które odbyły się zarówno w sali koncertowej Wydziału Jazzu jak i w sali „Parnassos” Biblioteki Śląskiej, która była jednym ze współorganizatorów Konkursu. Koncertował Alchemik-Acoustic Jazz Sextet promujący swoją najnowszą płytę, Grzegorz Karnas Band, a także można było posłuchać koncertu pod nazwą „Muzyka czarnej ulicy”.

Po tak udanym kolejnym starcie Międzynarodowego Konkursu Improwizacji Jazzowej wypada mieć nadzieję, że starczy sił (i funduszy) organizatorom na kolejne edycje, które powinny nabrać jeszcze większego rozmachu i stać się jedną ze sztabdarowych imprez kulturalnych dla całego śląskiego środowiska muzycznego.

WIESŁAWA KONOPELSKA

1. Jest w którymś momencie rzecz naturalną, że do nowego nazwiska literackiego krytyk podchodzi nie tylko z nieufnością, ale także z niechęcią. Wprawdzie wie on doskonale, iż kształt literatury współczesnej zależy właśnie od tych nowych nazwisk, od książek nieznanymi i błakających się po bibliotecznych półkach (lub w drodze na te półki), niemniej pomiędzy ową wiedzę a świadomość jej skutków rozciąga się przerażająca przepaść. Niby dlaczego, pyta krytyk, mam zaufać artystycznemu światu debiutanta, dlaczego mam uznać, że jest on ważniejszy od tego z książek autorów już znanych lub wybitnych? Skąd mogę mieć pewność, że nowy pisarz nie okaże się w przyszłości kimś zupełnie nieważnym, moją pomyłką krytyczną?

Oczywiście: takiej pewności nikt krytykowi nie da, bo jego praca nie jest rozdzielaniem miejsc w hierarchii, lecz pozytywnie rozumianym wyrobnictwem na rzecz literatury. Nieufny recenzent nie może podchodzić do nowych nazwisk jak do warzyw na giełdzie towarowej: niby wiele z nich mu się podoba, lecz żadnego nie wybierze, bo nie ma pewności, czy jest ono naprawdę ekologiczne. Porównanie może niezbyt wyszukane, ale prawdziwe.

2. Piszę o tym wszystkim dlatego, iżby od razu powiedzieć to, co winno zostać powiedziane: otóż w odniesieniu do debiutu powieściowego Jacka Durskiego wszystkie powyższe wątpliwości recenzenckie nie mają żadnego zastosowania. To autor uformowany od początku do końca, dysponujący pełną samoświadomością pisarską, wiedzący czego szukać w literaturze. Autor nadto, którego czytać jest wielką przyjemnością (właśnie tak: nie tylko czynnością poznawczą, lecz także przyjemnością). I wreszcie: to ktoś, kto objawiając się znikąd — od razu przykuwa do siebie uwagę, uwodzi czytelnika, porywa go w niesamowity świat na pograniczu realności i wyobraźni i zamyka w tym świecie.

Mariacka Durskiego rozpoczyna się jak dobra proza Mirona Białoszewskiego: krótkimi, celnymi, wypowiedzianymi jak gdyby w zadyszce (być może szybciej i więcej!) zdaniami. Zdaniami wszakże niebanalnymi, ale wysoce obrazowymi. Już w chwilę po ekspozycji mamy pełne przekonanie, że weszliśmy w przestrzeń tej niesamowitej prozy — w jej krajobraz, dom, krąg rodzinny; że proza ta wchłonęła nas w siebie; że — wreszcie — poddał się jej bezwzględnie i nieodwołalnie.

Jack Durski umie opowiadać. I to nie byle jak, lecz z nerwem, elokwencją, *charme'em*. Bez epatowania zbędnym słowem, bez mnożenia nie-



Powieść fascynująca

potrzebnych sekwencji. Wszystko w jego prozie wydaje się na miejscu, wszystko jest celowe i logicznie z siebie wynika. A ponadto — okraszane jest przednim dowcipem (nie dla byle kogo, ale dla inteligentnego czytelnika). Można to było zauważyć w zbiorze miniatur prozatorskich *Wśród krzywych luster* (1997), którego właśnie drugie i poszerzone wydanie ukazało się razem z *Mariacką*, gdzie niekontrolowana wyobraźnia, świat snu i jawy, wybujały witalizm i starodawna cikliowość sąsiadują ze sobą i obok siebie, wzajemnie się uzupełniając. I tak samo jest tutaj, w większej formie narracyjnej, lecz tylko prawem autorskiej decyzji podniesionej do rangi powieści. Tak naprawdę bowiem obydwie książki Durskiego są tym samym — podróżą w rzeczywistość przez siebie stwarzaną. W imaginację, marzenie i sen, które okraszane realiami codzienności uzyskują w ten sposób znamie dziwnego świata z jego dziwnymi mieszkańcami.

3. Wielką zaletą prozy Jacka Durskiego jest jej dowcip. Autor wygrywa różne odmiany dowcipu (humoru, groteski) wielorako. Po pierwsze — w zmyśle „malarskiej” obserwacji (znakomicie karykaturuje opisywaną rodzinę, przednie są portrety ciotek i niby-wujaszka Eisengraebera — Anioła Stróża i Szatana bohatera); po drugie — w przedsta-

wianych scenkach; po trzecie wreszcie — w języku (autor bawi się różnego typu skojarzeniami słownymi i czyni to znakomicie). Tak nie pisze ktoś literacko niewtajemniczony. Tak pisze prawdziwy artysta słowa, mistrz pióra, choćby to pióro odszukał u siebie na biurku dopiero w wieku dojrzałym. Wszystko to przygotowane — dodatkowo — jakby Gombrowiczem, Dygatem i Mrożkiem pospolu (Białoszewskiego już wymieniłem). W prozie autora *Mariackiej* odczuwa się delikatny patronat tych pisarzy, lecz nie zauważa się ich wpływu. Zbyt byłoby to proste, a proste nie jest.

Powieść Durskiego opisuje bowiem codzienność i śmieszność codzienności, podchwytuje jej językową swoistość i czyni z niej przedmiot karykatury. Ulica Mariacka w Katowicach, najbardziej osławiona ulica miasta, „rysowana węglem”, „z szarymi ludźmi śniącymi kolorowo”, staje się Centrum Unieważnienia. Tutaj wszystko zyskuje i traci na znaczeniu. Jak napisał Henryk Waniek: „wewnątrz olbrzymiego, mrocznego mieszkania [bohatera] schodzą się wszystkie sprawy świata: jego wielkości i małostki, wspaniałość i podłość, Bóg i grzech”. I dodajmy jeszcze: w kamienicy przy Mariackiej ujawniają się lęki i kłamstwa nieciekawego życia, prawda i zmyślenia pojedynczego dnia. Albo jeszcze inaczej: zarysowuje swoje kontury — jak napisze Durski — „mój świat z czarnymi dziurami, w których znika każda filozofia”.

4. A przecież nie jest to powieść o świecie zewnętrznym, tylko o dziwnej postaci, którą zniewalają sny i marzenia, jawa i przywidzenia, rodzina i niby-wujaszek Eisengaeber, mieszkańcy kamienicy i dziwne twory naprężonej imaginacji bohatera. To jest powieść o wspaniałościach i małościach fantazmatu, jakim jest życie na „ulicy rysowanej węglem”. O dzieciństwie i dorosłości, między którymi nie ma żadnych różnic. O słowie, które — jako jedyne — ma szansę na ocalenie, jeśli nie zostanie zaprzęgnięte w kierat bezmyślnej paplaniny. O sentymencie wreszcie do miejsca urodzenia, które choć mizerne i liche, śmieszne i pospolite — jest własne jak dziura w kieszeni.

I równocześnie: jest to satyra na powieść wspomnieniową, powieść mitograficzną, powieść autobiograficzną, której powaga zaciera i zniekształca wszystko to, co autentyczne. Witold Gombrowicz byłby zadowolony, a my na koniec spuentujemy: takiej prozy w środowisku śląskim dawno nie było i nic nie zapowiada, że pojawi się jej konkurentka w jakimś bliżej spodziewanym czasie.

MARIAN KISIEL

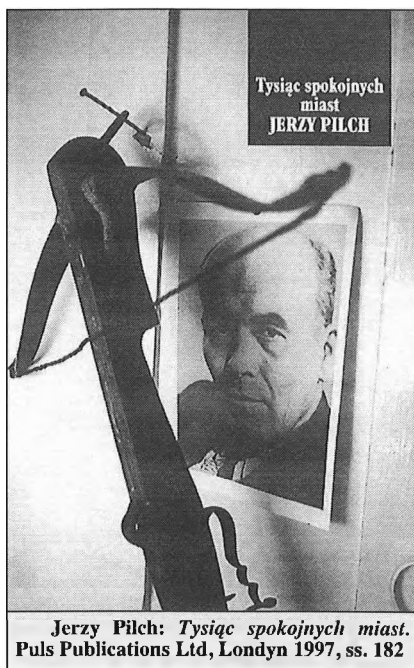
„Gdy ojciec i pan Trąba postanowili zabić I sekretarza Władysława Gomułkę, panowały niepodzielne upały, ziemia trzeszczała w szwach, rozpoczynała się udręka mojej młodości”. To jedno krótkie zdanie, rozpoczynające *Tysiąc spokojnych miast* Jerzego Pilcha, określa nadszpiegowanie wiele: główny wątek fabularny, czas akcji, bohaterów, pozycję narratora oraz zapowiedź groteskowo-ironicznego tonu całej opowieści.

Ledwie parę zdań dalej dowiadujemy się również, gdzie nas pisarz poprowadzi. Jesteśmy w Beskidach, opodal Bawolej Góry. Topografia miasta jest tak dokładnie odrysowana, że nie mamy wątpliwości: znaleźliśmy się w Wiśle, prowincjonalnej dziurze o uzdrowiskowych ambicjach. Miasteczku straszny, skoro rządzi nim reguły moralne gdzie indziej niezrozumiałe, ale i jakże sympatycznym i zabawnym, bo załodnionym przez galerię oryginałów, jakich próżno szukać w innych częściach kraju.

Któryż to już raz Pilch prowadzi nas uliczkami i ścieżkami swego ewangelickiego dzieciństwa? *Inne rozkosze*, *Bezpowrotnie utracona leworęczność* i wiele, wiele sygnałów i tropów w innych książkach, także a może przede wszystkim tych „felietonowych”.

Pilch zwykle, także w tej niewielkiej objętościowej powieści, miesza porządki narracyjne i przez to komplikuje, metaforyzuje obraz świata przedstawionego. W pierwszym odruchu czytelnik może wpaść w pułapkę i pozostać na poziomie leksykalnego czy sytuacyjnego dowcipu. No, bo kto w tej powieści jest obiektem kpiny? Tylko ewangelicka brać? A może jednak Gomułka, którego wielki cień kładzie się na świadomości pana Trąby i pana Naczelnika, czyli ojca narratora? A może nie jest to tylko kpina, choć w krzywym zwierciadle wiślańsko-peerelowska rzeczywistość jest niebawale śmieszna?

Jest troszkę inaczej: pod płaszczem szyderstwa kryje się też coś absolutnie innego, ciepłego i delikatnego. To „coś” jest właściwe każdemu dziecięcemu narratorowi, który zawsze odrzuci polityczne „podteksty”, gdyż nie będzie sobie zadawał trudu ich odczytywania. Nie można przecież skupiać uwagi na czymś, czego się nie rozumie, ani czego nawet się nie dostrzega, nie widzi. Świat jest taki, jaki jest: rządzi nim ojciec albo matka, ewentualnie — i to jedna z osobliwości takiej na przykład Wisły — ksiądz pastor. Ewentualnie któraś z pań nauczycielek albo erotyką nasyconych barmanek, które niestety nieletnim alkoholowi nie podają. Może komendant miejscowej straży pożarnej? Może sąsiad, który jest prawie tak bogaty jak jakiś Rockefeller, a może jednak pan Trąba, który potrafi całymi godzinami filozofować i w ogromnych ilościach spać spirytusowe nalewki rodziców, pieczętowane przechowywane w domowym kredensiku? Inny świat nie istnieje, choć można mieć podejrzenie, że gdzieś daleko są inne miasta, inni ludzie, inne proble-



Jak zabić Gomułkę?

my. Cóż to jednak wszystko znaczy, skoro prawdziwy kosmos jednak zawiera się między gospodą, domem towarowym i zbojem? Tylko do tych miejsc można podporządkować ludzi.

A ludzie muszą mieć swoje konkretne imiona, nazwiska i twarze. Czyli muszą być żywi. W przeciwieństwie do takiego właśnie Władysława Gomułki, który wcale żywy być nie musi, bo i tak jest nierzeczywisty. Prawie niczym przewodniczący Mao Tse-tung, także znany przywódca narodu, tyle że chińskiego. To zresztą, że Mao jest aż tak nierzeczywisty, odległy i jakoś dziwnie nieuchwytny, ostatecznie uratowało mu życie. To właśnie ta jego nieuchwytność sprawiła, że pan Trąba musiał z żalem zrezygnować z pomysłu zgładzenia żółtego tyra i ulokować swoje mordercze cele znacznie bliżej.

Pozostał zatem na polu walki jedynie Władysław Gomułka, choć i on mieszka bardzo daleko, bo w Warszawie. Do stolicy zaś trzeba będzie pojechać podstępem, pod osłoną nocy. Podstępem, bo choć wszyscy w Wiśle zamary pana Trąby i pana Naczelnika znają, to jednak zawsze znajdzie się taki jeden czy drugi, komu się pomysł zastrzelenia z chińskiego łuku I sekretarza z jakichś niejasnych powodów nie spodoba. I to wcale nie dlatego, że wykonawcą wyroku ma być mały Jerzyk, ten sam, który nam tę całą historię opowie. Zastrzeżenia, by tak rzec, moralne muszą przecież być odrzuco-

ne, skoro bój idzie o wolność dla udręczonego narodu.

Pilch uzyskuje znakomite efekty komiczne. Już samo wyobrażenie, że w prowincjonalnej Wiśle waga się losy Polski, a może i całego obozu socjalistycznego, budzi uśmiech. Z tej żabiej perspektywy problemy tego świata relatywizują się, skoro receptę na ich rozwiązanie znaleźć można w trakcie niespiesznych pogawędek przy spirytusowej nalewce.

Ale tę perspektywę można i trzeba też odwrócić, by zobaczyć prawdziwy wymiar peerelowskiej egzystencji, groteskowo ciasny, pokazujący ludzi w stanie dziwnego zawieszania między tym, co rzeczywiste i prawdziwe, a tym, co jest wytworem zbiorowej wyobraźni, zapewne naznaczonej i skrzywionej przez totalitarne państwo, które uczyniło z ludzi zabawnie myślące i poruszające się marionety. Wyimaginowany i nieudany zamach na Gomułkę — w finale powieści — zestawiony został z telewizyjnym obrazem prawdziwego i skutecznego zamachu na prezydenta Kennedy'ego. Czy jednak można rozstrzygnąć, który z zamachów był „prawdziwszy”, skoro tutaj oba przywoływane są poprzez pamięć nieletniego narratora? A poza tym — rzeczywistość telewizyjna wczesnych lat 60., zwłaszcza gdy miała być rejestracją życia „zgnitego Zachodu”, była tak odległa, że aż nierzeczywista. Wielkie zdarzenia z wielkiego świata tutaj, w Wiśle, znajdują swój właściwy punkt odniesienia. Cóż z tego, że narrator znajdzie go aż tak blisko siebie, w rodzinnym domu, a jego sensów szukać będzie w słowotokach permanentnie upijającego się pana Trąby? W końcu pan Trąba to był ktoś. Logika jego argumentacji robiła na ludziach większe wrażenie od nawet najbardziej wyszukanych komentarzy w peerelowskiej telewizji, nie mówiąc już o uczonych marksistach, którym mieszkańcy Wisły wierzyć nie mogli, choćby tylko dlatego, że ich — jako Antychrystów — nie czytali i nie słuchali.

Groteskowo-ironiczny ton *Tysiąca spokojnych miast* pisarz uzyskał nie tylko drogą misternie poprowadzonej fabuły. Decyduje o nim przede wszystkim język i dialogi. Te ostatnie poddane zostały zabawnej stylizacji na dysputę światopoglądową, toczoną nieraz z użyciem środków właściwych filozofii czy teologii. Językowy pulchryzm jest tu domeną nie tylko pana Trąby, ale także jego słuchaczy czy adwersarzy. Bohaterowie porozumiewają się zatem dziwnym slangiem, mieszącym mowę „wysoką” i „niską”. Pilch wtyka im w usta długie kadencje zdań, których już sama konstrukcja, „uczona” i pełna wyszukanych grzecznościowych zwrotów, budzi wesołość. To jeszcze jeden, być może najbardziej pewny dowód na to, że wbrew pozorom nie jest to powieść realistyczna, choć tak trafnie i prawdziwie oddaje sens i bezsens peerelowskiego bytowania.

KRZYSZTOF KARWAT

Pisarstwo filmowe Jana F. Lewandowskiego już od lat ma swą ustaloną renomę i ponad ćwierć wieku doświadczeń za sobą. Dlatego też wydany przez oficynę „Śląsk” tomik zatytułowany *Kino na pograniczu* stanowi swego rodzaju zwięzłe wieloletnie przegłód autora z historią X muzy. Lewandowski — historyk, dziennikarz, krytyk, działacz wszelakich ruchów filmowych w regionie — przede wszystkim jednak bezprzykładny pasjonat kina i wszystkiego, co z kinem się wiąże, zebrał ponad trzydzieści swoich artykułów opublikowanych wcześniej od „Katolika” do „Kina” i uporządkował je w udatną trasę „wędrowek po dziejach filmu na Górnym Śląsku” (jak głosi podtytuł).

Filmowe uniwersytety — to były dla Lewandowskiego katowickie kina i zmagania wokół działalności społecznej z kinem związanej, najpierw szefa studenckiego „Kino Oka”, a potem, przez wiele kadencji (tych najtrudniejszych i tych najlepszych) sekretarza Śląskiego Towarzystwa Filmowego, o którym powstały już filmy i prace magisterskie. I ta społecznikowska pasja, która nieodmiennie towarzyszyła jego kontaktom z filmem, ujażdżona w ryzy krótkiej formy publicystycznej, daje niezwykle ciekawe rezultaty. Bo też jako badacz kina w regionie jest Lewandowski na swój sposób społecznikiem — ta sama w nim pasja, ta sama zadziorność i bezkompromisowość w dochodzeniu do źródeł i rekonstruowaniu faktów; i ta sama — młodzieńcza zupełnie — radość z osiągniętego efektu, choćby to była tylko bezspornie ustalona data, pewny numer kamienicy czy dostrzeżony wizerunek polityka w przedwojennym dokumencie...

Lewandowski jest i chce być przede wszystkim faktografem, historykiem tropiącym i zabezpieczającym ślady, jakie pozostawiło kino (i ludzie z nim związani) w swej stuletniej historii. Trochę jakby na przekór modom obowiązującym w humanistyce, z dala od wrzawy gield nowości, ale zawsze z respektem dla wymowy faktów i zdrowego rozsądku. Tu przemawia do nas wytrawny historyk, który przygląda się światu poprzez jego filmowe wizerunki, a jednocześnie zafascynowany samymi tymi wizerunkami dziejopis kina, który z klocków regionalnej historii kina układa ważny rozdział narodowej historii X muzy.

Można i należy ufać autorowi, że proponowana przezeń trasa wędrowek po filmowych silesianach nie pozostawia na uboczu żadnego istotnego epizodu, nie pomija żadnej istotnej kwestii, że — mówiąc krótko — prezentuje aktualny stan wiedzy w tym zakresie, którego zresztą Lewandowski jest jednym z głównych twórców. Przez długi czas przecież sam jeden pozostawał na tym polu, ale nieustannie namawiał do badań, podpowiadał atrakcyjne tematy, inspirował... Zapewne gdyby nie jego łagodna perswazja zaryzykowanie tego ugoru nastąpiłoby znacznie później. To, że dziś nie jest już sam, zawdzięcza w dużej mierze samemu sobie.



Filmowe silesiana

Kino na pograniczu dwoma stoi filarami. Pierwszy to sylwetki rozmaitych postaci — historycznych i współczesnych — na rozmaite sposoby skoligaczonych z filmowym Śląskiem. Pamiętam, jak mozolnie, dogłębnie tropił autor śląskie korzenie Hanny Schygull i z jaką satysfakcją opowiadał potem, po jej chorowskiej wizycie w ubiegłym roku, o spotkaniu z tą odkrytą przez niego na nowo „gwiazdą z Königshütte”. Schygulla jest niewątpliwie największą i nieprzemijającą filmową miłością Lewandowskiego, której od dziesięcioleci pozostaje wierny. Ale długi flirt na lata złączył go też z naszą divą Polą Negri, której kilka lat temu poświęcił ciekawą broszurkę, a teraz raz jeszcze w dwóch artykułach powraca do jej sosnowieckich przygód.

Kogóż to nie spotykamy na kartach szkicownika Lewandowskiego? Jest tu Stroheim — kapelusznik z Gliwic, są wielcy aktorzy, którzy wyszli z tej ziemi (Kobiela, Śląska), jest Zbyszek Cybulski, już na wieczość złączony z Katowicami, i Aleksander Baumgarten, i Horst Bienek... Naturalnie — bo jakże by inaczej — i sam Kutz, powracający w kilku odsłonach. Ale mnie osobiście najbardziej zaimponował autor znakomicie udokumentowanym szkicem o „pograniczniku” Janie Fethke, który w latach pięćdziesiątych kręcił m.in. socrealistyczne komedie (*Irena do domu*), przed wojną pisał scenariusze dla „branży”, a w czasie okupacji miał nie do końca wyjaśnione powiązania z kinem III Rzeszy. Co jednak nie mniej frapujące, to to, że pisał powieści w języku esperanto, czym udało mu się zainteresować samego Fritza Langa, który jedną z nich prze-

niósł na ekran pod tytułem *Tysiąc oczu doktora Mabuse*. Fethke to postać tyleż zagadkowa, co i tragiczna, bowiem cena, jaką przyszło mu zapłacić za przynależność do dwóch ojczyzn była ogromna. „Nie jest wykluczone — twierdzi Lewandowski — że z powodu niechęci do takiej jednoznaczności Górnoślązak Jan Fethke stał się wybitnym w skali europejskiej esperantystą — działaczem ruchu esperantystów i autorem powieści w języku esperanto.” Podobnych rewelacji znajdzie czytelnik w szkicach Lewandowskiego niemało. Wystarczy zgłębić się w losy Jerzego Gabryelskiego, reżysera *Czarnych diamentów*, filmu z roku 1939, któremu spóźniona o czterdzieści lat premierę (głównie zresztą z inicjatywy autora książki) zorganizowało w przeddzień stanu wojennego Śląskie Towarzystwo Filmowe. *Tragedia Jerzego Gabryelskiego* to — jak wiele innych materiałów w tej książce — znacznie więcej aniżeli sylwetka postaci tylko, to raczej coś w rodzaju miniatury historycznofilmowej, którą Lewandowski szczególnie sobie upodobał.

Ale jest jeszcze drugi filar pisarstwa Lewandowskiego: szkice historyczne, które w kinie odsłaniają społeczno-polityczne i kulturowe problemy pogranicznego regionu. Dotyczy to zwłaszcza artykułu idącego śladem „wojny kinematografów”, czyli wykorzystania filmu w powstaniach śląskich i kampanii plebiscytowej, ale także wielu innych, pomniejszych szkiców, jak ten odsłaniający przed czytelnikiem „taśmę Skarbka” czy też inny, przypominający mało znany dokument *Salve Regina* z roku 1935 o pielgrzymce do Piekara.

Ale — jak na krytyka filmowego przystało — Lewandowski nie kryje również swego temperamentu krytycznego. Spod jego pióra wychodzi ciekawy szkic o *Pulkowniku Kwiatkowskim* Kutza i niedawnym dokumencie Janusza Kijowskiego *Śląsk Kazimierza Kutza*, a także „ranking jubileuszowy”... oczywiście filmów (górnio)śląskich na stulecie kina w Polsce. Lewandowski poddaje też wnikliwej wivisekcji filmy drugiego z żyjących bohaterów swej książki, Michała Rosy, osobny szkic poświęcając „Szkole”, z której wywodzi się twórca *Farby* — katowickiemu Wydziałowi Radia i Telewizji.

Artykuły Lewandowskiego są — wyjąwszy kilka — bardzo krótkie, czasami może i nazbyt oszczędne w słowach, ale to przecież ślad źródła, z którego się wzięły. Zastanawia jednak, iż mimo owej skrótości (czy może raczej — ekonomii wywodu) nie są one nigdy powierzchowne, zdawkowe, że Lewandowski zawsze najkrótszą drogą trafia w sedno sprawy. A tam, gdzie brak wystarczających dowodów, zaprasza czytelnika do wspólnego snucia najbardziej prawdopodobnej hipotezy, zgodnie ze swą intuicją historyka i pasją filmoznawcy.

Filmowe wędrowki Lewandowskiego po Górnym Śląsku dowodzą raz jeszcze, że pogranicza nie można utożsamiać z peryferiami. Zwłaszcza, jeśli w grę wchodzi historia kina.

ANDRZEJ GWÓŹDŹ

Autorka zaraz w początkowych zdaniach *Wstępu* określa zakładanego przez siebie adresata książki: to z jednej strony nauczyciel-praktyk, zajmujący się *codziennym popularyzowaniem wartości kultury wśród młodzieży i dzieci*, ale z drugiej strony adresatem (wymienionym zresztą kurtuazyjnie na pierwszej pozycji) jest *krąg osób zajmujących się teoretyczną refleksją nad polonistyką szkolną*. Ta podwójność adresu — co Autorka zresztą doskonale sobie uświadamia — prowadzi, bo prowadzić musi, do podstawowego „rozróżnienia” poziomów wyводу.

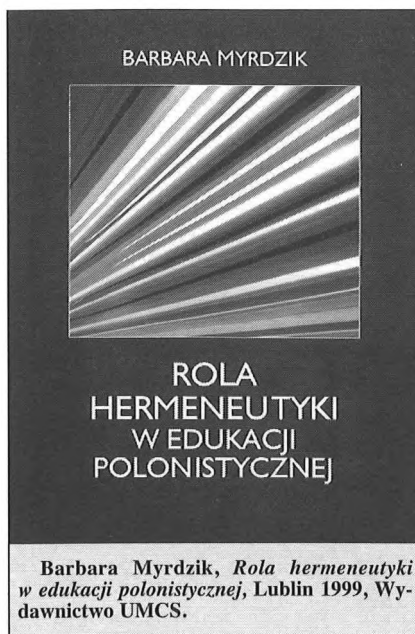
Gdy chce się bowiem w teoretycznym wywodzie przekonać tego drugiego odbiorcę o celowości wprowadzenia do praktyki szkolnej ustaleń i sposobów wychowawczego oddziaływania na rzecz wyrobienia nawyku permanentnego dokonywania wyborów właściwych, świadomych i wartościowych (bo one prowadzą do samorealizacji jednostki i do skonstruowania przez ucznia — podmiotu naszych edukacyjnych wysiłków — własnej filozofii życiowej), to można wtedy pominąć podstawowe wprowadzenie do hermeneutyki. Ale jest to równoznaczne ze zmianą adresata książki, ściślej: z eliminacją tego pierwszego. Gdy wszakże ma nim pozostać nauczyciel, którego chcemy zaznaczyć z hermeneutycznym modelem obcowania z literaturą i równocześnie spopularyzować tę koncepcję ze względu na jej wymiar aksjologiczny — niezbędne okaże się wprowadzenie w elementarne pojęcia, tym bardziej, że często one inaczej znaczą u Gadamera, niż w potocznym użyciu. I Autorka to właśnie czyni.

Recenzowana książka nie tylko wprowadza nauczyciela w metodologiczne motywacje proponowanych w nowych programach zachowań metodycznych i pomaga umotywić wcześniejsze, często intuicyjne wybory — ale też osadza jego myślenie w tej przestrzeni poznawczej, w której może on znaleźć dla siebie przesłanki rozszerzające i pogłębiające w procesie samokształcenia obszar poszukiwań poznawczych. W tym zakresie książka Barbary Myrdzikowej ma z pewnością rangę pionierskiej i trudnej do przecenienia publikacji.

Przekonuje Autorka tym samym, że potrafi spożytkować własne obserwacje, poczynione w trakcie „godzin polskiego” w szkole — i swoje na tym polu doświadczenia nauczycielskie. Nie kryje też takiej m.in. genezy recenzowanej książki, choć wydaje się, że jest ona przede wszystkim kontynuacją tego kierunku myślenia i badawczych zainteresowań, które ujawniły się po części już w poprzedniej, cennej książce Autorki, zawierającej wyniki jej badań nad odbiorem liryki Zbigniewa Herberta przez maturzystów.

Jako forma komunikacji symboliczno-aksjologicznej jest pojęcia dla hermeneutów szczególnie istotna, toteż w szkolnej edukacji musi być — co podkreśla Autorka dobitnie — traktowana odrębnie. I trzeba to wciąż na nowo przypominać, zwłaszcza wobec aktualnych zakusów pominięcia sprawdzianu jej rozumienia w zadaniach matury nowego typu; chodzi o te propozycje sposobu badania kompetencji czytelnich maturzystów, które obligatoryjnym testem na zrozumienie tekstu chcą objąć tylko „nieliterackie” — a w każdym razie nie będące poezją — wypowiedzi.

W imię tego, co Gadamer nazywa „doświadczeniem hermeneutycznym”, możemy upomnieć się o to, by nie rezygnować



Hermeneutyka i „godziny polskiego”

ze sprawdzania rozumienia utworu poetyckiego przynajmniej przy zadaniach dla tzw. „poziomu poszerzonego” natury zewnętrznej (tj. tej planowanej dla ewentualnych kandydatów na studia humanistyczne), składanej po uzyskaniu matury wewnętrznej (czyli ustnego egzaminu we własnym liceum). Gadamer utożsamia bowiem doświadczenie hermeneutyczne z dialogiem, a także z rozwijaniem wrażliwości, która według niego jest podstawą każdej wartościowej edukacji: („takt” w filozofii jest nie tylko sposobem poznania, ale i sposobem bycia).

Po opisanym przyczyn zainteresowania się hermeneutyką (w rozdz. I zatytułowanym *Dlaczego hermeneutyka?*) i określeniu funkcji kultury w założeniach programowych języka polskiego i w koncepcji Gadamera — następuje *Wprowadzenie w tradycję* (rozdz. II), które przynosi podstawowe ustalenia, rzutujące na całokształt tego modelu obcowania z literaturą, stanowiące jądro metodologiczne propozycji. Należy pamiętać, co Gadamer nieustannie podkreśla, że jego rozumienie tradycji nie jest jednoznaczne z potocznie rozumianą tradycją kulturową. „Pojęcie to funkcjonuje u niego na tyle swobodnie, że można przypuszczać, iż obejmuje całokształt przyswojonego sobie przez człowieka dziedzictwa kulturowego pewnej zbiorowości społecznej, a nawet całej ludzkości.”

Właśnie stosunek do tradycji jest postrzegany przez twórców nowych programów nauczania jako ważny składnik kształtowania osobowości ucznia, tj. formowania jego postaw w procesie wychowywania. W podrozdziale *Tradycja, spo-*

sób jej rozumienia w hermeneutyce Gadamera uzyskuje nauczyciel-polonista istotne ukierunkowanie: tradycja oznacza dialog, zderzenie własnych przekonań, preferencji, systemu wartości — z tymi z przeszłości, docierającymi do nas jako przekaz kulturowy. Tradycja staje się rzeczywistym partnerem komunikacji, podobnie jak w relacji „Ja” do poznającego „Ty”. Nauczyciel w tym dialogu, prowadzącym do zrozumienia, ma być pośrednikiem i mistrzem (to kolejny podtytuł tego rozdziału). Natomiast *Dialog, jako idea wychowania i koncepcja lektury* (rozdz. III) znowu akcentuje gadamerowskie znaczenie tego słowa: „Rozumienie jest przez Gadamera nazwane dialogiem” (s. 83). Stąd tak ważna jest *Istota i rola pytania w doświadczeniu hermeneutycznym*. Zrozumieć utwór można wtedy, gdy umiemy zadać mu pytania, z kolei zaś „Stawiane nam przez interpretowany tekst pytania dają się zrozumieć dopiero wtedy, kiedy tekst zostaje ze swej strony rozumiany jako odpowiedź na pewne pytanie”.

Znowu wypada dopowiedzieć, że został tu przesunięty akcent z dialogiczności tekstu literackiego, rozumianej jako jego intertekstualne odniesienia do innych, wcześniej powstałych utworów — na dialog najbardziej znaczący w proponowanej przez Autorkę lekcyjnej metodzie edukacji literackiej, dialog ucznia z utworem. On bowiem decyduje o *Hermeneutycznej interpretacji tekstu poetyckiego w szkole* — to tytuł IV rozdziału książki. Znajdzie w nim nauczyciel cenną z pragmatycznego punktu widzenia *Próbkę aplikacji*, obok teoretycznego umocowania (tj. zorientowania modelu hermeneutycznego wobec dotychczas uprawianych: psychologicznego, historycznego, a także spopularyzowanego przez strukturalizm szeregu modeli immanentnych. Padają tu ważne konstatacje, jak: „Obcowanie z tekstem literackim jest formą obcowania z tradycją kulturową, przezwyłączeniem dzielącego od niej dystansu”.

Równie ważne ustalenia padają w tej części rozdziału, która nosi podtytuł *Niepokoje praktyka*. Autorka wskazuje na szanse przyswojenia utworu, jakie koncepcja dialogowa lektury (w znaczeniu Gadamerowskim) daje wtedy, kiedy „utwór nasycony odwołaniami do tradycji kulturowej, zderza się z niewiedzą czytelnika”. Pokazuje — odwołując się do zapisu konkretnej szkolnej sytuacji — dyskusję uczniów nad interpretowanym tekstem i sposoby przezwyłączenia jego obcości. Cenne jest też przykładowe wypunktowanie trzech typów pytań: do autora — analityczno-interepretacyjnych pytań do tekstu — i pytań-przebiegów wywołanych lekturą wiersza, dotyczących szerszych spraw światopoglądowych czy egzystencjalnych, które zazwyczaj uznawaliśmy za pozatekstowe, więc za źle widziane „subiektywne skojarzenia”.

Książkę zamykają *Refleksje końcowe*, wśród których istotne wydaje się pytanie: „czy wywiedzione z hermeneutyki założenia edukacyjne są szansą, czy zagrożeniem dla edukacji respektującej ideę podmiotowości?”. Zdaniem Barbary Myrdzikowej jest to szansa, której nie należy zaprzepaścić. Warto więc tę poważną propozycję przemyśleć.

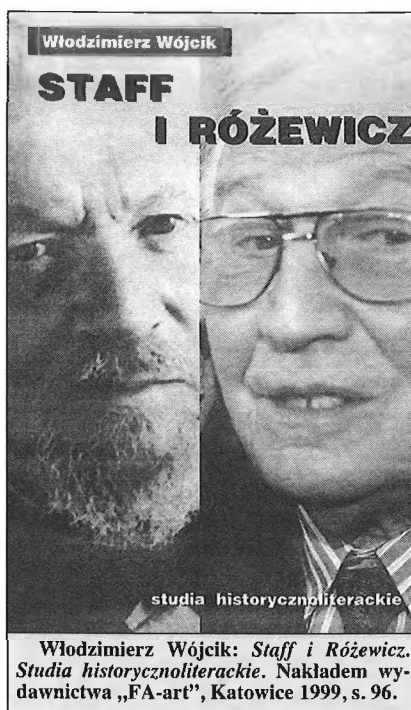
ANNA OPACKA

Mogłoby się wydawać, że nazwiska Leopolda Staffa, debiutującego jeszcze w okresie Młodej Polski, piewcy harmonii, zwolennika kompozycyjnego ładu i spokoju oraz — Tadeusza Różewicza, należącego do „pokolenia Kolumbów”, wielkiego reformatora języka poetyckiego, moralisty, piętnującego zło i nienawiść, obrońcy podmiotowości każdego człowieka, nie powinny, choćby ze względu na odmienną poetykę, ze sobą sąsiadować. Nie tylko przeczy temu twierdzeniu, ale również wyjaśnia powody takiego zestawienia najnowsza, wydana jako drugi tom serii *Obrazy literatury XX wieku*, książka Profesora Włodzimierza Wójcika zatytułowana *Staff i Różewicz. Studia historycznoliterackie*.

Zarówno o poezji Staffa jak i Różewicza napisano już setki tekstów krytycznych czy polemicznych, rzadko jednak powstaje książka tak osobista, ujawniająca literackie fascynacje autora, książka poświęcona m.in. dziejom przyjaźni literackiej tych dwu poetów. Szkic *Poetyckie przyjaźnie: Różewicz — Staff*, omawiający koleje znajomości, która należy do „najpiękniejszych zjawisk we współczesnym świecie” spaja cały tom, składający się z sześciu, z jednej strony autonomicznych, z drugiej ściśle ze sobą powiązanych, esejów (oprócz już wspomnianego są to: *Z Dantem nad Arno*, *Lux ex Oriente*, *Ścieżkami Italii*, „*Wiklina*” *związująca wiosnę* oraz Różewicz — *wielki współczesny*).

Włodzimierz Wójcik rejestruje rzeczywiste i poetyckie spotkania dostojnego już autora *Kowala* z młodym — wówczas — twórcą *Ocalonego*. „Przyjacielskie związki Różewicza i Staffa sięgają czasów wojennych” — jak czytamy we wstępie napisanym przez Mariana Kisiela — choć faktycznie poeci poznali się dopiero w 1947 roku, kiedy „Staff dobiegał siedemdziesiątki. Miał lat 69, przeżył dwa kataklizmy wojenne. Różewicz — zaledwie 26”. Pośród niewątpliwie cennych detali biograficznych, skrupulatnych opisów okoliczności rozmów w domu autora *Snów o potędzie*, bogactwa opinii i komentarzy, znajdujemy wnikliwe refleksje analityczne i interpretacje tych wierszy autora *Niepokoju*, które dowodzą, że „Różewicz podchodził do sędziwego poety polskiego ze szczególną atencją, wielkim szacunkiem połączonym z subtelną tkliwością”. Autor *Nadziei i złudzeń* nie jest biografem, ale krytykiem literackim śledzącym „blask tej przyjaźni bezustannie (...) widoczny w rozwijającym się ciągle dorobku autora *Kartoteki*”.

W osobie Leopolda Staffa Profesor Wójcik dostrzega „prawdziwego Europejczyka, twórcę otwartego na świat, odważnie wychodzącego z kręgu narodowego mitotwórstwa romantycznego, śmiało zmierzającego ku uniwersalizmowi”, dlatego też koncentruje swą uwagę głównie na motywach włoskich i orientalnych obecnych w tej poezji. Za-



Staff i Różewicz — poetyckie fascynacje

uważając związki twórczości Staffa z dorobkiem autora *Boskiej Komedii*, Włodzimierz Wójcik nie kategoryzuje zależności, nie doszukuje się prostych wpływów, ale tropi fascynacje literackie i wskazuje swoistą korespondencję duchową autora *Wysokich drzew* z Dantem.

Zarówno temat dantologiczny, występujący u Staffa „zaledwie co parę lat, bynajmniej jednak (...) nie doraźnie”, jak i kwestia „światła z Orientu” zostały w omawianej książce (co jest szczególnie cenne dla czytelnika, mającego wrażenie ciągłości tych problemów) osadzone, w tradycji historycznoliterackiej i otoczone bogatą egzemplifikacją badawczą. Natomiast analiza „włoskich” wierszy Staffa (*Firenze*, *Sasso di Dante*) stała się doskonałą okazją do przyjrzenia się florenckim zabytkom architektury, słynnej dzwonnicy Campanile di Giotto, kopule del Duomo di Brunelleschi, postaciom wielkich artystów Italii Giotto di Bondone, Michała Anioła, Brunellesco Filippino, Arnolfa di Cambio.

Leopold Staff to poeta „zanurzony w teraźniejszości”, więc dowcipnie

i stanowczo protestuje przeciw „uspołecznianiu” poezji polskiej (wiersz *Do...*), ale „jednocześnie czerpie z przeszłości wszystko to, co jest ludzką uniwersalną wartością”. Podziwia piękno spowitych słońcem i duchem nie przemijającej sztuki włoskich miast (*Venezia, Roma*), ulega czarowi literatury chińskiej (*Fletnia chińska*), w wierszu *Capri* zachwyca się urokiem tej szmaragdowej wyspy, która o dziwo kojarzy mu się z „miniaturowymi” Tatrami i Morskim Okiem, w tomiku *Wiklina* pisze o „narodzinach i śmierci, dojrzewaniu i starości, doznawaniu upływu czasu, rozterkach i radościach, jakie niesie spełnienie marzeń, o nadziejach i straconych złudzeniach, sensie ludzkiego trudu, randze twórczości artystycznej”. Włodzimierz Wójcik tropi właśnie te swoiste antynomie w poezji mistrza harmonii i spokoju.

Tadeusza Różewicza nazywa Profesor „autorem — w ścisłym tego słowa znaczeniu — równocześnie światowym, europejskim, ogólnopolskim i śląskim”. Sam Różewicz mówił „Jestem więc z wyboru Dolnym i Górnym Ślązakiem... jednym słowem Całym Ślązakiem, choć urodzonym w Radomsku”, dlatego też nie dziwiw poszukiwania na jego poetyckiej drodze związków z naszym regionem. Autor *Spagetti i miecza* to dla Wójcika poeta ostrzegający przed ukrywającym się złem (*Recycling*), bylejąkością (*Przyszli żeby zobaczyć poetę*), pytający o sens i istotę poezji (*Drzewo*), ale też orędownik bezgranicznej miłości (*Matka odchodzi*), nauczyciel wołający „Nie wstydzcie się lez młodzi poeci” (*Oczyszczenie*) i zachwycony czytelnik Kochanowskiego, Mickiewicza, Norwida, Lenartowicza...

Różewicza i Staffa łączyła niewątpliwie gorąca przyjaźń, ale rzeczywistą przyczynę podjęcia pracy nad książką tłumaczy chyba zdanie: „Obu poetów wiązało ze sobą między innymi przeświadczenie, że literatura i sztuka jest bezustannym poszukiwaniem nowych form literackich i sporem o autentyczne wartości życia”. Zbiór szkiców *Staff i Różewicz. Studia historycznoliterackie* to książka o poszukiwaniu w poezji właśnie wartości prawdziwego, ponadczasowego i ogólnoludzkiego humanizmu.

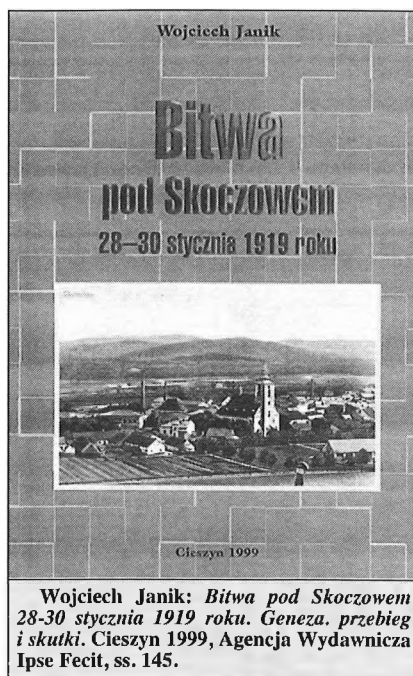
Tom ten powstał, jak sądzę, z potrzeby opisania prywatnych fascynacji literackich, z chęci przelania na papier subtelnego wrażenia wywołanego przez poezję Leopolda Staffa i Tadeusza Różewicza, wreszcie, co najważniejsze i najcenniejsze, z konieczności naukowego dokumentowania tak interesujących fragmentów twórczości dwu wielkich współczesnych. Książka Włodzimierza Wójcika nie tylko omawia i interpretuje poezję Staffa i Różewicza, ale także zarazą podziwem, zachwytem i oczarowaniem tą twórczością...

BOŻENA
SZAŁASTA-ROGOWSKA

Na rynku księgarskim ukazała się nowa pozycja dotycząca dziejów Ziemi Cieszyńskiej. Autorem jej jest Wojciech Janik, historyk i publicysta młodego pokolenia, który zainteresowania swe koncentruje przede wszystkim na historii Śląska Cieszyńskiego przełomu XIX i XX w. W sferze dalszych zainteresowań autora pozostaje działalność dyplomatów państw obcych akredytowanych w Warszawie w dobie Sejmu Wielkiego i Powstania Kościuszkowskiego. Badania te zaowocowały kilkudziesięcioma artykułami i recenzjami publikowanymi m.in. na łamach „Universitas Gedanensis”, „Studia Historica Slavo-Germanica”, „Zwiastun”.

Najnowsze opracowanie książkowe częściowo wypełnia lukę istniejącą w pracach dotyczących polsko-czechosłowackiego konfliktu zbrojnego o Śląsk Cieszyński. Autor w swej publikacji ukazuje nie tylko szczegółowo zrekonstruowany przebieg działań wojennych, zarysowanych na szerokim tle ówczesnej sytuacji polityczno-militarnej państwa polskiego, ale i sięga głęboko do XIX-wiecznych korzeni antagonizmu, przedstawiając w dalszej części pracy także i polityczne następstwa zbrojnego starcia o Ziemię Cieszyńską, to znaczy jej podziału pomiędzy Czechosłowację i Polskę w 1920 r. Celem ukazania tego autor przebadiał nie tylko liczne opracowania, czy też wspomnienia uczestników walk, ale i ówczesną prasę, zarówno regionalną („Dziennik Cieszyński”, „Gwiazdka Cieszyńska”, „Wiadomości Cieszyńskie”, „Śląskie Wiadomości Wojenne”), jak i mocno zainteresowaną konfliktem — krakowską („Goniec Krakowski” czy też „Głos Narodu”). Dzięki temu książka ta stanowi swojeisto kompendium wiedzy o regionie.

Geneza konfliktu polsko-czeskiego o Śląsk Cieszyński sięga połowy XIX w., kiedy to na jego obszarze miała miejsce gwałtowna industrializacja, prowadząca do gwałtownego rozwoju przemysłu metalowego i górniczego. Szczególnego znaczenia nabrała ta ostatnia, niezwykle dynamicznie rozwijająca się gałąź przemysłu. W przededniu I wojny światowej dostarczała ona 57 proc. ilości węgla wydobywanego w granicach monarchii. Na skutek tego rdzenna ludność Śląska Cieszyńskiego nie była w stanie zapełnić powstających licznych miejsc pracy. W związku z tym rozpoczął się masowy napływ ludności pochodzącej ze słabo uprzemysłowionych terenów, zwłaszcza zaś z Galicji. Imigranci osiadali przeważnie w zagłębiu węglowym. W latach 1857-1910 ludność Ziemi Cieszyńskiej wzrosła 2,3 razy ze 190.000 do 435.000. Czesi uznali to za jeden z przejawów „repolonizacji” tej dzielnicy, w czym utwierdziły ich



Bitwa pod Skoczowem

wyniki spisu ludności z 1900 r., który nie dość, że udowodnił malejącą tendencję liczby ludności czeskiej, to równocześnie ukazał przesuwanie się punktu ciężkości osadnictwa polskiego z czysto polskich obszarów, na terytorium mieszane pod względem językowym, czyli do Zagłębia Ostrawsko-Karwińskiego. Wyniki spisu zostały uznane przez Czechów za katastrofalne dla ich stanu posiadania i na skutek tego nacjonalistyczne kręgi przystąpiły do przeciwdziałania nasilającym się niekorzystnym tendencjom. Wkrótce też akcja czechizacyjna zaczęła przynosić rezultaty, gdyż według spisu z 1910 r. nastąpił 6 proc. spadek liczby ludności polskiej i jednoczesny 3 proc. wzrost liczby Czechów.

Wzajemny antagonizm utracił swą intensywność wraz z wybuchem I wojny światowej, jednakże już w 1918 r. konflikt odżył na nowo. Niemniej jednak udało się dnia 5 listopada 1918 r. doprowadzić do zawarcia tymczasowej, lokalnej umowy polsko-czechosłowackiej dzielącej pomiędzy te dwa państwa sporne terytorium. Stronie polskiej przypadło 77,3 proc. a czechosłowackiej 22,7 proc. obszaru Ziemi Cieszyńskiej. Niestety już 23 stycznia 1919 r. strona czechosłowacka, łamiąc postanowienia umowy, przystąpiła do zbrojnego przejmowania polskiej strefy Śląska Cieszyńskiego. Wojskom przeciwni-

ka liczącym od 14.000 do 16.000 żołnierzy, strona polska przeciwstawiła zaledwie 1300 żołnierzy i 600 milicjantów. Na czele polskich oddziałów stał ppłk Franciszek Ksawery Latinik, były dowódca 100. pułku piechoty. Przeważające siły nieprzyjaciela w ciągu zaledwie kilku dni opanowały praktycznie całe zagłębie węglowe, a 27 stycznia wkroczyły do opuszczonego przez wojska polskie Cieszyna. Następnego dnia wojska czeskie dotarły do linii górnej Wisły, gdzie pod Skoczowem, w dniach 28-30 stycznia 1919 r., doszło do decydującej bitwy o Śląsk Cieszyński. Została ona przedstawiona w pamiętnikach ppłk Latinika tendencyjnie jako zwycięska dla strony polskiej. Wydaje się jednak, że zawarcie rozejmu było wynikiem zrealizowania przez wojska przeciwnika zakładanych minimalnych celów, a więc opanowania Śląska Cieszyńskiego, wraz z zagłębiem węglowym, aż po linię górnej Wisły.

Spór polsko-czechosłowacki o te zindustrializowane terytorium toczył się jeszcze długo, tym razem na arenie międzynarodowej i ostatecznie został on rozwiązany niepomysłnie dla Polski dnia 28 lipca 1920 r., kiedy to Rada Ambasadorów wydała swą decyzję, na mocy której Ziemia Cieszyńska została podzielona pomiędzy Polskę i Czechosłowację, przy czym w tej ostatniej pozostało ponad 100.000 Polaków, a także większa część obszaru przemysłowego wraz ze strategiczną linią kolejową Koszyce — Bogumin.

Recenzowana praca posiada również pewne braki. Za stosunkowo istotny należy uznać znikome wykorzystanie źródeł czeskich. Niewątpliwie podniosłoby to wartość pracy. Autor winien również położyć nacisk na reakcje ludności polskiej (strajki, demonstracje, akcje sabotażowe itp.) na wkroczenie wojsk przeciwnika. Więcej uwagi należałoby poświęcić nastrojom panującym wśród Czechów i Niemców w okresie poprzedzającym interwencję zbrojną. Głębszego naświetlenia wymagają działania militarne toczone na odcinku Jabłonków-Istebna. Żle się stało, że w pracy nie omówiono dokładnie akcji internowania prowadzonej przez Czechosłowaków. Mankamentem jest także brak indeksu osób, uzupełnionego o słownik nazwisk, zawierający stosowne objaśnienia.

Niemniej jednak należy stwierdzić, że powyższe błędy w najmniejszym stopniu nie obniżają wartości publikacji a sama praca, będąca pierwszym tak szczegółowym opracowaniem przebiegu konfliktu zbrojnego o Śląsk Cieszyński, cechująca się przy tym dużym obiektywizmem, stanowi niewątpliwie pewien wkład do naszej historiografii.

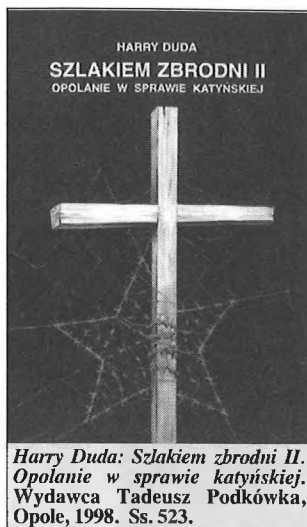
HENRYK KOCÓJ

Jest to kontynuacja wcześniej wydanej książki, również autorstwa Harry'ego Dudy, pt. „Szlakiem zbrodni. Ostaszków, Twer, Miednoje”, która ukazała się w 1994 roku. Dziewięć lat temu grupa opolan wykorzystując sprzyjający moment rozpadu ZSRR postanowiła upamiętnić losy tragicznie pomordowanych Polaków. W czerwcu 1992 roku opolanie dotarli do Twier, gdzie na murze byłej NKWD umieścili tablicę pamiątkową. Z kolei nad jeziorem Seliger, naprzeciw wyspy Stolbnyj, gdzie mieścił się tzw. obóz jeniecki, ustawili 8-metrowy modrzewiowy krzyż. Książka jest reportażem opiewającym o przygotowaniach opolan jak i losach tamtej wyprawy — misji do miejsc śmierci i męczeństwa.

Potem nadszedł 1995 rok, ogłoszony przez prezydenta Lecha Wałęsę Międzynarodowym Rokiem Katyńskim. Wydarzyło się wiele, ale — jak wspomina Harry Duda — mogło jeszcze więcej. Dzięki wytrwałej pracy dosłownie kilku osób doszło do wydania drugiej książki. Szczególnie zasługi ponieśli ks. Zdzisław Peszkowski — kapelan Federacji Rodzin Katyńskich, wydawca — dr Tadeusz Podkowska — członek Koła Dolnośląskiej Rodziny Katyńskiej i Teresa Kaczmarek — za jej sprawą w Opolu-Półwsi stanął monument „Golgota Wschodu”.

„Szlakiem zbrodni II” — przedsięwzięcie pionierskie — jak książkę nazywa ks. Z. Peszkowski. Stanowi znaczący wkład w ogólnonarodowe dzieło upamiętnienia ofiar Katynia, Ostaszkowa — Twieru (Kalinina) i Charkowa. Prócz relacji, wspomnień, dokumentów zawiera komentarze i przemyslenia Autora dotyczące stosunków polsko-rosyjskich, daleko odbiegające od obowiazujących na przelomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych.

Książka Harry'ego Dudy jest wielkim zbiorem tego, co w tamtych latach było rozproszone po wielu publikacjach. Wprowadzenie stanowi przegląd zdarzeń i decyzji, które doprowadziły do katyńskiej tragedii. A potem opowiada o zabiegach rządu polskiego nad ujawnieniem jednej z największych tajemnic naszego wieku. Pojawiają się dziesiątki kserokopii, opatrzone takimi oto komentarzami jak na przykład ten: „Oto trzymam w dłoni kserokopię jednego z niegdyś najtajniejszych na świecie dokumentów: straszliwy nagłówek „NKWD”, biurowatyczne cyferki i adnotacje, tekst w języku rosyjskim, na maszynie; cztery zwykłe stronicę, w których czai się śmierć ponad dwudziestu tysięcy ludzi — rozkaz ich rozstrzelania, zaakceptowany zamasztyrskimi podpisami Stalina, Woroszyłowa, Molotowa, Mikojana, z lakoniczną adnotacją na marginesie — „tow. Kalinin — za, tow. Kaganowicz — za”. Urzędnicy tej zbrodni są precyzyjni podobnie jak hitlerowcy: ludzie stoją się na papierze jedynie cyframi i liczbami, które się sumuje...” I dalej: „Jest więc słowo narzędziem nie mniej niebezpiecznym od materialnych środków niszczenia —



By nie powrócił

od bomb, karabinów, mieczy. Nie widzimy tego i nie odczuwamy na co dzień, ale przychodzą chwile, kiedy ta prawda staje przed nami jako oczywista. A jakże jesteśmy niefrasobliwi wobec słów!”

Słowa przerywane są zdjęciami — także słów(!), bo rozkazów, pism, notatek, mówiących o rozstrzelaniach. Są protesty (także słowa!) Stowarzyszenia Katyń, fragmenty artykułów, odwołań... Są zdjęcia: ofiar, zniszczeń dokonanych dla zatarcia śladów destrukcji tego co zrobiono dla uczczenia pamięci pomordowanych. To są zdjęcia Stamtąd...

Znakomitym uzupełnieniem — dokumentacją jest publikacja wszelkiej, odręcznej korespondencji między ks. Peszkowskim, Wydawcą i Autorem książki, są listy, projekty i ich zmiany, pierwsze teksty jakie miały pojawić się na katyńskim krzyżu. A potem następują zapisy słów, osób, wspomnień. Krok po kroku, dzień po dniu, aż do celu, do oficjalnych uroczystości w Katyniu. I są znów słowa, ale słowa poezji nieznanego autora, który pisał: „W dalekiej stronie/w lesie zielonym smoleńskim/otwarta ziemia, usta milczące/ziemia wyjada serce.”, a dalej „Wielki Piątek” Tadeusza Kijonki napisany 13 kwietnia 1990 r, kiedy to władze ZSRR po raz pierwsze oficjalnie potwierdziły fakt dokonania zbrodni katyńskiej na oficerach polskich przez NKWD: „Krokiem marszowym gdy nastal czas/Wraca do kraju katyński las.” (...) Lecz w strażkach kory od tamtych dni/Puchnące sople broczące krwi/I w miąższ wrośnięty kolczasty drut -/Kto lat rozstrzelał jak ludzi wiodł?/Bo pod koroną na wylot ślad/Strzału w tył głowy — tak gdzie kto padł?/Z ustami w ziemi na wieczny czas./By nie powrócił katyński las.”...

WIEŚŁAWA
KONOPELSKA

Jak grać dobrze na fortepianie? Jak uczyć się i jak uczyć lepszemu wykonawstwu? Bardzo interesująca próba odpowiedzi na te i wiele innych pytań dotyczących osiągnięcia technicznej doskonałości i właściwej interpretacji w graniu na fortepianie jest *Przewodnik interpretacji pianistycznej* autorstwa niemieckiej pianistki i jednocześnie znawczyni muzykologii dr Siglind Bruhn. Przetłumaczyły ją dla polskiego czytelnika prof. Lidia Kozubek i doc. Irena Protasiewicz, zaś opublikowało katowickie Wydawnictwo Unia. Trzeba uznać wielki trud tłumaczek, które spotkały się z trudnym tekstem i koniecznością znalezienia właściwych słów dla oddania zawitych czasem przemyśleń i intencji autorki. Być może niektóre sformułowania wymagałyby dopracowania lub komentarza, czasem nawet krytycznego wobec autorki.

Nikla jest w Polsce literatura na temat interpretacji pianistycznej. Z braku takich książek po polsku — wielokrotnie sięgałem do książki Tadeusza Wróńskiego poświęconej utworom... skrzypcowym, aby przez analogię wyciągać wnioski dla pianistyki. Dlatego ta nowa książka jest bardzo potrzebna. Jednak biorąc ją do ręki trzeba mieć świadomość, że adresowana jest do osób o różnych temperamentach, osobowościach, różnych rękach. I nie może być tak, aby ten sam utwór był grany jednakowo przez każdego. To zależy od smaku i indywidualności grającego. Dlatego taka pozycja książkowa stanie się bardzo ważną pomocą, tak dla ucznia, jak i uczącego, wtedy, gdy wybierać się będzie z niej to, co odpowiada konkretnej estetyce każdego z wykonawców czy pedagogów.

Rzemiosło pianistyczne, to znaczy technika jaką posługuje się pianista, jest poprzedzona pracą mózgu, naturalnie przy aktywnej wyobraźni i kontroli słuchowej. A mózg każdego z wykonawców może sobie inaczej organizować materiał muzyczny, który jest podpowiadany palcom. Najpierw musi odbyć się granie w myśli, potem dopiero granie palcami. Organizacja przebiega inaczej u każdego z grających — może dotyczyć myślenia dwoma dźwiękami, a może całym motywem czy frazą. Także różnie można uczyć się gry prawą i lewą ręką, dla których organizacja czasu bywa odmienna. Można z pewnością uczenie się opowywania utworu dzielić na różne etapy, każdy może ćwiczyć w innych tempach. Ćwiczenia opisane w książce mają charakter przykładowy, stosowany z powodzeniem przez autorkę, ale nie mogą stać się zasadą dla wszystkich. Trzeba od Siglind Bruhn wybrać to, co dla danego pedagoga czy ucznia jest logiczne i potrzebne.

Jeżeli tak spojrzymy na *Przewodnik interpretacji pianistycznej*, to staje się on znakomitą publikacją, która łączy doskonale stronę artystyczną: gatunek dźwięku, estetykę, styl, ekspresję, napięcie, nastrój, treść utworu — ze stroną techniczną, to znaczy radzi, jak te zamierzenia artystyczne osiągnąć poprzez właściwe odczytanie tekstu.

Bardzo pozytywne są karty książki poświęcone utworom Bacha. Bach pisał „gole nuty”, bez dodatkowych określeń artykulacji i frazowania. Siglind Bruhn dobrze pokazuje jak powinno się tekst Bacha uzupełnić oznaczeniami artykulacyjnymi i dynamicznymi. Również bardzo dobrze pokazane są sposoby realizacji ozdobników, ornamentów. Pozy-



Dźwięki opisać słowami

tecne są uwagi dotyczące możliwości uzupełniania tekstu własnymi ornamentami i wskazówki jak to technicznie robić. Improwizacyjność jest dla nas trudnym problemem. My nie potrafimy już tego robić, jak to bywało za czasów Bacha, a co jest bardzo przydatne przy niektórych częściach utworów cyklicznych Bacha.

Interesujące są uwagi autorki o muzyce klasycznej, która m.in. omawia problem stosowania lukowania, kojarzącego się z różnymi instrumentami, np. smyczkowymi czy dętymi, albo głosem ludzkim. Za tymi tekstami książki widać osobę ogromnie wrażliwą.

Książka Siglind Bruhn pokazuje, że granie jest sztuką, która łączy w sobie emocje i wyobraźnię, poczucie estetyki i pracę fizyczną na instrumencie, a co najważniejsze — że granie ma tworzyć piękno. Autorka okazuje się nie tylko chłodnym naukowcem, który analizuje teksty kompozytorów, ale artystką uzmysławiającą nam, że granie jest ciągłym kontaktem z pięknem zaklętym w utworach, które trzeba przekazywać słuchaczowi. Wrażliwa kobieta i artystka za tekstem widzi kompozytora — człowieka, który do nas przemawia dźwiękami. Kompozycja bowiem jest zwierzeniem kompozytora, zwierzeniem bez używania słów. I wrażliwy wykonawca używając swego intelektu, wyobraźni, może nawiązać łączność z kompozytorem i wyczuć to, co chciał nam powiedzieć.

Muzyka jest sztuką przemawiania do słuchacza, lecz bez używania słów. I nadzwyczaj trudne są próby opisanie słowami tego co kompozytor powiedział dźwiękiem i brzmieniem. Dlatego ci, którzy — jak Siglind Bruhn — podejmują się tego, i to się im w dużej mierze udaje, przybliżają nam bardzo świat dźwięków. Zasluguje dlatego na uznanie i nasze podziękowanie.

ANDRZEJ JASIŃSKI

Ku źródłom

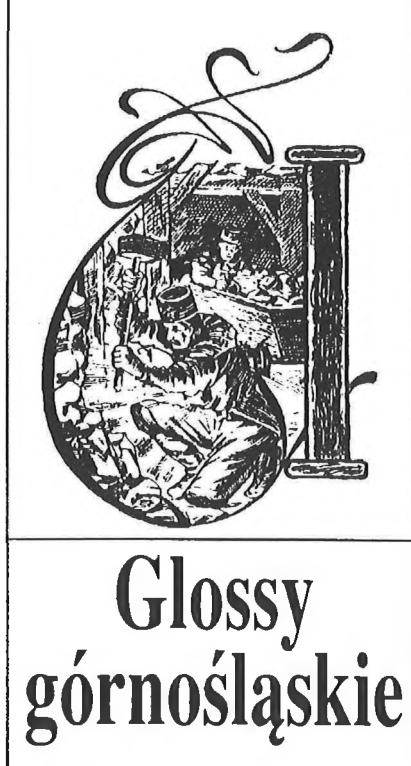
W porę wakacyjną wyrwa się nasza myśl ku zielonym plenerom, jakby wypełniając podświadomy nakaz powrotu do utraconej niegdyś archetypicznej krainy błogiej szczęśliwości. U mieszkańców Czarnego Śląska od dziesiątków lat takie jednoznaczne skojarzenie wywołuje nazwa „Wisła”, oznaczająca śródogórską miejscowość. Dla Bogumiła Hoffa (1829-1894), odkrywcy i popularyzatora Wisły, głównie w kręgach inteligencji warszawskiej, znaczenie tej okolicy wynikało również z faktu, że tu bierze początek królowa polskich rzek. W pierwszym tomie swego dzieła „Lud cieszyński, jego właściwości i siedziby”, który opatrzył tytułem „Początki Wisły i Wiślanie” (Warszawa 1888), pisze jakie emocje przeżywał po dotarciu do tego niepozornego miejsca, gdzie niewielkie ciekły dają początek Rzece. Również liczni podróżnicy, którzy przybywali tu po nim, traktowali tę wędrowkę jako pielgrzymkę do źródeł polskości, które trwają tu od wieków na przekór zaborczym granicom i są dla pozbawionych ojczyzny rodaków jednym z stałych punktów tożsamości narodowej.

Kilkakrotnie do Wisły i na Śląsk Cieszyński jeździł Władysław Umiński (1865-1954). Postać ta — niegdyś znana i popularna — dziś chyba odeszła zupełnie w mrok zapomnienia. Przypomnijmy więc, że był on redaktorem i wydawcą „Czytelnia dla Wszystkich. Tygodnika literacko-powieściowego dla rodzin polskich”, redaktorem pisma dla młodzieży „Wieczory Rodzinne” (1909-1912), współpracownikiem „Przyjaciela Dzieci”, ale i sławnego najważniejszego pisma pozytywistycznego „Prawda” — w jego końcowym okresie, przed pierwszą wojną światową. Był Umiński autorem popularnych niegdyś powieści dla młodzieży. Książki z wątkami fantastyczno-naukowymi („W nieznanne światy”, „Na drugą planetę”) przyniosły mu określenie polskiego konkurenta Verne’a. To przecież on napisał sławnych „Flibustierów”, coś w rodzaju westernu z polskimi bohaterami, którą to książką pasjonowało się kilka pokoleń chłopców.

Z Umińskim w Wiśle

Obszerny tekst Władysława Umińskiego „U źródeł Wisły” drukowany był w roku 1911 w dziesięciu numerach tygodnika „Ziemia”, organu Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. Ma on charakter szczegółowego przewodnika turystycznego wzbogaczonego o informacje dotyczące etnografii, historii i zagadnień narodowościowych. Spójrzmy więc, jak widział Wisłę warszawski pisarz przed osiemdziesięciu Ośmioma laty.

Pociągami dojechać było można tylko do Ustronia. Autor wszędzie więc do miejscowości od strony północnej: „Wrażenie, jakiego doznajemy, znalazłszy się w Wiśle jest bardzo przyjemne. Minąwszy grupę starych chałup



góralskich z tartakiem, przypartym do stó góry Bukowej, widzimy po prawej ręce na ciemnozielonym tle lasów i niebieskawych wzgórz białą wieżę kościółka katolickiego w bardzo malowniczym położeniu. [...] Jadąc dalej, dostrzegamy ukrytą w pięknym otoczeniu willę »Janina« i willę »Nową Warszawę«, własność pp. Hoffów. Przejechawszy przez most, mamy przed sobą cały szereg will po obu stronach drogi. Na lewo willa »Jasna« i domki dra Ochorowicza w zieleni ogródków, na prawo okazała willa »Maja« i willa »Sokół«. W każdej z tych will przybywający do Wisły znajdzie według życzenia albo pokoje osobne, albo też mieszkanie z całkowitym utrzymaniem, tak zwany pensjonat.

Minąwszy karczmę gminną, widzimy drugi kościół — ewangelicki, kryjący się wśród drzew; naprzeciwko szkoła i plebania pastora ewangelickiego. Zaraz za plebanią przy samej drodze ukazuje się naszym oczom ładny, piętrowy hotel pensjonat »Piaśt« z restauracją, własność p. B. Hoffa.”

Większość miejsca w tekście Umińskiego zajmuje użyteczny dla turysty opis topograficzno-krajoznawczy gór, dolin i ścieżek, którymi można się wyprowadzić na bliższe i dalsze wycieczki. Jest tu przecież również interesujący fragment poświęcony „Stosunkom politycznym”. Czytamy w nim: „Konstytucja austriacka przyznaje w zasadzie równouprawnienie wszystkim narodowościom. Ludność Księstwa Cieszyńskiego, na wsi przeważnie polska, powinna cieszyć się tymi samymi przywilejami, co i niemiecka, ale w gruncie rzeczy wiele do tego brakuje. [...]”

Urzędowym językiem de facto jest dotąd niemiecki, wszystkie rozporządzenia władz centralnych do gminy przychodzą w języku niemieckim i w tym samym języku są załatwiane,

choć język polski jest teoretycznie równouprawniony. Stan to niewątpliwie nienormalny, niezgodny z brzmieniem konstytucji. Należy się spodziewać, że z postępowym uświadomieniem język polski odzyska prawa mu przysługujące. Niemcy starają się także wpływać na szkolnictwo. Każdemu dobrze są znane dzieje walki o gimnazjum polskie w Cieszynie i świeża walka o seminarium polskie tamże.

Do niedawna Wisła znajdowała się pod wpływem niemieckim, hotel miejscowy był w ręku Niemca i o mało co nie przeszedł następnie w posiadanie hakatystycznie usposobionego Beskidu Vereinu. Odkupił go jednakże pan Bogdan Hoff. Ojciec p. Bogdana Hoffa, Bogumił Hoff, etnograf, autor pracy »Lud Cieszyński«, pierwszy z inteligentów Polaków osiedlił się w Wiśle i dał początek powstaniu całego szeregu will, należących dziś do rozmaitych osób, pochodzących bądź z Galicji, bądź z Królestwa Polskiego. Charakter polski Wisły jest więc zabezpieczony”.

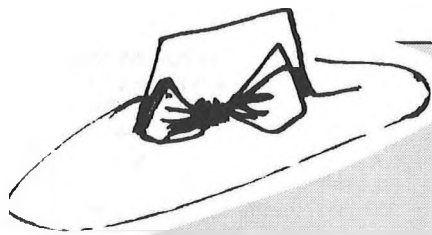
Z perspektywy lat

Gdy w dwadzieścia kilka lat później wspominał Władysław Umiński swoje tu pobyty, podkreślał zwłaszcza rolę znanego w kraju i za granicą Juliana Ochorowicza, który w Wiśle osiadł i znacznie przyczynił się swymi inwestycjami do ściągania tu na pobyty dłuższe i krótsze Polaków z centrum kraju. Polscy turyści zapuszczali się także w dalsze okolice — do Istebnej, Jabłonkowa, Cieszyzna. „Wszędzie z zadowoleniem dostrzegano głęboko wrosłą, choć nieuświadomioną polskość tych okolic. Nie chcę wpadać w przesadę, zdaje mi się jednak, że te letnie odwiedziny inteligencji polskiej na byłym Śląsku austriackim niemało się przyczyniły do rozbudzenia w duszy tamtejszego ludu poczucia przynależności do wielkiego Narodu polskiego. Czyż inaczej moglibyśmy sięgać po te ziemie i zdołał je utrzymać przy odrodzonej Polsce? Wszak dowieść zaśnieźniałem w swoim zakątku Ślązakowi, że istnieją panowie polscy, adwokaci, lekarze, profesorowie, bogaci fabrykanci i właściciele ziemscy, że istnieje obszerny, bogaty, kulturalny, choć rozdarty między trzy państwa zaborcze kraj, w którym rozbrzmiewa, jak długi on i szeroki, mowa ta sama, jakiej od wieków używał lud na Śląsku; było to chyba najbardziej przekonującą i owocną propagandą za Polską. [...] Niemcy jakby przeczuwali, że te liczne odwiedziny odrywają od macochy Austrii piękny szmat kraju, z dawien dawna polskiego.”

(*Moje wspomnienia z pobytu na Śląsku Cieszyńskim*. „Zaranie Śląskie” 1934, zeszyt 2)

No, i jakim to piękny obszar badań otworzył nam się przy okazji tych wakacyjnych refleksji!

WOJCIECH JANOTA



Listy spod kapelusza

Witaj droga moja, w dniu ciepłym i pachnącym zielenią i kwieciami różnorodnym. Sentymentalny wstęp zawdzięczasz temu, że siedzę wśród owej zieleni, w ogrodzie otaczającym zamek w Rogowie Opolskim. Jest tutaj tak, jak w śnie o fruwaniu.

Przyjechałam, aby się skupić, wyciszyć i rozpocząć pisanie tego, co od dawna mi w głowie szeleści. - Wyjdziesz, zostaw własne kąty, bądź tylko z sobą, zobaczysz, jak wtedy można pisać - doradzał mi Józef Hen, który taką ma właśnie metodę na pisanie, a przynajmniej trzeba, że jej efekty są wspaniałe. Ale zapomnij, jak powiedziałaby nasza młódź, bynajmniej nie wszechcenna. Zupełnie ta metoda nie odpowiada temu, co moje. Dopiero tutaj zrozumiałam, że i ja mam swoją metodę, o której nie wiedziałam.

Obce wnętrza, zieleni za oknami zamiast okien sąsiadów, brak własnych pólek z książkami, możliwości wejścia do własnej kuchni, ugotowania czegoś tam pomiędzy jednym napisanym akapitem a drugim, zewsząd cisza - to bynajmniej nie moje warunki do pisania. Lata przyzwyczajeni robią swoje, droga moja. I ani trochę pisać nie mogę w tych idealnych warunkach. Zawsze przecież byłam pomiędzy psem a kotem, praniem a rozmową z dziewczynkami, dzwonkiem telefonu albo domofonu.

Widocznie tylko niesprzyjające warunki są moimi warunkami. Tutaj, w ciszy rogowskiego zamku odnajduję się i skupiam, to prawda. Ale pisanie rozpocząć będę mogła tylko w domowych kątach. Szczeliny i wszelkie „pomiędzy” to moja rzeczywistość. W niej odnajduję siłę do pisania i swoją przestrzeń. Inna, ta, w której teraz jestem, rozmarza mnie i rozleniwia. W niej znajduję miejsce na lektury, które odkładałam na potem, jakbym prze-czuwała, że wynagać będą szczególnej atmosfery. Jest mi oczywiście potrzebna, bo w niej przyznaję rację sobie, daję możliwość doskonalenia się wrażliwości, a w ciszy, w ciemności, pod drzewem zwanym tulipanowcem (nieprawdopodobnie piękne kwiaty ma to drzewo) odkrywam drogi, w które nikogo nie mogę zabrać. I utwierdzona w tym, że je mam tylko dla siebie, wrócę do własnego kąta i swoich w nim rzeczy, by wyrzucić z siebie wszystko, co się nagromadziło. By pracować, narzekając, że tyle spraw na mojej głowie.

Mając do dyspozycji wiele czasu, pozwalam mu płynąć bez rachowania. Sobie też pozwalam po prostu być. I stoję ufnie, jak powiedziałby Rilke, bez obawy, że mogłoby nie nadejść lato. A lato przychodzi do cierpliwych. Uczę się tej cierpliwości codziennie. Sytuacja, którą Ci opisuję jest paradoksalna, ale najbardziej moja. Wiem, nie będę się buntować, ani niczego zmieniać. Ani też naśladować innych.

Wybacz, droga moja, tę autotematyczność. Wiem, że spragniona jesteś opowieści o tym, co widziałam i czym się zachwyciłam. Ale tak się składało ostatnio, że bywałam mało i zawsze w ostatniej chwili rezygnowałam z wyjścia na wernisaż, czy do teatru. Nie czuję się przez to uboższa. Coś straciłam, coś zyskałam. Pogłębiałam swój zachwyt dla pisarstwa Zofii Chądzyńskiej. Przedtem, dzięki niej mogłam zachwycać się literaturą iberoamerykańską, szczególnie Cortazarem. Potem dzięki niej odkryłam dla siebie Jeana Reverzy'ego. Jestem jednak pewna, że wszystkie swoje powieści napisała przede wszystkim dla mnie. I ciągle się zastanawiam, jak to jest, że pisarz wypowiada jakieś myśli, ja dopowiadam je swoimi konkretyzacjami i uznaję za własne, dziwiąc się, że były one także we mnie, choć to nie ja znalazłam słowa, by je wyrazić. Zofia Chądzyńska, znana jako tłumaczka, nie zamierzała zostać pisarką. Zdecydowało o tym 10-minutowe i jedyne spotkanie z Reverzy'm. Kiedy napisała swoją pierwszą książkę i zamierzała mu ją wysłać, dowiedziała się z prasy, że Reverzy odebrał sobie życie. Powieści i wspomnienia Chądzyńskiej są takie, że po raz pierwszy w życiu nie chciałabym ich nikomu polecić. Wybacz, nawet Tobie. Chciałabym je zatrzymać tylko dla siebie.

Tobie, droga moja, wysyłam natomiast „Alchemię”, nową, solową płytę Małgorzaty Ostrowskiej. Mam nadzieję, że w następnym sezonie odbędzie się w Teatrze Rozrywki w Chorzowie koncert promocyjny, a wtedy Ostrowska będzie mogła nareszcie wyrazić wszystko z właściwą sobie ekspresją, której brakowało jej, gdy zapętlona na ście śpiewała w tymże teatrze w „Pocałunku kobiety-pajaka”.

Bardzo bardzo

Twoja MARTA FOX

w dniu czerwcowo-burzowym 1999 roku

Edward Inglot wystawia swe prace rzadko. Ale, jeśli już się zdecyduje na prezentację, to dostarcza uczestnikom pokazu wielu przeżyć. Czasem, być może, nawet w odbiorze trudnych, bo jest to sztuka nie schlebająca powszednim gustom a więc dalece niekomercyjna, lecz z czasem — obraz za obrazem — następuje u widza oswojenie, akceptacja. I nawet przyjaźń. Bo jakże się nie przekonać do ekspozycji (wnętrze galerii ma coś z klimatu nawy kościelnej), w której odnajdujemy swe wewnętrzne stany, gdzie zadźwięczy w nas nutka nostalgii, poddamy się chwilom skupienia wręcz modlitewnego. Nie zabraknie również przeżyć estetycznych, dalece wysublimowanych, bo poetyckich.

Właśnie nad ową subtelnością poetyką, tak charakterystyczną dla malarstwa Edwarda Ingolta, należy się nieco dłużej zatrzymać. Otóż w początkach lat osiemdziesiątych wydał zbiorek swowistych rysunków-wierszy pt. „Razowiec”. O tego typu publikacji marzy chyba każdy malarz, posiadający ambicje poetyckie. Ideala nikt jeszcze nie osiągnął, i nie dokonał tego również Ingolt, ale może się przynajmniej do niego zbliżyć. I taką próbę — wcale zresztą udaną, podjął autor intrygującego dziełka.

Nic dziwnego zatem, że w jego płótnach jest tak wiele poezji, która wyrasta z umowności i symboli oraz tropów kulturowych. Podstawą niemal każdego obrazu (zwykle są to charakterystyczne postacie, występujące pojedynczo bądź w parze, w tła-

Ognie na wietrze

rzach których łatwo odnaleźć rysy autora i jego żony, Ilony) jest rysunek i malarstwo; na misterną siatkę linii nakładają się plamy barwne. Zamazy farby, to zwykłe sygnały (ogień na wietrze, trawienie płomieniami, prażenie w piecu), ostre i niepokojące znaki zdarzeń, które doprowadziły oto do plastycznego, bardzo przy tym dramatycznego przedstawienia.

Najpierwszym i do końca najważniejszym w tej plastyce jest jednak rysunek. Składają się nań misterne i zawsze ruchliwe i napięte kreski, które raz nieledwie muskają, to znów wcinają się mocno, by czasem chlasnąć na odlew...

W ostatnich ekspozycjach, dotyczy to zwłaszcza wystawy prezentowanej niedawno w galerii „Inny Śląsk” w Tarnowskich Górach, Inglot odchodzi od „heppeningów” (onegdaj angażował pokrewne dziedziny sztuki: teatr, taniec, muzykę, poszerzał wypowiedzi malarskie środkami audiowizualnymi, własną poezją oraz rekwiizytami o znaczeniu symbolicznym). Spośród rekwiizytów (plug mówił o więzi autora z ziemią, konik na biegunach przeniesiony z dzieciństwa w dorosłość był łącznikiem ze źródłem) zachował tylko chleb (bochenek jest również częstym motywem obrazów) — symbol dzielenia się nie tylko podstawowym dobrem domowym, ale i sztuką.

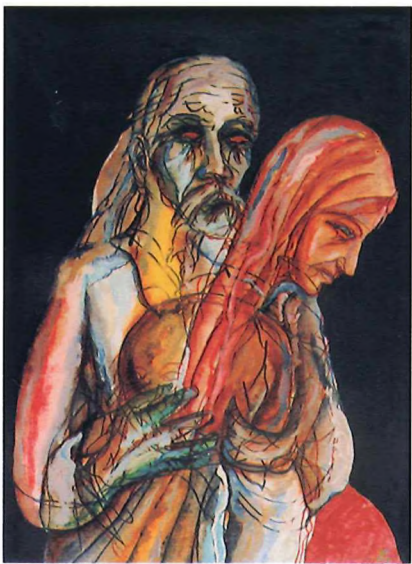
Tarnogórska wystawa dowodzi coś jeszcze innego. Inglot zarzucił mianowicie poprzednie epatowanie nagłymi zmianami nastroju (przestał uderzać w oczy kolorami, ostro, niczym pokrzywami), stał się bardziej skupiony. I wyciszony. Ale tak już bywa u artystów — dojrzałość (życiowa i warsztatowa) uczy jednego: pokory. A ta wyraża się zawsze w prostocie. I umiarze.

Po wyjściu z wystawy wciąż zdaje się nam towarzyszyć smutna i dziwna para z atrybutem królewskości w postaci korony nasadzonej na skronie. Odprowadza nas tylko, bo przecież zdążyliśmy się polubić, czy też wiedzie ją ciekawość, gdzie teraz zmierzamy...

Godzi się dodać, iż prace Edwarda Ingolta znajdują się w zbiorach prywatnych i państwowych w kraju i zagranicą. Wystawiał się oraz brał udział w licznych prezentacjach krajowych i zagranicznych (Algieria, Austria, Belgia, Czechy, Hiszpania, Niemcy, Francja, Węgry).

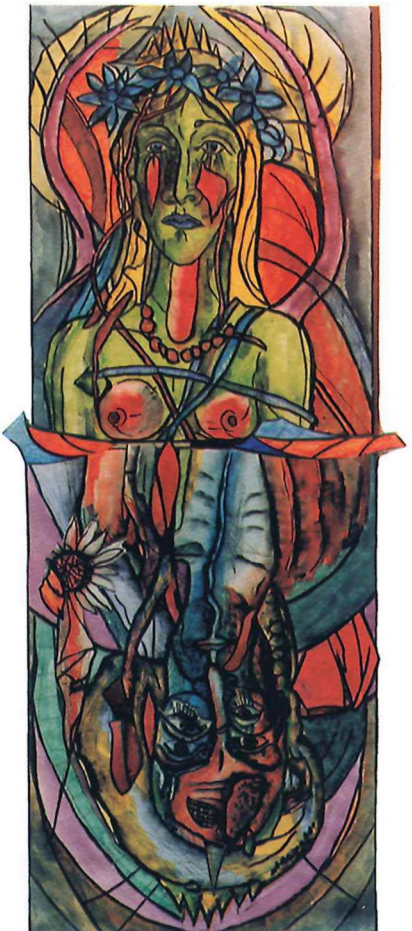
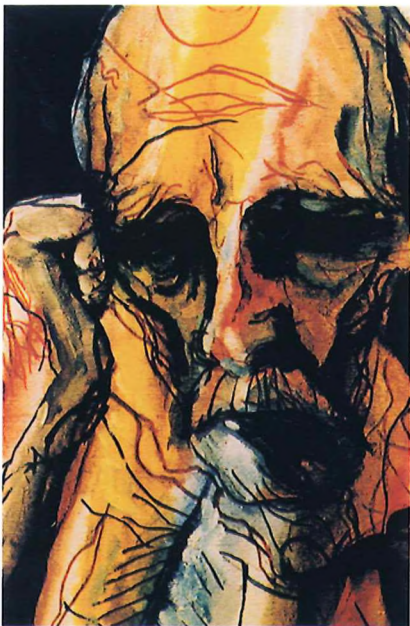
EDWARD SZOPA

Edward Inglot: „Razowiec” - obrazy i rysunki. III Galeria Sztuki „Inny Śląsk”. Tarnowskie Góry. Maj - czerwiec 1999.



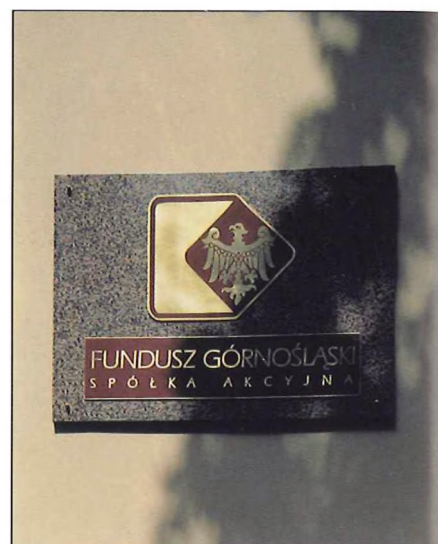
OBRAZY I RYSUNKI III
 maj 1999
 galeria sztuki
 „Inny Śląsk”

**EDWARD
 INGLOT**





Widok od frontu — ul. Sokolska



Willa Luisa Dame'a

(siedziba
Funduszu
Górnośląskiego SA)



Widok od ulicy Zabrskiej



Wnętrze w trakcie remontu

Takich budowli jak ta przy ulicy Sokolskiej 8 jest w Katowicach zaledwie kilka, a właściwie tylko dwie: willa Grundmana przy ulicy Warszawskiej i willa Goldsteinów przy placu Wolności. Łączy je jedna cecha: dążenie ich pierwszych właścicieli do izolacji od przemysłowego otoczenia, kontaktu z przyrodą oraz typową dla Śląska początki XX wieku zasadą działania jednego organizmu: willi i zakładu fabrycznego.

Willa przy Sokolskiej, zaprojektowana przez Luisa Dame'a, zwana jest przez mieszkańców Katowic „pałacikiem”. Z pewnością dlatego, że swoim wyglądem przypomina romantyczną budowlę, którą charakteryzują swobodne, nieregularne elementy architektoniczne, wieżyczki i balkony. Mimo iż znajduje się przy jednej z najbardziej ruchliwych ulic Katowic, sprawia wrażenie wyciszonej. Bryła „pałacyku” schowana jest za zasłoną bujnych drzew i otoczona zdobnym parkanem.

Willa została wzniesiona w 1900 roku, lecz swoim wyglądem przypomina rezydencje jakiegoś w modzie w XIX wieku. Luis Dame - mistrz budowlany przełomu XIX i XX stulecia, był nie tylko projektantem willi, ale także jej pierwszym lokatorem. Willa Dame'a zdecydowanie różni się jednak od innych, jakie zaprojektował. W Katowicach są to kamienice: narożna przy Alei Korfantego 3 i Piastowskiej 1, przy ulicy Jagiellońskiej 36 i przy placu Wolności 2. Podobne budowle, łączące elementy neogotyckie i romantyczne, Luis Dame wznosił również w pobliskich Michałowicach. Budowle te wskazują na dwutorowość stylu projektanta: obiekty podmiejskie cechuje styl swobodny, romantyczny, z kolei kamienice miejskie odznaczają się schematyzmem, dbałością o symetryczność oraz osiowość budowli. Katowicka willa Luisa Dame'a uważana jest za jeden z ciekawszych obiektów architektonicznych w mieście, dlatego też została wpisana do rejestru zabytków.

Styl willi Luisa Dame'a wzorowany jest na posiadłościach powstających najpierw w XIX wiekowej Anglii, gdzie osiedla podobnych willi powstawały na obrzeżach przemysłowych miast. Wzorcem dla nich było wschodnie osiedle parkowe w Londynie Johna Nasha. Z Anglii styl ten przeniknął do Niemiec, skąd najprawdopodobniej przywędrował

Nowoczesność w staroświeckim opakowaniu

na Śląsk. Zasadniczą rzeczą różniącą angielskie osiedla willowe od śląskich było ich sytuowanie w granicach przemysłowych centrów; willom na Śląsku towarzyszyły obiekty fabryczne.

Willi przy ulicy Sokolskiej w swoim wyglądzie zewnętrznym przypomina Pałac Myśliwski w Promnicach, znakomity przykład budownictwa rezydencjonalnego. Zbudowana jest z cegły, z dekoracją sztachulcową w górnej partii budynku. Sztachulcowa dekoracja daje nie tylko wrażenie solidności ale i pewnej surowości zbliżającej charakterem willę do późnośredniowiecznych zamków. Posiada dwie kondygnacje, użytkowe poddasze i jest podpiwniczona. Budynek główny kryty jest dachem wielospadowym. Charakterystycznymi elementami konstrukcji obiektu są cztery ryzality, czyli wysunięte elementy elewacji oraz narożna wieża usytuowana w elewacji od ulicy Sokolskiej i Zaborskiej. Z pewnością pełne uroku są umieszczone w części dachowej lukarny.

W 1928 roku w willi Dame'a ulokowany został Konsulat Niemiecki. W tym też czasie dobudowana została oficyna, a także najprawdopodobniej dokonano zmian w strukturze pomieszczeń. W latach II wojny nieznany

jest los willi i jej kolejnych właścicieli. Po wojnie, do 1989 roku mieściła się w niej siedziba prokuratury rejonowej.

Wraz ze zmianami lokatorów następowała również zmiana otoczenia willi. Zlikwidowano ogród rozciągający się wzdłuż ulicy Sokolskiej, zlikwidowano stajnie, warsztat i skład drewna. Zmieniono bramę wjazdową oraz rozbudowano zabudowania gospodarcze o garaże.

Potem przyszły długie lata oczekiwania na nowego właściciela. Willa - pałacyk stała i niszczała coraz bardziej. Aż dopiero po upływie bez mała dziesięciu lat znalazł się nowy właściciel. Został nim Fundusz Górnośląski S.A., który w dniu 26 kwietnia 1999 roku przejął tu swoją siedzibę.

Dzięki staraniom Funduszu Górnośląskiego willa Luisa Dame'a odzyskała swą dawną świetność, nadto wzbogaconą o nowo-

czesne elementy architektoniczne: metal i szkło. Został przeprowadzony kompleksowy remont, uwzględniający wszelkie wymogi restauracji obiektu zabytkowego. Usunięto między innymi zawilgocone fundamenty, wymieniono przegniłe i zawilgocone stropy oraz więźbę dachową. Konieczne okazało się wymienienie zniszczonych podłóg, naprawa spękanych tynków oraz wymiana stolarki okiennej i drzwiowej. Założona została nowa instalacja elektryczna, wodno-kanalizacyjna oraz zamontowano nowy system grzewczy. Zainstalowano system monitoringu przeciwpożarowego i przeciwwłamaniowego. Wejście do obiektu zostało przystosowane dla osób niepełnosprawnych. Postawiono nowe ogrodzenie z estetyczną metalową, kutą bramą i furtką, na klombach znów pojawiły się kwiaty i krzewy ozdobne. Wieczorem całość lśni w blasku dyskretnych reflektorów. W ten sposób Katowice odzyskały jeszcze jeden piękny zabytkowy obiekt, który jakże inny jest od nowoczesnych tak popularnych „szklanych domów”. Ponadto przypomina o świetności Katowic, przywołując atmosferę (choć w mini wydaniu) miasta z początku wieku XX.

Oprac. (wk)

Wielka promocja

Wielka wystawa fotografii *National Geographic* zapowiadana była przez organizatorów na kilka tygodni przed wernisażem jako wielkie wydarzenie nie tylko promocyjne ale i artystyczne. I takim była w rzeczywistości. Najpierw na ulicach Katowic (wystawa przywędrowała tu prosto ze stolicy, a potem ma odwiedzić tylko kilka wybranych miast w kraju) pojawiły się ogromnych rozmiarów piękne plakaty przedstawiające niezwyklej urody dziewczynę rodem z odległych od nas o tysiące kilometrów dzikich ostępów. Dzikie, zielono-żółte oczy spoglądały z nieufnie, frapująco. Nie tylko przyciągał plakat. Nazwisko wybitnego artysty fotografa Tomasza Tomaszewskiego - jedyne polskiego fotografa współpracującego od kilku lat z „National Geographic” przyciągało nie mniej.

Na wernisaż w dniu 14 maja do Galerii katowickiego BWA, gdzie odbywała się wystawa, przybył tłum zaproszonych gości (za okazaniem zaproszenia). Przestrzeń galerii wypełniły sporych rozmiarów i niezwyklej urody barwne fotografie flory i fauny jaką tylko można znaleźć w najdzikszych zakątkach naszej ziemi, otchłaniach głębin, bezkresnych sawannach, stepach.

Celem głównym organizatorów wystawy była wielka promocja najsłynniejszego w świecie magazynu „National Geographic”, a właściwie jego polskiej edycji, która wchodzi na polski rynek prasowy.

Czy jednak magazyn ten robi spodziewaną furorę wśród miłośników przyrody, odkryć geograficznych i przygody? Magazyn chlubiący się najlepszą światową jakością zdjęć, niezwyklej tematyką, fascynującymi artykułami być może kilka lat temu byłby prawdziwym przebojem na polskim rynku. Niewielkich rozmiarów pismo zawiera owszem sporo zdjęć, ale te najciekawsze często częściowo ukrywają się w klejonym grzbiecie. A teksty? No cóż, po lekturze specjalnie przygotowanego promocyjnego numeru, nie zaskoczyły, a wręcz zaskoczyły banalnością i ogólnikowym traktowaniem tematu. Kilkudziesięciostronicowe wydanie można było przejrzeć (bo czytać nie za bardzo było co) w kilkadziesiąt minut. Ciekawie, na jakiego czytelnika liczą polscy wydawcy?

Zdecydowanie lepiej było obejrzeć wystawę i spróbować wielu wyszukanych potraw serwowanych na wystawym, znakomicie przygotowanym bankiecie.

WIESŁAWA KONOPELSKA

KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

Województwo śląskie dawne i nowe

W Bibliotece Śląskiej otwarta została wystawa pt. „Województwo Śląskie - tradycje, dzień dzisiejszy, perspektywy”. W obecnym województwie, które zaczęło swe formalne istnienie 1 stycznia 1999 roku, nawiązuje się do tradycji województwa śląskiego, które powstało w roku 1922. Tamte władze Rzeczypospolitej wyróżniły spośród innych, nadając mu szeroką autonomię. Parlament województwa - Sejm Śląski, był szkołą samorządności i wzorem dla dzisiejszych działaczy samorządowych.

Na wystawie zaakcentowane zostały te historyczne odniesienia. Ekspozowane są m.in. barwne reprodukcje aktu objęcia Górnego Śląska z 16 lipca 1922 roku i aktu poświęcenia gmachu Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego i Sejmu Śląskiego z 5 maja 1929 roku. Mapki obu województw pozwalają na porównanie ich terytoriów. Materiały stanowiące główną część ekspozycji sygnalizują najważniejszy problem nowego województwa: dążenie do stworzenia nowego wizerunku regionu - restrukturyzującego się, szukającego swego miejsca w zjednoczonej Europie, atrakcyjnego dla kapitału obcego, ale też posiadającego duże walory turystyczne i dbającego o zachowanie regionalnej tożsamości.

Książka i prasa na Śląsku

Instytut Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowo-Technicznej Uniwersytetu Śląskiego był organizatorem konferencji (29 kwietnia br.), która przebiegała pod hasłem „Obiegi książki i prasy na Śląsku, a wielokulturowość regionu”. Konferencja odbyła się w Sali Rady Wydziału Filologicznego UŚ. Gospodarzem spotkania był Zakład Historii Książki IBN-u, a wśród uczestników znaleźli się oprócz pracowników Wydziału Filologicznego i zaproszonych przedstawicieli władz miasta, także goście z Cieszyna (Filia UŚ), Opola (Uniwersytet Opolski), jak również zainteresowani studenci.

Wygłoszono 13 referatów, a ich autorami były osoby zajmujące się problematyką biblioteki, książki, prasy na Śląsku, zarówno

badacze z dorobkiem naukowym (J. Glensk, J. Socha), jak również początkujący na niwie naukowej (doktoranci). Konferencja przyniosła rozważania nad dziejami słowa drukowanego i pisanego utrwalonego w księgach, publikacjach prasowych czy listach w XIX i XX wieku, a także zagadnienia współczesne poświęcone tej tematyce (M. Kalczyńska). Konferencję prowadziła dyrektorka IBN-u prof. I. Socha, a następnie wybitny prasoznawca z Opola - prof. J. Glensk. O wielokulturowości regionu jako szczególnej formie komunikacji mówiła dr Diana Pieruch-Reizes.

W toku konferencji poruszono różnorodne problemy obiegu książki i prasy na Śląsku (Cieszyńskim, Pruskim). Konferencja zakończona krótką dyskusją wprowadziła nie wyczerpała całej problematyki, wskazała jednak na różnorodne aspekty badawcze, dokonała pewnych syntez, jak również zawierała wystąpienia o charakterze przyczynkowym. Referentki zwróciły uwagę na twierdzenie ks. dr Emila Szramka, iż Śląsk pozostaje problemem socjologicznym, istnieje tutaj „dziwny spłot starych i nowych antagonizmów”.

Śląscy studenci w Ołomuńcu

W maju w Ołomuńcu odbyła się trzydniowa studencka konferencja na temat „Transformacja czeska i polska postkomunistyczna społeczność. Studenckie refleksje”. W dyskusji, która toczyła się w pięknych, zabytkowych salach Uniwersytetu im. Palockiego, wzięli udział studenci socjologii z Koła Naukowego Socjologów Uniwersytetu Śląskiego oraz dr Marek Dziewierski z Instytutu Socjologii UŚ.

Podczas obrad poruszano liczne problemy związane z szeroko pojętą transformacją. Śląscy studenci: Justyna Łuksza, Anna Walczuch, Marcin Sikora, Piotr Smereka, Borys Cymbrowski i Krzysztof Bierwiałonek mówili między innymi o sytuacji regionów pogranicza w końcu XX wieku, powstawaniu społeczeństwa informatycznego, roli sondaży przedwyborczych w państwach postkomunistycznych, tworzeniu „underclass”, społecznych aspektach zdrowia w sytuacji transformacji. Czescy gospodarze zwracali uwagę na zmieniającą się rolę kobiet w latach 90-tych, funkcję dyskusji międzypokoleniowych w lepszym zrozumieniu współczesnego świata.

Oprócz części naukowej śląscy studenci mieli okazję zwiedzić trzecie co do wielkości morawskie miasto. Ten stary gród (prawa miejskie od 1261 r.) znany jest z zabytków architektury - zespołu sześciu barokowych fontann i kolumna Trójcy Świętej, znajdujące się na kilku placach Ołomuńca, wpisane zostały do dziedzictwa kulturowego UNESCO.

Konferencja ta zapoczątkowała kontakty śląskich i morawskich studentów socjologii.

Jednym zdaniem

■ Replika tegorocznego krakowskiego Festiwalu Filmów Dokumentalnych i Krótkometrażowych, podczas której można było zobaczyć najlepsze polskie i zagraniczne filmy międzynarodowej i ogólnopolskiej edycji Festiwalu odbyła się w kinie „Zorza” w Katowicach.

■ Chorzowska galeria „Przy kominku” prezentowała wystawę malarstwa Aleksandry Rej-Fabisiak - absolwentki katowickiej Filii krakowskiej ASP w pracowni malarstwa prof. Romana Nowotarskiego.

■ Uczeń Szkoły Muzycznej Yamaha w Jastrzębiu Zdroju - Bartosz Przekwas, został wybrany jedynym reprezentantem Polski na Europejskim Festiwalu Szkół Muzycznych Yamaha w Amsterdamie.

■ Wystawa „Ostrawa w promieniach czasu”, która była prezentowana w Muzeum Historii Katowic została przygotowana przez Centrum Kultury i Kształcenia w Morawskiej Ostrawie, Archiwum Miejskie w Ostrawie, Muzeum Ziemi Śląskiej w Opawie i Urząd Miasta Ostrawy.

■ „Grajmy Panu!” to tytuł wystawy zorganizowanej przez Muzeum Historii Katowic, dla uczczenia pobytu Ojca Świętego w Ojczyźnie.

■ Wierszy Barbary Dziekaniekiej i Grzegorza Słobodka - członków Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego, można było wysłuchać podczas wieczoru autorskiego zorganizowanego w Muzeum Miejskim w Siemianowicach Śląskich.

■ Na zakończenie sezonu teatralnego Teatr Muzyczny w Gliwicach przygotował premierę widowiska muzycznego pt. „George Gershwin: malarz błękitu”, w skład którego weszły najsłynniejsze standardy teatralne i filmowe tego kompozytora: „Błękitna rapsodia”, „Amerykanin w Paryżu”, „Koncert F-dur” i „Porgy and Bess”.

■ W ramach obchodów Roku Chopinowskiego w Bibliotece Śląskiej odbył się koncert zorganizowany przez Instytucję Upowszechniania Muzyki „Silesia”, w ramach którego odbył się recital mistrzowski wybitnej pianistki Lidii Grychtolówny.

■ W Rudzie Śląskiej ukazał się kolejny numer rocznika informacyjno-teleadresowego „Witraz Rudzki. Ruda Śląska 1999” oraz książka „Miejska Biblioteka Publiczna w Rudzie Śląskiej 1999” pod redakcją Krystiana Galuski - dyrektora MBP.

■ Z okazji 10-lecia istnienia miasta Ruda Śląska w obecnych granicach administracyjnych w Galerii Działalności „Krekol” otwarto wystawę „Ruda Śląska w malarstwie i książce”.

■ Promocja nowej książki Mariana Kisiele - krytyka literackiego, pracownika naukowego Uniwersytetu Śląskiego a także kierownika działu literatury w naszym miesięczniku, zatytułowanej „Od Różewicza. Małe szkice o poezji”, odbyła się w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Zabrze.

Premiera w „Ateneum”

„Jak Bulandra Rokitkę oszukali” to tytuł najnowszej (i ostatniej w tym sezonie) premiery Śląskiego Teatru Lalki i Aktora „Ateneum”, która miała miejsce 30 kwietnia br.

Ta zabawna, oparta na śląskim folklorze baśń Gustawa Morcinka o zycznym i dzielnym górniku, na którego duszę czyha niezbyt rożgarnięty diabeł, wysłany z piekła z paskudną misją robienia ludziom na złość, pojawia się na katowickiej scenie po raz trzeci. Tym razem w opracowaniu i reżyserii Bogdana Nauki, scenografii zmarłego niedawno Jerzego Zitzmanna oraz muzyką Bogumiła Pasternaka. W rolach tytułowych zobaczmy Piotra Gabriela i Bogusławę Jaremwicz.

Przy okazji warto sięgnąć pamięcią do wyreżyserowanej przez Ireneę Wojtycką prapremierowej inscenizacji z 1960 r., chociażby ze względu na znakomite nazwiska twórców, które znalazły się wówczas na afiszu: Krzysztofa Pendereckiego (muzyka), Teofila Ociepki (dekoracje) i Jerzego Zitzmanna (lalki). Przedstawienie cieszyło się ogromną popularnością - zagrano je około 300 razy. Przyniosło też teatrowi festiwalowe nagrody (Opole 1962 r.).

W 1979 roku Morcinkowym tekstem zainteresowali się reżyser Jan Klemens, plastyk Zenon Moskwa i kompozytor Bogumił Pasternak. Realizacja miała na swym koncie ponad 100 widowisk i występy gościnne w Bułgarii.

Sesja poświęcona ks. dr Emilowi Szramkowi

Niedawna beatyfikacja ks. Emila Szramka przez Ojca Świętego podczas pobytu w Ojcach, co poprzedzona została sesją naukową pt. „U progu beatyfikacji ks. dr Emila Szramka”, której organizatorami byli Biblioteka Śląska i Górnos Śląskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Sesja odbyła się 18 maja w sali audytorijnej „Parnassos” Biblioteki Śląskiej.

W programie sesji znalazło się wiele interesujących wystąpień dotyczących postaci ks. Szramka. I tak mówiono o beatyfikacji 108 męczenników, której za niespełna miesiąc miał dokonać w Warszawie papież (ks. dr Eugeniusz Szczotok), o ks. Szramku w kontekście problemów religijnych na Śląsku (prof. dr hab. Grażyna Szewczyk), postawie intelektualnej jako wyrazie wiary ks. Szramka (ks. Henryk Pyka), jego naukowych pasjach (prof. dr hab. Jan Malicki), niezwykłych spotkaniach (prof. zw. dr hab. Józef Śliwiak).

W programie znalazła się również poezja ks. prof. dr hab. Jerzego Szymika w wykonaniu poety, esej literacko-muzyczny „Pamięć

o Człowieku” w wykonaniu Karola Bulandy i Piotra Wierchalska z Państwowego Liceum Muzycznego im. K. Szymanowskiego w Katowicach. Sesji towarzyszyła wystawa autorstwa Ireny Nitsche „Z śląskiej ziemi wyrosła” poświęcona kapłanom męczennikom ks. Emilowi Szramkowi i ks. Józefowi Czempielowi (jednemu spośród 108 beatyfikowanych męczenników).

Tyskie Lato Poetyckie po raz ósmy

Miejski Ośrodek Kultury w Tychach ogłasza konkurs poetycki, adresowany do wszystkich piszących, którzy nie opublikowali jeszcze samodzielnej książki poetyckiej.

Warunkiem uczestnictwa jest nadesłanie trzech nigdzie nie publikowanych ani nagradzanych w innych konkursach utworów. Należy opatrzyć je godłem i powielić w trzech egzemplarzach. W kopercie opatrzonej godłem należy umieścić informację zawierającą dane osobowe i krótką notę biograficzną.

Utwory należy nadsyłać do 30 września 1999 r. pod adresem: MOK Świątlica Środowiskowa w Tychach-Wilkowicach, ul. Szkolna 94, 43-100 Tychy. Z dopiskiem na kopercie: VIII Tyskie Lato Poetyckie.

Na laureatów czekają nagrody pieniężne oraz wyróżnienia honorowe w postaci zamieszczenia utworów w antologii wydanej z okazji Konkursu wraz z utworami nagrodzonymi.

Garażowe Granie '99

Miejski Ośrodek Kultury - Teatr Mały organizuje w dniach 15-16 sierpnia przegląd zespołów młodzieżowych grających muzykę z kręgu bluesa, rocka, reague. W przeglądzie mogą uczestniczyć zespoły, które nie nagrały samodzielnej płyty. Najlepsze zespoły wystąpią w Teatrze Małym w koncercie galowym 11 września br.

Warunki uczestnictwa: przygotowanie co najmniej dwóch utworów własnych (tekst i muzyka), czas prezentacji nie przekraczający 20 min. Do dnia 23 lipca br. należy nadesłać pod adresem organizatorów (Teatr Mały ul. Kard. Hłonda 1, 43-100 Tychy) informację zawierającą dane: nazwę i skład zespołu, rodzaj wykonywanej muzyki, tytuły utworów autorskich z nazwiskami autorów słów i muzyki, krótką historię zespołu, czas niezbędny do przygotowania się do występu. Organizatorzy zapewniają fortepian, nie zapewniają natomiast zestawu perkusyjnego.

Oceny prezentacji dokona jury złożone z profesjonalnych muzyków i krytyków muzycznych. Dodatkowych informacji udziela organizatorzy przeglądu.

Fotografie Aleksandra Balickiego

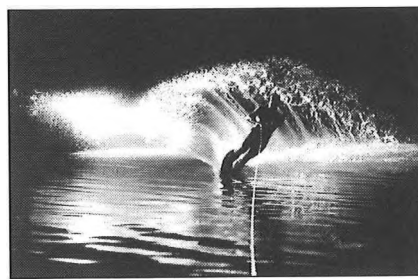


Foto: Aleksander Balicki

Fragment ekspozycji

Aleksander Balicki należy do znakomitego grona seniorów fotografików śląskich. W początkach swej fotograficznej pasji był członkiem Lwowskiego Towarzystwa Fotograficznego. Jest członkiem Związku Polskich Artystów Fotografików. Posiada legitymację oznaczoną jednym z pierwszych numerów.

Przez kilka dziesiątek lat uprawiał fotografię portretową, krajozabrową, sportową i reportażową. W archiwum Aleksandra Balickiego znajdują się bezcenne negatywy dokumentujące rok 1944 na Śląsku i pierwsze lata powojenne. Pokazywał je podczas indywidualnej wystawy w Warszawie i Katowicach.

Z kolei zdjęcia sportowe, szczególnie o tematyce sportów wodnych należą do jednych z najciekawszych w historii śląskiej fotografii.

Podczas wystawy zorganizowanej przez Górnos Śląskie Centrum Kultury, w Galerii „Pustej” pokazano zdjęcia z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych wykonane przez Artystę podczas pobytu na Mazurach. Wystawa została zatytułowana „Fotografia wspomnień”. Tak napisał we wstępie do katalogu wystawy Jerzy Lewczyński (także przyjaciel Aleksandra Balickiego) o zdjęciach pokazanych na wystawie: „Pierwszym wrażeniem jest zdumienie, że kiedyś przyroda była tak blisko człowieka. (...) Każda z tych fotografii promieniuje słońcem i ciszą uroczysk, czystością wody i przyrody. Uważam, że nie obojętną rzeczą jest tu doskonała technika fotografowania i technologia wykonywanych powiększeń. (...) Artysta przekazuje nam niepowtarzalny świat fotografii, jak gdyby pojedyncze klatki filmu z zapomnianej epoki. Dzieje się tak zapewne dlatego, że fotografia Aleksandra Balickiego w swej klasycznej postaci ma zdolność zatrzymywania wrażeń i przenoszenia ich w czasie!”

Niewątpliwie trzeba podkreślić, o czym wspominał w słowie wstępnym Jerzy Lewczyński, znakomitą jakością techniczną (obok artystycznych wartości) zdjęć Aleksandra Balickiego, które nic nie straciły ze swego blasku i doskonałości.

■ O wnetrzach mieszkalnych w XIX wieku opowiadała, podczas spotkania zorganizowanego przez Muzeum w Gliwicach, Anna Kwicień.

■ Promocja albumu Konrada K. Czaplińskiego pt. „Sanktuarium w Polsce”, wydanej przez Wydawnictwo Videograf II, odbyła się w Muzeum Archidiecejalnym w Katowicach.

■ 80-lecie istnienia obchodził ślimanowski chór im. Fryderyka Chopina, który z tej okazji koncertował w kościele św. Michała Archanioła w Michałowicach Śl.

■ „Stłuki białe-czerwone bandery. Z dzieł polskiej marynarki handlowej” - to tytuł wystawy w Muzeum Górnośląskim w Bytomiu.

■ Premiera musicalu przeznaczanego dla najmłodszej widowni - „Przygody Tomka Sawyera” wg Marka Twaina w reżyserii Jana Szurmieja, zaprezentował Teatr Zagłębia w Sosnowcu.

■ W Centrum Kultury w Siemianowicach Śląskich odbyła się premiera medytacji Karola Wojtyły pt. „Przed sklepem jubilera”, których wykonawcą był Zespół Teatru Rozmów, zaś przedstawienie reżyserował Andrzej Pisarek.

■ W Muzeum w Gliwicach swoje prace malarskie prezentowała Renata Bonczar.

■ Naomiast w Galerii ZPAP Art-Nova 2 w Katowicach prezentowano malarstwo Grażyny Zarzeckiej-Czech.

■ W Domu Współpracy Polsko-Niemieckiej w Gliwicach odbyła się projekcja filmów o Gerbarce Hauptmannie - niemieckim pisarzu, laureacie literackiej Nagrody Nobla, oraz spotkanie autorskie z reżyserem Robertem Stando.

■ Nauczanie języka niemieckiego po reformie administracyjnej było tematem seminarium zorganizowanego przez Dom Współpracy Polsko-Niemieckiej i Stowarzyszenie Nauczycieli Języka Niemieckiego - oddział Gliwice.

■ Z kolei Dom Współpracy Polsko-Niemieckiej zaprosił Instytut Historii Uniwersytetu Opolskiego do międzynarodowego sympozjum na temat podręczników historii w Niemczech, a wraz z Fundacją Konrada Adenauera - przedstawicielstwo w Polsce i Klubem Samorządowym w Lesnicy zorganizowali wykład w cyklu „Spotkania europejskie „Górny Śląsk a Unia Europejska” na temat „Agenda 2000. Perspektywy europejskiej polityki rolnej a kwestie rozszerzenia Unii Europejskiej na Wschód”.

■ W roku szkolnym 1999/2000 w VI Liceum Ogólnokształcącym w Gliwicach-Labędach rozpocznie działalność klasa dwujęzyczna z poszerzonym programem nauczania języka niemieckiego.

■ W Miejskiej Galerii Sztuki Extravagances w Sosnowcu wystąpił zespół „Irek Dudek special blues project”.

■ Promocje albumu fotograficznego z zabrzańskimi obiektami sakralnymi pt. „Zabrzańskie kościoły” zorganizowała Miejska Biblioteka Publiczna, Liceum Sztuk Plastycznych i Muzeum Górniczo-Węglowe w Zabrze.

■ Koncert muzyki relaksacyjnej „W barwach dźwięku” w otoczeniu malarstwa z wykorzystaniem elementów aromaterapii odbył się w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Zabrze.

■ „W mieście Wojciecha Korfantego” - to tytuł konkursu, jaki w związku z mijającą 17 sierpnia 60. rocznicą śmierci

ci Wojciecha Korfantego organizuje Wydział Kultury i Sportu Urzędu Miejskiego i Muzeum Miejskie w Siemianowicach Śląskich, a który przewidziany jest dla autorów fotografii i esejów, dla młodzieży szkolnej (szkół podstawowych i średnich) jak i dla dorosłych (o szczegółach Konkursu informuje organizator).

■ W Muzeum Miejskim w Świętochłowicach odbył się koncert „W wiosennym nastroju” z udziałem kwartetu smyczkowego Raciborskiej Orkiestry Symfonicznej.

■ „Przed sklepem jubilera” Karola Wojtyły w wykonaniu Teatru Rozmów Centrum Kultury w Siemianowicach Śląskich zostało zaprezentowane milośnikom w Muzeum Miejskim w Świętochłowicach i Arszecie Śledczym w Katowicach.

■ Koncert muzyki sakralnej zorganizowany z okazji wizyty Ojca Świętego odbył się w Pałacu Schoena w Sosnowcu.

■ Centrum Sztuki w Bytomiu pokazało prace Katarzyny Bochenek zatytułowane „Strach przed pustym miejscem”.

■ Koncert dyplomatów Akademii Muzycznej w Katowicach odbył się z udziałem Narodowej Orkiestry Polskiego Radia pod dyrykcją Jana Miłozza Zarzyckiego, zaś solistami koncertu byli Małgorzata Organiściak, Ewa Kornas, Patryk Laburda i Piotr Kupka.

■ Swoją najnowszą książkę pt. „Nie jestem która wszystko zniszczy” Marta Fox zaprezentowała podczas autorskiego spotkania w Parku Kościuszkim.

■ Jastrzębska galeria „Ciężka” zorganizowała ekspozycję fotografii Ani Bubuli z krakowskiego Klubu Fotograficznego „Nie tylko przyroda”.

Za kulisami łatwiej

Niechętni zmianom w bielskiej kulturze uważają, iż oto spełnia się sen teoretyków świetlanej przyszłości, wedle których nocny portier, wytwórca karmy dla psów czy mistrz pięści wagi lekkiej może przeistoczyć się z dnia na dzień w luminarza kultury bądź artystę kabaretu. Całą władzę w mieście przejęła AWS, więc zmiany powinny teraz nabrać przyspieszenia; niektórzy sądzą nawet, iż rewolucyjnego. Na razie jednak o zmianach głównie się mówi. W dodatku w kuluarach.

Pierwszą zapowiadaną zmianą jest utworzenie wspólnej dyrekcji dla obu bielskich teatrów. Władze — z grubsza biorąc — chcą powielić stary, komunistyczny pomysł, który nie sprawdził się w Bielsku-Białej już kilkadziesiąt lat temu. Szersza wersja projektu zakłada ponadto włączenie do tak dziwacznej struktury Bielskiego Centrum Kultury, a nawet Biura Wystaw Artystycznych. Znamienne, że do tego typu pomysłów nikt się nie przyznaje. Nic jednak dziwnego, skoro próbuje się łączyć tak różne placówki, z których przynajmniej dwie (Białaluka i BWA) — jeśli można zastosować personalifikację do określenia instytucji kultury — posiadają szczególnie wyrazistą osobowość.

Specyfika działalności artystów Białaluki i wystawienników BWA jest tak ewidentna, że nieprzemyślane zmiany mogą jedynie zniszczyć tożsamość obu cenionych w kraju instytucji. Po cóż więc zmieniać coś, co funkcjonuje dobrze? Chyba tylko z zawiści, ewentualnie żądzy pieniądza. Ergo: tak czy siak — z niskich pobudek, co w sferze, która ma kultywować wartości, nie powinno się zdarzać.

Do fermentu w bielskiej kulturze przyczynił się zapewne dyrektor Teatru Polskiego Henryk Talar, który parokrotnie składał już rezygnację z funkcji dyrektora naczelnego, ale pragnął zachować stanowisko artystycznego szefa sceny dramatycznej. Rezygnacja zostanie najpewniej przyjęta. Władze być może jednak w ogóle zrezygnują z Henryka Talara, gdyż ostatnio uaktywnił się bielski oddział ZASP-u, który zabiega o powołanie własnego kandydata na fotel dyrektorski — Tomasza Dutkiewicza. Młody warszawski artysta otrzymał już zresztą dwa lata temu największą ilość głosów w konkursie na to stanowisko, lecz wówczas dyrektorem został konkursowy juror Henryk Talar.

Niektórzy — zwłaszcza niedysyjni — artyści Białaluki próbują zachwiać pozycję dyrektora drugiej bielskiej sceny — Krzysztofa Raua. Najwyraźniej nie podoba im się dominująca rola Teatru 3/4 - Zusno w Ośrodku Teatralnym Białaluka.

W pozascenicznych grach bierze udział coraz więcej byłych i obecnych artystów obu teatrów. Notabene wielu z nich gra znacznie lepiej za kulisami niż na twardych deskach sceny.

JAN PICHETA

BIELSKO NOTATNIK KULTURALNY

Bielski finał

W Bielsku-Białej odbył się pierwszy wojewódzki finał 44 Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego. W turnieju recytatorskim awansem do finału nagrodzono Małgorzatę Formalewicz z Wodzisławia, Mariusza Jankowskiego ze Świętochłowic i Patrycję Radecką z Częstochowy. W turnieju poezji śpiewanej nagrodzono Mateusza Banaszkiewicza z Rybnika, Annę Kasper z Cieszyna i Annę Dziewit z Chorzowa. Turniej pod nazwą „wywiedzione ze słowa” wygrała Agnieszka Podsiadlik z Katowic, a za monodram nagrodzono Dominikę Kolar z Rybnika.

Ciało i duch Heretyńskiego

Wędrownkom ducha i ciała w Polsce była poświęcona czerwcową wystawą prac francuskiego artysty Witolda Heretyńskiego, którego przodkowie pochodzą z Polski, a on sam mieszka w rejonie Nord-Pas de Calais, gdzie żyje wielu ludzi z polskim rodowodem. Artysta gustuje m.in. w abstrakcji, więc jego wędrownka ducha i ciała miała charakter wybitnie symboliczny.

Zamiejscowe sukcesy rzeźbiarzy

Wrocław coraz bardziej lubi bielską rzeźbiarkę Lidię Sztwiertnię. Artystka z Białej przez kilka ostatnich lat wykonywała wspaniałe nagrody dla laureatów Przeglądu Piosenki Aktorskiej. Rzeźby tak się wrocławianom spodobały, iż zorganizowali jej w czerwcu wystawę w tamtejszym Muzeum Sztuki Medalierskiej, które znajduje się przy wrocławskim Rynku.

W prestiżowej galerii w stolicy Niemiec Bonn w tym samym czasie wystawiał natomiast prace inny bielski rzeźbiarz Bronisław Krzysztof. Bielszczanin znany jest zresztą bardziej poza granicami kraju niż w Polsce, gdyż prezentował rzeźby w galeriach Wielkiej Brytanii, Francji czy Niemiec.

Strachy z pól



Florian Kohut

Florian Kohut z Rudzicy na Śląsku Cieszyńskim należy do tych twórców, którym udało się stworzyć nie tylko interesujące dzieła sztuki, lecz również zapoczątkować swego rodzaju ruch społeczny. Gdy przed kilkunastu laty zaczął gromadzić i malować strachy polne w swym domu w urokliwej wiosce nie opodal Bielska-Białej, był jednym z wielu zapaleńców zafascynowanych osobliwymi wytworami kultury. Kiedy jednak postanowił organizować korowody strachów polnych, które od kilku lat schodzą na przełomie maja i czerwca z rudzickich pól do jego galerii — stał się instytucją. Wielogodzinne korowody, koncerty i konkursy gromadzą już po kilka tysięcy ludzi z całego kraju. Nie inaczej było w tym roku. Florian Kohut doprowadził już do tego, iż powstają swoiste filie jego galerii w różnych zakątkach Polski. Jedną z nich mieści się w Szkole Podstawowej w Pewli Małej koło Żywca, gdzie dzieci spontanicznie tworzą kilkanaście strachów polnych rocznie i wiosną zmieniają ekspozycję na szkolnym podworku.

Jednym zdaniem

■ Wadowski historyk Gustaw Studnicki zdążył przed śmiercią w maju br. wydać broszurę pt. „Jan Paweł II w Ojczyźnie”.

■ Do 6 czerwca w kawiarni BWA w Bielsku-Białej czynna była wystawa prac jednego z najciekawszych polskich artystów konceptualnych Leszka Przyjemskiego.

■ Do 20 czerwca w dolnej sali Galerii Bielskiej BWA można było podziwiać plon III Biennale Sztuki Projektowania w Bielsku-Białej.

■ Malarstwo profesora łódzkiej ASP Stanisława Fijałkowskiego będzie można oglądać do 29 sierpnia w górnej sali Galerii Bielskiej BWA.

■ „Aż po krańce Ziemi” to tytuł wystawy fotografii upamiętniających pielgrzymowanie Jana Pawła II, którą można było oglądać w czerwcu w hali Miejskiej Biblioteki Publicznej w Bielsku-Białej.

■ Fotografie Ryszarda Kozłowskiego z Oświęcimia i Alfreda Biedrawy z Bielska-Białej zaprezentowano w czerwcu w Domu Kultury w Kętach.

■ „Marek Hłasko w 30. rocznicę śmierci” to tytuł wystawy materiałów z archiwum rodziny pisarza, którą pokazano w czerwcu w oświęcimskiej galerii „Tyle światów”.

Elewacja i rewizor

Teatr im. Adama Mickiewicza - wg projektu architektów J. Krupy, T. Łapińskiego i K. Sobieraja - budowano jedenaście lat. Ostatecznie w roku 1938 publiczność otrzymała nowoczesny na owe czasy budynek sceniczny o dwóch scenach - dużej (na ok. 700 miejsc) i kameralnej (ok. 200 miejsc). Zachowano tradycyjny dla budownictwa teatralnego I połowy XX wieku trójkątny tympanon o czterech kondygnacjach z półkoliście zakończonymi wnękami i balko-
nem na I piętrze. We wnętrzu zrezygnowano z ozdób i ozdobnych detali, nie zbudowano wykwinnych łóż. Ustawiono fotele na parterze i krzesła na balkonie. Fotele mają się w miarę dobrze, gorzej jednak z elewacją teatru. Zimą odpadła część tynku. Nad wejściem frontowym, przy dachu, widać cegły. Destrukcja dotknęła także otynkowania fragmentu bocznej ściany od ulicy Jasnogórskiej.

Czas na remont lub co najmniej poważną ekspertyzę zdolną potrzeby remontowe określić i - co dzisiaj najważniejsze - możliwe wydatki wycenić. Nie najlepiej poszło tymczasem w wycenę substancji zgoła niematerialnej. Ostatnią (nie licząc okolicznościowego programu przygotowanego z okazji wizyty pod Jasną Górą Ojca Świętego) premierą teatralnego sezonu w „Mickiewiczu” stał się „Rewizor” Gogola. Spektakl wyreżyserował Marek Mokrowiecki, ale chwalono bardziej artyzm innego teatralnego rzemiosła - scenografii. Na pierwszym planie dosyć konwencjonalnie, bo salonowo - pokój Horodniczego, meble, plusz. Jednak w głębi sceny stanęła urokliwa, poetyczna cerkiew z surowego drzewa, o złotych „cebulkach” kopuł. Gdzieś pomiędzy cerkwią a salonem - duże, pełne światła okna. Jakieś światy podglądają się wzajemnie, komentują siebie nawzajem - wyraźnie i nieodwołalnie. Do pełni szczęścia potrzeba jednak i komentarza, którego żywiołem jest słowo sceniczne.

Częstochowskiemu „Rewizorowi” najzwyczajniej zabrakło tempa. Dialogi toczą się leniwie, czas sceniczny nadyma się niemiłosiernie i raz po raz wymyka spod kontroli. Na dobrą sprawę nie wiadomo, co tak naprawdę popycha bohaterów do działania, są trochę śmieszni, ale bez teł wiarygodności, która przeobraża „Rewizora” w gorzką, pełną półtonów komedię. W roli Horodniczego obsadził się sam dyrektor, czyli Marek Perepeczek. Wypadał jednak dosyć bladziutko. Przedstawienia nie uratowała ciekawie poprowadzona przez Adama Hutyrę rola Chlestakowa. Może w przyszłym sezonie będzie lepiej? Próby korekcyjne warto jednak przeprowadzić już teraz.

RYSZARD JASNOZEWSKI

CZĘSTOCHOWA NOTATNIK KULTURALNY

Spory i jubileusz

Międzynarodowy Pokaz Pirotechniki i Laserów w podczęstochowskim Olsztynie odbędzie się w tym roku po raz siódmy. Tylko czy na pewno? Okazało się bowiem, że wakacyjna impreza mocno skonfliktowała lokalnych samorządowców. Doszło do tego, że sprawa stała się przedmiotem obrad sesji rady gminy. Przeciwnicy pokazów zorganizowali nawet pikety przed urzędem. Stosowny transparent głosił: „Szmal dla jednych, koszmar dla drugich”. Związki strontu i bromu znajdujące się w substancjach wybuchowych i opadające wraz z wiatrem zagrażać mają glebie i wodzie. Napływ turystów (a jeszcze bardziej liczba ich pojazdów) mocno natomiast niepokoi dyrekcję Zespołu Jurajskich Parków Krajobrazowych. Argumentem „za” są jednak pieniądze, które pozostawia amatorzy pokazu w Olsztynie. Wzbogacić ma się również kasa gminy, której właściciel firmy organizującej pokazy (i... radny w jednej osobie) obiecał sporą jak na lokalne warunki kwotę 200 tys. złotych. Część z tych pieniędzy winna być przeznaczona na remonty olsztyńskiego zamku. Warto dodać, że od roku za wejście do zamku pobierana jest opłata i rozpoczęto budowę wokół ruin ogrodu. Ostatecznie podczas przeprowadzonego na sesji rady głosowania zwolennicy pokazów wygrali zdecydowanie. Do finalowego huku jednak daleko. Formalną zgodę zarządu gminy muszą bowiem poprzedzić pozytywne opinie Zespołu Jurajskich Parków Krajobrazowych, Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków oraz Państwowej Ochrony Zabytków.

W zgodzie natomiast 6 czerwca obchodzono 650-lecie Olsztyna. Urpierzystość zainaugurowała msza święta z udziałem chóru Basilica Cantans z Częstochowy. Potem na ulicach Olsztyna pojawili się uczestnicy historycznej parady oraz zespoły muzyczne i taneczne. Cały dzień trwał festyn pod zamkiem. Na estradzie wystąpiły m.in. zespoły „Żuki” i „Kormorany”. Na stoiskach wokół sceny prezentowano wyroby rzemiosła ludowego. Nie zabrakło oczywiście stosownego jadła, w tym ciast i chlebów wypiekanych wg tradycyjnych receptur.

„Sacrum in Literaturze”

Dwie recytatorki - Monika Kowalczyk ze Starachowic (interpretowała prozę Tadeusza

Nowakowskiego i poezję Felicji Kruszkowskiej) oraz Kamila Muszyńska z Łodzi (prezentowała utwory Bolesława Leśmiana i Nikosa Kazantzakisa) - zdobyły równorzędne I nagrody VIII Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego „Sacrum in Literaturze”. Organizatorem tegorocznej edycji był tradycyjnie już Wojewódzki Ośrodek Kultury w Częstochowie. Laureatem III nagrody został Piotr Kaliszewski z Szamocina (wybrał prozę Ernsta Tollera oraz fragmenty „Objawienia św. Jana”). Nagrodę specjalną przeora jasnogórskiego klasztoru za program o tematyce Maryjnej zdobyła Magdalena Humeniuk z Przemysła (za interpretację fragmentów „Środy popielcowej” Thomasa Eliotta i „Ulissesa” Jamesa Joyce’a). Nie wyłoniono zwycięzcy wśród wykonawców poezji śpiewanej. Drugimi nagrodami uhonorowano Jarosława Chojnackiego za Szczytina (autora własnych kompozycji do tekstów Stanisława Grochowiaka i Krzysztofa Buszmanna) oraz Ewę Olszewską z Warty (wykonawczyni a cappella „Grajmy Panu” ze słowami Agnieszki Osieckiej).

W koncercie finałowym obok laureatów konkursu wystąpiła orkiestra Państwowej Szkoły Muzycznej pod dyrekcją Krzysztofa Pośpiecha. W trakcie samej imprezy pomyślano o imprezach towarzyszących. Szczególnym wydarzeniem stał się koncert oratoryjny, podczas którego krakowska orkiestra Forum Sinfonia oraz Stuttgarter Oratorienchor wykonały trzy „Magnificat”: Vivaldiego, Paerta i Ruttera. Miłośnikom teatru niezwykle podobał się natomiast teatr POK-u z Mysłowic, który zaprezentował w WOK-u przedstawienie „Abelard i Heloiza” Ronald Duncana.

Kłopoty „Kleksa”

Oficjalnie poszło o czynsz. Za wynajmowane w Filharmonii Częstochowskiej lokum nie płać od początku roku Teatr Małych Form „Kleks”. Filharmonia wypowiedziała umowę najmu. Niby rzecz zrozumiała, ale czynsz za „Kleksa” zobowiązało się przed laty płacić miasto. Do utrzymania tego stanu rzeczy potrzebne jest jednak odpowiednie pismo zainteresowanych do zarządu miasta. Pisma takiego podobno zabrakło, odpowiednich środków w budżecie nie zabezpieczono. Dyrektor Filharmonii zaś (też podobno) zamierza wykorzystać salę użytkowaną przez „Kleksa” na artystyczną kawiarnię. Ostatecznie koszty czynszu zgodził się opłacić za teatr jeden z banków.

Takie rozwiązanie jest najbardziej korzystne dla dzieci. Kierowany przez Grzegorza Lewandowskiego „Kleks” dostarcza najmłodszym nie tylko rozrywki, ale przygotowuje również wiele form edukacyjnych, związanych z lalką i wszystkimi tworzywami scenicznymi. Na Dzień Dziecka było (dzięki sponsorom) zatem po staremu, czyli ciekawie i zabawnie. Były gry i konkursy, a przede wszystkim przedstawienie. Dobry nie tylko na tę okazję „Kubuś Puchatek”.

Jednym zdaniem

■ Już od roku wychodzi z Częstochowy miesięcznik „Iks - Informator Kultura i Sztuka”.

■ Znaczenie Wrocławia dla kultury Polski, Niemiec i Czech na przełomie XVI i XVII wieku było tematem międzynarodowej konferencji zorganizowanej przez Wyższą Szkołę Pedagogiczną.

■ Ojciec i syn - Eric i Marc Franceries z Francji wystąpili z koncertem gitarowym w Filharmonii Częstochowskiej.

■ Miejski Ośrodek Kultury w Kłobucku gościł dziecięce i młodzieżowe zespoły teatralne na I Międzynarodowym Przeglądzie Teatrów Lalkowych i Żywego Planu.

■ Maraton Tańca i kabaretu z udziałem laureatów „PAK-i”, to najciekawsze zdarzenia kulturalne 35. Wiosny Studentów, podczas której bawili się wspólnie słuchacze WSP i Politechniki Częstochowskiej.

■ Na koniec roku planuje się wydanie kolejnej edycji książki „Kto jest kim w Częstochowskim”.

■ Obrazy i fotografie Piotra Borońskiego, studenta IV roku Politechniki Częstochowskiej, zaprezentowano na wystawie otwartej w Klubie „Politechnik”.

■ Obchodzącego 70. rocznicę urodzin językoznawcy prof. Feliksa Plutę przyjaciele i współpracownicy z WSP uhonorowali specjalnym tomem rozpraw filologicznych.

■ Ekspozycję tkanin Roberta Wieczorka i grafik Marka Sobacińskiego przygotowała galeria „Bon Art”.

■ Rola Jasnej Góry w kulturze była jednym z tematów sympozjum „Jasna Góra w 20-lecie pontyfikatu Jana Pawła II”.

■ Miejska Galeria Sztuki przygotowała wystawę rzeźb Piotra Szarka.

■ Towarzystwo Przyjaciół Częstochowy było inicjatorem odbytej w Ośrodku Promocji Kultury „Gaude Mater” debaty o kulturze w mieście.

Temu panu dziękujemy

Nowym dyrektorem Teatru im. Jana Kochanowskiego w Opolu został Bartosz Zaczekiewicz, znany mieszkańcom Katowic jako etatowy reżyser Teatru Wyspiańskiego. Według relacji i władz samorządowych województwa opolskiego, wygrał, bo ujął komisję wizji teatru edukacyjnego, nastawionego na młodzież. Dodatkowym atutem było podobno to, że zaliczył rok studiów ekonomicznych.

Zaczekiewicz zastąpi Adama Srokę, pupila opolskiej publiczności teatralnej i wroga numer jeden opolskich władz samorządowych. To Sroka jest bohaterem tego felietonu — sposób, w jaki Opole go pożegnało, zasługuje na parę słów komentarza.

Trzy lata temu Sroka wygrał konkurs na dyrektora „Kochanowskiego”, pokonując bodaj dziesięciu kontrandydatów. Szybko dał się jednak poznać jako znakomity reżyser i sprawny administrator. Opole, które uchodziło za teatralną prowincję, zagościło na łamach fachowej prasy, zyskując coraz więcej przychylnych recenzji. Bywanie w „Kochanowskim” stało się modne, dzięki czemu frekwencja, dotąd mocno kulejąca, sięgnęła 80 procent. Sroka dokonał przy okazji i ekonomicznego cudu — choć w każdym sezonie przygotowywał średnio siedem premier i grał na okrągło, zdołał wyprowadzić teatr z odziedziczonych długów.

Wydawało się, że przejście „Kochanowskiego” na garnuszek Urzędu Marszałkowskiego niczego nie zmieni. Po co reformować instytucję, która sprawnie działa? Okazało się jednak, że powód zawsze się znajdzie. W okolicy Międzynarodowego Tygodnia Teatru Sroka dowiedział się, że jego kontrakt nie zostanie przedłużony, bo Zarząd Województwa postanowił ogłosić nowy konkurs. Samorządowi urzędnicy, świeżo przesłanowi do Urzędu Marszałkowskiego z Instytutu Śląskiego (po mieście krąży zjadliwy dowcip, że Urząd stał się przybudówką Instytutu, dzięki czemu opolscy naukowcy mogą porządkować tym, co wcześniej próbowali pojąć i opisać), wyjaśniali, że teatr Sroki jest „zbyt elitarny”. Dziennikarze, w tym niżej podpisany, usiłowali się dowiedzieć, jaki teatr jest bliższy nowej władzy. Tłumaczenia były cokolwiek mgliste — w grę miał wchodzić teatr edukacyjny, popularny i ludowy (niemylukowane, że chodziło o teatr ludyczny, ale ponieważ określenie to nie padło, jest to jedynie moje nieśmiałe przypuszczenie).

Poparcie widzów, mediów i teatralnej trupy nie Sroce nie pomogło. Ogłoszony konkurs, który zakończył się fiaskiem. Panowie urzędniczy przekonali się, że podaż przewyższa popyt tylko na bliskiej im scenie politycznej, natomiast w kulturze o talent nie tak łatwo. Wydawało się, że jest szansa na naprawienie błędów. Niejeden obserwator liczył na to, że w tych warunkach Urząd Marszałkowski poprosi Srokę, by ten jednak został. Nic takiego się nie stało. Wręcz przeciwnie — to Srokę obarczono winą za niepowodzenie konkursu. Rozumowanie było następujące: gdyby jasno powiedział, że do rywalizacji nie stanie, byłoby więcej chętnych i ktoś z nich może by się nadał.

Final był łatwy do przewidzenia. Gdy jasne już było, że Sroka stał się persona non grata, w świat powędrował czytelny sygnał — ponieważ opolskie władze muszą udowodnić, że idea konkursu to fantastyczny pomysł, można jechać w ciemno, z góry zakładając, że tym razem ktoś na pewno wygra. Bo władza ma zawsze rację.

MAREK ŚWIERCZ

OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

Mistrzynie — uczniowie



Foto: Józef Makal

Dorota Simonides

Prof. Dorota Simonides świętowała 45-lecie pracy naukowej. W uroczystości zorganizowanej w Auditorium Księcia Jana II Dobrego na Uniwersytecie Opolskim wzięli udział naukowcy z całej Polski, nie zabrakło też przedstawicieli opolskich władz. Dostojna jubilatka odebrała książkę pamiątkową „Folklorystyczne i antropologiczne opisanie świata”, na którą złożyły się artykuły napisane przez 40 naukowców z różnych ośrodków akademickich, w tym wielu uczniów prof. Doroty Simonides.

Były telegramy z życzeniami, serdeczności i kwiaty. Dziekan Wydziału Teologicznego UO ks. Helmut Sobeczko mówił o tym, że i dziś w rodzinnej wsi jubilatki pod Katowicami ludzie mówią: „a kto by nie znał naszej Dorki”. Marszałek województwa opolskiego Stanisław Jałowicki tłumaczył, że dzięki prof. Simonides po raz drugi pokochał Śląsk, a wicewojewoda Jacek Suski dziękował jej za udział w zabiegach o utworzenie w Opolu uniwersytetu i obronę województwa. Rektor UO Stanisław Niciejca zazdrościł jej dwóch dusz: naukowej i politycznej.

Wyraźnie wzruszona prof. Dorota Simonides tłumaczyła, że miała ogromne szczę-

ście, bo mogła uczyć się u największych mistrzów. I zawsze wiedziała, że nie wolno jej tego szczęścia zмарnować, dlatego też uznawała, że jej posłannictwem jest przekazanie całej tej wiedzy młodym.

Replika Komnaty

Kopie elementów wyposażenia legendarnej Bursztynowej Komnaty podziwiać można było w muzeum w Nysie. Za ściągnięcie ekspozycji, nigdy wcześniej w Polsce nie wystawianej, władze miasta zapłaciły 30.000 złotych. Wystawa potraktowana została jako główna atrakcja tegorocznych Dni Nysy.

Repliki elementów wyposażenia Komnaty wykonali specjaliści z Carskosielskiej Pracowni Bursztynu, która pracuje nad jej odtworzeniem od 1982 roku. W Nysie zjawili się także rzemieślnicy z pracowni, by na miejscu opowiedzieć o swojej pracy, wymagającej między innymi zrekonstruowania zapomnianych metod obróbki bursztynu.

Według kierownika pracowni Borysa Igdałowa, do tej pory odtworzono około 30 procent wyposażenia Komnaty. Postęp prac zależy od hojności władz Federacji Rosyjskiej, która finansuje działalność rzemieślników z Carskiego Siola. Najważniejsze, zdaniem Igdałowa, że na podstawie żmudnych badań udało się już zrekonstruować całkowity wygląd Komnaty.

Papież na znaczkach

W jezuickim ośrodku Xawerianum w Opolu uczczono pielgrzymkę Jana Pawła II do kraju, organizując wystawę znaczków z kolekcji Bolesława Tokara z Grodkowa. Tokar od 1978 roku gromadzi wszystkie walory filatelistyczne związane z pontyfikatem polskiego papieża.

Na wystawie pokazano najważniejszą część kolekcji, zebraną na 24 ekranach. Do największych rarytasów należą karta pocztowa wydana przez pocztę watykańską już w dniu wyboru kardynała Karola Wojtyły na papieża oraz koperta z czarną żałobną obwódką i napisem „Papież Jan Paweł II postrzelony”, która została wydana przez pocztę amerykańską jeszcze w dniu zamachu na papieża (natychmiast ją wycofano, gdy okazało się, że Ojciec Święty przeżyje). Wśród ciekawostek warto wymienić znaczki z podobizną Jana Pawła II z krajów afrykańskich, wykonane ze złotej folii, a także serię z egzotycznego Turkmenistanu prezentującą papieża w towarzystwie głów państwa, między innymi Fidela Castro i Billa Clintona.

Jednym zdaniem

■ Piotr Żarczyński, nauczyciel z Opola, otrzymał drugą nagrodę w konkursie poetyckim „O Bulawie Hetmańskiej”, zorganizowaną przez Nauczycielski Klub Literacki w Białymstoku.

■ „Papierowe kwiaty” Egonu Wolffa w reżyserii Bartłomieja Wyszomirskiego to ostatnia w tym sezonie premiera w opolskim Teatrze im. Jana Kochanowskiego.

■ Muzeum Wsi Opolskiej przygotowało wystawę „Drzwi wiejskie” — jej autorką jest Elżbieta Wijas-Grocholska.

■ „Looking Back on Kraków... an austrian point of view” to tytuł wystawy stypendystów rządu austriackiego, którzy w latach 1992–98 mieszkali w atelier na krakowskim Kazimierzu — wystawę przygotowała Biblioteka Austriacka w Opolu.

■ Galeria Sztuki Współczesnej w Opolu zaprezentowała kolekcję 100 współczesnych grafik wybranych z tysięcy prac nadesłanych na III Międzynarodowe Triennale Grafiki 97 — Kraków.

■ Ukazał się drugi numer rocznika „Opolanie 99” — wydawcą tego miejskiego almanachu jest

Towarzystwo Rozwoju Telewizji Regionalnej Śląska Opolskiego, którego przewodniczącą została senator Dorota Simonides.

■ W budynku opolskiego amfiteatru zaprezentowano wystawę fotografii reportażowej autorstwa młodych opolan Konrada Szpyry i Tomasza Doszka.

■ Miejska Biblioteka Publiczna w Kędzierzynie-Koźlu ściągnęła wystawę fotografii Piotra Bujnowicza zrobionych na planie filmu Andrzeja Wajdy „Pan Tadeusz”.

■ Miejski Dom Kultury w Ozimku i miejscowy teatr Fieter Roberta Konowalika zorganizowali Ozimski Tydzień Teatru.

■ Z okazji Dni Prudnika w miejscowej hali sportowej zorganizowano II Wystawę Twórców Ludowych i Rzemiosła Artystycznego Pogranicza Polsko-Czeskiego, w której wzięło udział 82 artystów z Czech i południowej Polski.

■ Na Uniwersytecie Opolskim odbyła się dwudniowa konferencja historyków zorganizowana pod hasłem „Podręczniki naszych sąsiadów”.

W teatrze z nauczycielami

W piątek 28 maja, na dzień przed premierą ostatniej w tym sezonie teatralnym sztuki Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego „Tajemniczego ogrodu” Frances Hodgson Burnett, kierownictwo teatru postanowiło zaprosić na próbę generalną sztuki nauczycieli i dyrektorów zaolziańskich polskich szkół podstawowych i średnich. Jak powiedział kierownik artystyczny SP, Jerzy Botycki (pełni tę funkcję od 1 stycznia br.), który był też reżyserem pokazanej sztuki, jest to początek nowej tradycji i spotkania takie będą się odbywać w przyszłym, 49 już sezonie regularnie.

Po analizie kondycji Sceny Polskiej w kilku ostatnich sezonach doszliśmy do wniosku, że najważniejszym dla nas zadaniem będzie w najbliższym czasie próba dotarcia do młodego widza. I to właśnie nauczyciele mogą nam w tym najbardziej pomóc — powiedział J. Botycki. — Naszym marzeniem jest też utworzenie z teatru regionalnego ośrodka kultury polskiej i czeskiej, który będzie również wychowywał. Dlatego chcemy proponować miłośnikom kultury i sztuki nie tylko dobre spektakle teatralne, ale także ciekawe wystawy, koncerty, a nawet seanse filmowe. Temu ma służyć m.in. tzw. mała scena oraz nowa galeria.

Z kolei dyrektor TC, Roman Rozbroj, zaproponował nauczycielom, by teatr objął patronat nad spektaklami przygotowywanymi przez szkoły, a nawet Miejskowe Koła PZKO. Mogłby też teatr służyć pomocą młodym recytatorom uczyć ich interpretacji wiersza, co na pewno podniosłoby jeszcze bardziej i tak już wysoki poziom zaolziańskich konkursów recytatorskich.

Kierownictwo teatru poinformowało uczestników spotkania o repertuarze Sceny Polskiej w przyszłym sezonie. Otworzy go Scena zaraz we wrześniu pozycją klasyczną, „Zemstą” Aleksandra Fredry. Poza tym posiadające abonamenty będą mogli obejrzeć w sezonie 1999/2000 „Nasze miasto” Thorntona Wildera, „Okno na parlament” Raya Cooneya, „Wielkoludy” Andrzeja Maleszki, „Sen nocy lemieja” Williama Szekspira oraz „Dziwne stulecie” Jaromira Novhavy (tłum. R. Puzlacher). Poza abonamentem natomiast, na małej scenie, wystawi Scena Polska współczesną sztukę Xaviera Durringera pt. „Zdech-niesz, mam to na końcu języka”.

JACEK SIKORA

ZAOLZIE NOTATNIK KULTURALNY

Już po maturach

105 tegorocznych absolwentów czeskosieczyńskich klas 4 a, b i c Polskiego Gimnazjum oraz dwoje ubiegłorocznych czwartoklasistów, którym nie udało się zdać matury wiosną ani jesienią ub. roku, otrzymało w piątek 28 maja w sali hotelu „Piast” swoje świadectwa dojrzałości. Tuż po uroczystości, podczas której z krótkim programem artystycznym zaprezentowały się też Teatrzyk „Szkap” oraz chór „Collegium Iuvenum”, maturzyści wyjechali do Domu PZKO w Lesznej Dolnej, gdzie aż do białego rana bawili się na komersie.

Jak powiedział dyrektor gimnazjum Alojzy Kufa, wszyscy czeskosieczyńscy czwartoklasiści w tym roku zdali egzamin dojrzałości bez problemów. 37 z nich zdało maturę z odznaczeniem, a u 13 widnieją na świadectwie maturalnym wyłączenie stopnie celujące. — Poziom wiadomości tegorocznych maturzystów był więc niezły, a zadowoleni byli również przewodniczący komisji maturalnych. W swoich ocenach napisali oni zresztą, że klasyfikacja przebiegła zgodnie z przepisami i odpowiadała wiadomościom uczniów — dodał dyrektor Kufa.

Uroczystość rozdania świadectw maturalnych w karwińskiej klasie 4 D odbyła się tydzień wcześniej. Jak się dowiedzieliśmy, z 31 dopuszczonych do egzaminu maturalnego „karwiniaków” 14 zdało maturę z odznaczeniem.

Targi muzeów

Na zamku w Trzebieczu — w siedzibie Muzeum Zachodniomorawskiego — odbyły się IV Targi Muzeów Republiki Czeskiej. Impreza ta przebiegała pod Patronatem ministra kultury Pavla Dostála. Urzędów Powiatowych w Trzebieczu i Karwinie. Oddziału Czeskiego ICOM i Asocjacji Czeskich i Morawsko-Sląskich Muzeów i Galerii.

W uroczystej inauguracji Targów wzięła też udział delegacja władz Cz. Cieszyzna. Nic dziwnego — organizatorem Targów jest nie tylko muzeum trzebiezkie, ale również czesko-cieszyńskie Muzeum Ziemi Cieszyńskiej, którego dyrektorem jest Věra Tomolová.

Czeskosieczyńska placówka, która przedstawiła się w Trzebieczu wspólnie z opawskim Muzeum Śląskim z wystawą pn. „Rusznikarstwo”, nie była jednak jedynym na wystawie reprezentantem Śląska Cieszyńskiego. Swoje ekspozycje prezentowały również Muzeum Hutnictwa Trzyńskiej i Miasta Trzyńca oraz Muzeum Beskidów z Frydku-Mistku. Z kolei Irena Hajzlířová z Państwowego Archiwum Powiatowego w Karwinie była współautorką wystawy pn. „Jak wystawiać archiwalia”, na której zaprezentowane zostały zbiory z archiwów i muzeów w Cz. Cieszyźnie, Trzebieczu i Karwinie.

Ordery dla kombatanów

W przeddzień 55. rocznicy zakończenia bitwy pod Monte Cassino wręczono w Konsulacie Generalnym RP w Ostrawie polskie odznaczenia wojskowe, przyznane zaolziańskim kombatanom przez prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego. Aktu dekoracji w asyście korpusu konsularnego dokonał konsul generalny, Marek Masłulaniś.

Krzyżami Czynu Bojowego Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie zostali odznaczeni: Henryk Kozielec z Hawierzowa, Emil Przeczek z Cz. Cieszyzna i Franciszek Ferfec-

ki z Trzyńca. Medal „Za udział w wojnie obronnej 1939” przyznano Julianowi Piąrkowskiemu z Cz. Cieszyzna oraz pośmiertnie Rudolfowi Batorkowi z Hawierzowa-Suchej, który został odznaczony również „Krzyżem za udział w wojnie 1918–1921”. W imieniu ojca odznaczenia odebrał syn Bronisław.

— Proszę przekazać władzom polskim — powiedział podczas uroczystości wiceprezes Kola Polskich Kombatanów w RC. Leon Herman — podziękowania za pamięć i za te odznaczenia. Dopóki sił nam starczy, będziemy przynosić chlubę Polskim Siłom Zbrojnym, których byliśmy żołnierzami.

„Dzieci Nocy” w Rypinie

Działający przy czeskosieczyńskiej polskiej podstawie zespół wokalny „Dzieci Nocy” należy wprawdzie do najmłodszych na Zaolziu — powstał wszak dopiero w październiku ub. roku, może się już jednak pochlubić licznymi sukcesami. Do tych najważniejszych zaliczyć trzeba z pewnością wyróżnienie i udział w koncercie galowym IV Ogólnopolskiego Dziecięcego Festiwalu Piosenki Country, który odbył się w dniach 27–30 maja br. w Rypinie (woj. kujawsko-pomorskie).

„Dzieci Nocy” zaprezentowały się nie tylko w festiwalowym konkursie (szefem jury był Korneliusz Pacuda, legenda polskiego country) i koncercie galowym, ale również na „Pikniku Country” w pobliskim Ostrowitwie, a można było zaolziański zespół zobaczyć także w telewizyjnym „Rowerze Błęjaża”.

XXIII Festiwal Piosenki Polskiej

Przy wsparciu finansowym Ministerstwa Kultury i Sztuki RP odbył się w Cz. Cieszyźnie 29 maja br. XXIII Festiwal Piosenki Polskiej. Obok Zrzeszenia Śpiewaczo-Muzycznego ZG PZKO w tym roku po raz pierwszy współorganizatorem imprezy, sięgającej swymi początkami do 1963 r., był również czeskosieczyński Ośrodek Kulturalno-Społeczny „Strzelnica”.

Publiczności zaprezentowało się sześciu solistów, jeden duet i jeden zespół rodzinny. Gościnnie wystąpili też na scenie laureaci ostatniego Festiwalu Piosenki Dziecięcej.

Czterosemset osób jury na czele z reprezentującym warszawski Związek Polskich Autorów i Kompozytorów, Arturam Grudzińskim, najwyżej ocenił kunszt śpiewaczy tegorocznej absolwentki czeskosieczyńskiego Polskiego Gimnazjum Tamary Cudek, która zresztą była laureatką również ubiegłorocznego FPP. Drugie miejsce przyznano Beacie Zawada, trzecie Helenie Lugsch. Wśród wyróżnionych znaleźli się Barbara Suchanek, Michał Rzeszut oraz kwartet rodzinny siostr Kubiszówien.

W ZLPC bez zmian

O kondycji i dalszych losach Zrzeszenia Literatów Polskich w RC rozmawiali zaolziańscy pisarze w sobotę 29 maja podczas spotkania roboczego ZLPC, które odbyło się w mieszkaniu prezesa organizacji, Gustawa Sajdoka.

W trakcie dyskusji literaci zgodnie stwierdzili, że sytuacja w ZLPC nie jest najlepsza. Coraz rzadziej spotyka się np. na zebraniach zarząd, który dawniej całkiem prężnie kierował działalnością organizacji, zabrakło tradycyjnych dawniej spotkań, np. seminariów literackich.

— Jeżeli nie weźmiemy się w garść, to sytuacja będzie się dalej pogarszać, co groziłoby nawet rozpadem. Do tego jednak nikt chyba nie chciałby dopuścić — powiedział redakcji prezes ZLPC Gustaw Sajdok — Mijamy więc nadzieję, że wrześniowe Walne Zgromadzenie przyniesie chociażby minimalne zmiany na lepsze.

Przygotowaniem Walnego Zgromadzenia zajmie się grupa robocza w składzie: Gustaw Sajdok, Lucyna Przeczek-Waszkowa, Piotr Horzyk i Jacek Sikora. Jej zadaniem będzie opracowanie planu wyjścia z kryzysu i projektu próby o ministerialny grant na rok 2000.

Jednym zdaniem

■ W Stonawie odbyły się 8 maja uroczystości wspomnieniowe ku czci stonawian poległych w obu wojnach światowych, w faszystowskich i stalinowskich obozach zagłady oraz żołnierzy 12. Pułku Piechoty Wojska Polskiego, którzy zginęli 26 stycznia 1919 r. w Stonawie podczas wojny czesko-polskiej.

■ Mieszkańcy Łomnej Dolnej przypomnieli sobie 9 maja sylwetkę zmarłej przed niespełna półtora rokiem poetki ludowej Anny Filipki; spektakl pt. „Bukiet dla mamy” oparty na wierszach i opowiadaniach gwarowych A. Filipki przygotowała córka poetki, Jola Filipk-Czepiec.

■ W czeskosieczyńskim wydawnictwie SNOZA pojawił się nowy dwujęzyczny tomik poetki Lecha Przeczka pt. „Przebliski-Zablesky”, zawierający 15 wierszy lirycznych, przy czym wszystkie prezentowane są równolegle w dwu wersjach językowych — polskiej i czeskiej.

■ Obchodzący w tym roku 45-lecie chór żeński „Melodia” z Nawsia odebrał w Katowicach Nagrodę im. Stanisława Moniuszki, przyznaną przez marszałka

i wojewodę śląskiego za wybitne zasługi w upowszechnianiu społecznego ruchu muzycznego na Śląsku.

■ Kolejny spektakl — „O czarnym baranku i białym wilku” Bernarda Clavella — zaprezentowali 25 maja w Cz. Cieszyźnie młodzi aktorzy z miejscowego Edeny, czyli Ośrodka dla Młodzieży Upośledzonej Umysłowo.

■ W Jabłonkowskiej Kawiarence „Pod Pegazem” odbyły się w maju dwa spotkania — pierwsze poświęcone było promocji wydanych w ostatnim roku książek zaolziańskich autorów, gośćmi drugiego zaś byli krakowscy poeci Stanisław Franczak i Henryk Cyganik.

■ Jako ostatnią w tym sezonie premierę wystawiła Scena Polska Teatru Cieszyńskiego 29 maja sztukę Frances Hodgson Burnett „Tajemniczy ogród”.

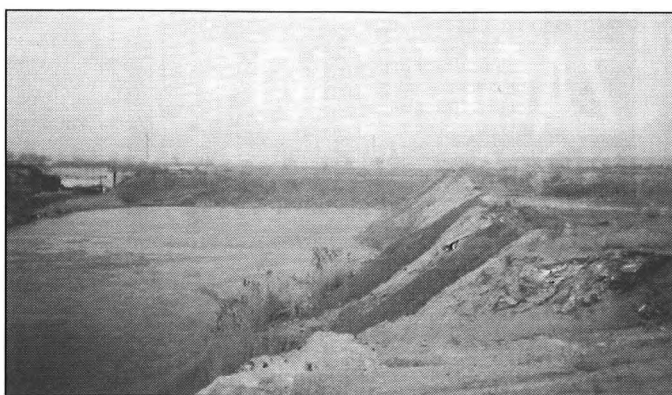
■ W Bibliotece Regionalnej w Karwinie otwarto 4 czerwca wystawę jednego z nestorów dawnego SLA, obecnie przewodniczącego Stowarzyszenia Artystów Plastików przy ZG PZKO, Oskara Pawłasa.

■ Umowę o współpracy podpisali w piątek 7 maja w bielskim ratuszu przedstawiciele władz Bielska-Białej oraz zaolziańskiej Suchej Górnej.

Początek lat 90. przyniósł zasadniczą zmianę nastawienia społeczeństwa do zagadnień związanych z ochroną środowiska. Dokonano zmian w przepisach i normach z zakresu ochrony środowiska wymuszających na przedsiębiorstwach konieczność podjęcia określonych działań. Dobrym przykładem są rozwiązania wprowadzone przez ELEKTROWNIĘ CHORZÓW, która do tego czasu była jednym z największych „trucielei” na terenie miasta. Niewątpliwie największym problemem Elektrowni była nadmierna emisja pyłów. Na początku 1993 roku została podjęta decyzja o budowie instalacji odpylania spalin (filtry workowe). Skorzystano z usług austriackiej firmy ECO-KLIMA.

W 1988 roku ELEKTROWNIA CHORZÓW rozpoczęła depozytowanie popiołów i żużli w wyrobiskach kopalniowych. Intensyfikacja takiego sposobu utylizacji odpadów paleniskowych w latach następnych doprowadziła do tego, że od 1993 r. zaprzestano wywozu odpadów na otwarte składowisko w Maciejkowicach. Ograniczenie, a następnie zaprzestanie korzystania z tego składowiska, umożliwiło jego stopniową rekultywację.

Rok 1994 upłynął w ELEKTROWNI CHORZÓW pod znakiem dokończenia budowy filtrów. Nadzór nad zleceniem i wykonaniem sprawował Wydział Ekologii Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach, a pomiarów gwarancyj-



Halda odpadów poprzemysłowych (Zakładów Azotowych, Huty Kościuszko, Elektrowni Chorzów). Jesień 1991 r. Chorzów-Maciejkowice, ul. Główna.

100 lat Elektrowni Chorzów W stronę czystego środowiska

**Powstała w 1898 roku
ELEKTROWNIA CHORZÓW
działa nie tylko na polu wytwarzania
energii elektrycznej.
W swoich zadaniach ma między innymi:**

- wytwarzanie energii cieplnej
- prowadzenie działalności remontowej, inwestycyjnej i zapewnienie efektywnego wykorzystania zdolności produkcyjnej
- ochronę środowiska naturalnego przed ujemnymi skutkami działalności przedsiębiorstwa
- produkcję materiałów budowlanych z wykorzystaniem odpadów paleniskowych
- eksport towarów własnych i usług
- usługi doradcze i dozór techniczny w zakresie elektrociepłownictwa
- świadczenie usług transportowych



Efekt rekultywacji, 1996 r.

nych dokonał Instytut Podstaw Inżynierii Środowiska PAN w Zabrze. W czasie niespełna 3-miesięcznej eksploatacji udało się zmniejszyć emisję pyłu do atmosfery (w stosunku do 1993 r.) o 908 ton. Redukcja ta była oczywiście znacznie większa w kolejnych latach. W 1995 roku ELEKTROWNIA CHORZÓW wyemitowała 9-krotnie mniejszą ilość pyłów w porównaniu z rokiem 1994. Tak znaczne ograniczenie emisji pyłu sprawiło, że ELEKTROWNIA CHORZÓW nie zapłaciła kar za przekroczenie dopuszczalnej emisji.

W październiku 1995 roku Zarząd ELEKTROWNI CHORZÓW S.A. przyjął program maksymalizacji produkcji energii cieplnej w skojarzeniu. Najważniejszymi zadaniami w ramach tego programu w latach 1995-1996 były: modernizacja turbiny TG-4, polegająca na przebudowie turbiny kondensacyjnej na upustowo-ciepłowniczą oraz przywrócenie do eksploatacji kotła K-62, poprzez budowę kanału spalin, dzięki któremu kocioł ten podłączono do elektrofiltrów kotłów wodnych. Realizacja tych zadań umożliwiła uzyskanie znaczącej obniżki wskaźników jednostkowego zużycia energii chemicznej węgla na produkcję energii elektrycznej, a tym samym na obniżenie zarówno kosztów zakupu węgla, jak i ilości odpadów paleniskowych.

(Oprac.

na podstawie
publikacji

Ryszarda Kurka
„100 lat Elektrowni
Chorzów”)

100 lat

Elektrowni Chorzów

JEDNA AKCJA

NA OKAZICIELA
WARTOŚCI NOMINALNEJ
TYSIĄC ZŁOTYCH

1000

ELEKTROWNIA CHORZÓW S.A.

ul. Skłodowskiej 3

41-503 CHORZÓW

tel. 241-12-11



351674

**BANK OCHRONY ŚRODOWISKA
SPÓŁKA AKCYJNA**

● **KREDYTY HIPOTECZNE**

dla osób fizycznych

● **KREDYTY BUDOWLANE**

dla deweloperów i podmiotów gospodarczych

finansujemy do 70% wartości kosztorysowej inwestycji

● **PREFERENCYJNE KREDYTY
NA ZAKUP URZĄDZEŃ ENERGOOSZCZĘDNYCH**

- ◆ okna termoizolacyjne
- ◆ kotły gazowe, olejowe i elektryczne
- ◆ grzejniki konwekcyjne
- ◆ zawory termostatyczne
- ◆ pompy ciepła
- ◆ urządzenia automatycznej regulacji węzłów cieplnych

finansujemy do 100% kosztów zakupu urządzeń

● **KREDYTY NA REALIZACJĘ
PRZEDSIĘWZIĘĆ TERMOMODERNIZACYJNYCH**

we współpracy z Bankiem Gospodarstwa Krajowego

finansujemy do 80% kosztów inwestycji

BOŚ S.A. O/KATOWICE
Katowice, ul. Warszawska 31
tel. (032) 253-82-26, fax 588-250
godziny otwarcia: 8.30 - 18.00

Filia Bielsko-Biała
Bielsko-Biała, ul. Legionów 57
tel. (033) 816-92-51, 816-92-53
godziny otwarcia: 9.00 - 16.00